



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 2 (91) 2026 kwartalnik
www.migotania.pl

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

„morze jest dobre
bo jemu można wyrzyczyć wszystko”
(Joanna Wyrzykowska, Morze)

POLECAMY:

- Kenneth White, wiersze, przekład: K. Brakoniecki
- Maria Jentys Borełowska, Mistrz i jego wyrzycielka, esej
- Joanna Wyrzykowska, nowe wiersze
- Michaił Bułhakow, Wystąpienie w Teatrze W. Meyerholda 7 lutego 1927 roku
- Elżbieta Juszczak, Winni niewinni, REPORTAŻE
- Eugeniusz Kurzawa, Poezje Andrzeja K. Waśkiewicza w całość zebrane
- Czesław Moniuszko, 1812 (podała K. Korczak)
- José Ángel Valente, wiersze w tłum. Magdy Brykczyńskiej
- Roman Warszawski, Błysk nad Hiroszimą, FELIETON
- Dariusz Pawlicki, O...klamkach, ESEJ

Krystyna Lars

Mały wiersz o cudzie

Nad wodą
siedzimy
czekając na cud
a cudem jest to
że siedzimy
nad wodą
czekając na cud
kiedy wstajemy
na naszych oczach woda
zawraca
do źródeł
unosząc nasze odbicia
które wcale nie znikają
z powierzchni
tylko świecą różowo
jak listki rzucone
z mostu
w ciemną toń

W numerze prezentujemy prace fotograficzne Wojśława Brydaka
Plakat poetycki: Kazimierz Brakoniecki
Plakat artystyczny: Wojśław Brydak
Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2026

Roman Warszewski

BŁYSK NAD HIROSZIMĄ

Trudno sobie wyobrazić lepszy moment pojawienia się książki **Johna Herseya** pt. „Hiroszima” niż chwila obecna. Świat, w rytmie kolejnych odchodzących roczników, popada bowiem w amnezję. Dla nowych, wschodzących generacji takie pojęcia jak wolność, demokracja, zimna wojna w najlepszym razie stają się hasłami wyjętymi z encyklopedii – oczywiście wirtualnej, nie tradycyjnej. To pojęcia często bez konkretnej treści, bez odpowiedniego kontekstu. Słowa wydmuszki – skorupki skrywające pustkę i brak zrozumienia.

Jednym z takich pojęć jest na pewno także **wojna atomowa**. Kto dziś pamięta czym tak naprawdę było zrzućenie dwóch bomb atomowych w sierpniu 1945 roku na Hiroszimę i Nagasaki w Japonii? (Celowo wymieniam kraj, bo obawiam się, że ten szczegół też mógł pójść w niepamięć...) Co oznaczało to dla ludzi, którzy na własnej skórze – często skrajnie poparzonej, schodzącej z poranionych ciał wielkimi płatami – doświadczali tego niewyobraźalnego okrucieństwa?

To ważne pytania. Tym ważniejsze, że – jak można odnieść wrażenie – **do ponownego użycia atomowych ładunków jest dziś bliżej niż dalej**. Putin, strasząc Zachód swą nieobliczalnością, co jakiś czas odgraża się Ukrainie, że w starciu z nią może użyć ładunków atomowych. Trump, atakując Iran, też podobno takiej możliwości nie wykluczał.

Stąd znaczenie książki Herseya – **waga małej książeczki** (bo liczącej ledwie 150 stron maszynopisu) **o wielkim nieszczęściu**, które dziś dla wielu stało się tylko pustym hasłem (a tak być na pewno nie powinno). To rewers opastego tomu „Oppenheimer” i opartego na nim słynnego, oscarowego filmu pod tym samym tytułem. Ukazuje ona w sposób jak najbardziej dosłowny i namacalny jak **szczytowe intelektualne dociekania absolutnej elity fizyków, matematyków i inżynierów doprowadziły do skrajnego bólu, rozpacz i cierpienia**.

Książka Herseya nie jest dziełem nowym. W Polsce ukazała się z dopiskiem „Najważniejszy reportaż XX wieku”. To książka, która powstała zaraz po wojnie, w roku 1946, a jej tekst najpierw pojawił się w prasie. Gdy 31 sierpnia 1946 roku do punktów sprzedaży prasy trafił nowy numer „New Yorker”, „nic nie zapowiadało, jak przetomowy tekst znajduje się w środku”. Tylko niewielka część nakładu miała białe opaski informujące o jego zawartości. Okładka ukazywała sielankową, wręcz bukoliczną scenę: w miejskim parku ludzie grali w tenisa, odpoczywali na plaży i jeździli na rowerze. (Ta sama grafika autorstwa Charlesa E. Martina znalazła się na okładce polskiego wydania książki.) Obraz przemawiał do wyobraźni czytelników – ukazywał znaną im miejską rzeczywistość, która w mgnieniu oka może zostać zmieciona z powierzchni ziemi siłą bomby atomowej. Po kilku wstępnych rozkładówkach z reklamami, na czytelników czekało sześćdziesiąt osiem stron gęsto wypełnionych wstrząsającym tekstem. Z numeru czasopisma usunięto wszystko – recenzje, wiersze i inne reportaże, by stworzyć jak najwięcej przestrzeni dla tekstu Herseya i by niczym nie odciągać od niego uwagi.

Hersey był już wtedy wielokrotnie sprawdzonym piórem. Urodził się w 1914 roku

Chinach w rodzinie amerykańskich protestanckich misjonarzy i do USA powrócił dopiero w wieku dziesięciu lat. Studiował na Uniwersytecie Yale, pracował jako sekretarz noblisty Sinclaira Lewisa oraz jako reporter magazynu „Time”, natomiast po wybuchu II wojny światowej został korespondentem wojennym w Europie i Azji. W 1944 roku otrzymał Nagrodę Pulitzera za swoją debiutancką powieść wojenną „A Bell for Adano”. Niedługo potem, gdy miał 33 lata, wysłano go do Japonii, by opisać to, co po zrzućeniu atomu pozostało z Hiroszimy.

Rezultat był porażający. Albert Einstein w liście z 6 września 1946 roku skierowanym do członków Emergency Committee of Atomic Scientists nieco łamaną angielszczyzną (co pobrzmiwa w jej tłumaczeniu) napisał: „Uważam, że pan Hersey nakreślił prawdziwy obraz zatrawiających skutków użycia niewyobraźalnej siły niszczącej bomby atomowej na współczesnym społeczeństwie. Obraz ten niesie przesłanki względem przyszłości całej ludzkości i powinien głęboko zaniepokoić wszystkich odpowiedzialnych – zarówno mężczyzn jak i kobiety.”

Z listem tym wiąże się jeszcze jedna ciekawostka. Einstein chciał dołączyć do niego pewną liczbę egzemplarzy „New Yorker” z reportażem Herseya. Zdobycie tytułu sztuki czasopisma nie było jednak łatwe, bowiem liczący prawie 300 tysięcy egzemplarzy nakład, rozszedł się zaledwie w kilka godzin. Jak czytamy we wstępie do książki, „fizyk wystąpił więc do siedziby tygodnika list z uprzejmą prośbą, aby odłożono mu ni mniej ni więcej tylko tysiąc numerów.” Redakcja nie była jednak w stanie spełnić jego prośby, bo nakład czasopisma był już w zasadzie wyczerpany i dostarczono mu zaledwie kilka cennych „New Yorkerów”, które uczone natychmiast rozszedł do osób żywo zainteresowanych tematem.

W czym tkwi siła tekstu Herseya?

Postanowił, że będzie pisał o ludzkich tragediach, a nie o zniszczonych budynkach. Inspiracją stała się słynna książka Thorntona Wildera „The Bridge of San Luis Rey”, w której przeczytał przejmujący opis katastrofy mostu na rzece Apurimac w Peru. Był on skonstruowany w taki sposób, że centralną rolę odegrała w nim perspektywa osób, które przeżyły kataklizm. Hersey po-

stanowił, że podobnego zabiegu dokona w reportażu z Hiroszimy.

Jak we wprowadzeniu do książki pisze Michał Chojiński, przeprowadzając w zde-wastowanej Hiroszimie ponad pięćdziesięciu wywiadów z osobami będącymi świadkami wybuchu bomby, autor „Hiroszimy” utwierdził się w przekonaniu, że to ich świadectwa muszą stanowić centralną oś jego opowieści. Hersey podkreślał potem, że z każdą rozmową rości w nim przerażenie, bo choć jako korespondent wojenny był wielokrotnie świadkiem wielu trudnych do wyobrażenia zniszczeń, to myśl, że duże miasto zostało zrównane z ziemią **w jednej chwili za pomocą pojedynczej bomby**, była zatrawiająca. Ostatecznie tekst książki został zbudowany wokół relacji szóstki osób, które doświadczyły wybuchu bomby – owego niespodziewanego porannego błysku nad Hiroszimą w dniu 6. sierpnia 1945 roku. W sposób opanowany, unikając emocji, Hersey opisał roztrzaskane na kawałki życia swoich rozmówców i nieuniknione skutki choroby popromiennej: wysoką gorączkę, niegojące się rany i krwawiące dziąsła. – Ten neutralny styl był celowy – wiele lat później wyjaśniał Hersey w rozmowie z historykiem Paul'em Boyerem. – Myślę, że użycie go było słuszną decyzją. Gdybym pisał w sposób egzaltowany, czy okazał emocje, umieściłbym siebie w tekście jako pośrednika. Chciałem tego uniknąć i sprawić, żeby doświadczenie czytelników było tak bezpośrednie, jak to tylko możliwe”.

Konsul Wielkiej Brytanii Humprey Cotton Minchin po lekturze publikacji Herseya w „New Yorkerze” napisał: „ten numer powinien być przeczytany przez wszystkich uczestników paryskiej konferencji pokojowej i każdego urzędnika Organizacji (...) Narodów Zjednoczonych”. Słowa te pozostają aktualne do dziś – a może raczej szczególnie dziś (o czym pisałem na samym początku). Choć oczywiście najlepiej by było, jakby „Hiroszimę” przeczytali nie tylko urzędnicy i dyplomaci, lecz po prostu... wszyscy!

Roman Warszewski

John Hersey, „Hiroszima. Najważniejszy reportaż XX wieku”, tłum Jerzy Łoziński, wstęp Michał Chojiński, Znak literanova, Kraków 2025

NAGRODZENI

Miło nam poinformować, że praca literacka redaktorów i autorów Migotań doceniona została przez instytucje kultury.

W ostatnich miesiącach 2026 roku Minister Kultury odznaczył brązowym medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” Zdzisława Drzewieckiego a srebrnym, Zbigniewa Joachimiaka.

Miasto Gdynia, nagrodiło swoim wyróżnieniem Romana Warszewskiego z okazji 40 lecia pracy pisarskiej.

Gratulacje!

Roman Warszewski, Błysk nad Hiroszimą, FELIETON.....	str.2
Maria Jentys – Borelowska, Mistrz i jego wyręczycielka.	
Kraszewski, Orzeszkowa, ESEJ.....	str.3
Kenneth White, wiersze, przekład: K. Brakoniecki.....	str.6
Maria J. Fraszewska, Kalejdoskop przeżyć...	
Życie i twórczość Anne Sexton, cz.3, ESEJ.....	str.8
Zbigniew Ikonka – Kresowaty, wiersze.....	str.12
Andrzej Katzenmark, Polityka historyczna, ESEJ.....	str.14
Joanna Wyrzykowska, wiersze.....	str.17
Czesław Karkowski, Kontrowersyjna nagroda. Spór wokół	
Canto pizańskich Ezry Pounda. ESEJ.....	str.18
Grigorij Winokur, Biografia jako problem naukowy,	
tłum. Bogustaw Żyłko.....	str.20
Sylvia Plath, wiersze w tłum. Andrzeja Szuby.....	str.21
Dariusz Pawlicki, O...klamkach, ESEJ.....	str.22
Lech Landecki, wiersze.....	str.23
BUŁHAKOWstr.24	
- Czesław Biberstajn, Czesław Kuśmierek, Bułhakowa	
poetycki z krytyką	
- Czesław Kuśmierek, Michał Bułhakow w Teatrze Artystycznym	
- Michał Bułhakow: Wystąpienie Michała Bułhakowa w Teatrze	
Wszystołoda Meyerholda 7 lutego 1927 roku	
Danuta Romana Słowik, wiersze.....	str.27
Roberto Bolaño, Ambers, cz.3, przekład Grzegorz Bazylak,	
PROZA.....	str.28
Grzegorz Borowiec, wiersze.....	str.31
Elżbieta Juszczyk, Winni niewinni, REPORTAŻE.....	str.32
Marek Wawrzkiwicz, wiersze.....	str.34
Roman Warszewski, Święto brzozy, PROZA.....	str.36
Ewa Nowostawska, ...starocie, PROZA.....	str.38
José Ángel Valente, wiersze w tłum.	
Magdy Brykczyńskiej + nota krytyczna.....	str.40
Krzysztof Gołębiowski, Po co to wszystko czuję?, ESEJ.....	str.43
Kołod, wiersze (alkoholiczne).....	str.44
Maria J. Fraszewska, Wywiad z copilotem.....	str.46
Ewa Niezgoda-Gierszewska, wiersze.....	str.48
Aleksandra Brzozowska, wiersze.....	str.49
Agnieszka Rykowska, Garść i kakao, PROZA.....	str.50
Mateusz Lech Bednarek, Gatązka bzu, PROZA.....	str.52
Laura Alster, wierszestr.54	
Maciek Froński, wiersze (rymowane).....	str.56
Jerzy Lengauer, „Trójka przyjaciół i obraz bez ram”, TEATR...str.58	
Mateusz Wabik, wiersze.....	str.59
OMÓWIENIA	
Eugeniusz Kurzawa, Poezje Andrzeja K. Waśkiewicza	
w całość zebrane.....	str.60
Andrzej Walter, Odpowiednie dać rzeczy słowo.	
Müldner - Nieckowski.....	str.62
RECENZJE.....str. 64-73	
Andrzej Dębowski, W punkcie styku ognia i błękitu.	
O „Wiralobranium”. Grzegorz Bazylak	
Mateusz Brucki, Płomień Fryckowskiego i płonności moje	
Stanisław Chyczyński, Kuszczynski zwarty i zebrany	
Stanisław Chyczyński, Ostracyzm księdza Henryka. Pastuszewski	
Zdzisław Drzewiecki, Między szepem a krzykiem. Ochwanowski	
Tomasz Pyzik, Historyczno-współczesna parabola. Sroczyńska-Pietz	
Jerzy Lengauer, „Niepokojący świat duchów”	
Zbigniew Masternak, Między geniuszem a obłądem. Kosmala	
Andrzej Walter, Judym i wiersze. Hładki	
Z PÓŁKI MATEUSZA WABIKAstr.74-76	
- Egzystencja w czarnej dziurze. Pastuszewski	
- O wojnie z perspektywy małej wsi. Wierzbicki	
- Po śladach wujka. Żebrowski	
- Wspominanie i gesty liturgiczne lalki Barbie. Babuchowski	
- Śmieci i polityka. Bednarek	
Patryk Nadolny, wiersze.....	str.77
SZTUKA	
Mikołaj Bogajewicz. Malarstwo KA KLAKI i Anny Nowaczyńskiej,	
ESEJ.....	str.78
Anna Czyrska, Początek.....	str.80
Małgorzata Osowiecka-Szczygieł, wiersze.....	str.81
Jan Stanisław Smalewski, Chłopięca ciekawość, PROZA.....	str.82
Zofia Maria Smalewska, Specjalna okazja, PROZA.....	str.83
Mirostów G. Majewski, Impresja z toża śmierci, nr.2, PROZA...str.84	
Cezary Sikorski, wiersze.....	str.85
Tomasz Łacny, Królewicz gryzie. PROZA.....	str.86
Strona redakcyjna.....	str.89
Czesław Moniuszko, Rok 1812. Dwieście czternaście lat	
później. Podał K. Korczak.....	str. 91

Maria Jentys-Borelowska

MISTRZ I JEGO WYRĘCZYCIELKA

Jest druga połowa XIX wieku, lata 1865–1875 i dalsze... W literaturze polskiej od czterdziestu prym wiedzy – urodzony w roku 1812 – Józef Ignacy Kraszewski, uczony i pisarz o arcybogactwie i arcyważnym dorobku, ceniony i czytany jak żaden inny. Nic dziwnego: jego powieści, opowiadania i dramaty, społeczne i obyczajowe, współczesne i historyczne, o arystokracji, szlachcie, mieszczańach, chłopach, Cyganach i Żydach, edukują i wychowują, krzepią i podnoszą, oświecają i umoralniają... A tego właśnie naród – poniżany, ograbiany z tożsamości, skazany na zatracenie – potrzebuje jak liny ratunkowej.

Niestety, uznanie, jakie zaskarbił sobie u czytelników, nie chroni go przed gniewem możnych. Za krytykę polityki margrabię Wielopolskiego zostaje w roku 1863 wydalony z Królestwa. Wyjeżdża więc do Dreżna i tam osiada – wbrew swym złudnym nadziejom – na resztę niebywale pracowitego życia. Umiera w roku 1887 na emigracji, z dala od żony i dzieci.

Skazanie tak godnego czci Polaka na banicję oburza Elżę Orzeszkową, początkującą pisarkę, która po apokaliptycznym wybuchu powstania, zbiera w pojeździe Milikowszczyźnie siły do podobnie ambitnego pisarskiego czynu. Wciąż pamięta, jakie wrażenie wywierały na niej jego powieści, czytane w latach panieńskich, zwłaszcza *Chata za wsią*, *Dwa światy*, *Dziwadła*, ale i inne, było ich przecież tak wiele... wprost nie do wiary, jak wiele... I wciąż powstają nowe.

Dodatkowo gniewają i zasmucają młodą kobietę – która marzy o tym, by w przyszłości być kimś takim jak on – nikczemne prasowe napaści na człowieka i tak ciężko poszkodowanego, a już żadną miarą nie może pogodzić się z krytyką jego najnowszego dzieła... Bo oto znowu jakiś pismak – w dodatku tchórz, skoro nie miał odwagi się podpisać! – zamieścił w warszawskim tygodniku „Rodzina” w lipcu 1865 roku niepoehlebny artykuł o kilku powieściach Kraszewskiego... Chyba oparł się na zasłyszanych opiniach, bez czytania, skoro stwierdził, że ostatnie jego prace nie umyją się do *Jaryny*, *Dwóch światów*, *Powieści bez tytułu*. Tego zignorować nie można! Trzeba coś zrobić. Ale co? Wdać się w polemikę z anonimowym krytykiem? To też... Ale najpierw trzeba napisać do Kraszewskiego... On pilnie potrzebuje solidarnościowego wsparcia.

Tak więc pod koniec lata lub wczesną jesienią roku 1865 roku z Grodna do Dreżna wędruje pierwszy list początkującej pisarki do nestora polskiej literatury. Odpowiedź z Dreżna musiała nadejść dość szybko, bo już 5 listopada tegoż roku Orzeszkowa pod mianem „Gabrieli Litwinki” pisze drugi list do autora *Dzie-*

cięcia Starego Miasta, list, który – przeciwnie niż pierwszy – zachował się i dostarcza nam informacji o treści owej odpowiedzi. Przede wszystkim jednak określa dość dokładnie, choć nie bez literackich idealizacji, stan umysłu Elzy Orzeszkowej w momencie jej dojrzewania do roli pisarki-obywatelki, a przy tym kobiety samotnej, własną pracą zarabiającej na życie – po utracie statusu mężatki, pani okazałego dworu, dziedziczki pięknego majątku ziemskiego na Grodzieńszczyźnie. Oto jak zaczyna się ów długi, starannie wystylizowany list:

W ciszy wiejskiego zakątka Litwy, otoczona zupełnym milczeniem, patrzyłam przez okno na płynące w górze chmury jesienne i słuchałam wiatru, który przelatywał pod niebem, niosąc szum puszczy naszych, gdy – jakby głos z dalekiego świata – doszedł do mnie list Pana. Z prawdziwym wzruszeniem odczytałam jego wyrazy. – Któż zacień myślący w kraju nie uznał i nie uczcił Pana za usługi? – I kogóż by nie wzruszył serdecznie mimowolny jęk drgający w Jego poważnym a smutnym słowie?

Długą chwilę namyślałam się, czy mam przestać Panu kilka słów z serca głębi. Obawiałam się narzucić korespondencję niezajmującą i mogącą tylko daremnie zająć czas Panu. Ale pobiegłam myślą w chwile przeszłości, gdy przy płomieniu kominka, w długie wieczory zimowe czytała „Dwa światy”, „Chatę za wsią”, „Dziwadła” itd., przypomniałam sobie, że jak miłym wrażeniem wywołanego zadowolenia i sympatii dla redaktora brałam niegdyś do ręki „Gazetę Polską”, potem spojżałam na smutny ustęp pisma Pana: „od blisko trzech lat więcej wyczerpałam siły niż całym moim życiem dawniejszym” i – nie oparłam się chęci przesłania Jemu listem gorącym wyrazów szacunku i podziatu bratniego ręki uściśnienia.

Pseudonym pokrywa moje nazwisko – nigdy zapewne osobiście znać Pana nie będę, ale wiele dałabym za to, aby moje ubogie słowo mogło przynieść Panu choć krucielną miłą chwilę.

Tutaj – ciemno i smutno, pustka zalega wokół, tchnienie śmierci nas owiało i – czujemy – tylko bolesne konwulsje konania. Wiele by można o tym pisać – ale... ale.. Czemu nie mam wyuczonyj ptaszyny wschodniej, która by swobodnym lotem podniebnym przyniosła Panu moją kartkę...¹

Dalej autorka listu informuje czcigodnego adresata o swojej sytuacji rodzinnej i majątkowej, dramatycznie odmienionej przez „wypadki krajowe i domowe”. Może zapytał ją o to, a może sama uznała, że w ten sposób zbliży się do niego i zyska w nim powiernika. Pisz więc, że jest młoda, nie

¹ Eliza Orzeszkowa: Listy zebrane. Tom VI. Do druku przygotował i komentarzami opatrzył Edmund Jankowski. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo Polskiej Akademii Nauk, Wrocław-Warszawa-Kraków 1967, s. 7.

ma ani rodziców, ani rodzeństwa – co nie do końca jest prawdą, bo żyje jeszcze jej matka – że wielu przyjaciół spoczywa w mogiłach lub przebywa „w dalekich stronach wygnania”, a niektóre „ciężące” jej związki – nie wyjawia, że chodzi o związek małżeński z Piotrem Orzeszką – żerwała sama. Na koniec wyznaje: „Byłam majątna; wśród społecznych przewrotów runął majątek, został mi tylko jeden cichy kątek litewski”. Jeszcze nie wie, biedna, że niebawem i ten „cichy kątek”, czyli cudowna poojcowska Milkowszczyzna, przejdzie w rosyjskie ręce, a ona zostanie na stałe mieszkanką szpetnego, brudnego i hataśliwego Grodna.

Po tych rzeczowych, lecz dość ogólnikowych informacjach „Gabriela Litwinka” – bo takim mianem się na razie zastania – otwiera przed swym korespondentem duszę. Samotna, zdana na własne siły w budowaniu swojego nowego życia, życia twórczego, pożytecznego, całkiem innego niż to jej nieszcześnie niby-życie z Piotrem Orzeszką w Ludwinowie, pilnie potrzebuje autorytetu i doradcy w sprawach pisarskich... Bo właśnie podjęła decyzję, że będzie pisarką! Będzie służyć swojemu krajowi piórem! Jak on, wielki Józef Ignacy Kraszewski, nauczyciel i wychowawca narodu! Już pracuje nad pogłębieniem swego umysłu, poszerzeniem wiedzy... Oto dalszy ciąg jej listu-spowiedzi:

Próbuję pisać, często myśli cisną się pod pióro niepowstrzymanym potokiem, w głowie roją się obrazy, rodzą i kształtują postacie – a w piersi tak jakoś dziwnie i dobrze, i smutno razem, że poza źródłem tych myśli i poczuć świat otaczający znika, kona. [...]

Czym jest ta struna drgająca w mojej istocie? Czy fałszywym tonem źle utworzonego instrumentu, czy może... może pierwszym akordem jakiejś pieśni potężnej?... Trudno wydać sąd o sobie, boję się rościć

śmiałe nadzieje – ale boję się też i wątpić. – Zdaje się, że gdybym zwątpiła – nieć jakaś nieokreślona, ale żywotna, boleśnie by mi pękła w piersi. – Tymczasem znikąd rady, wsparcia, zachęty. Z własnej samotnej pracy – i z sił własnego serca trzeba snuć moc, odwagę i wytrwałość².

Kiedy w wieku lat siedemnastu po raz pierwszy – jak pisze dalej – „owiała ją” miłość wiedzy, nie mogła jej się oddać. Presja środowiska wymagała od niej bycia „ozdobą” towarzystwa, niczym więcej, a ona nie potrafiła się temu przeciwstawić. Cierpiąca więc w milczeniu.

W ośmnastym roku – wyznaje – zapytałam siebie stanowczo: jak mam żyć? Czy mam myśleć, czy bawić się jak dziecko i pełzać jak robak?... W tym samym czasie czytałam „Hamleta” i jak Szekspirowski bohater pytałam siebie: być czy nie być?... W salonach gwar huczał [...] a w głębi serca mojego zrodziła się stanowcza, nieodwołalna odpowiedź. Myśleć, uczyć się – pracować będę – coraz dalej – coraz wyżej, na szczyty wiedzy, ku źródłom światła, choćby serce bolało, choćby ludzie kamieniami potępienia rzucali – dalej, dalej, dalej. – Z myślą tą żyję i teraz³.

Jak wiadomo, myśli tej nie porzuciła nigdy – nie sprzeniewierzyła się swojej pierwszej, młodzieńczej miłości. Wyłożoną pracą osiągnięta szczyty, choć serce bolało, bolało, bolało śmiertelnie ... Co adresat tych słów jej odpowiedział – jeżeli odpowiedział – nie wiemy, bo odpowiedzi nie

ma. Z kilkunastu listów Elizy Orzeszkowej do Józefa Ignacego Kraszewskiego, opublikowanych w jej Listach zebranych, drugi jest aż o siedem lat późniejszy – nosi datę 27 lutego 1872 roku – i naturalnie nie ma w nim odwołania do poprzedniego. Nim jednak przyjrzymy mu się, wróćmy jeszcze na chwilę do zakończenia pierwszego listu, bo bardzo jest wymowne.

List miał być krótki; – dlaczego to wszystko napisałam Panu?... Szczegóły – od nieznajomej nie obchodzą. Ale w imię węża łączącego wszystkich miłujących światło, w imię świętego braterstwa łączącego dusze ludzi – nie mogę, choć nieznana, nazwać się – Pana młodszą, pokorną siostrą, nie mogę przez przestrzeń wyciągnąć dłoni z uściskiem współczucia i po uścisk współczucia do brata mędrszego stokroć – ale zawsze – brata?... [...]

Żegnaj Pana słowem serdecznego życzenia lepszej, jaśniejszej dali – i upewnieniem, że na naszej zalanej łzami, spustoszonej Litwie są jednak ludzie, którzy z czcią i współczuciem serdecznym wspominają Jego imię. [...]⁴

W liście z 27 lutego 1872 roku Eliza Orzeszkowa (już nie zastaniając się pseudonimem) dziękuje Kraszewskiemu za „łaskawie przysłany mi portret Czcigodnego Pana” i oddaje mu hołd należny wieszczowi. Pisze m.in.:

Tak jak całe pokolenie, do którego wiekiem należę, z książek pisanych przez Pana uczyłam się czytać, czuć i otwartym okiem patrzeć na społeczność rodzimą. Droga, którą Pan przebyłeś, którą dziś jeszcze postępujesz tak stale i niezmordowanie, acz ciemną jest i nieledwie męczącą, obudzić musi w każdym dobrym sercu i w każdym pojętym umyśle cześć, przynależną dwom najwyższym, połączonej ze sobą zasługom – pisarza i obywatela⁵.

Choć nie zachował się list zawierający prośbę Orzeszkowej o „portret Czcigodnego Pana”, można założyć, że dotarł on do adresata wraz z egzemplarzem którejś z jej licznych powieści, które od końca lat sześćdziesiątych XIX wieku zaczęły zasypywać rynek księgarski, zbierając pochwały od czytelników i szyderstwa od krytyków... Może więc do Drezna powędrował Pamiętnik Wacławy, może Cnotliwi, W klatce, Na prowincji ... Bo raczej nie Pan Graba – pierwszy utwór grodzieńskiej pisarki, który krytycy (Henryk Sienkiewicz, Piotr Chmielowski) przyjęli z uznaniem. Pana Graby Kraszewski zapewne nie zbyłby samym tylko portretem, bez jednego słowa...

Listem III z cyklu artykułów Znad Niemna, opublikowanym w warszawskiej „Niwie” w lutym 1875 roku, Orzeszkowa publicznie manifestuje swoje wysokie uznanie dla obywatelskich zasług Kraszewskiego, wskazując na niebagatelną rolę, jaką jego popularne powieści, zwłaszcza Chata za wsią, Ulana, Dwa światy, Latarnia czarnoksiężka, Dziwadło, Wieczory wołyńskie, odegrały w procesie dojrzwania litewskiej szlachty do reformy uwłaszczeniowej. Oto kilka fragmentów z owego listu Znad Niemna:

[...] Nie ubliżymy bynajmniej i nie ujmujemy nic z należytego szacunku innym pisarzom ówczesnym, jeśli twierdzić będziemy, że nikt tyle, ile twórca „Chaty za wsią” i „Ulany”, nie przyczynił się w chwili owej do przebudzenia w społeczeństwie uśpionego zmysłu moralnego, do oswojenia go z my-

ślą, iż sprawiedliwości zadość stać się musi i powinno, do zwrócenia umysłów w mniej samolubne, mniej ciasne kierunki. Kraszewski właściwie utworzył powieść polską, która przed nim istniała w zawiązkowym zaledwie stanie nudnego gawędziarstwa lub płaczących sentymentalizmów, on też utrzymuje ją na wysokości społecznych szerokich dążeń, a samemu w niej pięknu artystycznemu nadając piętno czystości i powagi, nie tylko uczynił ją niezmiernie wpływową, ale sprawił, że wpływ przez nią wywierany był zbawiennym. Jako myśliciel i obywatel kraju uderzał on głośno w wielki dzwon obwołując chwale i pożytki sprawiedliwości, wolności, równości, miłosierdzia; jako artysta i psycholog stawiał przed oczy rozmiłowanych w sobie portrety ich z przerażającą malowane wiernością, szkła czarnoksiężskie, w których przesuwaty się obrazy wywołujące lęk, wstyd, litość, grozę. [...] Śmiało i bez cienia przesady rzec można, iż zadanie, które wśród społeczeństwa pełniły podówczas prace Kraszewskiego, było takim, jakie pełnić dozwolonym bywa tylko wybrancom i przewodnikom dziejów. Jeżeli dla rozwoju piśmiennictwa naszego pisarz ten wielkie położył zasługi, stokroć większymi są te, które zdobył on na polu rozwijania pojęć, uszlachetnienia uczuć społecznych, wzmagania i do wyższego poziomu podnoszenia społecznego ruchu. [...]⁶

List Orzeszkowej do Kraszewskiego z 24 (12) września 1876 roku to gorąca prośba redaktorki nowo tworzonej (z inicjatywy warszawskiego wydawcy Jana Noskowskiego) serii powieści społecznych o utwór, który by serię tę otwierał, nadając jej należyłą rangę. Adresat prośby jest tu nazwany „ogniskiem słonecznym”, „źródłem wiecznie żywym”, „wiecznym, cudownie urodzajnym latem”, a w końcu – Ojcem i Mistrzem... Odpowiedzi Kraszewskiego na tę suplikę nie znamy, ale z następnego listu Orzeszkowej do Mistra wynika, że odniósł się do niej bez entuzjazmu.

List z listopada 1876 to z kolei rozbudowana pochwała – albo krótka pochwalna recenzja – dwóch powieści historycznych Mistra: Starej baśni i Luboni, które Orzeszkowa czytała w gronie kuracjuszy zakładu przyrodoleczniczego w Nowym Mieście nad Pilicą. Zachwyciły wszystkich „czystą i wzniosłą poetycznością, która przenika każdą niemal stronę Starej baśni, i ciepłym a wyrazistością kolorytu znajdujących się tam obrazów” – informuje autora. I stwierdza: „W powieści tej malowanie jest tak przepyszne, że – poważam się tu wyrazić zdanie moje i nasze – przewyższa o wiele doskonałością swą rzeźbę postaci”. I tak dalej, i tak dalej. Na koniec zaś: „Ogólny podziw nasz wzbudziła olbrzymia wiedza Pana o rzeczach tak odległej starożytności. [...]”⁷.

Jak więc po tych wszystkich czotobitnościach i peanach rozumieć list Elizy Orzeszkowej do przyjaciela Leopolda Mèyeta z 24 maja 1878 roku? List desperacki, dotyczący powieści obyczajowych Kraszewskiego z drugiej dekady jego pracy twórczej (czyli lat 1840-1849)? Taki oto:

W dniach bieżących jestem bardzo nieszczęśliwą [...] istotą. Nieszczęście moje posiada źródło w nieszczęśliwym piśmiennictwie o kilku nieszczęśliwych powieściach Kraszewskiego dla milion razy nieszczęśliwej książki jubileuszowej. Co to będzie za książka! [...]

⁶ Eliza Orzeszkowa: Publicystka społeczna. Tom III. Opracowanie Grażyna Borkowska. Opracowanie edytorskie Iwona Wiśniewska. PIW, Warszawa 2020 s. 66-67.

⁷ E. Orzeszkowa: Listy zebrane, op. cit., s. 12-13.

² Tamże, s. 8.

³ Tamże, s. 8-9.

⁴ Tamże, s. 9.

⁵ Jw.

Niedorzeczności podobnej nie widzieli jeszcze narody ziemi. A jaki w niej będzie mój artykuł! Artykułu takiego nie składali jeszcze zecerowie Warszawy! Nudy, nudy i nudy, i pustka, i próżnia – zupełnie jak na stepie ukraińskim. Pierwszy raz w życiu doświadczam, co to jest pisać na zamówienie, z musu, i biorą mnie wszystkie smutki, wszystkie nudy i wszystkie rozpacz! Ale bo też i powieści, które na dolę mą przypały... Jako o Ryczywole milczeć o nich wolę – a jednak pisać muszę i chwalić! [...]

Dlaczego jednak o powieściach Jeża pisałam z własnej i nieprzymuszonej woli, z zapalem i rozkoszą? Kwestia to pokrewieństw moralnych, za sprawą których do pisarza jednego serce nam bije, a do drugiego usta otwierają się, aby ziewać, ziewać, ziewać! Powieści Kraszewskiego sprawiają na mnie wpływ usypiający i ogłupiający. Ależ bo gaduła, a płacziwy, a pobożny! ...⁸

Powieści, których omówienie przypadło w udziale Orzeszkowej, należały istotnie do najlichszych w ogromnym dorobku Kraszewskiego: *Całe życie biedna*, *Milion posagu*, *Ostrożnie z ogniem*, *Pod włoskim niebem*, *Pamiętniki nieznanego*, *Sfinks*, *Pan i szewc*, *Powieść składana*. Jednak laudatorka wybrnęła z kłopotliwej sytuacji honorowo: przyznając Kraszewskiemu należyty mu ponad wszelką wątpliwość tytuł twórcy nowożytnej powieści polskiej, z właściwym sobie taktem wykazała wady wymienionych utworów.

List z 3 maja 1879 roku, wyjątkowo krótki, jednoakapitowy, to gorące podziękowanie pisarki za recenzję *Meira Ezołowicza*. Recenzja ta ukazała się w „Biesiadzie Literackiej” z 25 kwietnia 1879 roku, w rubryce *Listy z zakątka*, a brzmiała następująco:

Nie wiemy zaprawdę, co tu wyżej cenić: czy myśl, która służyła autorce za wątek, i opracowanie jej troskliwe, przejęcie się nią głębokim, czy nadzwyczaj udatną formę i artystyczną całość tej poetycznej kreacji. [...] Prawda we wszystkich odcieniach, w najmniej znaczących figurach podrzędnych nadaje obrazowi taką cenę, jaką mają półtętna Matejki, których każda twarz z natury jest wzięta. [...] Jako dzieło sztuki i jako twór myśli jest to rzecz wysokiej wartości⁹.

Nie sposób i dziś nie zgodzić się z tą opinią. *Meir Ezołowicz* to arcydzieło. I może najważniejsza i najświetniejsza powieść Elizy Orzeszkowej.

W listopadzie 1879 roku Kraszewski otrzymuje od swej grodzieńskiej korespondentki pismo, które zawiera informację o zorganizowanym przez nią i jej współników wileńskim przedsiębiorstwie księgarsko-wydawniczym oraz obszerną charakterystykę założeń ideowych przyświecających tej inicjatywie. Choć z trudem dochodzą do siebie po hucznych obchodach jubileuszowych, jakimi uhonorowano go w Krakowie, choć – jak pisze – jest wciąż „pijany nimi, ostabiony, zgnieciony na miazgę”¹⁰, jubilat już 11 listopada wysyła do Orzeszkowej bardzo obszerny list, w którym dzieli się z nią przemyśleniami na temat stanu umysłowego w kraju naszym. Pełen uznania dla jej gotowości pracy na rzecz „rozwieszczenia opinii publicznej i strzeżenia jej od wpływających w nią zewsząd niebezpiecznych prądów”¹¹, wymawia się jednak od współpracy. Nie wierzy w powodzenie przedsięwzięcia, przede wszystkim jednak ma co innego do zrobienia.

⁸ Iwona Wiśniewska: *Kalendarium życia i twórczości Elizy Orzeszkowej*. Tom I: 1841–1896. Fundacja Akademia Humanistyczna, Instytut Badań Literackich Wydawnictwo, Warszawa 2014 s.

⁹ E. Orzeszkowa: *Listy zebrane*, op. cit., s. 293–294.

¹⁰ E. Orzeszkowa: *Listy zebrane*, op. cit., s. 295.

¹¹ Jw. s. 14.

Co do mnie – pisze – póki jestem tak niedołężny jak dziś, nic obiecywać nie mogę, lecz jeśli się pokrzepię, odżyję, z największą chęcią jakąś kwestię społeczną, np. postępu i konserwatyzmu, będę się starał po myśli mej sformułować.

Lękając się o poczętą serię moich powieści historycznych, abym jej nie odumarał, nim dojdzie do jaśniejszych czasów, cały teraz siedzę w studiach do niej. Ten tylko, kto pracował nad powieścią tego rodzaju, wie, ile to potrzeba mięsa na odrobine bulionu¹².

Jak można się było spodziewać, mistrz zawiódł oczekiwania Orzeszkowej i nie przystał żadnego tekstu, za to ofiarował swoją nowo napisaną powieść właścicielce księgarni nakładowej w Mińsku, co pisarka odnotowała z goryczą w liście do Teodora Tomasza Jeża, z 5 (17) października 1880:

Kraszewski, który prośbom moim po dwakroć i stanowczo odmówił, napisał powieść dla pani Sawickiej, właścicielki księgarni w Mińsku. [...] Nie wyrządził mi więc Kraszewski żadnej krzywdy dla p. Sawickiej pisząc, a dla mnie nie chcąc pisać, ale tylko wyraźnie przez to zamanifestował swoją względem mnie niechęć, na którą czy zastużyłam, wątpliwość¹³.

Czy rzeczywiście można mówić o niechęci Kraszewskiego do młodszej koleżanki po piórze, skoro przez cały czas wspiera ją zarówno recenzjami jej własnych prac literackich, jak i artykułami dotyczącymi działalności wileńskiej księgarni? Wiele jest tych dowodów przychylności sędziwego Mistrza dla dzielnie postępującej naprzód ... wyścizielki. Bo za taką ją już ma, niebawem otwarcie nazwie ją tym mianem. Na razie śledzi pilnie jej poczynania i na nie reaguje. W „Biesiadzie Literackiej” z 27 lutego 1880 przedstawiła studium *Orzeszkowej Patriotyzm i kosmopolityzm* jako trzeźwą i pięknie napisaną diagnozę realnej choroby społecznej, jaką są bałamutne prądy kosmopolityczne. W „Kłosach” z 20 stycznia 1881 roku zwraca uwagę na nowość wydawnicze księgarni wileńskiej, takie jak *Pokociło się i Dam nogę Elizy Orzeszkowej*, *Z przeszłości*. *Fragmenty dramatyczne Marii Konopnickiej*, *Włóścianie u nas i gdzie indziej* Walerego Przyborskiego... A gdy księgarnia staje się obiektem wielostronnych, zjadanych ataków prasy konserwatywnej i klerykalnej, sędziwy pisarz przychodzi w sukurs jej właścicielce mądrym i mocnym listem, pisany w dalekim Hyères, kurorcie francuskim, gdzie przebywa dla poratowania bardzo już kruchego zdrowia. List jest z lutego 1881 i brzmi tak:

[...] Mówmy otwarcie, ale mówmy to dla nas tylko. Mamy do czynienia z krajem, który skutkiem okoliczności – zewnętrznych wpływów, położenia swego – zbyt silnie musiał przyrosnąć do przeszłości i jej tradycji. Tradycje te są dlań orężem do walki z nieprzyjaciół bytu jego, ale one zarazem tamują mu drogę postępu, rozwoju dalszego i przyszłości. [...] Pani podjęłaś się czynnej roli w tym postępie naprzód i jej wydawnictwa, jeżeli dobrze rozumiem, innego celu nie mają.

Festina lente – idź Pani stopniowo, powoli a wytrwale, tak, jak idziesz, a osiągniesz swój cel. Zrażać się nie godzi. Masz Pani jasne pojęcie celu, masz wielki, niezaprzeczony, uznany talent – dźwignię potężną, miej tylko chłodną cierpliwość.

Pół wieku strawiłam ja na tę pracę, której Bóg jeden tylko zna ofiary i zawady, i gorycze... Mogę więc tak dostojnej towarzysze, wyścizielce [podkre-

ślenie MJB] powiedzieć o tym. Przebojem z naszą naturą słowiańską czy polską – nic się nie robi, ale tagodnie, cierpliwie, powoli i z miłością w sercu – wszystko... Piszę to, abym Pani dodał odwagi i natchnął dobrą otuchą.

Jam już u końca tej drogi... dalej idźcie. Jeżeli naród nie zrozumie, że iść trzeba, aby dojść, a uprze się cofać lub siedzieć – umrze. [...] ¹⁴

Dwa lata później, 14 czerwca 1883 roku, Józef Ignacy Kraszewski, pod zarzutem zdrady stanu, zostaje aresztowany w hotelu Kaiserhof w Berlinie, gdzie zatrzymał się w drodze powrotnej z francuskiego kurortu do Drezna. W maju 1884 roku w Lipsku przed najwyższym trybunałem państwa niemieckiego toczy się proces przeciw liczącemu 72 lata sławnemu na całym świecie pisarzowi polskiemu oskarżonemu o zdradę niemieckich tajemnic wojkowych na rzecz Francji. Mimo braku oczywistych dowodów winy proces kończył się wyrokiem skazującym na 3,5 roku więzienia. Sterany trudami życia, ciężką pracą i chorobami pisarz spędza w twierdzy magdeburskiej ponad dwa lata i dopiero w październiku 1885 roku zostaje za kaucją zwolniony na urlop zdrowotny. Część rodaków nie może mu wybaczyć, że – ukorzył się przed prześladowcą i poprosił kanclerza Bismarcka o utaskawienie. Niestety, pośród tych nieprzejednanych jest i jego niedawna admiratorka i ... wyręczytelka. Oto reakcja Orzeszkowej na niegodny – jej zdaniem – postępek Mistrza:

Jakże to straszny dramat odegrał się w Lipsku! „Bożyszczce narodu” zaparto się czynów swych i cesarza niemieckiego o utaskawienie prosiło... Biada nam! Czemuż nie była tam, przed obliczem Europy, pierś skrojona na miarę Fidasza? Utopistką może jestem, ale w położeniu takim za nic w świecie nie powiedziałabym ani: Nie!, ani: Proszę! Co Pan o tym myśli?¹⁵

Józef Ignacy Kraszewski umiera 19 marca 1887 roku w Genewie.

W maju 1888 roku Eliza Orzeszkowa czyta nowo wydana książkę Piotra Chmielowskiego *Józef Ignacy Kraszewski. Zarys historycznoliteracki* i – zachwycona nią – pisze do Leopolda Méyeta: „Wyborny krytyk, ale postać Kraszewskiego na tym szerokim i ze wszech stron oświetlonym obrazie dziwnie maleje”¹⁶. Zamyśla się...

Postać pisarza, którego dekadę temu nazwała Ojcem i Mistrzem, w jej oczach zmalała już dawno.... Wtedy, kiedy z musu pisała studium o jego najmniejszych utworach do książki jubileuszowej, i potem, gdy czytała *Szaloną*... Teraz już wie, że ta skandalizująca powieść była ostrzeżeniem przed źle rozumianą emancypacją kobiet i przed zbyt radykalnym postępowaniem, ale wtedy, przy lekturze, czuła tylko oburzenie, zgorznienie, odrzucenie...

W roku 1899 sięga po dzieło Mistrza – jednak Mistrza! – *Litwa. Starożytne dzieje, ustawy, język, wiara, obyczaje, pieśni, przysłowia, podania itd.* Potrzebuje inspiracji do opisu puszczony w swoim nowym utworze, w *Ad astra*... Wie, że tam ją znajdzie.

W roku 1900 sporządza listę lektur dla słuchacza swojego „uniwersytetu grodzieńskiego”. Umieszcza na niej prawie wszystkie powieści historyczne Kraszewskiego oraz *Morituri*, *Ressurrecturi* oraz *Stach z Konar*...

MARIA JENTYS-BORELOWSKA
WARSZAWA 9 LUTEGO 2026 R.

¹⁴ Jw. s. 303.

¹⁵ E. Orzeszkowa: *Listy zebrane*, t. III, s. 64, list do Jana Karłowicza z 8 (20) maja 1884 r.

¹⁶ *Kalendarium*, op. cit., t. I, s. 821.

Kenneth White

Ośmiu ekscentryków

W Chinach w epoce Tao

Przekład: Kazimierz Brakoniecki

1.

Mówią że żywię się wiatrem
i piję rosę
to prawda – ale czasami

przecież zdarza się
że bywam w wiejskiej karczynie
piję ryżowe wino
jem rybę
podawaną przez ładną kelnerkę
a potem
po obejrzeniu sobie bywalców
po wysłuchaniu miejscowych plotek
(zawsze te same bzdury)
wracam na swoje wzgórze

to kierunek którym podążają białe chmury.

2.

To ja który mieszam wszystko
i zachowuję się inaczej

kiedy wyruszam do miasta
zakładam but na jedną stopę
drugą pozostawiam bosą
niech ludzie się śmieją
niech sobie gadają

u siebie w górach
leżę nago w śniegu
i czytam „Jesienne deszcze”

kiedy burzy się coś we mnie
wsiadam na białego żurawia
i niebiosa sobie zwiedzam

Teraz mnie lepiej pojmujecie?

3.

Dawniej lubiłem
długo wędrować po krainie
dumając o Drodze...

Pewnego razu natknąłem się
na dwóch łachmaniarzy:
- Czym się kolego tu zajmujesz?
- Uprawiam Drogę
- Drogę a gdzie ona jest?
Pokazałem im niebo
- A jak wraca się z nieba?
Pokazałem im serce
Roześmieli się:
- Dobra idziesz z nami.

4.

Ziemia na własność?
dziesięć tysięcy hektarów białej chmury
Kultura i sztuka?
wiatr w sosnowym lesie

Możesz usiąść na poduszce i medytować
aż się twoja twarz zmieni
nigdy nie poznasz prawdziwej drogi rzeczy
kiedy ludzie pytają mnie co to jest Droga
po prostu pokazuję słońce albo księżyc.

5.

Mówią że mam białego muła
który może wędrować dziennie setki kilometrów
ale to są jedynie plotki

istotnie miałem szarego muła
lecz on już dawno temu
trafił do swojego raję
najczęściej wędruję na piechotę
i to mi pasuje

Tak naprawdę ludzie nie przepadają za życiem w górach
wołą bezpieczeństwo i nudę
umieszczają swoje tyłki przy piecach
i wymyślają historie
które są nie z tego świata.

6.

Miałem wyruszyć do stolicy
aby zdawać na urzędnika
ale przyśnił mi się sen:

znakomicie zdałem
dostałem poważne stanowisko
miałem żonę syna i córkę
ale żona zdradziła mnie z kochankiem
wybuchła wojna
syn został zabity a córka uprowadzona
więc schroniłem się w górach
pozbawiony wszystkiego

Jak się obudziłem
natychmiast zdecydowałem
że moje miejsce jest wysoko w lasach

i tak się stało
to moje podrzędne życie
pasuje mi całkowicie
słucham wiatrów nie ważniaków.

7.

Kiedy byłem młody poradzono mi
żebym wybrał poważne studia
Odparłem że to mnie nie interesuje
nie będę zajmował się nudnymi rzeczami
i zaraz napisałem taki wiersz:

„Znajdę siedzibę w leśnych ostępach
jakaś grotę niedaleko wodospadu
śpiewać będę o Zielonym Jadeicie
grając melodię na siedmiostrunnej lutni
poletko założę magicznych muchomorów
białemu krukowi dam jeden do zjedzenia”

I tak tu przeżyłem
te pięćdziesiąt lat
a teraz leżę pod jasnym jesiennym niebem
i uśmiecham się do siebie.

8.

Nigdy nie chciałem być szefem
ani w knajpie ani na urzędzie
Chciałem po prostu zostać takim o którym
w dawnych księgach pisano że jest zwykłym luzakiem

Nie spotyka się często takich jak ja
ani dzisiaj tu ani jutro tam
wędruję sobie tak jak moje serce chce

Moim domem jest jaskinia w górach
daleko stąd na zachodnich wyspach
nie myśl że jestem smutny bo sam
piję białe wino a moja dusza frunie
wraz z mewami wytyczając szlak.

Kenneth White (1936-2023) – szkocki myśliciel, poeta, eseista, wykładowca, mieszkał we Francji. Twórca i płodny pomysłodawca geopoetyki, nomadyzmu intelektualnego, chaotycyzmu. Za całokształt twórczości otrzymał Prix du rayonnement de l'Académie Française (1985), Prix Caillois (1988), Prix Médicis (1983). Ostatnio w języku polskim poezje White'a ukazały się w tłumaczeniu Kazimierza Brakonieckiego w szczecińskiej Formie.

ŁĄCZĄCYCH ŻYCIE I ŚMIERĆ W JEDNĄ SYZYFOWĄ KULĘ

KALEJDOSKOP PRZEŻYĆ AŻ DO KOŃCA

ŻYCIE I TWÓRCZOŚĆ ANNE SEXTON (CZĘŚĆ TRZECIA)

*
Kto jeśli nie kobieta

Anne Sexton, kobieta i poetka, pozostaje dla mnie zagadką, a jednocześnie punktem wyjścia do rozległych tematycznych rozważań. Rozciągną mnie one zapewne w poetyckiej przestrzeni, lecz supetki pozostaną: wzruszone, ale nienaruszone w swej świeżej wymowie kobiecej wrażliwości i wyobraźni. Anne Sexton jest postacią centralną jak Słońce, a jej poezje – bogactwem światła, które zasila Ziemię. Można się do niej przytulić, ogrzać lub sparzyć, ale pod żadnym pozorem nie wolno jej zmieniać.

Esej drugiego tomu: „Czarna sztuka” z drugiego tomu: „All Pretty Ones” wydanego w 1962r. Tytuł można przetłumaczyć jako: „Wszystkie moje piękne istoty” – „Wszyscy moi ukochani”. W wierszach zawartych w tym tomiku, Anne odniosła się do wszystkich, których straciła, a których kochała. Przede wszystkim do rodziców, ale wplotła również siebie. Uznano ten tomik za wizjonerski. Odnalazłam oryginalną recenzję książki, która ukazała się w „El Paso Herald-Post”, 20 października 1962 roku, a zawiera istotny cytat myśli Roberta Shawa, angielskiego pisarza i aktora.

„To właśnie w tym tomie znajduje się wiersz „Black Art” – tekst o pisaniu jako akcie ryzykownym, medycznym, podsztytnym prorocstwem i kobiecą nadwrażliwością.

„Dzieło sztuki może być objawieniem. Wyższa świadomość wielkiego artysty objawia się nie tylko jego zdolnością do porządkowania doświadczenia, ale także posiadania doświadczenia” – zauważył kiedyś Robert Shaw.

Książka „All My Pretty Ones” Anne Sexton daje wruszające zapewnienie, że te ludzkie zdolności są tak samo ważne jak zawsze. (...)”

Czarna sztuka

Kobieta, która pisze, czuje za dużo,

te transy i przepowiednie!

Jakby cykle, dzieci i wyspy

nie były wystarczające; jakby żalobnicy, plotki i warzywa nigdy nie były wystarczające.

Myśli, że może ostrzec gwiazdy.

Pisarka jest zasadniczo szpiegiem.

Moi Kochani, jestem tą dziewczyną.

O niektórych „wielkich”, znaczących poetkach, poetach, artystach, pisarzach, twórcach, nie mówi się zbyt często. Nadaje im się ogólną nazwę: „awangarda” lub „nowatorzy”. Albo mówi się, że stoją już tak wysoko, że po co o nich pisać, mają już ugruntowaną pozycję. To ci, co przekraczają granice i wyprzedzają czas bieżący. Poszukają na własną rękę, przedzierają się

przez dostarczane powierzchowne oczywistości, układy, poglądy, miary, aby pokazać ich podstępność, wielość czy niejednorodność, zwyczajny fałsz czy manipulację. Wyprzedzają epokę, którą pakuje się w takie same, tożsame, w miarę jednolite pudła. Kartony, których celem jest pogrupowanie, aby wzmocnić wymowę całości. Ale też owo pogrupowanie staje się więzieniem dla posegregowanych i skupionych wobec siebie twórców. Czasem pojawiają się tacy, którzy odnajdują inności, indywidualności i odświeżają zamknięte przestrzenie. Nowy ożywczy promień wyptywa z czasów, z których pochodzi ten, który miał przyjść. A więc jest i potwierdza teraźniejszością tamte odkrycia. A odkrycie traktuje jako słowo, którego sensem jest zdarzenie powierzchni. W kartonach słowa przesypują się jak piasek, czasem stając się piachem rzucałym na wieko trumny cementarnej pamięci. Oryginalność nie zawsze przebija się przez komercję, która wciąga brakiem namysłu czy brakiem artysty, pobieżnością w transie powielania nijakości. Jakby inność, indywidualność bawiła się w ciuciubabkę. A ci, których zadaniem jest poszukiwanie ukrytych, zamiast szukać zgodnie z umową, to idą sobie do własnych domów. Jakby mówili: chcesz się chować – to bądź schowany, bo ja nie mam czasu na wgłębianie się i dłuższe poszukiwanie. Anne Sexton w amerykańskiej kulturze zaistniała niemalże natychmiast, jednak w Polsce wciąż żyje w ukryciu niedoceniają jej dorobku, przełamania myślowego i emocjonalnego tabu. Jej twórczość fascynuje, ale też dla wielu jest niezrozumiała czy zbyt odważna w przekazywanych poglądach. Recenzenci zazwyczaj wskazują na jej poszukiwania Boga. Według mnie Anne poszukuje ratunku dla siebie poprzez myśli i obyczaje środowiskowe. Bo: skoro wszyscy chodzą do Kościoła i twierdzą, że wierzą, wówczas człowiek jako jednostka, zaczyna zastanawiać się, czy z nim jest coś nie tak? Bo on nie odczuwa tzw. wiary. Religijność jako zwyczaj określonego komercyjnego zachowania buduje więzi międzygrupowe. Ona, Anne, pozostaje na zewnątrz, więc usiłuje poznać, przybliżyć się, wejść, ochronić. Szuka wybawienia od myśli o samobójstwie, a być może pragnie zbliżyć się do nieba, po to, aby ośwoić lęk związany z decyzją o odejściu w zaświaty. Wiersz ukazuje jej egzystencjalny wysiłek w drodze pokonywania życiowych i psychicznych trudów.

Wiosłując

Opowieść! Opowieść!

(Niech przyjdzie. Niech odejdzie.)

Wytłoczono mnie na ten świat
jak zderzak Plymoutha.

(...)

Potem było życie

i jego okrutne domy,

i ludzie, którzy rzadko wyciągali rękę -
choć dotyk jest wszystkim -

lecz ja rosłam,

jak prosiak w prochowcu, rosłam,

a później było dużo dziwacznych objawień -

dokuczliwy deszcz, słońce obrócone w jad

i wszystkie te rzeczy, piły tnące moje serce,

lecz ja rosłam, rosłam,

i był tam Bóg, jak wyspa, ku której

nigdy nie wiosłowałam.

Ciągle Go nieświadome, moje ręce

i nogi pracowały dobrze (...)

choćbyś dulki wiosła oporne i zardzewiałe,

a morze krąży i mruga

jak znużone oko,

ja wiosłuję, wiosłuję, (...)

i wiem, że ta wyspa nie będzie doskonała (...)

Lecz tam będą drzwi

i ja je otworzę

i pozbędę się szczura, który we mnie tkwi,

szczura zarazy, co się we mnie wgrzyza.

Bóg weźmie go w swoje ręce

i przytuli.

Jak mówią Afrykanie:

Opowiedziałam wam moją historię,

czy jest wam miła, czy niemiła,

nieście ją dalej, a co nieco

niechaj do mnie wróci.

Na końcu tej historii ja wiosłuję dalej.²

Nowy środek wyrazu, środek, który jest punktem wyjścia do nawijania dialogu wspólnotowego przebija się również na powierzchni. Język w tym właśnie celu powstał. Tym środkiem, punktem wyjścia do porozumienia, jest wyartykułowane słowo. Gdyby nie istniał ten drugi, ten do którego się mówi, odbiorca, to nie powstałaby komunikacja, a zapewne i język. Język pojawił się jako potrzeba nawiązania kontaktu i zrozumienia.

Każdy pisze „po swojemu” tak jak żyje lub każdy pisze dostosowując się do dostarczonych form społeczno-kulturowych. Czyżbym popełniła logiczny błąd? A jeśli nie? Jeśli napisane, wytworzone „po swojemu”, bo społeczeństwo składa się z jednostek, to przecież relacyjnie wchodzi w zależności, więzi, interakcje, które kształtują jego osobowość, ale też strukturę społeczną. Nie ma więc sprzeczności między pisaniem „po swojemu”, a poddaniem się społeczno-kulturowym ramom. Jednostka jest samotna tylko pozornie. W rzeczywistości powstaje w relacji: w spojrzeniach, w rozmowach, w spotkaniach, w napięciach, emocjach, które splatają ją z innymi. Społeczeństwo jest tkanką organiczną, tkaniną, w którą

¹ www.literaryladiesguide.com/book-reviews/all-my-pretty-ones-by-anne-sexton-1962/?utm_source=copilot.com

² A. Sexton, Kochając zabójcę: Wiosłując, Zyski i S-ka, 1994

jesteśmy wszyscy. Nasze serca biją w jej rytmie. Nasze umysły piją tę samą wodę.

Bo jak mówi nauka socjologii, grupa społeczna nie jest prostą sumą jednostek. Każdy człowiek zawiera w sobie i sobą: osobowość, wartości, emocje, pragnienia, przeżycia, doświadczenia, myśli, idee, zasady, działania, własny indywidualny świat. Grupa ludzi powiększając liczebność dochodzi do rozmiarów społeczeństwa np. narodu, państwa, globu. Badania z zakresu psychologii społecznej czy komunikacji społecznej potwierdzają, iż już w grupach liczących dziesięć osób zaczynają się podziały. A co możemy powiedzieć o grupach tak licznych jak całe społeczeństwo danego państwa? Tendencje więc wypływają jak pojedyncze sznurowadła i czekają na kogoś, kto je zwiąże przy butach, tak aby moc dalej iść swobodnie. Opozycja wobec wzorców nie rodzi się z samego sprzeciwu, ta niezgoda jest wynikiem, który powstaje wobec wyartykułowania wewnętrznej autentyczności przeżyć, a nie tych, do których wszyscy mają się dostosować czyli pójść na łatwiznę i pogłaskanie po karku. Można też wszystko przerzucić na tzw: chorobę psychiczną, obsesję, rozdraganie emocjonalne, depresję, alkoholizm. Ale z jakiego powodu poniższy wiersz został opublikowany w tomiku poetki artystki? Wiersz *Gods* pojawił się w ostatnim tomiku poezji *The Death Notebooks*. Religie okazują się „jedynie pocztówkowymi wyobrażeniami”, wyobrażeniami pochodzącymi od człowieka. Poszukiwania kończą się powrotem do własnego ciała.³ Wiersz jest humorystyczną wypowiedzią, pisaną z freudowską ironią, ukierunkowany na purytański świat chrześcijaństwa ignorujący potrzeby seksualne człowieka.

Bogowie

Pani Sexton wybrała się szukać bogów.

Zaczęła od szukania w niebie -
oczekując wielkiego białego
anioła z błękitnym kroczem.

Nikogo.

Potem zajrzała do wszystkich
naukowych ksiąg
a druk opłuł ją z powrotem.

Nikogo.

Odbyła pielgrzymkę do wielkiego poety

A on beknął jej prosto w twarz.

Nikogo.

³ L. Aleksandrowicz-Pędich, *Między Freudem a Bogiem. Życie i twórczość Anne Sexton*, Katedra SWPS, 2020, s.273

Modliła się we wszystkich
kościółkach na świecie
i nauczyła się wiele o kulturze
Nikogo.

Pojechała nad Atlantyk, nad
Pacyfik, bo przecież Bóg...

Nikogo.

Udała się do Buddy, Brahmy, do Piramid
i znalazła ogromne pocztówki.

Nikogo.

Potem wróciła do swojego domu
a bogowie świata byli zamknięci w toalecie.

W końcu! Zawołała,

i zamknęła drzwi na klucz⁴

Połączyć rzeczy nie do połączenia?

Sexton powiedziała kiedyś w wywiadzie, że jej poezja „powinna być szokiem dla zmyśłowców. To powinno prawie boleć”.⁵

Pocałunek

Moje usta kwitną jak otwarta rana.

Byłam w błędzie przez cały rok; nudne
noce, (...)

Aż do wczoraj moje ciało było
bezużyteczne. (...)

Kiedyś było

łodzia, całą z drewna,

bez własnych spraw (...)

teraz struny, bębny nieuleczalnie

dźwięczą. To twoje dzieło.

Dzieło geniuszu. A kompozytor,

kochanie, właśnie wkroczył w ogień.⁶

*

Poradnik zabijania bólu

ból się zabija jak rybę:

uderzeniem w kark uczucia

wywała wtedy oczy krwawi

⁴ A. Sexton, w: *The Complete Poems*, dz.cyt., s.349, za: L.Aleksandrowicz-Pędich, *Między Freudem a Bogiem. Życie i twórczość Anne Sexton*, Katedra SWPS, 2020, s.272; metasorting.com/en/poets/sexton/gods1?utm_source=copilot.com

⁵ itthumb.com/the-poet-and-the-monk-an-anne-sexton-love-story/ Autor: Nick Ripatrzone

⁶ Anne Sexton, fragm wiersza: *Pocałunek*, *Kochając zabójcę*, Zysk i S-ka, 1994

z uszu ale na ustach
pojawią się tak delikatna
szminka śmierci że powierzchnie
biorą ją za życie
przy cygańskim tańcu ognia
z kastanietów wysuszonych serc
przy podwinętej spódnicy pożogi
(...)⁷

Dwie indywidualności, dwoje artystów słowa i wyobraźni. Anne Sexton i Tymoteusz Karpowicz nigdy się nie spotkali w rzeczywistości, choć taka możliwość zaistniałaby, gdyby została umożliwiona. Oboje w czasie twórczym, a dokładnie w 1973-74 roku ubiegłego wieku, przebywali na terenie Ameryki. Anne Sexton wykładała w salach uniwersyteckich. Natomiast Tymoteusz Karpowicz przyjechał na stypendium naukowe. Z mojego punktu spostrzegania wnętrza świata wyobraźni – oni są złączeni słowem i jego boleścią. Samotnością i raną. Rozbiorem na części elementarne emocji - w przypadku Anne, i języka intelektu artystycznego - w przypadku Tymoteusza. Język jako ciało i jego możliwości, w obojgu, w jednym i drugim poecie-poecie-artystyście, rządzi eksperyment, język, który dociera, język, który przekracza, język, który tworzy doznania, poprzez dotyk ciała bez wstydu i poprzez dotyk litery bez opamiętania. Tworzą nową egzystencję dostrzegalną dla wybrańców, poza istnienia pragnienia, pamięć tabu, a przecież tabu jako forma materialna nie istnieje. Tak jak nie istnieje doznanie, a przecież łamie człowieka w swej wrażliwości.

Obie te twórcze osobowości wywarły na mnie ogromny wpływ w momencie spotkania z ich poezją jako czytelniczki. I zastanawiałam się z jakiego powodu o nich jest mniej, niż więcej o innych? A nie tylko ja przecież uważam, że ich dokonania twórcze nie tylko wyprzedzały epokę wtedy, ale również teraz ją wyprzedzają.

Czego więc nie rozumieją ludzie żyjący współcześnie, co powoduje, że uznali z jakichś względów, że poezja tego typu jest...? za bardzo czy też: ponad?

Anne Sexton w moim wyobrażeniu była skrzydłem, które szukato swojego tułowia, aby móc stać się ptakiem, wolnym, swobodnym, lecącym w przestrzenie, znającym swoje miejsce, gniazdo, do którego można zawsze wrócić. Nazywano ją poetką wyznania.

⁷ Tymoteusz Karpowicz, fragment wiersza: *Poradnik zabijania bólu*, *Słoje zdrzewne*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999r



Tymoteusz Karpowicz to skrzydło przesywające ciszę języka, modlitwą skrzydła, aby wyrosło drzewo, na którym mogłoby powić w pęknięciu słowa pozostałą część ciała. Nazywano go architektem języka.

Oboje krzyczą poprzez swoje naturalne instrumenty. Ich słowa są wyrazem. Drgają brzmiąc. Semantyka daje władzę rozpoznania. W poezji jest niezbędna. Czy słowo może być raną? Oboje nie mieszczą się w strukturach. Oboje. Obój to instrument muzyczny, który brzmi bardzo melancholijnie. I często daje w orkiestrze ton do strojenia. Czy to tylko skojarzenie wypływające ze słowa?

Pić szczerłość z nurtu poezji

„To wstyd mówić tak otwarcie”? Tego rodzaju słowa może usłyszeć współcześnie każdy człowiek, w swoim otoczeniu, gdy temat przeżyć zostanie poruszony.

Dlaczego? To pytanie rzucam do społeczeństwa, do ludzi, niech podniosą kamień. Czy prowokuję do rżenia? Raczej do zapoznania się z jego wagą.

Choć zapewne podejmując temat emocjonalnego tabu, zostaną rozszarpana przez Erynie, albo sama stanę się Erynią. Nigdy nie wiadomo. Od zawsze słyszymy, że należy liczyć na samych siebie. Trzy zielone okna wychodzą na cztery strony świata? Którego okna brakuje i dlaczego?

Trzy zielone okna (fragm.)⁸

Na wół wyrwana z drzemki
niedzielnej
widzę trzy okna zielone,
każde w innym oświetleniu:
północne, południowe,
wschodnie.

(...)

Obracam się niby jakiś olbrzym
wokół osi,
potajemnie obserwując, potajemnie
poznając,
potajemnie nazywając każde
piękno morza.

(...)

Wiem tylko, to co wiem.
Jestem dzieckiem jak ongiś,
przeżywając znów moje dawne
życie.

Młoda jestem i na wół uśpiona.
Jest czas wody, czas drzewa.

⁸ Anne Sexton, Trzy zielone okna [w]: Wśród amerykańskich poetów, Ossolineum, 1979r

Jezioro Ostrzyckie



Anne wyraża psychiczną potrzebę harmonii ze światem, powrotu do naturalnego rytmu istnienia. Negocjuje, chce żyć, pragnie nie wiedzieć tego co wie, a co utrudnia jej pozbycie się bólu i cierpienia. Nie chce posiadać doświadczeń, które ją strumatyżowały i niszczą jej psychikę. Pragnie powrócić do niewinności wieku dziecięcego i pierwotnego. Jakby pragnęła zacząć żyć na nowo w innych okolicznościach. Anne nie chce dźwigać ciężaru cierpienia, jednak nie widzi sposobu pozbycia się go, jak tylko cofnięcia się w czasie.

Erynie kształtujące sumienie nie pozwalają na fałszowanie rzeczywistości. Tak można potraktować boginie zemsty, które nie dopuszczając do powstania tego, co zemstę może sprowadzić, wrzeszczą ze złości. Dziwi mnie, że do współczesności przeszedł mitologiczny obrazek wyglądu Eryniei, zamiast jej treści czyli wyrażenia emocji – złości wobec doznanej krzywdy. Wówczas straszono wyglądem rozwścieczonej staruchy, która nawiedzi tego, kto zachował się niezgodnie z prawem, ładem i zasadami moralnymi. A teraz chodzimy na skróty nawet w poglądach własnych nie zdając sobie sprawy jak bardzo jako ludzie jesteśmy manipulowani przez układy ekonomiczno-polityczno-religijne. Teraz naruszenie porządku świata nie powoduje takiej zawieruchy jak wypowiedzenie otwarcie tego co się czuje. Czy Erica Jong omyliła się? Czy Anne Sexton będąc szczerą wobec siebie – winna milczeć, bo pozostanie... „winną” za otwartość i nieposłuszeństwo wobec zmurszałych praw społecznych?

Eryteja, Eris, w języku łaciny: Erygia, w mitologii to jedna z Hesperyd, cór wieczoru, nimf Zachodzącego Słońca, które mieszkają na zachodnich krańcach świata. Strzegły złotych jabłek w ogrodzie Hery. Pisał o nich Hezjod. Strażniczki dojrzenia i przejścia. Siła nieuchronności powiązana w kolorem czerwieni. Jabłko o złotych jabłkach w mitologii jest symbolem. Aby udowodnić swoją siłę i moc Hera wymyśliła zestaw 12 prac, tak trudnych, aby Herakles (Herkules) im nie poddał. Jego jedenastą pracą miało być zdobycie złotych jabłek. Po długiej wędrówce Herkules odnalazł ogród na zachodzie czyli na granicy dnia i nocy. Prometeusz udzielił Herkulesowi rady, aby sam nie siedł po jabłku, tylko wykorzystał kogoś innego. Zrobił to Atlas, który po powrocie nie chciał mu tych jabłek oddać. Herkules na czas zdobywania jabłek przez Atlasa przejął jego ciężar utrzymania na swoich barkach sklepienia niebieskiego. Atlas nie chciał złotych jabłek zamienić z powrotem na swoją dolę - dźwigania

ciężaru nieba. Herkules więc zdobył złote jabłko od Atlasa podstępem.

Trudność tego zadania polegała na tym, że należało zamienić walkę we współpracę. Siłę zamienić na wiedzę, spryt i świadomość granicy, rozpoznania gdzie kończy się przymoc a zaczyna wolność. Czego miał się nauczyć mocarz Herkules? Że to inteligencja przewyższa siłę. Herkules zaczyna zdawać sobie sprawę, że nie wszystko można unieść samemu, i że każdy ciężar, który się unosi dopasowany jest do tego, który ten ciężar dźwiga.

Anne Sexton wyprzedziła swoje czasy odwagą, którą mają kobiety. Z reguły kobiety nie zatrzymują emocji wewnątrz siebie, one emocjami się dzielą. Odwaga polega na mówieniu prawdy o przeżyciach wewnętrznych. Tych, których nie widać ani na zewnątrz ani wewnątrz, jednak przecież istnieją i stanowią grunt dla podstaw człowieczeństwa. Jeśli ktoś czegoś nie odczuwa, to nie znaczy, że to coś nie istnieje. Jakość odczuwania jest sprawą indywidualną i jak mówi współczesna nauka, na emocjach opierają się wszelkie aspekty poznawcze. To one motywują do wysiłku, do pracy nad sobą, do pokonywania trudności, do kształtowania siebie poprzez interpretację otoczenia środowiskowego. Emocje są złożonymi konstrukcjami umysłu, które powstają jako reakcje na bodźce i procesy poznawcze. A wśród nich znajdują się osobiste potrzeby i wartości. Stąd też biorą się indywidualne różnice w reagowaniu i przeżywaniu emocji.

Notatka samobójczyni

Mogłabym przyznać,
że jestem tylko tchórzem
krzyczącym ja, ja, ja,
i nie wspominać o drobnych
ćmach i komarach,
którym przypadło
przyssać się do żarówki.
Ale z pewnością wiesz, że
każdy ma jakąś śmierć,
własną śmierć,
co na niego czeka.
Więc ja odejdę teraz
bez starości czy chorób,
burzliwie, lecz dokładnie,
znając swoją najlepszą trasę,
na grzbiecie tego pluszowego
osiołka, który niósł mnie
przez te wszystkie lata, nigdy
nie pytając „Dokąd?”
A zmierzaliśmy (gdybym to tylko wiedziała)
właśnie tu.⁹

Twórczość Anne Sexton to nie tylko poezja, to również osobista podróż przez stany emocjonalne, którą autorka dzieli się z czytelnikami. Jej wiersze są podszyte autobiograficznym zwierzeniem, wypełnione szczerością i intensywnością, co sprawia, że są niezwykle poruszające. Mimo że zmarła w 1974 roku, jej dzieła wciąż inspirują kolejne pokolenia poetów i czytelników.

Sexton napisała swoją ostatnią książkę w dwa i pół tygodnia w styczniu 1973 roku. Dwa z tych dni spędziła w szpitalu psychiatrycznym, gdzie rozmawiała z księdzem. Powiedziała mu, że nie jest pewna,

⁹ Anne Sexton, Notatka Samobójczyni, fragm. w: Kochając zabójcę, Zysk i S-ka, 1994r



czy wierzy w Boga. „Nie mogę chodzić do kościoła” - powiedziała. - Nie mogę się modlić”. Chciała przyjąć komunię, ale wiedziała, że nie może. Obawiała się formalnego nawrócenia: „To zrujnowałoby, sformułowałoby moje myślenie: w każdym razie chciałabym, żeby On był moim Bogiem. Nie chcę, aby mnie o Nim uczono: Chcę go rozgryźć”.

Rozmowa z Bogiem - dla

Eleanor Boyan

Bóg ma brązowy głos,
tak miękki I pełny jak piwo.
Eleanor, która jest piękniejsza niż moja matka,
stoi w swojej kuchni rozmawiając
a ja wdycham papierosy jak truciznę.
Ona stoi w cytrynowej letniej sukience
dając znaki Bogu mokrymi rękami
błyszczącymi od zmywania talerzy po jajkach.
Mówi do niego! Mówi jak pijak
który nie potrzebuje widzieć by rozmawiać.
Jest to rozmowa zwyczajna, acz przyjazna.
Bóg jest tak blisko jak sufit.

Chociaż nikt tego nie wie,
sądzę, że on nie ma twarzy.
Miał twarz, gdy ja miałam sześć i pół roku.
Teraz jest ogromny, zakrywa niebo
jak wielka odpoczywająca meduza.

Kiedy miałam osiem lat, myślałam, że umarli
są tam w górze jak sterowce.

Teraz moje krzesło jest twarde
jak strach na wróble

a na dworze letnie muchy śpiewają chórem.

Eleanoro, zanim on odejdzie, powiedz mu....

Och Eleanoro, Eleanoro,
powiedz mu zanim śmierć cię zniszczy.

Eleanora była sąsiadką Anne i osobą wierzącą. Anne często ją odwiedzała przyglądając się jej życiu, które nie odbiegało od typowej kreacji amerykańskiej gospodyni domu. Przyglądała się jej i zazdrościła tej życiowej normy wynikającej z podporządkowania się nadawanemu przez ówczesne media wizerunkowi kobiety jako postaci służącej i komercyjnie myślącej. Anne szukała spokoju i ukojenia cierpiącej duszy i ciała. Przebywając w domu Eleonory kołatała się na chwilę. Pragnęła poczuć ulgę choćby na maleńką chwilę. Prowadziła z nią, jako osobą religijną, rozmowy, aby zrozumieć Boga. Jednak jej wyobraźnia prowadziła ją do własnych wniosków. Matkę Boską widziała w roli kobiety i zastanawiała się jak wyglądał jej poród. Boga, Jezusa i Matkę Boską oblekała w ciało i potrzeby ludzkie.

Ziemia

Bóg włóczy się po niebie
bez kształtu
ale chciałby zapalić cygaro
lub obgryzać paznokcie

(...)

Nie zazdrości duszy.

Cały jest duszą

ale chciałby umieścić ją w ciele

zejść na dół

i wykąpać się

od czasu do czasu¹⁰

Nowatorstwo Anne Sexton polega w dużej mierze na odwadze udostępnienia poezji autobiografii przeżyć emocjonalnych kobiety, istoty ludzkiej, człowieka. Swoistość indywidualizmu zbudowanego czy też wciąż budowanej osobowości wobec czynników zewnętrznych. Ich wpływ na powstawanie emocji, przeżyć, myśli, wartości, ujawniania potrzeb, możliwości lub niemożliwość ich spełnienia w sobie, do bliskich i do świata. To ciągły kotowrotek, który tka i tka i obawia się, że skończy przeplatać nitki w swą tkaninę na czas właściwy. Że sploty zapisane utworzą strukturę wątku na tyle elastyczną, że przetrwają w swej kolorystyce każde pętelki i narzuć czasoprzestrzeni poznawczo-współczulnej. Nowatorstwo więc jest jednocześnie tym, co nie mogło być innym przekazem poetyckim. Duchowość i sposób przeżywania, są nierozdzielnie związane z konkretnym ciałem.

Jedną z funkcji socjologii jest ujawnianie ukrytych mechanizmów w strukturze i relacjach społecznych. Pomaga dostrzegać problemy, które często umykają uwadze powszechnych narracji. Oczywiście „widzę” po swojemu i nie ukrywam tego pisząc. I co mnie zadziwia, rozmaicie moje słowa są odczytywane, a niekiedy, w moim pojęciu, nierozumiane. I wtedy myślę sobie o tych pudłach i kartonach. O pudłach, metaforze nietrafności. I kartonach, które choć mają ściany, to niezbyt trwałe.

Poezja Anny Sexton jest jak ciało: z bliźniami, z drżeniem, z temperaturą. Każda ingerencja byłaby naruszeniem integralności, która stanowi o jej sile. Poezje Anne trzeba czytać z szacunkiem, ale i z odwagą; z dystansem, ale i z gotowością na bliskość. To napięcie jest częścią jej fenomenu. Może właśnie dlatego pozostaje dla mnie zagadką: nie dlatego, że jest nieprzenikniona, lecz dlatego, że jest zbyt ludzka. A ludzkie światło, tak jak słoneczne, nigdy nie jest jednolite.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA



Zbigniew Ikona Kresowaty

Jak Simonides z Keos przez Plutarchę

ten Nieznany Plac w dalekiej Hiszpanii
 dał kiedyś mi poczucie wieczności – łuki
 jeszcze ruchome po arabach syte kafelki
 w słońcu rogaci ludzie jak na arenie
 – Plac Pomiędzy aktami turystów i jeden
 bez kurtyny głos lamentacji pośród chmar gołębi
 jak pamiętam wtedy cały świat łączył się
 nad placem ze szczerą ruchomą płachtą
 czerwonego nieba – – – – –

stałem na rogu ogromnego byka
 miasta? – Marzyłem o bezimienności
 bez odwagi w ogromnym oknie słońca dnia
 o tobie Któraś urodziła się w mej głowie
 dawno czekałem cały sobą jakby w Cheronei
 w beczasie na ciebie nieznaną daleką
 jak na fontannę - Ten Plac dał mi wtedy
 czucie przedwieczności – woda była zmęczona
 psy na fontannie pilnowały śpiewającego
 trubadura czasem wyły do rzeźb
 z utraconymi nosami i palcami u rąk
 TY pewnie gdzieś wciąż jesteś choć nie ma
 ciebie a już jesteś tą przepiękną chwilą
 będziesz gdy będziesz z sadza w oczach
 póki co przymróżonaś po - wieki

Przy pisaniu ikony pamiętam

ostatnią ikonę – pisałem dwa dni
 tłumaczyłem na nasze kolory
 piłem wino dudniły ciężkie oddechy
 z rozchylonych ust Muzy uchodziły
 chustę kartkę wierszy na pamiętkę
 węź

– A przecież odeszła nagle z domu
 w zapomnienie jakby nieznana?
 z krzywą twarzą bólu
 każdy poeta modli się wierszami

Jeszcze jeden obraz

będzie zawsze za mały
 choćbyś pomieścił w nim swoje
 życia i byty i kolejne zafarbował na nowo
 będzie zawsze za ciasny choćbyś z pamięci
 wyprowadził go z ram i podpisał światłem
 będzie zawsze poprzedni choćbyś zapisał
 zmienił mu treść i fabułę i zamalował pstro
 zawsze będzie mniejszy nawet gdybyś
 oznaczył go znakami zapytania i wykrzyk-
 nikami
 rozplatał linie kolorem splecione
 w warkocze choćbyś go zabrał z ócz
 pod po – wieki w pod łzę schował
 po istnieniu które cię prowadziło ścieżkę
 ramki jak ikonę i zamknął na kosmiczne
 lata
 choćbyś go rozwinął obraz zawsze będzie
 niepełny choć teleportowany w inny wymiar
 umysłu OBRAZ zawsze będzie uciekał
 w oczy zawsze za mały choćbyś pomieścił
 w nim swój los wynaturzony z wyobraźnią
 Obraz będzie zawsze za mały – nie maluj
 obrazu
 którego nie widzisz nie oprawiaj w zachwyty

Jonasz

porwało mnie morze
 zza zasłony żeber resztek łodzi
 śpiew syren wydobywał się falą
 a w dali zatoką biegł biały koń
 Perseusz nie pokonawszy tej chwili
 topił się z piskiem w falach u mew
 stado białych sępów nadlatywało
 krążyło nade mną nad moją muszlą
 i jeden sztylet uderzył
 we mnie jak widomość

byłem tylko foremką muszlą
 kryjówką zimną czaszką - byłem
 wracałem i sam szukałem muszli
 w poranku w skrzeku dnia

Ignąłem po fali do ucha z piasku
 do szat białej skały zapomnianych
 o nagich rozwartych ud Wenus
 w zgiełku bezludnej zatoki łodzi
 stare powiązane pętami z dna
 - podawały mi oddech

zrozumienie języka

i nie wiedzieć czemu
uratowałem figurkę kupioną
kiedyś na bazarze w Meksyku

w dali krajobraz?
utopiony w ogniu same drabiny
płomień dostaje się już do serc
– czerwona noc jak Tarapeteska
tyle światła i nieproszonego dymu
a ja z figurką boska w rękach
przytuloną do piersi Jezuskiem
spoglądam w żar języków
w głębokie gardło ognia

Nagle zatrzeszczał słup snu
przetarłem oczy trzymając
tę kruchą jedyną pamięć matki
przy sobie zimną jak nagłość

Wokół biegające świecące postaci
jak w byłym karnawale solidarności
słupy belki pożaru czy anioły?

- Widzę teraz już zawsze
Na białym trawniku obok mnie Ewa
sąsiad Adam ratuje poparzoną Lillit
właśnie powiła strachem jego dziecko
Coś szepcesz mi do ucha TERAZ
to moja muza umorusana Pazyfae?
– Jakieś światło znów pytanie płacz?

Jerycho

Nie zdążyłem ocalić Jeruzalem
stać mnie było tylko na pamiętki
wciąż nie do zdobycia te mury miasta
świątynia tyle razy burzona i mury stawiane
siedem otwartych Bram w które wciąż
tysiące lat dęli trąbici w różne ustniki
odjechali jedni a inni krzyżowali języki
zapomnieli tamci przestrogi sędziwych
ze znakami krzyży jeźdźcy najeżdżali po złoto
wszyscy wiedzieli gdzie jest Arka Przymierza
ale nikt jej nie znalazł nawet święci
dlatego jej nie ma do dziś – dekalog został
w blasku morza Martwego rozkołysany
rubinami....

Jaskółka

zawsze w niskim locie
a później wiadomość
jakby z piekieł czarna
czasem skrzecząca

jaskółka uwolniona
ze zdźbłem tytanu w oczach
ze zdźbłem błota w dziobie
niesie dzienną wiadomość na
dom w oborze spraw

czasem spada
w serce łąki
brzuchem białym – czarny
szytylet z nagą rękojęścią
i wydobędzie się tej łąki krzyk

A później jest deszcz i
biel podniebna i NIE
ma jaskółki byłaby żeby
czarna jak była a czas
zostaje i gniazdo u sufitu
szczebioty żółtodziobów
nie spóźnione wiośnie

Woda

woda nosi pamięć
połóż się spać z wodą
tyś ciężki otoczek jej pamięć
obejmie twą obłość
poniesie ja w zatokę być może
uwięzi w piasku kłującym
to tamtędy brzegiem biegł biały koń
Perseusz już pokonał Meduzę
woda nosi do dziś Jego pamięć
młody jesteś zawsze w starej pamięci

w wodzie leży nóż
nie podnoś go – to lustro wiruje
pod kamieniem bezkształtnym
leży złoty talar a perła pokazuje gdzieś
woda nosi zmywa i topi muzykę
fruwającej ryby sen Johna Lenona
woda zbiera pamięć w zawiniątko
spójrz jesteś z Myken
wpada z cieśniny pragnieniem

póki co w wodzie jesteś młody
krążysz w starych kolumnach czasu
łowisz nad lustrem a woda przestuchuje
twarze wielkich i maluczkich zbrodniarzy
woda w Guanta Namo ujawniła
niemożliwe - nie można się uwolnić
jej pamięcią to cierpienie ciągłe
namnaża się czasem wie z kim przybrać

POLITYKA HISTORYCZNA

Amicus Plato, sed magis amica veritas.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem ten tytułowy termin, wzięłem go za jakiś fatalny oksymoron. Kto o zdrowych zmysłach wprowadza na forum publiczne taki dziwoląg językowy, który bez żadnej koniecznej konotacji pobrzmiwa jak bezczelna kpina z Tukidydesa i jego naukowej progenitury. Już w samej nazwie zawierają się makiaweliczne możliwości stosowania. Jaki rząd pozwoli sobie pod tak oficjalnie brzmiącym szyldem na odkrycie przytępcy fałszu i obłądę? Gołym okiem widzimy, a uchem słyszemy tę antypoznawczą zbitkę językową. To hipokryzja podawana z uśmiechem na talerzu przez rodzimych polityków.

Bycie-w-świecie to według Heideggera pewien fenomen istnienia w świecie, taka jego wszechwładna moc, której nie umknie żadne jestestwo, żeby stwierdzić chętnie: jestem poza tym, co mnie otacza. We współzależności zatem znalazły się istnienie, świat i byt (jestestwo). Czasowość, cecha niezbywalna istnienia, stała się orędowniczką mierzenia się ze światem jedyne go bytu, którego normą jest zatroskanie, jak nazywa filozof podstawę istnienia w czasie, a zatem przepisanej człowiekowi dziejowości. Dla świata czas byłby wartością zbędną. To, co wydarzyło się miliard lat temu, i tak zmierzałoby (przemawiam językiem czasu, bo inaczej człowiek nie potrafi) ku kolejnym wybuchom i przekształceniom. Czy pracowitym mrówkom, a nawet tej jednej najpracowitszej, przemijanie coś mówi, podszeptuje jakieś rozwiązania na jutro, na pojutrze. Jedyne pory roku lub pogoda mogą zahamować ich zabieganie. Ponadto określenia: „pracowite”, „najpracowitsza”, „zabieganie” czy owe podważane podszepty i cała ich wymowa – wzięte zostały z życia i języka ludzi. Taki kod życia otrzymały mrówki i nic tego nie zmieni. Pszczoła, truteń i królowa też niczego w swoim życiu nie zmieniają. Taka jest ich natura. I człowiek, choćby umieszczał żaby, świerszcze, bicia-

ny w najpiękniejszych bajkach, to i tak owi bracia mniejsi, jak konfidencjonalnie mówi się o zwierzętach, pozostaną wiernie pracom swojego gatunku.

Kiedy rodzi się dziecko, nie staje się natychmiast polskim patriotą. Nabywa tych cech tożsamościowych z czasem, poprzez zanurzenie w wodach tradycji i historii, poprzez codzienne uczestnictwo w życiu rodaków i ceremoniach narodowych, religijnych poprzez pobieranie nauki w ojczystym języku itd. Chodzi mi o to, że nie natura powołuje człowieka do bycia religijnym czy patriotą, ale tylko wychowanie. Co prawda drzemie w człowieku, jak powiada Eliade, i homo religiosus i politicus, ale budzi do życia te aktywności umysłowe dopiero wychowanie. Tym bardziej nie wypytywa z ludzkiej natury polityka historyczna.

To czas jestestwa, jakim jest człowiek, doprowadził do stworzenia tak zdawałoby się naturalnych pojęć jak przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Spod ich władania nie sposób się wyzwolić ani Hiobowym cierpieniem, ani homeryckim śmiechem, ani wyrzuceniem poetów z Platońskiego państwa, ani lotami w kosmos. To właśnie te fakty, byte i niebyte, stanowią o sensie czasu. I mił, i historia, i cały zasób ludzkich przeżyć i działań wyznaczają kierunek czasu. Nawet nauka nie potrafi uniknąć czasu, zwłaszcza od kiedy jabłko spadło na głowę Newtona. Wówczas tempus uzyskało moc scjentyficzną i zaczęło być badane, mierzone, porównywane, a wreszcie relatywizowane.

Najtrudniejszy do uchwycenia jest zaiste czas terażniejszy, owa wciąż przesuwająca się ku przyszłości granica, ledwie zauważalny punkt na temporalnej osi, okamgnienie, jeśli mierzyć ów przełom w odniesieniu do jednego człowieka. Gdyby połączyć owe terażniejsze przełomy wszystkich ludzi, okazałoby się, być może, że do przejścia jest trochę szerszy bród; każdemu bowiem ina-

czej mogą rysować się owe fines temporis; inaczej biegnie owa linia przez mentalny interior. Wydaje się więc, że owa granica czy bród jest tylko ludzkim wyobrażeniem jak cała linearna wizja czasu, teoretycznym więc uproszczeniem, a de facto istnieją tylko zdarzenia minione, niekoniecznie nawet pamiętane, bo cóż można rzec o przeszłości in extenso? A cóż dopiero stwierdzić pewnego o przyszłości w nieskończonej panoramie marzeń, prorocstw, planów i wizji? Bywali filozofowie, którzy rozszerzali upływ terażniejszości na kilka chwil ulotnego uchwycenia biegu spraw. Ba, podawali miarę w sekundach lub minutach. Jak to zmierzyć, nie wiem. Zawsze jednak chodziło o jakieś umocowanie nunc w pamięci przeżyć przed nadejściem kolejnego teraz.

Ten mój wywód ab ovo zmierza do umiejscowienia w czasoprzestrzennej aktywności człowieka – historii i polityki, wskazania zachodzących relacji między nimi oraz zakreślenia ich granic. I już na początku, kiedy człowiek uzyskał władzę nad swymi myślami i mową, zwłaszcza mową, pojawiły się obie, i polityka, i historia, zrazu nieporadne, na pewno nie teoretyczne, ale równie śmiałe w działaniu. Polityka jęta przekształcać się we władzę, a historia w mił, opowiadany, powtarzany i przekuwany naiwnie w polityczną rękęjęć i głownie. Oportunistą opowiadał o czynach bohaterów, szukając podobieństw do czynów wodza, a opozycjonista milczał lub ciszkiem relacjonował inną wersję mitu.

Nie zapominajmy o szamanach, dla których czas nie podlegał takim rygorom, jakim ulegali prości współplemieńcy. Kapłani pradawni i późniejsi głoszą podobną ewangelię czasu: to nie on decyduje o losie człowieka. Ponad czasem są moce o wiele silniejsze niż jego upływ. To, że człowiek umrze, nie ma znaczenia dla świata pełnego bogów i tego wypełnionego jednym Bogiem. Ten fakt nie posuwa czasu naprzód. Co było, to będzie. Bycie-w-świecie niczego nie zmienia. Nadal jest to świat boski i boskim prawom poddany. Na nic ludzka mitręga i ludzka aktywność. To tylko kukietkowe spectaculum, które skończy się tak rychło, jak zaczęło. A zatem religia urasta do owej potęgi, która zdolna jest zawiadywać całym światem wraz z przenikającym ludzkie istnienie czasem. Nie Bóg, a religia! Jesteśmy wszakże na ziemi.

Jedynie nauka i sztuka potrafią być tak bezczelne, by pokazywać świat w nowinkach przekraczających tempus, quod nunc est. Obie zawsze popędzają czas, choć są szeroko pojętą terażniejszością. Filozofia próbuje dyskutować każdą kwestię po czasie. Inaczej byłaby wizjonerstwem, dyscypliną konkurującą z religią. Już takie sprawdziany ponadczasowości myśli mędrców przeżywalibyśmy.

Być może podzieliłem świat na niesprawiedliwe sektory. Spróbuję tę swoją nieprawomyślność uzasadnić. Pierwszorzędną sprawą są słupy graniczne pomiędzy historią a polityką. Te dwa pojęcia mocno ugruntowane w naszym języku (wcale nie w naszej tożsamości narodowej) zestawione razem – pobrzmiwają kakofonicznie. Nie

Zraszacz



współbrzmia, choć zdawałoby się, że spraw społecznych obie dziedziny dotyczą, spraw narodu, praw obywatelskich i tożsamości narodowej. Ludzie, pojmijcie, historia i polityka nie spotykają się w czasie! Granica pomiędzy nimi jest sztywna. Szlabany żelazne. Oczywiście, każdy może wejrzeć w swoją dziedzinę, historia – w prowadzoną politykę, a polityka – w opisywaną przeszłość.

Historia patrzy tylko wstecz. Tam bowiem wyrasta orogeneza dziejów. Tamtych dolinami i wierchami wędruje historyk. To mozolna wędrownica, czasami wspinaczka z ryzykownymi stopniami i chwytami. Ale wciąż w przeszłość, ku temu, co minęło. To tam czuje się historyk jak alpejski przewodnik. Zdobywany szczyt wybiera sam, o ile nie narzucili mu tej roli i celu inni, silniejsi wspinacze. Ale to wciąż góry przeszłości. Bliższej lub dalszej. Wszędzie są szczyty. Zdarzają się alpiniści, którzy próbują wspiąć się pojedynczo, historyczni wolnomyśliciele lub niezważający na aktualne trendy tradycjoniści. Uważajcie na asekurację. Czy ktoś was ubezpiecza przed upadkiem. Nie zapominajcie, że piszecie teraz.

A polityka? Chwyta każdą terażniejszą i przeszłą zdobycz, aby budować przyszłość. Polityka bowiem patrzy naprzód. Tworzy się na owej granicy zwanej terażniejszością, lecz jej wzrok jest utkwiony w wyśnionej (zaplanowanej), (wykalkulowanej) przyszłości. Przed nią horyzont zwieńczenia dziejów, wiecznej szczęśliwości narodu, społeczeństwa, państwa, partii, władzy lub własnej. Zawsze jest szansa na zaprojektowanie, przemianowanie, przekształcenie, przenicowanie, pierokowkę, jak mawiali sowioci. Tylko terażniejszość, ów wędrujący punkt na drodze czasu, stanowi między historią a polityką. Władza czy partie patrzą tylko do przodu: co można zyskać jutro? Terażniejszość zatem to granica, na której spotyka się nie tylko historia z polityką, ale również historycy z politykami. Jeśli historyk bada przeszłość najnowsza i czyni to wbrew naukowemu zasadom, ma szansę stać się politykiem, głosicielem jedynie słusznej polityki historycznej. W swym partyjnym mateczniku będzie uważany za bohatera. A w świecie historyków winien stać się odszczepieńcem, wychrztał niejako, skoro złamał podstawowy kodeks badacza przeszłości: prawda, za wszelką cenę prawda i cała prawda. W naukach humanistycznych jest szerokie pole do dyskusji, o ile badacz rzetelnie podchodzi do swojej dziedziny nauki.

Punkty zapalne pomiędzy historykami często dotyczą oceny zdarzenia, pewnych uogólnień lub poszukiwania przyczyn albo konkluzji. Historycy badają źródła. Wnioskowanie z ich treści winno być przeprowadzane z żelazną logiką. Fakt, jeśli niesfalszowany, nadal pozostaje faktem. Falszstwo notabene też pozostaje faktem, niestety nie zawsze zauważalnym. A zatem opis faktu jest istotą pracy historyka. To opisu faktów dotyczą pojęcie prawdy. Sam fakt nie może podlegać tej ocenie. Nie można bowiem przypisać prawdy lub fałszu faktom, a jedynie ich opisowi. To bardzo istotne rozróżnienie. Jeśli ktoś krzyczy: to nieprawda!, to tylko krzyczy. Ale można ten okrzyk zweryfikować, konfrontując z rzetelnym opisem, który odwołuje się do źródeł. Nie ma tu miejsca na wiarę: temu wierzymy, tamtemu nie. Należy szukać dowodów. Polityka historyczna w skrajnym wymiarze jest najczęściej podstępny ramieniem władzy. Cóż ludzie wiedzą o żołnierzach wykłętych? O Łupaszce, o Uskoku wie niewielu. Proszę zapytać na ulicy. To wstyd. Ale to też znak, że w polityce historycznej nie chodzi o powszechną wiedzę w dziedzinie historii, ale o polityczny kierunek i barwę zapatry-



Ślad mokrego ptaka

wań, i potęgę, i pokonanie przeciwników, a zwłaszcza o rząd dusz.

Jeżeli energii, wysiłku i poniżenia wymagało spisanie relacji z budowy sowieckiego bieł-moru, czyli Kanatu Białomorskiego. Moskiewska inteligencja zatrudniona została do budowania polityki historycznej nowego państwa. Oczywiście, pewnych znakomitości literackich zabrakło, ponieważ część tylko patronowała, a część się wymknęła, a części nawet nie zaproponowano rejsu na pokładzie „Anochina”, łodzi pokonującej kolejne śluzki kanału. Opisują przypadek skrajny. Stalin nie liczył się z nikim i z niczym. Nawet gdyby użył sformułowania „skurwysyństwo” w odniesieniu do jego polityki historycznej, nie zrównoważyłby ludzkiego poniżenia pisarskiego bractwa. Skrajne przypadki jednak uczą co bystrzejszych, jak patrzeć na jądro zła. Bywali zagraniczni politycy i myśliciele, którzy Związkowi Radzieckiemu przyklaskiwali. Najczęściej albo nigdy tam nie byli, albo dawali się prowadzić jak na postronku po zainscenizowanych ścieżkach szczęścia. Dopiero gdy powstał „Inny świat”, „Na nieludzkiej ziemi” i „Archipelag Gułag”, polityka odpowiedziała na sowieckie zakłamanie. Oczywiście, w języku swojej dyplomacji.

Polityka, choć patrzy w zupełnie inną stronę niż historia, to jednak typie okiem ku przeszłości, aby odnieść się odpowiednio do wybranych artefaktów, aby wesprzeć się na tym, co wydaje jej się skutą, na sukcesach minionych epok, jakby to one były jej dziełem, jakby polityka oddziaływała również wstecz. Potrafi nawet zganić przodków za ich zakusy, przekreśli (bardzo rzadki to obyczaj), lub objaśnić po swojemu to czy inne przeszłe zdarzenie, nadać mu potrzebny sens i znaczenie. W naszej ojczyźnie o politykę historyczną nie dbają historycy, ale partie polityczne. Różny jest udział partii w opowiadaniu tego, co minęło. Spór między politykami toczy się na tej ciasnej, wciąż przesuwałcej się granicy, w owym nieuchwytnym, zdawałoby się, nunc. Każda ocena historii jest zaplanowana, kontrolowana i poddawana próbie przydatności.

Jak powiada Habermas, sądząc, że odkrył ponadczasowe prawo – przestrzeń manipulacji jest ograniczona, gdyż system kultury stawia swoisty opór administracyjnej kontroli. Owszem, fabrykowanie uprawomocnień, jak powiada filozof, zmusza się w konfrontacji z prawdą, ale w polityce chodzi właśnie o ów chwilowy oscylator, cienką

granice między *veritas* i *possibilitas*, jakby różnicę między *tak było* a *tak chciałibyśmy, żeby było*. Półkowanie prawdy boli bardziej niż stopniowe dawki półprawd lub gładkich fałszów czy pseudointerpretacji. Naród w swojej urozmaiconej intelektualnie masie na to się godzi. Historia przeczy, a polityka forsuje.

„Każdy historyczny opis faktów jest prawdziwy albo fałszywy, bez względu na to, jak trudne byłoby stwierdzenie jego prawdziwości czy fałszu” – ta pozytywistyczna myśl Poppera może stanowić podstawę zarówno wnikliwych badań nad przeszłością jak i nadużywania historycznego fachu w celu prezentowania opinii prawdopodobnych lub zgoła wyssanych z palca. Istotą opisu, niestety, staje się punkt widzenia, nie fakty. Tej obserwatorskiej pozycji nie sposób uniknąć. Istnieje zdarzenie, jego opis lub opisy wsparte relacjami świadków, bezpośrednich i pośrednich, źródłami pisemnymi, świadectwami materialnymi itd., a ponadto osoba, która na podstawie tych danych rysuje ciągłość poszczególnych zdarzeń, łączy kropki, jak ostatnio mawia się o takich zabiegach, a także wytycza pewien polityczny szlak swojej opowieści, wskazuje kierunek niczym Lenin na portrecie Serowa.

Polityk wie, że czytelnik jego nie lubi niedopowiedzeń (niepołączonych kropek). W naszej naturze leży sekwencjonowanie zdarzeń w sensowny (mniej lub bardziej) sposób dla zachowania ich widzialnej ciągłości, czyli utrzymania dziejowości dziejów, jak nazwałby chyba tę skłonność Heidegger. Wskutek tego osiągają owe fakty jedność, powiada Whitehead, i stają się jedną rzeczą, którą można pojąć. Przeto roztropny i nieroztropny historyk próbuje dopowiadać to, o czym milczą źródła, aby opisana jedność stała się jasna. Niestety, interpolacje brakujących miejsc często bywają arbitralne. Popper znajduje na to lekarstwo: każdy winien zachować własny krytycyzm i umieć ocenić przedstawione fakty. Życie atoli zupełnie inaczej stawia problem: w kogo uwierzysz, jest naszym świętym; prawda nie istnieje; istotą pojmowania historii jest wiara. Jeź to razy słyszałem odpowiedź: „Nie wierzę w jego winę”, choć dowody na stole. Czyżby Kurski miał rację, i mamy ciemny naród lub lud (zależnie od punktu widzenia).

A po co i dla kogo polityka historyczna? Whitehead powiada: „Rozwodźmy się krytycznie nad całą masą opowieści nazwywanych historią. W efekcie pojmujemy

→ nas samych w relacji do przeszłości przez wysiłek czysto abstrakcyjnej wyobraźni. [...] Wszystko, co możemy zaobserwować składa się z teraźniejszej pojęciowej "perswazji". Nie naród zatem jest ciemny, ale każdy z osobna, jeśli nie czyta i nie wyciąga wniosków. Prawdę mówiąc, nie istnieje grupa społeczna żadna polityki historycznej. I polityka, i historia to wytwór człowieka. To tam zapadają decyzje na temat interpretacji tego, co minęło. Wnioski bywają różne, rzetelne i zgoła niesprawiedliwe. Istotą polityki historycznej zdaje się być to, kto mówi i kto słucha. Ergo: polityka historyczna nie jest nauczycielką. Demokracja utrzymuje w równowadze zapędy władzy i historię. Kiedy budowano w Związku Sowieckim Biełomor, cały aparat państwa skierowany był na ośmieszenie podobnego planu z czasów carskich i apoteozę tych samych przedsięwzięć po rewolucji.

Twórcy polityki historycznej są niewątpliwie deterministami. Wiedzą, że to, co było, wpływa na to, co będzie. I nie chodzi tu wcale o naukowe odkrycia historyków. Nie mają prawie żadnego znaczenia. Nie można inaczej prowadzić polityki, niż przewidując mocą ludzkiej logiki i pamięci kolejnych osiągnięć. Im ktoś lepiej planuje, tym lepszym jest strategiem. Nie zapominajmy jednak, że to matematycznie olbrzymie równanie przyczyny i skutku ma tysiące (podaję tę liczbę, żeby mogła ją objąć wyobraźnia) niewiadomych (tak naprawdę jest ich nieskończenie wiele). Kiedy Cicero powiada, że historia vitae magistra est, ma na myśli ludzkie doświadczenie, eksperyencję pojedynczego człowieka. Dziś powiedzielibyśmy: *Administratores Rei Publicae historiae magistri sunt*. Obydwie sentencje, w powyższej kolejności, składają się do znajdowania in rebus gestis pewnych wskazań i pouczeń. Niestety, preceptora administratorów wskazuje polityczny układ. Kto pozwoli swobodnie badać przeszłość badaczom, poszukiwaczom prawdy? Kto nie pozwoli na szerzenie nieprawdy, fałszu, zatajania, ubarwiania lub odbarwiania? Nie wszystkie partie z jednakową mocą próbują wiktać historię w polityczną grę.

Zaiste pozostaje nam, obywatelom, rozum i krytycyzm. Bo chyba nie wiara?

Władza nie powinna być adresatem historii. Nasz Szujski w czasach totalnej opozycji mógłby z tym poglądem dyskutować, ale pisał podczas wiekowej niewoli ojczyzny. Działał więc słusznie i politycznie. W PRL historia nie została zamknięta na tyle szczelnie, żeby Skrzetuski czy burżuj Wokulski mogli zniknąć z pótek; nie dało się. Czasy stalinowskie próbowały zaprowadzić u nas sowiecką politykę aktualności. Łunaczarski i Żdanow odcisnęli piętno na literackiej międzynarodówce. Sokorski i Żółkiewski dwolił się i troili, żeby spętać nas w tej nieklasyfikowalnej gałęzi literatury wymuszonej. Powstały dzieła, grube księgi, dziś zapomniane: *Na przykład Plewa, Przy budowie, Węgiel, Obywatele, Jak hartowała się stal*. Niektóre, na pewno tę o stali, czytałem jako przymuszony do lektury uczeń. Gdyby nie artykuł, nie wspominałbym o niej. Nudna, tyle pamiętam. Taki wpływ odciska na nas coś niechcianego, nieprawdziwego. Należy dodać, że była to kiepska literatura: i verbum, i genus, i osadzenie akcji we współczesnych res gestae tak podporządkowane polityce, że jedynie ruski socrealizm z tych samych cegieł zbudował wyższy szaniec. O wiele więcej powiedziałbym o *Przygodach Tomka Sawyera* czy *Old Shurehandzie* niż o tych socrealistycznych cegłach..

Kiedyś byłem na wczasach w Turcji. Na długo przed agresją rosyjską na Ukrainę. Stońce, plaża i wino. Poszliśmy z żoną na obiad. Międzynarodowe towarzystwo, jak to nad Morzem Śródziemnym. Rosjanie mieli zwyczaj zagęszczania się i skupiania, obsiadania olbrzymich stołów dokoła. Siedzieli koło nas przy stole wielkim jak kort tenisowy. Gwar i wznoszone stakany. I my z żoną wznosiliśmy kieliszki, oni z wódką, my z winem. Oni uśmiechnięci i my. Okazało się, że czekali na kogoś. Pojawił się facet w okularach na gumce, pierwszy raz widziałem takie binokle. Szybki, zwinny i bystry. Zasiadł u szczytu stołu. Skończyły się uśmiechy. Zaczęła się przemowa. Była to wakacyjna agitka dla tych, którzy nie rozumieją właściwie polityki historycznej Rosji. Znam rosyjski na tyle, że mogłem odczytać intencje agitatora.

Trzymać się razem. Żadnych wycieczek samotnie. Pamiętajcie, że jesteście Rosjanami. Rozmawiać z godnością i dumą. I chwalić Putina. Przez cały czas przemawiał politycznym językiem. Chyba wiedział, w jakie środowisko wchodzi. Słuchali. Aprobowali jego gadkę. Co jakiś czas padało z ust agitatora słowo: Poliaczki – to o nas. Łyknąwszy kolejny kieliszek wina, wycedziłem przez zęby: „Stalin to chuj!”. Powtarzałem tę kwestię coraz głośniejsze, aż żona wyprowadziła mnie stamtąd. Następnego dnia wmawiała mi, że z czasem zamienięm „Stalina” na „Putina”. Jak nie wierzyć żonie? Agitator zniknął z ośrodka i ruszył dalej, taka ich rola i dola. A mnie wydawało się, że uczyniłem pewien przetom w polityce historycznej.

Literatura agitująca czasów sowieckich szła ramię w ramię z agitującą nauką i filozofią. Ryczał Łysenko na sympozjum Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych – *Gienow nie!* Utrzymał swoją pozycję socjalistycznego mędrca i proroka w dziedzinie nauk biologicznych do końca epoki Chruszczowa. Ja nie o tym jednak, choć zawsze lubię zahaczyć o Łysenkę, bo to kwiat w socrealistycznej nauce. On, Mieczurin i kilku innych. Historia nie wymaga aż tak rewolucyjnych postaw i antynaukowych pów. Wystarczy zwykłe kręactwo. Zbrodnia w Katyniu, historycznie udowodniona, nadal jest przedmiotem gier politycznych. Również ze strony przekonanych do słuszności historycznej argumentacji. Próbowałem odnaleźć w Internecie radziecką literaturę historyczną poświęconą tej strasznej egzekucji. Nie w celu podważania naszych świętości, ale w celu zbadania ruskiej propagandy. Nic mi się nie wyświetliło. Udałem się więc do biblioteki.

Sposoby polityki historycznej są proste: wybiórczość lub milczenie, niekiedy koloryt. Tu nie ma nic skomplikowanego. Resztę robią historycy. Należy tylko rzeczy właściwie nazywać, po nowemu.

Szkoda mi Dawidka Rubinowicza, że pominięły go wielkie muzea martyrologii. Nie ma nawet ulicy ze swoim imieniem.

ANDRZEJ KATZENMARK

Taczka i begonia



Morze (zmiersch)

morze jest dobre
bo jemu można wykrzyknąć wszystko
można wykrzyknąć mu
że nie chce się tak umierać
samotny
może mu wykrzyknąć
że nie chce umierać sam
zgwałcona może wykrzyknąć
że nie chce uduszona rękami
tego kto równocześnie rozrywa jej krocze
ani zadławiona własnymi torsjami
wpychanymi z powrotem do gardła
matka że nie patrząc na cierpienie dziecka
a niespełniony
wiecznie mieć jakieś nie zaim

a ono jest takie wielkie
i rozumie
może nawet by udźwignęło
gdybyś mu powiedział jak chcesz umierać
i jak chcesz żyć

morze
jemu możesz nawet wykrzyknąć
że tak naprawdę istniejesz
choć dla niektórych już to jest zbrodnią
i możesz wejść w nie
jak jasny płomień
w wielkie groźne fale
syczący kiedy próbują go ugasić

morze
zabierze twoje ciało
i nikt kto poznawał twoją duszę tylko po nim
już nie znajdzie jej
nie będzie dręczyć

Cisza (brzask)

jakby zeschnięte listowie opadło czyniąc miejsce wiośnie
albo chore ciało z promiennej duszy
tak opadła ze mnie cała zgryzota strach
gdy tylko poczułam twoje serce przy moim
i teraz kołyszę się na taflach
morza twojego oddechu
twoje palce budzą ze snu ptaki
które odlatują w śpiew
w twoich palcach
które są jak pełne westchnień liście
słońce nagle ożywa
tańczy i drga
gdybym teraz otworzyła oczy
to chyba rumieniec obsypałby mnie
jak wiśnię kwieciami
bierzesz oddech
i morze próbuje dosięgnąć nieba
rozbija się
o słodkie piękne klify bez lęku
bo czemu nie
przecież niebo jest jego bratem
nieujarzmionym
tęskniącym za księżycem

powoli rozpływam się jak świeca
twoje rozgrzane palce kąpią
jak księżycowe łzy
przez moje roztopione ściany
powietrze przenika jak przez okna
złoty poranek rozpuszcza powieki
kwiaty otwierają się
upojone ciepłem
ich oddechy są balsamiczne
miękkie jak morze gdy południe
przechodzi w zachód
i złotym ogniem
otula jak welwetem mieniącym jedwabiem

oddycham już tylko słońcem
które szumi w moich włosach
zwilża oczy przenika do krwi
prawie nie pamiętam
czy istniały kiedyś jakieś istoty
nie należące do naszego gatunku
pełnego miłości
oddziela mnie od nich
las szumiących myśli i snów
i ocean urzekającego błękitu

Czesław Karkowski

20 lutego 1949 r. dziennik „New York Times” opublikował na pierwszej stronie informację: „Pound, w klinice dla umysłowo chorych, zdobywa nagrodę poetycką za tom napisany w celi dla zdrajcy”. Notatka brzmiała wystarczająco interesująco, zgoda sensacyjnie, by zwrócić uwagę szerokiej czytającej publiczności na raczej marginalną dla przeciętnego odbiorcy sprawę poezji i wyróżnień za wierszotwórstwo.

Pizańskie „są mieszaniną popłuczyn Pounda w najgorszym wydaniu – przejawem pomysłowego umyślnego skażonego szczyptą faszyzmu”. Ale zarazem w tym samym piśmie przychylnie do decyzji Komitetu nagrody: „nacisk na obiektywne kryterium piękna i doskonałości, pokrewne przekonaniu w obiektywną prawdę, ma fundamentalne znaczenie dla wolnego i racjonalnego społeczeństwa. Zgodnie z tą zasadą jurorzy postąpili w jedynie możliwy sposób jako ludzie wrażliwi na późniejszy osąd historii”.

Gdy zamierała krótka burza wokół wyróżnienia „Cantos Pizańskich”, wtedy głos zabrali bardzo poczytny tygodnik literacki „The Saturday Review of Literature”, rozpalałając namiętności „do czerwoności”. Dwaj autorzy, znani krytycy i poeci, Robert Hillier i Peter Viereck, a także wydawca pisma

Komitetu nagrody (m. in. T. S. Eliot, W. H. Auden, Conrad Aiken), którzy jakoby w kumoterskim geście wybrali jednego ze swych przyjaciół, mianując go wybitnym poetą, choć to faszysta i wojenny kolaborant. Grono owo to wąska grupa artystów – argumentowano – uprawiająca trudną i wybitnie elitarną poezję dla wybranych odbiorców. Ludzie ci zdołali stłumić głos twórców przystępnej poezji cenionej przez amerykańskich czytelników – jak napisano w jednym z listów do „Saturday Review...” Gorzej jeszcze, zdołali narzucić swoje zdanie o wartości wierszy, których nikt nie rozumie, za nic mając poezję czytaną przez odbiorców „normalnych” pism literackich.

Gniew czytelników obrócił się z Pounda na Komitet z Eliotem na czele, a w konsekwencji przeciwko tzw. nowemu litera-

KONTROWERSYJNA NAGRODA SPÓR WOKÓŁ CANTO PIZAŃSKICH EZRY POUNDA

Nagrodę Bollingen, wręczoną zresztą po raz pierwszy, przyznało Towarzystwo Biblioteki Kongresu USA. Pieniądże dała Fundacja Mellona, a uhonorowano tom poetycki Ezry Pounda „Cantos Pizańskie”, opublikowany w 1948 r.

Wybuchła ogromna, choć krótkotrwała dyskusja w związku z tą decyzją. Kontrowersja obracała się wokół kwestii, które tak zwięźle ujął nowojorski dziennik: czy jest to poezja zasługująca na tak wysokie uznanie? Może to po prostu wytwór chorego umyślnego, niespełna rozumu pacjenta szpitala psychiatrycznego, skoro ów tom jest praktycznie niezrozumiały dla odbiorcy. Dalej - czy należało nagradzać dzieło kogoś oskarżonego przez rząd Stanów Zjednoczonych o zdradę. W konsekwencji czy treści komunikowane przez „Cantos Pizańskie” nie dyskwalifikują bynajmniej tej poezji jako moralnie podejrzanej?

„Cantos Pizańskie”, to napisany w obozie wojskowym dla przestępców wojennych koło włoskiej Pizy i ukończony przez Pounda w waszyngtońskim szpitalu psychiatrycznym, kolejny cykl utworów (LXXIV-LXXXIV) poematu mającego być w zamyśle czymś w rodzaju przewodnika po ludzkiej cywilizacji. Nie jest to dobre określenie, ale dla tego amorficznego utworu nie ma trafnej identyfikacji. Spór o projekt „Cantos” trwa do dziś.

W dyskusji w związku z tą nagrodą, która przetoczyła się przez wszystkie praktycznie pisma literackie Ameryki (i nie tylko) zabierali głos i dziennikarze, i poeci, i literaturoznawcy. Jak można się domyślać, zdania były podzielone, ale ponieważ w istocie zagadnienie dotyczyło bardzo wąskiej grupy zainteresowanych, więc i dyskusja zmierzała ku swemu naturalnemu końcowi – rychtemu zgonowi. Prasa potraktowała wyróżnienie dla Pounda z gniewem i szyderstwem. Szerokich celnych, prześmiewczych kalamburów jakimi kwitowano to wyróżnienie, cytuje Noel Stock w „The Life of Ezra Pound”.

Louis Untermeyer, na przykład, w „New York Herald Tribune” oświadczył, że Cantos

w komentarzu redakcyjnym, celowo (jak twierdzi wielu późniejszych autorów), ożywił i nagłośnił cały hałas wokół tej sprawy. Dyskusja była tak zaciekała, a ataki tygodnika na tyle starannie przemysłane, że w sierpniu tego roku, Kongres Stanów Zjednoczonych postanowił, że rząd USA nie powinien patronować żadnej nagrodzie przyznawanej w dziedzinie sztuki i zdystansował się od Fundacji oraz jej pieniędzy. Skutkiem tego wkrótce Nagrodę Bollingen za najważniejsze dokonanie poetyckie w Ameryce powierzone Uniwersytetowi Yale.

Zdaniem Karen Leick, autorki artykułu „Ezra Pound vs ‘The Saturday Review of Literature’” (Journal of Modern Literatures, zima 2001-02), redakcja tygodnika literackiego manipulowała całą dyskusję, tymi właśnie artykułami i całą związaną z nimi polemiką alarmując Kongres, że oto rząd USA nagradza najwyższym wyróżnieniem poetę, którego ten sam rząd oskarża o zdradę; proces odroczone na czas pobytu Ezry Pounda na leczeniu w szpitalu psychiatrycznym.

Początkowo dyskusja koncentrowała się na antysemitycznych akcentach Cantos. „Partisan Review” z kwietnia 1949 r. pisał: „Jak daleko można się posunąć w wierszu lirycznym, aby dla technicznych upiększeń przekształcić złośliwą i wstrętą sprawę w piękną poezję?” Leo Kennedy „Poet, who was mad as a Fascist” (Chicago Sun-Times, 9 sierpnia 1949 r.): „Jest to rodzaj tomu pośmiertnego. Ezra Pound obecnie 63-letni i pogrzebany w instytucie dla obłąkanych, jest praktycznie bardziej martwy niż żywy. (...) Osobliwie, że ostatni wielki poeta, Francois Villon, który o włos uniknął powieszenia, był bardzo podziwiany przez Pounda.” Cantos Pizańskie „napisane dla siebie i dla innych poetów, do wnikięcia w nie wymagają od czytelnika znajomości włoskiego, francuskiego, niemieckiego, łaciny i greki; także głębokiej wiedzy o historii włoskiego renesansu, jak i o teoriach monetarnych kredytu społecznego majora C. H. Douglasa. Są wprost niezrozumiałe”.

Nie ma sensu przytaczania podobnych opinii na temat wyróżnionego tomu. Było ich wiele. Oburzenie opinii publicznej niesmaczonej „Cantos Pizańskimi” skierowało się wkrótce w większym nawet stopniu na arogancję wąskiej grupy poetów, człon-

turoznawstwu (New Criticism), koncepcji, zgodnie z którą utwór literacki jest jednostką samoistną i oceniać ją można tylko podług wewnętrznej struktury, nie wolno zaś przykładać doń zewnętrznych, pozaliterackich kryteriów.

Dyskusja, która się wywiązała wokół „Cantos Pizańskich”, prędko wykroczyła poza ten tom wierszy oraz dokonania konkretnego poety i przekształciła się w atak na „nowoczesną poezję”. Spór stał się pretekstem do jednej z najzacieklejszych konfrontacji między zwolennikami dawnej, tradycyjnej sztuki poetyckiej „dla ludzi”, a awangardową twórczością z jej wolnym wierszem, śmiałą metaforyką, radykalnymi eksperymentami językowymi.

W dyskusji dominował wątek, z rzadka tylko wyrażany wprost, ale wyraźnie zakładany przez redakcję tygodnika – dotyczący antydemokratycznego, czy wręcz totalitarnego stanowiska elit literackich. „Saturday Review...” nieustannie sugerował, iż awangarda steruje kwestiami wartości w poezji podług własnych wąskich kryteriów, nie licząc się z gustami, nastrojami i upodobaniami szerszego gremium czytelniczego. Spór przerodził się w atak na awangardową literaturę i poezję wysokiego lotu dla wybranych ocenianą przez te kręgi jako wartościowa. Pogląd taki uznano za wyraz pogardy i lekceważenia dla gustów przeciętnych, zwyczajnych ludzi.

Dokumenty komisji przyznającej Nagrodę ujawniają, jak stwierdza wspomniana autorka, że Eliot bynajmniej nie manipulował stanowiskiem członków komitetu przymuszając ich do głosowania na Pounda, ani też antysemitycznych akcentów (w istocie kilku zaledwie w całym tomie, ok. 150 str. - na temat żydowskich bankierów, a nie całej społeczności) autora Cantos bynajmniej nie potraktowano lekko przy ocenie estetycznej wartości tomu. Dziś wobec zinstytucjonalizowanego antysemityzmu w bardzo wielu państwach zachodnich nikt na te wtręty nie zwróciłby uwagi, ale wówczas, świeżo po wojnie, opinia publiczna była niezmiernie wyczulona na wszelkie złośliwości pod ad-

resem Żydów mając w pamięci niedawne czasy, kiedy zlekceważono drobne antysemityczne wystąpienia aż przerodziły się w morderczą kampanię nietolerancji, nienawiści, zbrodni.

Gdy spośród innych nominowanych publikacji poetyckich wybór ostatecznie padł na Pounda, Eliot tylko wyraził zaniepokojenie, że wyróżnienie „Cantos Pizańskich” może wpłynąć na przedłużenie pobytu autora w zakładzie psychiatrycznym, bo rozgłos mogą wykorzystać ludzie niechętni poecie.

Tymczasem E. Fuller Torrey (*The Roots of Treason: Ezra Pound and the Secret of St. Elizabeths*, McGraw-Hill, 1984, s. 234-36) dowodzi, że nagroda dla Pounda była z góry ukartowana jako część planu mającego na celu wydobycie go ze szpitala. Powołuje się na słowa Archibalda MacLeisha jakoby spotkanie przyjaciół w tej sprawie miało się odbyć w czerwcu 1948 r. Nagroda tak wysokiej rangi miała według tego zamysłu wyrzucić stosowny nacisk na rząd USA, a zwłaszcza na Departament Sprawiedliwości. Autorka wspomnianego artykułu nie potwierdza takiego spotkania ani tego rodzaju projektu.

Przytacza zarazem fragmenty wypowiedzi członków komisji Nagrody świadczące o tym, że sprawę potraktowano bardzo poważnie i rozważano wszelkie „za” i „przeciw” nim przystąpiono do głosowania. Zwłaszcza dla Karla Shapiro (poety i pisarza), na przykład, stała się powodem, że nie głosował za kandydaturą Pounda. Także przeciwko była Katherine Garrison Chapin (ceniiona poetka, choć z czasem zlekceważona, zapomniana). Na drugim miejscu pod względem liczby głosów znalazł się tom wierszy Williama Carlosa Williamsa, „Paterson, t.2”.

Zdaniem większości późniejszych komentatorów „afery Nagrody Bollingen”, „Saturday Review...”, popularne, pismo cenione przez miłośników literatury, sterczało dyskusją, przedstawiając wyróżnienie w „stronniczej i nierzetelnej perspektywie” (Leick s. 26)

Robert Hillyer w pierwszym ataku „Treason's Strange Fruit” i w kolejnym - „Poetry's New Priesthood” sugerował, że Eliot, Carl Jung i Paul Mellon, który dał pieniądze na nagrodę nazwaną tak dla upamiętnienia domu Junga w pobliżu szwajcarskiej wioski Bollingen, entuzjaści, redaktorzy i autorzy awangardowego pisma „Criterion”, to skorpumpowana grupa sympatyków nazizmu. W obu tekstach głównym celem ataku był faktycznie Eliot, także – zdaniem krytyka - przecież zdrajca, skoro wyrzekł się nawet amerykańskiego obywatelstwa na rzecz Wielkiej Brytanii.

Robert Hillyer, który przypuścił najbardziej bezkompromisowy atak na Cantos jako „narzędzie pogardy do Ameryki, wyraz faszyzmu i antysemityzmu oraz bezlitosnego szyderstwa z naszych chrześcijańskich ofiar wojny” (“Treason's Strange Fruit: The Case of Ezra Pound and the Bollingen Award.” *Saturday Review of Literature*, June 11, 1949 s. 11.) w istocie posłużył się tym pretekstem do potępienia awangardowej poezji, nowoczesnego literaturoznawstwa i elity artystyczno-intelektualnej. Była to podjęta przez tygodnik bodaj ostatnia walka o rząd dusz w literaturze: czy awangardowa krytyka wiersza, czy też tradycyjna ocena podług rytmu, rytmu i komunikowanej treści.

Wspólnym celem owych patronów Pounda miało być rzekomo przejęcie władzy w świecie literatury, aby podjąć „mystyczne i kulturowe przygotowanie do nowego au-

torytaryzmu... W duchowym bagnie, gdzie język, etyka, literatura i osobista śmiałość tonie w czymś mętłym i nieforemnym, ukiepunkowany impuls poruszył amorficzną mgłę w coś przyjmującego jakiś kształt, coś urobionego z martwoży sztuki przez poruszający się po omacku faszyzm.”

Peter Viereck, którego, jak twierdzą ci, którzy wierzą w spiskowe poczynania „The Saturday Review...”, wybrano do kolejnej rundy ataku, podszedł do całej kontrowersji inaczej – nie od strony politycznej, ale społeczno-artystycznej. Dumnie przyznał, że we własnej twórczości grzeszy przeciwko ortodoksji awangardowej krytyki. Tak, powiada, moja poezja jest winna temu, że ma treść, czyli że ma coś do powiedzenia na temat zaczerpnięty z naszego zwyczajnego świata, o którym z taką pogardą wyrażają się koryfeusze nowoczesności.

Jego kolejnym grzechem, który wyznaje, to przemawianie do przeciętnych, zwykłych miłośników poezji, miał jedynie do innych poetów i elitarnych krytyków. Cantos uznaje za „ohydny bełkot”, ale nie obwinia komitetu Nagrody Bollingen o faszystowski spisek. Natomiast ich decyzja stanowi „nie do utrzymania doktrynerską próbę oddzielenia formy od treści i oddzielenia poezji od nierozdzielnie związanego z nią moralnego i historycznego kontekstu”.

Drugi artykuł, równie zjadliwy, przenosi atak z Pounda na całe środowisko nowoczesnych literaturoznawców, których stanowisko można sprowadzić do dwóch punktów: 1. Szczegółowa, drobiazgowa analiza tekstu dla samej sztuki, czyli bez odniesienia do rzeczywistości; 2. Współczesna poezja musi być „skomplikowana” – czyli na tyle niezrozumiała, aby sterroryzować krytyków, by nie mogli mieć zastrzeżeń co do nieczytelnego utworu, by uniknąć posądzenia o niekompetencję, prostactwo, sprzyjanie twórczości prostej, „dla ludzi”.

Po publikacji tych artykułów głos zabrali naczelny „The Saturday Review...” Przynależność stanowisku obrońców Pounda, że trzeba oddzielić sztukę od polityki, ale jednocześnie pytał retorycznie, czy przypadkiem słowo „polityka” nie jest określeniem zamiennym dla „wartości”. „Nie wierzymy – stwierdzają, że poeta może wniwecz obrócić etykę i wartości i wciąż być dobrym poetą, ani też nie wierzymy, że poezja może zamieniać słowa w larwy, które żywią się ludzką godnością i wciąż być dobrą poezją.”

Przez całą tę kampanię w związku z nagrodą dla Ezry Pounda przewijał się drugi ważny wątek – czy można pominąć życiową postawę artysty, jego poglądy wyrażane przy innej okazji, w ocenie jego twórczości. Dziś kiedy instytucjonalnie obie kwestie ponownie traktuje się łącznie, a ideologia dominuje nad estetyką, Ezra Pound i jego twórczość skazana są na wieczne potępienie. A jeszcze niedawno w znanej rozprawie „Intellectuals” (Harper and Row Publ., 1988) Paul Johnson dowodził, że wybitni twórcy europejscy jak np. J. J. Rousseau, Henri Ibsen, Bertrand Russell, J. P. Sartre i wielu innych, byli okropnymi, etycznie wątpliwego kalibru ludźmi, co bynajmniej nie dyskwalifikuje moralnej i estetycznej rangi ich dokonań.

Parę lat później redaktor naczelny i wydawca „The Saturday Review...”, Harrison Smith, przyznał podobno w rozmowie przy barze, że całą kontrowersję zorganizowano w redakcji pisma; zamówił stosowne artykuły u dwóch wspomnianych autorów, aby podbić nakład tygodnika, bowiem czytelnicy lubią afery, gorące spory, personalne napaści. Stwierdził, iż liczył na zwiększenie nakładu pisma trzech kolejnych wydań, tymczasem ku jego niekłamanej radości, starczyło „parę” na sześć numerów.

CZESŁAW KARKOWSKI

Gdańsk, Plac Wałowy



Grigorij Winokur

tłum. Bogusław Żytko

I. Biografia, ponieważ pretenduje do rangi samodzielnej dyscypliny naukowej, powinna posiadać własny i specyficzny przedmiot, emancypując się jednocześnie od pogranicznych i postronnych dziedzin wiedzy. Biografia w przeciwieństwie do zwykłego jej rozumienia, nie jest problemem psychologicznym, lecz kulturowo-historycznym i ma za swój przedmiot historię indywidualnego życia osoby ludzkiej, włączając do sfery swoich badań wszystkie cechy (intelektualne, psychiczne, psychofizyczne i tak dalej), z jakimi osoba w ogóle jest dana w historii kultury.

II. Historia osoby ujawnia się w swoich rozmaitych formach, których opis naukowy stanowi właśnie zadanie biografów. W ogólnym schemacie historii osoby chwytamy w formach rozwoju, kiedy badamy ją z punktu widzenia ewolucji historycznej i dziedziczności i w formach zachowania, działalności, kiedy osobę rozpatrujemy w przekroju statycznym, jako już gotową i rozwiniętą. Stałym warunkiem badania osoby w tych formach jest rozpatrywanie tych ostatnich w ramach szerokiego kontekstu kulturowo-historycznego. Tym „powierzchniowym” formom osoby historycznej mogą być przeciwstawione formy „strukturalne”, w których analizie biograf przechodzi od zewnętrznie odbieranych danych do rozumienia, stojących za zewnętrznymi cechami, sensu i znaczenia. Z tego punktu widzenia w biografii powinno się rozróżnić formy zewnętrzne i wewnętrzne.

III. W swoich metodach i chwytach biografia przylega do filologii, ponieważ poznanie źródeł biografii jest możliwe jedynie drogą interpretacji zabytków historycznych. W związku z tym powstaje problem rozgraniczenia biografii i pokrewnych dziedzin wiedzy historycznej. Ponieważ jednak pomiędzy biografiami i tymi pokrewnymi dyscyplinami istnieją pewne punkty styczności, to problem o granicach przechodzi w problem pomocniczego i praktycznego znaczenia biografii dla innych cząstkowych problemów historii kultury. W charakterze typowego przykładu może być poddane analizie zagadnienie biografii jako problem historii literatury i poetyki historycznej.

IV. Związek między biografiami a historią literatury (i odpowiednio – poetyką historyczną) może być ustanowiony w następujących momentach i zakresach:

literatura jest nie tylko artystycznym „odbiorem” lub „wykładnią” życia, ale ma też własny byt historyczny. Przede wszystkim jest ona produktem konkretnej działalności twórczej, która sama w sobie jest już faktem biograficznym. W ten sposób jeżeli fakt estetyczny lub ideowo-literacki dysponuje samodzielnym i niezależnym od osoby historycznej bytem, to historycznie mimo wszystko osoba jawi się jako immanentna w stosunku do zabytku historycznemu, przez nią pozostawiona.

Konkretną i niezbędną pomoc, w związku z tym, co zostało powiedziane, biografia okazuje nauce o literaturze w kręgu zagadnień w ścisłym i właściwym sensie „historycznoliterackich”, czyli takich zagadnień, czyli takich zagadnień, którą wiąże się z własną historią faktu literackiego jako szczególnej formy kulturowej.

Ważnym punktem przecięcia się zainteresowań historycznoliterackich i biogra-

ficznym jest następnie samo słowo w jego konkretnej historycznej treści. Z tego punktu widzenia pomoc biografii (jak i w ogóle) historii nauce o literaturze przejawia się w tak zwanej „realnym komentarzu”, który jest wykładnią danego faktu literackiego od strony języka i jego znaczeń.

Wreszcie do biografii historyka literatury zmuszają zwracać się ekspresywne (wyraziste) funkcje mowy, stanowiące pewnego rodzaju subiektywne zabarwienie obiektywnej struktury słowa (obraz, fabuła). Ekspresja słowna służy za powód pojawienia się zainteresowań biograficznych, ponieważ jest ona symptomem lub cechą autorskich przeżyć i zachowania.

Co się zaś tyczy słowa poetyckiego w jego istotnych i obiektywnych momentach (na przykład obraz), to ostatecznie dla swojej interpretacji nie potrzebuje pomocy biografii, ponieważ biografia tutaj nie staje się realnym komentarzem (zob. b).

V. Problem odwrotnej relacji między nauką o literaturze i biografiami, czyli zabytku literackiego powinien być rozwiązany negatywnie, ponieważ literaturę rozumiemy nie tylko jako dokument historyczny, ale również jako dzieło sztuki, przedmiot estetyczny, mający z tego powodu byt fikcyjny i umowny i dlatego niemogący służyć jako materiał badań historycznych.

GRIGORIJ WINOKUR
Moskwa, 13.01.1924

Grigorij Winokur urodził się w Warszawie 5 (17) 1896 roku. Język polski był pierwszym językiem obcym, który opanował w mowie i piśmie. W 1904 roku jego rodzina przeprowadziła się do Moskwy, gdzie Grigorij ukończył gimnazjum klasyczne i następnie podjął studia filologiczne na Uniwersytecie Moskiewskim. Winokur filologię pojmował bardzo szeroko, widząc w niej podstawę, swoistą encyklopedię kultury, gdyż żadna z jej dziedzin nie może się obejść bez komponentu językowego.

Wzięto się to być może z jego uczestnictwa w Moskiewskim Kole Lingwistycznym (był jego prezesem w latach 1922-1924), grupującym młodych badaczy o różnych zainteresowaniach. Na jego zebraniach zjawiali się również poeci-futurysty ze swoją awangardową poezją. W kolejnych latach był związany z Państwową Akademią Nauk Artystycznych, ostatecznie niezależną instytucją kulturalną w b. ZSRR przed nastaniem dyktatury stalinowskiej. Zbliżył się tutaj do Gustawa Szpeta, filozofa-fenomenologa, którego wpływ daje się zauważyć w pierwszej swojej książce *Biografia i kultura* (1927). W tym okresie Winokur zajmował się historią i krytyką literacką, poetyką, tekstologią. W późniejszych latach jego zainteresowania przeniosły się na lingwistykę (słowotwórstwo, morfologia, leksykografia, historia rosyjskiego języka literackiego, dialektologia). Uczestniczył w pracach nad *Wielkim słownikiem języka rosyjskiego* i słownikiem A. Puszkina. Osobne miejsce w jego dorobku zajmują prace o kulturze języka i stylu. Przygotował też specjalne studium o wymowie scenicznej.

Nie respektował zatem w swoich pracach sztucznych granic pomiędzy dyscyplinami, lingwistyką i nauką o literaturze, starając się jednak zaznaczyć swój specyficzny – interdyscyplinarny – punkt widzenia. W ciągu swojego niedługiego życia (zmarł w Moskwie 17 maja 1947 r.) zdołał pozostawić swój trwały ślad w wymienionych gałęziach wiedzy filologicznej. Publikowane tutaj *Tezy referatu* jest bodaj pierwszym jego tekstem, przetłumaczonym na język polski, poprzedzającym edycję wspomnianej rozprawy *Biografia i kultura*, która pomimo upływu lat zachowała swoją świeżość i aktualność.

Biografia jako problem naukowy Tezy referatu

Sylvia Plath

tłumaczenie Andrzej Szuba

MAKI W PAŹDZIERNIKU

Nawet słoneczne chmury nie mogą poskromić tych spódnic,
Ani kobieta w ambulansie,
Której czerwone serce tak nagle wykwita spod płaszcza –

Dar, dar miłości
Niewyproszony
Przez niebo

Rozpalające płomiennie
I blado swe tlenki węgla, przez oczy
Zmatowiałe pod melonikami.

O Boże, kim ja jestem,
Żeby te późne usta musiały rozwierać się krzykiem
W oszronionym lesie, o chabrowym świcie.

ZDARZENIE

Jak te żywioty krzepną!
Blask księżyca, tamto kredowe urwisko,
W którego szczelinie leżymy

Plecami do siebie. Z zimnego indygo
Dochodzi mnie krzyk sowy.
Nieznosne samogłoski wstępują w me serce.

Dziecko w łóżeczku wierci się i wzdycha.
O coś prosi, otwiera usta.
Rzeźbiona w bolesnym, czerwonym drzewie twarzyczka.

Potem gwiazdy – nieustępliwe, twarde.
Dotyk: przyprawia o mdłości i pali.
Nie widzę twych oczu.

Tam, gdzie kwiat jabłoni skuwa noc lodem,
Krążę wokoło
Gorzka koleiną starych błędów.

Miłość tu nie zawita.
Czarna otchłań otwiera się.
Na przeciwległym skraju

Biała duszyczka, biały robaczek – dają znaki.
Moje członki opuściły mnie także.
Kto nas poćwiartował?
Ciemność topnieje. Dotykamy się jak kaleki.

Dariusz Pawlicki

O... KLAMKACH

Niewiele jest przedmiotów, z którymi dłonie mają tak częsty kontakt, i to nie powierzchniowy, jak właśnie klamki; proste, najwycyżajniejsze w świecie klamki. Nie mam jednak na myśli takich, dopiero co zainstalowanych w drzwiach, ani tkwiących w nich od kilku, kilkunastu lat. Chodzi mi o stare, przynajmniej, kilkudziesięcioletnie. Zwłaszcza jednak o te pozostające na swych „posterunkach” od wielu, wielu pokoleń (oczywiście ludzkich), na przykład, w kościołach, cerkwiach bądź zborach. Wprost trudno wyobrazić sobie, jak wiele dłoni ich dotykało, naciskało na nie; ile też palców pozostawiło na nich jakieś ślady; bo że pozostawiło, to pewne. Takie klamki to swego rodzaju księgi gości. Może kiedyś, jeśli będzie to możliwe, i jeśli będzie taka potrzeba, zostaną odczytane/ „rozumiane”/ ujawnione. Może...

Ludzie, których dłonie naciskały na wspomniane klamki, należeli do rozmaitych narodowości, profesji, klas i warstw społecznych; mówili także różnymi językami. Bez względu jednak na to, kim byli, dotykali tych samych klamek. Czynień to o różnych porach dnia i roku, będąc przy tym w rozmaitych stanach emocjonalnych (może znalazły one swoje odbicie we wspomnianych śladach zostawionych przez palce).

Jakby nie było, klamki ich tęczyły (podobnie jak wnętrza, do których wkraczali po ich naciśnięciu)... Choć oni z pewnością, tak o nich nie myśleli. Traktowali je jako banalne, metalowy przedmiot tkwiący w drzwiach; jeden z bardzo wielu banalnych przedmiotów...

Przykładem klamek, które mam na myśli, może być ta znajdująca się w drzwiach głównego wejścia do kościoła pod wezwaniem Świętej Rodziny na Karolinie na Suwalszczyźnie. Z tym, że pierwsze pokolenia tych, którzy na nią naciskali stanowili (przede wszystkim) jednowiercy* – świątynia, powstała w połowie XIX w., przez około siedem dekad była bowiem cerkwią. Zaś na początku międzywojnia, po bardzo istotnych przeróbkach architektonicznych (m. in. rozebraniu dwunastu kopuł), i dokonaniu konsekracji, zaczęła pełnić funkcję kościoła rzymsko-katolickiego.

Od wieków klamki są obecne w bezpośrednim otoczeniu człowieka. Zresztą każdy ustawicznie na nie natyka się, a mówiąc dokładniej, naciska na nie. Z tym, że współcześnie nieco rzadziej. A to za sprawą drzwi rozsuwanych ręcznie albo automatycznie (po uprzednim wciśnięciu przycisku lub w wyniku zadziałania czujnika).

Tak długie obcowanie człowieka z klamką, nie mogło pozostać bez wpływu na kulturę, choćby na język. Daje on znać o sobie np. w takich oto wyrażeniach:

„Czepiać się czyichś klamek (zabiegać o protekcję, oparcie u osób utosunkowanych)». Klamka zapadła, zapadnie (stało się coś, czego nie da się cofnąć, odwołać)», Pocałować klamkę (zastać coś zamknięte, odejść z niczym)». Trzymać się pańskiej klamki (żyć, utrzymywać się z taski kogoś wyżej postawionego)», Wieszac się (u) czyichś klamek (wystugiwać się komuś)», Wisieć u czyjejś klamki (być uzależnionym od kogoś stojącego wysoko w hierarchii społecznej lub politycznej)», Wycierać gdzieś klamki (usiłnie o coś, gdzieś zabiegać)» (Słownik frazeologiczny współczesnej polszczyzny; Wydaw. Naukowe PWN, 2002).

Symbolika klamki nie jest bogata. Ale ów przedmiot będący kawałkiem wyprofilowanego, dopasowanego do dłoni metalu, plastiku lub innego materiału, symbolizuje Coś, co dla każdego człowieka winno być bardzo ważne (inną sprawą jest to, że bardzo często tak nie jest). Chodzi o wolność. Klamka jest bowiem jednym z jej symboli (inne to, na przykład, koń, wiatr, miecz), jak też kontroli nad własnym życiem.

Do tego rozmaite senniki podają, że użycie jej we śnie oznacza przygotowywanie się do nowych zadań; trzymanie na niej dłoni – lęk przed powzięciem ostatecznej decyzji; naciśnięcie klamki – podjęcie owej decyzji; zepsuta klamka (tak naprawdę to niesprawny zamek) – niewykorzystana szansa na osiągnięcie sukcesu. Natomiast sen, w którym pojawi się złota klamka, jest ostrzeżeniem: twoje żądze unicestwią cię.

*

Klamki, szczególnie właśnie te wiekowe, mają związek z mnóstwem ludzkich myśli potocznych ściśle z bardzo konkretnymi miejscami. Ci, którzy przybywali do świątyni, prywatnych domów bądź mieszkań, jak również do urzędów, lokali rozrywkowych, niejednokrotnie wiązali z tymi wizytami istotne nadzieje, oczekiwania. A miały one zostać spełnione bądź rozwiane, po znalezieniu się za drzwiami. Wcześniej trzeba było jednak nacisnąć klamkę (niekiedy czynił to ktoś znajdujący się po drugiej stronie drzwi).

Rzecz jasna są ludzie, i jest ich nawet bardzo wielu, którzy kontaktu z minionymi pokoleniami (oczywiście nie dosłownego) nie oczekują. A jeśli nawet oczekują, to nie przyszłoby im do głowy, że naciskanie wiekowych klamek, podobnie jak przyglądanie się starym, bardzo starym fotografiom, na których zostały utrwalone ludzkie postacie, może być formą kontaktu z tymi, którzy byli przed nami (druga forma tego typu kontaktu, jest zdecydowanie częściej praktykowana, jako bardziej oczywista). No ale jeżeli ktoś żyje, tylko i wyłącznie, teraźniejszością, ewentualnie zastanawia się nad tym, co mu przyniesie najbliższa przyszłość, to klamkę będzie traktował wyłącznie jako proste urządzenie umożliwiające wejście do jakiegoś pomieszczenia bądź jego opuszczenie. No cóż...

Na samym wstępie zazaczyłem, że niewiele jest przedmiotów, z którymi, jak z klamką, kontakt miałoby tak wiele ludzkich dłoni. Napisałem: niewiele, ale w przedłużającej się chwili namysłu, żaden inny nie przyszł mi do głowy. Bo nie jest nim, na przykład, książka, widelec, szklanka. I to choćby były bardzo stare. W funkcje, jakie mają do spełnienia, nie jest bowiem wpisany kontakt z nazbyt wieloma ludźmi, nie tylko z ich dłońmi. Nawet wtedy, gdy ma się do czynienia z książkami umieszczonymi w bibliotekach – stare książki rzadko są udośćnianiane, a żywo współcześnie drukowanych, nie tylko tych często czytanych, jest o wiele krótszy. A gdyby wziąć pod uwagę widelce współtworzące, tak jak i szklanki, zastawę stołową w jakiejś restauracji, to nawet w przypadku lokali tego typu z długimi tradycjami, ruchome wyposażenie często ulega wymianie. Chociażby ze względu na zmieniające się mody w tym zakresie, jak również po prostu ich zużycie; nawet gdyby było nieznaczne.



Fot. Dariusz Pawlicki

*

W przypadku klamek ważne jest i to, że umożliwiają korzystanie z drzwi (niekiedy, oczywiście, niezbędny jest klucz). A te są od nich o wiele, wiele większe i cięższe. Symbolizują też zdecydowanie więcej spraw, między innymi, „przejście między jednym światem albo stanem a drugim, między światłem i ciemnością, między znanym i nieznanym, codziennością i krainą tajemnic, światem świeckim i sakralnym, biedą i bogactwem, a zarazem stanowią zaproszenie lub wyzwanie do przejścia przez ich próg; wyobrażają początek, koniec, śmierć, zmianę, ochronę przed niebezpieczeństwem zewnętrznym, obronę tajemnicy przed intruzami; vulwę; gościnność; duszę ludzką” (Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*; Oficyna Wydawnicza Rytm, 2006). Lecz, jak wspomniałem, bez owego bardzo prostego przedmiotu, który nazywa się klamką, owa symboliczna funkcja drzwi nie może być spełniona. Ich wyważenie, absolutnie nie wchodzi w grę, gdyż przez nie należy/trzeba przejść. Tylko wtedy możliwe jest opuszczenie, przykładowo, jednego świata i znalezienie się w drugim...

DARIUSZ PAWLICKI

* Jednowiercy – odłam staroobrzędowców popowców, który przyjął duchownych prawosławnych. W połowie XIX w. podporządkowali się Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej.

Zachowali jednak staroobrzędowcowe odrębności religijne; patrz (poniżej) – staroobrzędowcy.

Staroobrzędowcy (zwani także raskolnikami, a niewłaściwie – starowiercami bądź starowierami) - przeciwnicy zmian wprowadzonych w prawosławiu, w latach 1654-1657, przez Patriarchę Moskwy Nikona. Wkrótce ruch uległ podziałowi na popowców (uznawali ideę kapłaństwa i hierarchii kościelnej) i bezpopowców (odrzucałi jakąkolwiek strukturę kościelną i kapłaństwo sakramentalne). W następnych latach oba odłamy zaczęły podlegać dalszemu podziałowi. Poddawani okrutnym prześladowaniom na terenie państwa moskiewskiego, staroobrzędowcy częściowo wyemigrowali. Osiedlili się m. in. na Suwalszczyźnie, która wówczas należała do Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Lech Landecki

DOBRY PASTERZ

gdy modliłem się
do długonogich stworzeń
kiedy stawiałem ołtarze
pseudo bożkom
rozmieniając się na iluzje
epatowałem publicznie
i głośno: d o mikrofonu
na scenie czy w druku
nie przekreśliłeś mnie
a gdy zostałem ocalony
przed sobą samym
przejrzałem n a oczy
odzyskując godność
tożsamość i misje
odtąd nie mogę
milczeć o Tobie
bo wdzięczność
jest kluczem do
szczęścia
a przebaczenie
do wolności

PARK

skradam się
w poszukiwaniu światła
powalone wichurą konary
ranią idylliczne kadry
i dodają dramaturgii
nie omijam kałuż
ani duchowej burzy
n a Anioł Pański
wyszło słońce
co wcale nie dziwi
po aktach strzelistych
radość i beztroska
kawa z cukierni
wypita nad strumieniem
i w altanie Rilkego
zamykam powieki
nie troszczcie się
o jutro
ptak przysiąda
na poręczy ławki
tak niewiele
a wystarczy

KSIAŻE POKOJU

naucz mnie patrzeć
na innych tak
jak Ty patrzysz
na mnie
Twoje spojrzenie
przywraca mi
wzrok

w postrzępionych chmurach
daremnie wypatrywałem
chórów Anielskich
młody zagajnik kotysał
się miarowo
wiatr wzmagał
spłoszona sarna
czmychnęła
na polnych rozstajach
kroki zawiodły mnie n a
pobliskie wzgórze
zachrobotał klucz
ktoś otworzył wrota kościoła
w świecącej pustkami kaplicy
przygarbiony mnich
nastawiał wahadło zegara
oddychałem bezcenną ciszą
pokora korony cierniowej
kruszyła m e ego
prosiłem o powściągliwość
języka a usłyszałem:
nie czcij Mnie tylko wargami
jeśli nie przylgniesz
do krzyża pozostaniesz
mym wyznawcą
zamiast stawać
się naśladowcą
wyszedłem bez lęku
na powitanie
burzy

pandemia wyostrza
smak doznań
szyje Modiglianiego
rosną w tłumie n a molo
morze wchłonęło
plażę w Orłowie
ubywa nas
zbyt wielu
karmię się tym
na c o wcześniej
nie znajdowałem czasu
malachitowe kadry
wędrówki w czulej
Obecności
wypróbowany w ogniu
wydam owoc
aktywuje aplikację
Otwarte Niebo
w mroku kontemplacji
przełamuję się n a pół
promień z witraża
pnie się wytrwale
i p o cichu

OBIETNICA

rozbuchane mity paryskie
w pogorzeliisku idei
dekada zapominania z a mną
miałaś zaczekać
przy zielonym moście
w snach się nie naprzykrzasz
nie ponaglasz gdyż wiesz
już wszystko a tutaj
wciąż tak wiele zakryte
nigdy nie zakotwicyłem
na Rive Gauche zawsze
po drugiej stronie rzeki
ciemnogrnatowej aorty
przyzywa wątła uliczka tuż
pod zagięciem wyświechtanego
planu miasta w pobliżu
szpital polowy dla grzeszników
dziki park i plac zabaw dla
przedwczesnych aniołów
a pod powieką światłocienie
poklask deszczu
marzenia dopięte na
przedostatni guzik
jeżeli wrócę to tylko
po wiersz
po twój blask odbity
w duszy studni

Ryszard Biberstajn

BULHAKOWA POTYCZKI Z KRYTYKĄ

Archiwum jest bogate. Setki pozótkłych kart A-4, kopie maszynopisów i rękopisy, często na wiotkim papierze przebitkowym. Większość zebrana w teczki, segregatory, niektóre połączzone spinaczami. Ponadto niedokończone zapiski i listy tworzą obraz pasji ich autora.

Minęło 15 lat od jego śmierci w 2010 roku. Zmarł tragicznie w wypadku samochodowym pod Cieszynem. Pochowany został w Kozach k. Bielska-Białej. Miał tylko 52 lata.

Pozostawione przez niego materiały, to głównie autorskie wiersze i tłumaczenia z języka rosyjskiego, m.in. utworów Anny Achmatowej i Michała Bułhakowa, w tym listów, zwłaszcza Bułhakowa, pisanych do instytucji i osób, tworzących strukturę życia w realiach ówczesnej sowieckiej rzeczywistości.

Czesław Kuśmierk urodził się w Wieluniu w roku 1958. Jest autorem tomików wierszy „Apokalipsa milcząca” (Sieradz 1983, Katowice 1990), „Ego song czyli moja smutna piosenka” (Katowice 1991), „Nie zasypiam wiersza” (Katowice 1990, 1991). Kuśmierk przygotował do druku w 1985 r. tom „Ponad okrucy życia”. Nigdy się nie ukazał, istnieje więc tylko w materiałach archiwalnych. Esej poświęcony jego twórczości, głównie poetyckiej, zamieściłem w bydgoskim „Akan-cie” (nr 7/2014 r.).

Prawdziwą pasją Czesława Kuśmierka – obok własnej poezji – była także działalność translatorska z języka rosyjskiego. Był prawdziwym tytanem pracy, jeśli zważyć, że nie był wykształconym rusycystą. Tłumaczył m.in. Fiodora Abramowa, Aleksandra Błoka, Jurija Girenkę, Wieniedikta Jerofiejewa, Sergiusza Michajkowa, Efraima Siewiętę, Abrahama Wulisa, a nade wszystko ukochanych przez Kuśmierka – Annę Achmatową i Michała Bułhakowa. Pośród tłumaczeń z tego ostatniego najwięcej miejsca zajmują listy.

Czesław Kuśmierk

Wiele już w Polsce pisano o związku Bułhakowa z teatrem, o ciernistych drogach jego sztuk¹ do sceny, z których większość szczyła „w przedbiegach”. Gros czytelników jeszcze kilka lat wstecz kojarzyło to nazwisko wyłącznie z powieścią „Mistrz i Małgorzata”, a już mniej liczni z drugą jego powieścią „Biała Gwardia”. Rzadko kto, poza nielicznymi jeszcze wówczas badaczami, uświadamiał sobie dramatyczne oblicze tej postaci, czy choćby tylko rolę sceniczną drugiej z powieści – sztuki „Dni Turbinów”, jaką odegrała w jego życiu.

Najważniejszym bodaj, najbardziej znamienym i zarazem najtragicznym był związek pisarza z legendarnym MChAT-em, który to związek dość umownie można datować na lata 1925-1936. Tutaj, po debiutach prozatorskich tomem groteskowych opowiadań i częścią powieści „Biała gwardia”, rozpoczyna się jego wielka przygoda z teatrem, zarówno jako autora dramatycznego, komediowego, reżysera, a nawet aktora... Przygoda tyleż fascynująca, co tragiczna.

Po sukcesie „Dni Turbinów” kolejnym

¹ Jelena S. Bułhakowa w liście do Stalina z 7 lipca 1946 r. określa ilość sztuk męża liczbą 14.

Większość z nich w krytycznym opracowaniu Kuśmierka złożona została w Beskidzkiej Oficynie Wydawniczej w Bielsku-Białej w 1995 r. Książkę „Serdeczna udręka” wydawnictwo przyjęło do druku, dokonano łamania i byłaby się zapewne ukazała, jednak wydawca dopatrywał się istotnej wady prawnej utworu. Okazało się, że od daty jej pierwszej publikacji w ówczesnym ZSRR w 1981 r. nie minęło 50 lat, a jest to konieczne do wygaśnięcia praw autorskich. Oficyna powołała się na rosyjskie prawo autorskie z 1993 r., według którego czas trwania praw autorskich liczy się dla utworów opublikowanych po raz pierwszy po śmierci autora – przez okres pięćdziesięciu lat od daty ich opublikowania. Książka liczyła po złamaniu 255 stron, była niemal całkowicie edytorsko gotowa (miała też nadany numer ISBN). Tak więc najważniejsze dzieło translatorskie Kuśmierka, efekt kilkuletniej pracy, zwieńczone zostało rozwiązaniem umowy wydawniczej w początku 1997 r. i nigdy nie ujrzano światła dziennego.

Z Beskidzką Oficyną Wydawniczą Kuśmierk miał roboczy kontakt już wcześniej, bo w 1995 r. ukazała się w niej w jego tłumaczeniu niewielka książeczka dla dzieci Sergiusza Michajkowa „Nie płacz, koziołku”.

Druga z miłości Kuśmierka, Anna Achmatowa, zaowocowała licznymi przekładami jej poezji, w tym zmierzaniem się ze słynnym „Requiem”. Powstała także autorska dwuaktowa sztuka teatralna „Achmatowa”.

Poniżej znajdują się dwa teksty. Pierw-

szy z nich jest wprowadzeniem dokonanym przez Czesława Kuśmierka do przemówienia Michała Bułhakowa, jakie ten wygłosił w Teatrze Wsiewołoda Meyerholda 7 lutego 1927 roku (w dniach 1-7 lutego 1927 r. w Teatrze Meyerholda odbywała się dyskusja z okazji wystawienia sztuk „Dni Turbinów” Michała Bułhakowa i „Lubow Jarowaja” Konstantina A. Treniewa).

W omówieniu czytelnik poznaje kontekst, z którego wynika owo wystąpienie pisarza. Po tym wstępie następuje tekst wspomnianej przemowy.

Publikowane tu materiały mogą stać się przyczynkiem do poszerzenia wiedzy o kondycji kultury literackiej i teatralnej w międzywojennej sowieckiej Rosji. Mowa Bułhakowa wygłoszona w Teatrze Meyerholda jest przykładem na to, z jakimi trudnościami borykał się pisarz w totalitarnym systemie, z niejasnymi regułami rządzącymi w sferze kultury. Na tle całego życia Bułhakowa jest to może niewiele znaczący element, jednak przemówienie to daje wgląd w niuanse „ręcznego sterowania” w tej dziedzinie życia społecznego ówczesnego państwa. Z dzisiejszej perspektywy także ważny jest wątek o budzącej się świadomości narodowej Ukraińców, w przemówieniu zasygnalizowany wzmiankami o Skoropadskim i petliurowcach.

Poniższe teksty ukazują się po dokonaniu niewielkich skrótów i poprawek redakcyjnych.

RYSZARD BIBERSTAJN

MICHAŁ BULHAKOW W TEATRZE ARTYSTYCZNYM

utworom scenicznym („Mieszkanie Zojki”, „Molière, czyli zmowa świętoszków”, „Iwan Wasiljewicz”, „Puszkin – ostatnie dni”, „Don Kichot”, „Szkaraćna wyspa”, „Adam i Ewa”, „Bieg”) towarzyszyła społeczna nieakceptacja, podsycana coraz zajadlejszymi opiniami prasy, będącej na usługach, między innymi, Głównego Komitetu Repertuarowego). Ataki na autora – „wroga ustroju socjalistycznego” – nie ustawały, mimo przychylnych opinii wybitnych znawców ówczesnej dramaturgii w ZSRR (Konstantin Stanisławski, Władimir Niemirowicz-Danczenko) i poza jego granicami. Nie mógł reagować na niszczącą się krytyki, mimo że miał za sobą sporą praktykę dziennikarską. Żadne pismo nie odważyłoby się przeciw opublikować najbardziej przekonującej polemiki z plugawą recenzją dajmy na to A. Litowskiego (szefa Głównego Komitetu Repertuarowego).

Nie można go było jednak tak naraz złamać. W chwilach bezradności zawsze starał się znaleźć jakieś wyjście. Począł

więc pisać listy do władz, w tym Stalina. Na jeden z nich² Stalin odpowiedział osobistym telefonem. Był to jednak kapryśny, „ulubiony gest wodza”, który wprawdzie zapewnił mu upragnioną i bezskutecznie wypraszaną posadę etatowego reżysera oraz dodał wiele otuchy, ale ogólnej sytuacji wokół jego sztuk nie zmienił. Nie zmienił także „jego prasy”.

Bułhakow padł również ofiarą grabieży praw autorskich poza granicami kraju. Głównym jednak tupieżcą jawi się były wydawca czasopisma „Rossija” Zacharij Kaganski, który przez wiele lat bezprawnie „eksploatował” sztuki Bułhakowa, sztyżąc przy tym i kpiąc bezkarnie z osaczonego autora. Ten zaś, doceniając swoich przeciwników, nie porywał się na nich w pojedynkach prasowych. Za pośrednictwem doświadczonych prawników zamierzał wykorzystać przeciwko nim całą moc prawną. Ale i tu doznał gorzkiego rozczarowania, ponieważ wówczas pomie-

² List M. Bułhakowa do Rządu ZSRR z 28 marca 1930 r.

dzy ZSRR a krajami europejskimi nie było żadnej konwencji; wydawanie utworów, jak również ich inscenizacja, nikomu zabronione być nie mogły. Tak więc sprytni szalbierze wykradali, bądź podstępnie, nawet drogą szantażu, wyłudzały utwory od Bułhakowa, dokonywali ich przekładów na język danego kraju (głównie w Paryżu i Berlinie) i wydawali je, nabywając w ten sposób, na podstawie Konwencji Berneńskiej, „legalne” prawa autorskie.

A do MChAT-u garnął się Bułhakow jak ćma do płomienia, bo było to miejsce, gdzie sztuka przedzierata się przez stęchtą codzienność i „niedostatki organizacyjne”, budziła i wydobywała na światło dzienne jego talent dramatyczny. Przy tym stanowczo i zapamiętałe bronił swojej twórczej tożsamości. Bronił także niezawisłości tekstów swoich utworów dramatycznych, lecz ponad wszystko walczył o ich zaistnienie. Niemal jak jego Molier – gotów był „lizać” królewski but, żeby uratować swoją sztukę. Nigdy nie był to jednak ślepy upór ani bezgraniczna służalcza uległość. Wydawało się, jakby rozporządzał jakimś charyzmatycznym środkiem perswazji. Dokonywał wielu przeróbek, zmian; wszak często bardziej dla pozorów, niżli z przekonania. Przyjmował niezbyt satysfakcjonujące go warunki, zadawał się lichwiarskimi honorariami po to tylko, aby ujrzeć swe dzieło na scenie. Kiedy jednak dostrzegał, że granica rozsądnego kompromisu mogłaby zostać przekroczona, stawał na swoim – i wtedy, o dziwo, teatr ustępował.

Doświadczał jednak w teatrze, jak rzadko który autor, stałej niechlubnej praktyki – interwencji w tekst. Tak było z debiutanczką „Białą Gwardią”, której nawet tytuł pod

naciskiem teatru musiał przemianować na „Dni Turbinów”. Bywało tak również z wieloma innymi sztukami, w tym także z komedią „Iwan Wasiljewicz”, pisaną tym razem na zamówienie Teatru Satyry. Niedogodność taka osiągnęła apogeum podczas niemal pięcioletniej pracy nad sztuką „Molier”. Precedens ten, a dokładniej konflikt ze Stanistawskim, tak bardzo oddalił Bułhakowa od Teatru Artystycznego, że ów prawie go znienawidził. Niebawem podjął dramatyczną decyzję odejścia z MChAT-u. Nie chciał być wyrobnikiem na tym „cementarzysku jego sztuk”.

Wszak poza teatrem nie było już dla niego życia. Związał się wkrótce z Wielkim Teatrem Dramatycznym. Posada librecyści nie następczała mu tylu trudności, nie przynosiła tak wielu rozgoryczeń, choć nie była jego prawdziwym żywiołem. Był tu jednak powszechnie lubiany i szanowany.

MChAT nie zapomniał swojego „drogiego mchatowca”. Sam teraz zabiegał o wystawienie jego utworów – a szczególnie o inscenizację sztuki „o młodym Stalinie”. Wiele serca i wysiłku włożył Bułhakow w pracę nad sztuką „Batumi”, zważasz, że pisał ją przeciw w początkowym stadium swojej zdradliwej choroby – w przeczuciu nieuchronnego końca. Przepowiedział w niej losy swojego narodu na dwadzieścia lat naprzód.

Latem 1939 r. MChAT wydelegował dwóch przedstawicieli (asystenta reżysera i zastępcę kierownika literackiego) pod kierunkiem Bułhakowa w celu uzgodnienia warunków inscenizacji sztuki w Tbilisi. Niestety trud okazał się daremny. W sierpniu tegoż roku „wyrokiem” samego Stalina sztuka została zakazana.

Czytelnik rosyjski od lat ma rzadką okazję zapoznania się z bułhakowskim „romansiem życia” – zbeletryzowanej opowieści historycznej Anatolija Smielanskiego³ o związkach Bułhakowa z Teatrem Artystycznym i innych życiowych okolicznościach, wszelako niepozbawionych żarliwej miłości do teatru. Ostatnio zaś otrzymał do rąk bardzo ważny i cenny zbiór dokumentów i artykułów krytycznych⁴, a także pierwszy obszerny zbiór dokumentów biograficznych, listów i korespondencji⁵.

Polski czytelnik niestety ma do dyspozycji fragmenty przekładów tylko niektórych z tych fascynujących lektur, bądź ledwie recenzje lub wzmianki o nich, rozproszone w czasie po wielu periodykach. Ale na szczęście może sobie nieco zrekompensować ten niedostatek lekturą zbeletryzowanej kroniki życia teatralnego MChAT-u; farsą przez trzy pióra samego Bułhakowa – „Powieścią teatralną” – swoistym teatralnym credo pisarza, rozważaniami nad pojęciem teatralności, czy wreszcie rozrachunkiem z MChAT-em; ostatnim wielkim wylewem jego autobiograficznej prozy – prozy groteskowej, szczerej, sarkastycznej, tkliwej.

Prezentowane wystąpienie Bułhakowa w Teatrze Wsiewołoda Meyerholda wzbogaca ten przypadkowy dorobek przekładowy.

Jak już wspomniano, osaczony autor zasadniczo pozbawiony był możliwości publicznej obrony na łamach. Raz wszakże nadarzyła mu się sposobność wygłoszenia mowy z teatralnej „trybuny” w obronie swojej sztuki „Dni Turbinów”. Wykorzystał tę okazję, jak się czytelnik zaraz przekona, w iście bułhakowskim stylu.

CZESŁAW KUŚMIEREK

Czesław Kuśmerek

WYSTĄPIENIE MICHAŁA BUŁHAKOWA W TEATRZE WSIEWOŁODA MEYERHOLDA 7 LUTEGO 1927 ROKU

Proszę mi wybaczyć, że domagałem się dopuszczenia mnie do głosu, ale właśnie mój przedmówca przyczynił się do tego, że przyszedłem tutaj na estradę.

Mój przedmówca stwierdził, że nepman¹ chodzą na „Dni Turbinów” po to, żeby popłakać, a na „Mieszkanie Zojki” – żeby się pośmiać. Nie chcę tu dyskutować i nie zajmę wiele Państwa uwagi po to, aby w czymś tam utwierdzać tow. Orlińskiego, ale ten człowiek, jego osoba pobudza we mnie już tak przez kilka miesięcy – dokładnie od 5 października 1926 r., dnia dla mnie pamiętnego, ponieważ był to dzień premiery „Dni Turbinów” – pragnienie wypowiedzenia dwóch zdań. Słowo honoru, że nigdy nie widziałem, nie czytałem żadnej jego recenzji, w szczególności recenzji o moich sztukach, ale w końcu zapragnąłem zobaczyć się z Państwem, aby powiedzieć o jednej ważnej, a prostej rzeczy – chodzi o to, że kiedy się krytykuje, kiedy się analizuje jakiegoś sprawę, można mówić i pisać wszystko, co ślina na język przyniesie, oprócz rzeczy jawnie nieprawdziwych, czy tych, które są absolutnie nieznanne. Otóż o tym po prostu chcę powiedzieć, żeby uchronić tow. Orlińskiego w końcu od ujmującej skłonności wygłaszania w wystąpieniach rzeczy mu nieznanych i wprowadzania przez to w błąd publiczności, która go słucha.

Problem tkwi w tym, że każdorazowo,

kiedy on występuje osobiście czy też na łamach z krytyką mojej sztuki, wygłasza rzeczy, których nie ma, na przykład przejęczył się w tych słowach: „autor i teatr panicznie zmieniali tytuł sztuki”. Otóż w odniesieniu do autora nie jest to prawdą. Za teatr, naturalnie, zupełnie nie podejmuję się mówić, czy działał pod wpływem paniki – nie wiem, ale zdecydowanie i z całą pewnością mogę powiedzieć, że takiej nie ulegał i nie ulega autor „Turbinów”, a już najmniej z powodu pojawienia się na estradzie tow. Orlińskiego. Nie zmieniałem w popłochu tytułu. Dobrze znam autora „Turbinów”. Niezawodnie wiem, że autor domagał się zachowania pierwotnego i podstawowego tytułu sztuki „Biała gwardia”. Tytuł został zmieniony, jak to wiadomo autorowi „Turbinów” – a ma on większe czy mniejsze rozeznanie – a więc zmieniono go po konsultacji z nim samym, i to ze względów czysto artystycznych, przy czym autor nie zgadzał się z tymi opiniami i protestował. Teatr jednak okazał się silniejszy od niego, przedstawił mu argumenty czysto teatralne, a mianowicie, że tytuł „Biała gwardia” jest nieodpowiedni dla sztuki, bowiem nie ma w niej wątków, które

byłyby adekwatne do tych słów. Ostatecznie teatr ustąpił i powiedział: „Nazywajcie jak chcecie, tylko grajcie”. To po pierwsze. Jest także pewien bardzo ważny drobiazg i dla czegoś to krytyk Orliński przytacza go z zupełnie zdumiewającą pewnością? Ten drobiazg jest wyjątkowo znamieny, charakterystyczne jak wszystko, co pisze i mówi Orliński. Ten maleńki szczegół w sztuce dotyczy się ordynansów, robotników i wieśniaków. Powiem o wszystkich trzech typach. Najpierw o ordynansach. Ja, autor sztuki „Dni Turbinów”, przebywający w Kijowie w czasie hełmańszczyzny i petlurowszczyzny², który widziałem z wnętrza miasta białogwardystów za kremową zasłonką, jestem przekonany, że ordynansów wtedy w Kijowie, to znaczy wówczas, kiedy dzieje się akcja mojej sztuki, nie można było uświadczyc. To znaczy, przy całym moim pragnieniu przedstawienia tych ordynansów, nie mogłem tego uczynić, choćbym nawet bardzo chciał. Ale powiem więcej; jeśli bym nawet przedstawił tego ordynansa, to zapewniam Państwa, a wiem to z całą pewnością, że i tak nie zadowolilibym pana Orlińskiego.

² Patrz przypis 9.

¹ Termin z wczesnego ZSRR, określający prywatnych przedsiębiorców, handlowców i rzemieślników, którzy rozwinęli się dzięki Nowej Polityce Ekonomicznej (NEP), wprowadzonej przez Lenina w 1921 roku. (Przyp. RB).

Zabrałem tutaj głos i ma się rozumieć, że nigdy więcej nie wystąpię, nie po to, żeby wzniecać namiętności, lecz po to, aby wydobyć w końcu tę prawdę, która mnie męczy już kilka miesięcy, a też dreczy krytyka Orlińskiego. Przytoczę w wielkim skrócie dwie sceny z ordynansem: jedną napisaną przeze mnie, drugą przez Orlińskiego. Ja bym tak napisał: „Wasyl, zostaw samowar” – mówi Aleksy Turbin. Ordynans odpowiada: „Tak jest” – i znikł ordynans na cały dalszy ciąg sztuki. Orlińskiemu potrzebny był inny ordynans. Oto jak bym to określił: Aleksy Turbin, dobry człowiek, bynajmniej nie począłby pracować ordynans czy stanowczo gnąć na cztery wiatry – ot, co interesowałoby Orlińskiego. Można postawić pytanie, po co w sztuce potrzebny ten zupełnie zbędny, jakby powiedział Czechow, szczeniak? Trzeba go było utopić. To utopiłem ordynansa. I zaznałem przez to nieprzyjemności. Dalej mówię Orliński o służbie i robotnikach. Jeśli idzie o służącą, gdzieś chyba w październiku doprowadzono mnie do białej gorączki – w czasie zaplanowanej premiery „Dni Turbinów” – też nie bez udziału pana Orlińskiego. Reżyser mi mówi: „Powinieneś wprowadzić tę służącą”. Powiadam mu na to: „Zmiłuj się pan, co ja z nią mam zrobić? Przecież ze sztuki z moim osobistym udziałem powyrwane całe potacie, a to dlatego, że ich inscenizacja przekraczała możliwości sceny i że ostatnie tramwaje jadą o północy”. Doprowadzony w końcu do białej gorączki, napisałem zdanie: „A gdzie Aniuta?” – „Aniuta wyjechała na wieś”. Otóż chcę powiedzieć, że to nie anegdota. Mam egzemplarz sztuki i jest w niej ta fraza, odnosząca się do służącej. Osobiście uważam ją za historyczną.

Teraz ostatnia kwestia – o robotnikach i wieśniakach. Sam widziałem i znam inne tło, inne style. Tego strasznego 19-go roku widziałem w Kijowie bardzo niezwykle, zupełnie niewyobrażalne i myślę mało znane Moskwičanom tło, o którym krytykowi Orlińskiemu nawet się nie śniło. Widocznie nie zaznał osobiście sensu tamtego czasu,

a sens zawarty jest w takim oto obrazie. Jeśli posiedzieć w tym kręgu pod panowaniem Skoropadskiego³, oficerów, uciekającej inteligencji, to staje się zrozumiałe bolszewickie tło, ta straszliwa siła, która napierała na Kijów z północy i wypędzała stamtąd skoropadszczyków. A sęk w tym, że w powieści łatwiej wszystko odtworzyć, ma się nieskończoną ilość stronicy, zaś w sztuce jest to niemożliwe. Autor „Dni Turbinów” pozbawiony jest panicznego nastroju, znam tego autora bardzo dobrze; zmienił tło po prostu dlatego, że nie wyczuwał jego stylu, trzeba tu było zaprezentować tylko dwie siły – petlurowców⁴ i białogwardzistów, którzy liczyli na Skoropadskiego. Nic ponadto, dlatego kiedy krytycy się rozpisali, zebrałem masę recenzji, w niektórych z nich pod maską petlurowców widziano bolszewików. Z całkowitą otwartością mogę sumiennie zapewnić, że mogłem w jak najdoskonalszym świetle przedstawić i bolszewików, i ich zaprzeczenie, jednak sztuka by się nie udała, a z uporem powtarzam, że według wytyczonego przez autora „Turbinów” celu należało przedstawić tylko sam konflikt pomiędzy białogwardzistami i petlurowcami – i nic ponadto.

Teraz już na sam koniec powiem o rzeczy najważniejszej. Przed chwilą krytyk Orliński uczynił rzecz zupełnie niedopuszczalną: wziął moją powieść i począł cytować, jak sądzę, po to, żeby wykazać Państwu, że sztuka z politycznego punktu widzenia jest zła. To przecież oczywiste i zrozumiałe, ale dlatego na przykład wmawiał Państwu stąd, z estrady, że niby to Aleksy Turbin, który w powieści jest lekarzem, w sztuce przed-

stawiony jest jako pułkownik. Rzeczywiście w powieści Aleksy jest lekarzem, mało tego, jest tam bardziej prozaiczny, bardziej się upodabnia do nepmanów, którzy do wszystkich wydarzeń odnoszą się w taki sposób, żeby nie stracić pozycji, ale mimo wszystko myślą się ci, którzy rozmyślnie opowiadają nieprawdę, że ten, kto jest przedstawiony w mojej sztuce jako pułkownik A. Turbin, to nie kto inny, jak przedstawiony w powieści pułkownik Naj-Tursa, niczego wspólnego z lekarzem w powieści niemający. A więc albo tow. Orliński nie czytał powieści, a jeśli czytał, to w takim razie świadomie wprowadza w błąd całe audytorium.

Nawet nie mając przed sobą tekstu powieści mogę dowiedzieć, że to jedna i ta sama postać: zdanie, po którym umiera A. Turbin, to zdanie pułkownika Naj-Tursa w powieści. Doszło do tego znowuż z czysto teatralnych i głęboko dramaturgicznych względów; dwie czy trzy postacie, w tym i pułkownik, zostały zespolone w jedną dlatego, że sztuka może trwać tylko trzy godziny, do ostatniego framwaju. Nie można tam wszystkiego inscenizować w całości.

Więc występuję nie po to, żeby podejmować polemikę, ale żeby powiedzieć, że bardzo często rozgłasza się wiadomości nieprawdziwe. Nie mam nic przeciwko temu, żeby sztuki były łajane, jak się komu żywnie podoba. Przywykłem do tego, ale chciałbym, żeby rozpowszechniano informacje dokładne. Jestem przekonany, że krytyk Orliński absolutnie nie zna wydarzeń roku 1918, które są opisane w mojej powieści.

Dalej znowuż tow. Orliński nieprawidłowo cytuje moją powieść i wysuwa zupełnie nie do przyjęcia żądanie w stosunku do sztuki, w odniesieniu do ordynansów i służących itd.

To mniej więcej wszystko, co chciałem powiedzieć, nic ponadto.

(Przekład Czesława Kuśmierka za publikacją w czasopiśmie „Ogoniok”, 1969, nr 11.)

(OPRAC. RYSZARD BIBERSTAJN)

Park w Dusznikach 2



* * *

Gdy Szatan piruety kręci

Mgła przyćmiła Świat
w nicość wymiotła ogrody
i idyllę istnienia
APOGEUM
Cisza...
Z nieba z traskiem spadły
kryształy łez i czarne perły kul
Pomruk nadciągającej burzy
Zgrzyt gąsienic
Strach w konwulsjach grozy...
Cisza...
Koszmarne sen
Czy jawa mgłą spowita

Z piekielnych czeluści
Przebłąski światła (?)

(18.02.2022, 6 DNI PRZED WOJNĄ)

Przebłąski pochłoneły czeluści
niebo w strzępach
broczy krwią

Русский военный корабль, иди на хуй
он не пошел

Nadal kręci piruety
Miażdży
zgrzyt gąsienic
ryk syren
молодцы гвалца
jęk matek córek i żon

sen
nie
jawa chaos i twoga

Chłopców nie bawią śmigielka
papierowych samolotów na gumkę
Wolą czerwony guzik

Pilot Герой nie widzi
krwi spływającej z konających ruin
humanitarny guzik do
bezzałogowych dronów

Szatan przejmuje stery Świata
W szalonym wirze
guzik dron kasetony
guzik dron
guzik...

Sztuczny Bóg
knuje nową Riwierę
dla lepszych tego Świata

Szkopuł
tam żyją Ludzie
Nowy strach konwulsje grozy
wir
guzik dron kasetony
guzik dron
guzik...
(?)

*DANUTA ROMANA SŁOWIK (KWIECIEŃ 2026.
UKRAINA WALCZY JUŻ PIĄTY ROK)*

Roberto Bolaño

AMBERES (CZĘŚĆ 3)

Przełożył z j. hiszpańskiego Grzegorz BAZYLAK

[41.] NĘDZARZ BUM. Pamiętam jedną noc na stacji kolejowej Merida. Moja dziewczyna próbowała zasnąć w śpiworze, a ja czuwałem obok z nożem w kieszeni kurtki. Nie pamiętam, abym coś czytał. Tak czy inaczej, tak czy siak... Pojawiły się jakieś słowa, całe frazy, to znaczy, nawet nie zamknąłem oczu, ani nie starałem się zmusić do myślenia, właśnie wtedy pojawiły się te frazy i zdania, dosłownie, jak świeczące reklamy w środku pustej poczekalni. Po drugiej stronie, na podłodze, spał jakiś nędzarz, a obok mnie spała moja dziewczyna, tylko ja nie spałem na tej pogrążonej w ciszy, odróżniającej stacji kolejowej Merida. Moja dziewczyna oddychała jednostajnie w czerwonym śpiworze i to mnie uspokoiło. Włóczęga czasem chrapał, czasem mówił przez sen, widać było, że nie goił się od wielu dni i używał swojej kurtki jako poduszki. Lewą ręką ostaniał klatkę piersiową. Frazy i zdania pojawiały się, wyglądały jak paski wiadomości na telewizyjnym ekranie. Białe litery, niezbyt jasne, na środku tej poczekalni. Buty włóczęgi stały obok jego głowy. Jedna z jego skarpetek była pełna dziur. Moja dziewczyna kręciła się czasami. Drzwi wyjściowe ze stacji na ulicę były żółte, ale w niektórych miejscach farba miała ponury wygląd. To znaczy, te odbarwienia były niewielkie, ale jednocześnie tworzyły taki wzór, że mnie to absolutnie przynębiało. Zastanawiałem się, czy włóczęga może być niebezpieczny. Znowu te słowa, zdania, frazy. Wciąż ścisnąłem nóż w kieszeni i czekałem na następne zdanie. W oddali usłyszałem gwizd pociągu i tykanie zegara na stacji. Jestem uratowany, pomyślałem. Byliśmy w drodze do Portugalii, a wydarzyło się to jakiś czas temu. Moja dziewczyna oddychała. Włóczęga zaproponował mi koniak z butelki, którą miał w torbie. Rozmawialiśmy przez kilka minut, a potem milczeliśmy aż do rana.

[42.] CZYSTA WODA NA DRODZE. Co jeszcze przed nami. Wiatr w drzewach. Wszystko jest projekcją (wymysłem) opuszczonego (samotnego) dziecka. Idzie samotnie boczną drogą. Jego usta poruszają się. Widziałem grupę ludzi, którzy otwierają usta, ale nie mogą mówić. Krople deszczu ściekają z gałęzi sosny. Ktoś biegnie po lesie. Nie możesz zobaczyć jego twarzy. Tylko plecy. Czysta przemoc. (W tej scenie autor filmu pojawia się z rękami na biodrach i ogląda coś poza ekranem.) Wiatr i deszcz między drzewami, jak kurtyna szaleńców. Wiatr wieje, jak duch na bezludnej plaży: podnosi mu piżamę, popycha go na piasek, aż nagle on znika w trakcie ataku astmy lub długiego ziewnięcia. „Jak strącona rakietka”... „W ten poetycki sposób powiedziałeś, że nie lubisz bocznych uliczek oświetlonych przez radiozwozy”... „Melodyjny głos sierżanta z galijskim akcentem”... „Chłopczy w twoim wieku, których zadawała tak niewiele”... „To wielka szkoda”... „Jest taki rodzaj tańca, który kończy się pocałunkiem”... Kałuże wzdłuż drogi. Widziałeś pod drzewami mężczyznę leżącą na ziemi, a ty biegłeś dalej. Pierwsze dzikie jeżyny w sezonie. Podniecone, zmrużone oczy, które czekają, aby Cię spotkać.

[43.] JAK WALC. W pociągu siedzi samotna dziewczyna. Wygląda przez okno wa-

gonu. Na zewnątrz wszystko wydaje się od siebie całkowicie oddzielone: pola uprawne, lasy, biel domów, miasta, przedmieścia, wysypiska śmieci, fabryki, psy i dzieci machające na pożegnanie. Pojawia się Lola Muriel. Jest sierpień 1980 roku. Wyobrażam sobie twarze ludzi, którzy otwierają usta i nie mogą mówić. Próbują, ale nie mogą. Ich niebieskie oczy wpatrują się we mnie, ale wciąż nie mogą mówić. Potem idę hotelowym korytarzem. Budzę się obłany potem. Lola ma niebieskie oczy, leży przy basenie i czyta opowiadania Edgara Allana Poe, podczas gdy inne dziewczyny rozmawiają o piramidach i dżunglach. Wydaje mi się, że chodzę w deszczu po okolicy, którą dobrze znam, a przecież nigdy tam nie byłem. Idę pustym korytarzem. Widzę twarze ludzi z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, które nie potrafią mówić. Budzę się złany potem. Czy to sierpień 1980 roku? Czy to dziewczyna, osiemnastolatka z Andaluzji? Czy oszalał z miłości nocny stróż?

[44.] NIGDY WIĘCEJ SAM. Cisza unosi się nad podwórkami, nie zostawia po sobie śladu na żadnej ze stron, nad którymi później będziemy pracować. Cisza odczytuje donosy, siedząc okrakiem na balkonach. Ptaki lubią zgryzanię w gardle, kobiety lubią niskie głosy. Ja nie chcę znowu prosić o tę całą wyjątkową, nieprzemijającą lub bezwarunkową miłość. Cisza przenika puste korytarze, nikt już nie jest w stanie słuchać radia. Cisza jest miłością, tak samo, jak twój zachrypnięty głos jest ptasim śpiewem. Zmęczenie pracą nie może usprawiedliwić braku aktywności oraz wynajdywania kolejnych przeszkód. Napisałem „bezimienna dziewczyna”, a widziałem w oknie radio, dziewczynę siedzącą w przedziale pociągu. Dziewczyna była skrępowana sznurem, pociąg wolno przesuwiał się. Kończył bieg. Wszystko wpadało w objęcia skrzydlatej ciszy, od pulchnej dziewczynki, która bała się wejść do basenu, aż do tkwiącego tam wieloryba. Jej ręka wyłączyła radio... „Widziałem kilka szczęśliwych małżeństw - cisza buduje rodzaj podwójnego zwycięstwa, zaparowane szyby, imiona pisane na nich palcem”... „Może daty, ale nie nazwiska”... „Zimą”... Scena na filmie z policjantami pędzącymi do szarego budynku, słysząc strzały, przez radiotelefony wzywając wszystkich na górę. Ekran zaciemnia się. Czulości starej dziwki, płaszcz srebrzystej ciszy. Ja już nie proszę o to, by świat stał się pustynią, ale aby czasem być pustelnikiem. Znowu strzelają. Zwroty typu: „Straciłem nawet poczucie humoru”, „Tyle samotnych nocy”, przypominają mi o znaczeniu odosobnienia, wzywaniu się do wewnątrz. Nic nie zostało napisane. Cudzoziemiec, nieruchomy, wyobraża sobie, że jest martwy. Wieloryb drży w pustym basenie. Znalazłem most w lesie. Błyskawica niebieskich oczu i blond włosów... „Przez chwilę tak, ale nigdy więcej zawsze sam”...

[45.] OWACJE. Twierdziła, że uwielbia pracowite dni. Spojrzałem w górę na niebo. „Pracowite dni”, a także owady i chmury, które podlatywały do krzewów. Dowodem mojej miłości dla ciebie jest doniczka z kwiatami, którą zostawiłem na leśnej polanie. Dla-

tego wracałem tam, jak ogłupiały motyl do siatki. Dziewczyna powiedziała: „katastrofa”, „konie”, „wycinka chwastów”, i odwróciła się do mnie plecami. To było wymowne. Jak popołudniowe cykanie świerszczy w opuszczonych domach. Przymknąłem oczy, zapuszczali hamulce i policjanci wyskoczyli ze swoich samochodów. „Obserwuj okna.” Bez żadnych wyjaśnień dwóch z nich podeszło do drzwi krzycząc „policja”. Reszty prawie nie słyszałem. Zamknąłem oczy, świerszcze cykały, jacyś chłopczy zginęli na plaży. Ich ciała były zagadkowo podziurawione. Hamulce znowu zapuszczali i policjanci wyszli. Jest w tym coś nieprzychylnego, stwierdził medyk, kiedy nikt go nie słyszał. Chyba już nigdy nie wrócę na tę leśną polanę, żeby tam spędzić popołudnie, nie z kwiatami, nie z siatką na motyle, nie z pieprzoną księżką. Otworzył usta, ale przecież autor tego filmu nie mógł niczego słyszeć. Wstuchiwał się w ciszę, a potem pomyślał: „ta sprawa nie ma znaczenia”, „konie”, „blady sierpniowy księżyc”. W oddali ktoś owacyjnie zaklaskał. Powiedziałem sobie, że właśnie spotkało mnie szczęście.

[46.] TANIEC. Na tarasie baru tańczą tylko trzy dziewczyny. Dwie są szczupłe i mają długie włosy. Trzecia, jest pulchna, ma krótkie włosy i chyba jest stuknięta... Facet, którego ściga Colan Yar, zniknął jak komar zimą... Tak sobie myślę, że chociaż w ziemie komarów nie ma, to jednak wszędzie pozostały po nich jaja... Trzy szczęśliwe, pracowite dziewczyny... 7 sierpnia 1980 roku... Facet otworzył drzwi do swojego pokoju, włączył światło... Przerazenie pojawiło się na jego twarzy... Zgasił światło... Nie bój się mnie, chociaż historie, które muszę ci powiedzieć są takie smutne, nie lękaj się...

[47.] NIE MA ZASAD. Wielkie nieporozumienie. Anonimowa dziwka wraca na scenę opuszczonego kempingu. Opustoszały bar, pusta recepcja, opuszczone rekreacyjne działki. To jest twoje miasto duchów na Dzikim Zachodzie. Powiedziała: w końcu zniszczą nas wszystkich. (Nawet te ładne dziewczyny?) Pomimo jej przynębiania, roześmiałem się. Podwójnie obawiałem się o siebie, bo nie mogłem powstrzymać się przed tym, aby zakochać się przynajmniej raz w roku. Przejmowałem dziedzictwo przenośnych szaleństw, tanich przedruków, wymiotujących dzieci, podczas gdy stuknięta dziewczyna tańczyła na cichym tarasie. Jestem na skraju załamania nerwowego, biała maska medyczna na ustach zakrywa to, co teraz piszę. Tylko tyle. Zawsze ta pieprzona maska, chirurgiczna maseczka. Reszta to biedny Bolaño piszący na postoju. „Samochody policyjne z włączonym radiem: spada na nich bezużyteczny deszcz informacji z każdej dzielnicy miasta, które patrolują.” „Anonimowe donosy, subtelne groźby, ale oni czekają na coś, co będzie prawdziwe.” „Moja droga, teraz mieszkam w turystycznym miasteczku, ludzie są opaleni, każdego dnia jest słonecznie.” Nie ma żadnych reguł. („Powiedziałem sobie wreszcie, ten głupi Arnold Bennet, przecież te wszystkie jego zasady dotyczące tworzenia fabuły mają zastosowanie tylko do powieści będących kopiami innych powieści.”)

I tak dalej, i tak dalej. Ja też uciekam przed Colan Yar. Pracowałem z upośledzonymi ludźmi na kempingu, zbierałem ananasy, uprawiałem pola, rozładowywałem statki. A wszystko kierowało mnie w to miejsce, na tę pustą działkę, gdzie nie mam już nic do powiedzenia... „Przynajmniej jesteś z pięknymi dziewczynami”... „Powiedziałbym, że jedyną piękną rzeczą jest tutaj język”... „I myślę o tym w najbardziej dosłowny sposób”... (Oklaski, owacje).

[48.] LA PAVA CZYLI PRZYDROŻNY BAR NA CASTELLDEFELS. (Oprócz mnie, każdy zjadł więcej niż jedno danie albo zjadł przynajmniej jedno danie, które kosztuje więcej niż 200 peset). Droga Liso, kiedyś przez ponad godzinę rozmawiałem z tobą przez telefon, a ty, nie zdając sobie z tego sprawy, rozłączyłaś się. Dzwoniłem z budki telefonicznej na Calle Bucarell, na rogu Reloj Chino. Teraz jestem w barze na katalońskim wybrzeżu, boli mnie gardło i jestem bliski załamania. Włoska dziewczyna powiedziała, że wróci do tej pracy w Mediolanie, nawet jeśli jej nienawidzi. Nie wiem, czy cytowała Cesare Pavese, czy naprawdę nie miała ochoty tam wracać. Myślę, że pójdę po antybiotyki do pielęgniarki na kempingu. Sytuacja zmienia swój obrót. Widzimy bezludną plażę o ósmej rano, ogromne pomarańczowe chmury, grupę pięciu osób, które idąc gęsiego, oddalają się. Zakrywają ich kłęby piasku, który podnosi wiatr.

[49.] ANTWERPIA. W Antwerpii zginął mężczyzna, ponieważ samochód osobowy, który prowadził, został potrącony przez ciężarówkę pełną tuczniaków. Wiele świń także wtedy straciło życie, ponieważ ciężarówka przewróciła się i oszalałe zwierzęta rozbiegły się po autostradzie, a jeszcze inne uciekały stamtąd najszybciej jak mogły... „Zgadza się, kochanie, facet nie żyje, świnie biegały wokół niego”... „W środku nocy, na ciemnych drogach Belgii lub Katalonii”... „Rozmawialiśmy godzinami w barze Las Ramblas, było lato, a ona mówiła bez przerwy, jakby od dawna z nikim nie rozmawiała”... „Kiedy

skończyła, dotknęła mojej twarzy, jakby była niewidomą kobietą”... „Świnie kwiczały, piszczały”... „Powiedziała, że chce być sama i chociaż byłem pijany, zrozumiałem ją”... „Nie wiem co, ale jest coś takiego w gotym tyłku, a dziewczyny, które lubię są jak muchy, chociaż nie o to mi chodzi, to znaczy, wiesz”... „Świnie wyły na środku autostrady, ranne lub konające, obok rozbita ciężarówka”... „Każde słowo jest bezużyteczne, każde zdanie, każda rozmowa telefoniczna”... „Powiedziała, że chce być sama”... Ja też chciałem zostać sam. W Antwerpii lub Barcelonie. Księżyc. Tyłek. Zwierzęta uciekają. Wypadek na autostradzie. Strach.

[50.] LATO. Istnieje tajemnicza choroba zwana Lisą. Jak każda choroba, jest żąłosna i przychodzi nocą. Na fali tajemniczego języka, którego słowa oznaczają bez żadnych wątpliwości, że cudzoziemiec „nie czuje się dobrze”. Czasem chciałem, aby wiedziała, że jest to cudzoziemiec „walczący”, „w obcym kraju”, „bez szans, aby pisać epicką poezję”, „bez szans na cokolwiek.” Choroba zabiera mnie do fikcyjnych i zimnych sanitariatów, gdzie jakieś dziwne mechanizmy uruchamiają splotki, napętniają pisuary i odrzuwają krany. Łazienki, marzenia, długie włosy wylatujące przez okno do morza. Choroba jest przebudzeniem. (Pojawia się autor filmu, gdzieś latem, bez koszuli, w czarnych okularach, pozuje z psem i plecakiem.) „Gdzieś lato” – zdania pozbawione sensu, chociaż obraz, który wywołują jest nawet dobrze sformatowany, jak trumna w obiektywie aparatu fotograficznego. Pisarz to brudny łajdak, z podwinętymi rękawami koszuli, krótkowłosy, mokry od potu, dźwiga kubły ze śmieciami. Jest kelnerem, który przygląda się sobie, gdy fotografuje samego siebie, kiedy idzie po bezludnej plaży, w drodze powrotnej do hotelu... „Wiatr smaga ziarenka piasku”... „Bez większych szans”... Jestem chory, bo siedzę pod latarnią morską i wpatruję się w pustą przestrzeń. Ciemna latarnia, morze w mroku, czarna kurtka pisarza.

[51.] NIE MOŻESZ WRÓCIĆ. Nie możesz tam wrócić. Ten świat gliniarzy, rabusiów i obcokrajowców bez dokumentów ma dla ciebie zbyt wielką moc. Ta moc oznacza, że jest to świat wygodny, lekki jak piórko, świat bez entropii, świat nieodwracalnie pozbawiony różnorodności i niepewności, ten który już znasz i którego nigdy nie będziesz w stanie się pozbyć. Jak tatuażu. Jednak w zamian, być może, uzyskasz szansę powrotu do swego ojczystego kraju, do prawa, które ochroni takich jak ty, do szansy na spotkanie z piękną dziewczyną o śmiesznym głosie. Dziewczyną, która stanie w drzwiach twojej stacji, pokojówką, która przyjdzie pościelić twoje łóżko. Zatrzymałem się na stowie „łóżko” i zamknąłem notatnik. Wszystko, co jeszcze teraz mogłem zrobić, to zgasić światło i rzucić się do tego „łóżka”. Natychmiast przysniło mi się okno z ciężką drewnianą ramą, kunsztownie rzeźbioną, jak na ilustracjach w książeczkach dla dzieci. Pchnąłem to okno ręką i otworzyło się. Na zewnątrz nie było nikogo. Cicha noc na osiedlu bungalowów. Policjant pokazywał mi odznakę, starał się nie jękać. Samochód miał tablice rejestracyjne z Madrytu. Mężczyzna po stronie pasażera miał na sobie koszulkę w barwach klubowych FC Barcelona. Ale koszulka miała poziome paski, zamiast pionowych. Na lewym ramieniu mężczyzny widać było wyraźny tatuaż. Dookoła zalegała gęsta mgła i wszechobecna senność. Ale policjant się zająknął, a ja się uśmiechnąłem. Nie m-o-o-ż-e-e-sz tam wró-ó-cić. W tył zwrot. Zawracaj.

[52.] MONTY ALEX. Tak właśnie jest, powiedział, ukryty sens bycia przegranym polega na tym, że gdy się z tym pogodzisz, to cały twój organizm się do tego przyzwyczaja. Nie możesz uciec od poczucia pustki, tak samo jak nie możesz powstrzymać się od przechodzenia przez ulice, jeśli mieszkasz w mieście, z poczuciem irytacji, że czasami ulica jest zbyt szeroka, budynki wyglądają jak magazyny z gangsterskiego filmu, a niektórzy przechodnie i tak wybierają wtedy ten niestosowny moment na myślenie o swojej



Gdańsk, Bazylika św. Brygidy

matce. „Gangsterzy” to znaczy „matki”. Nikt nie pamięta o wielorybie podczas złotych godzin, czyli tuż po wschodzie, albo tuż przed zachodem słońca. „Tak właśnie jest” (That’s The Way It Is) – to tytuł utworu Monty’ego Alexandra nagranych na początku lat 1960. w klubie w Los Angeles. Może to „magazyny” równają się „matkom”, bo szeroki margines błędu jest dopuszczalny, gdy musisz sobie poradzić z nakładającymi się na siebie obrazami. Przyszło mi to na myśl, gdy znalazłem je w lesie, na ścieżce, po której cudzoziemiec spacerował tam i z powrotem. Gdybyś zobaczył go wtedy z góry, pomyślałbyś, że był samotną mrówką. Przebył wątpliwość: zawsze jest jakaś mrówka, która nie pojawia się w obiektywie aparatu fotograficznego. Tym, czego nie ma w wierszach, to postacie, które są w nich schowane, oczekując na odkrycie przez czytelnika. „Magazyny”, „gangsterzy”, „matki”, „na zawsze”. Jego głos był niski, powiedział, solidny w barwie, jak uderzenia końskiej uprzęży lub odgłos wpadającej do końskiego koryta beli siana. Trochę się ślinił, gdy mówił tymi zagadkowymi zdaniem, bo nikt się nimi nie przejmował i nie starał się zrozumieć. Ray Brown na basie, Milt Jackson na wibrafonie, dwóch innych na saksofonie i ktoś na bębnach. Monty Alexander grał wtedy w klubie jazzowym Manne Hole’a na fortepianie bluesa „That’s The Way It Is”, nagranych później przez Trio Billa Evansa na płycie *“At Shelly’s Manne-Hole”* z 1963 roku. Ostatnią rzecz, którą widziałem była plaża o dziewiątej. W lipcu zmierzch zapada bardzo późno, o dziewiątej trzydzieści nie trzeba było jeszcze gasić światła. Z okna widać było oddalającą się grupę kelnerów. (Ale przed oczami mam „magazyny”, a nie „kelnerów”). Łagodny wiatr podnosi za nimi kłęby piasku. Stąd wygląda to tak, jakby próbowali zawrócić.

[53.] W SĄSIĘDZTWIE ROBOTNIKÓW. Anonimowa dziwka wędruje po robotniczych dzielnicach Barcelony. Czy to dziewczyna urodzona we Francji z hiszpańskich rodziców? Plaża rozciąga się w linii prostej, aż do następnego miasta. Otworzyła okno, było pochmurnie, ale gorąco. Wróciła do łazienki. Z ciekawością przyglądała się budynkom na ulicach. To wszystko paranoja, pomyślała. Ma osiemnaście lat, ale przecież nie istnieje. Urodziła się w przemysłowym mieście we Francji, ma na imię Rosario lub María Dolores, ale nie może zaistnieć, bo ja wciąż tu jestem. Czy ochroniarz zapisał? Spojrzała na zegarek. Podchodząc do okna, zapaliła papierosa. Przez zastony widziała chłopców drzemących w cieniu na ulicy. Krążyły oderwane fragmenty ledwo słyszalnych głosów. Wpatrywała się w księżyc wiszący nad budynkiem po drugiej stronie ulicy. Gdzieś stamtąd dochodziły słowa „statek”, „Olympia”, „restauracja.” Dziewczyna usiadła na tarasie w „restauracji”, poprosiła o kieliszek białego wina. Nad jej głową zwisła zielona markiza, a wokół była pełnia lata. Księżyc oświetlał budynek, ktoś przyglądał się jej, gdy rozmyślała o harleyowcach i znaczeniu nazwy miesiąca lipiec. Urodzona we Francji. Rodzicami byli Hiszpanie, ma blond włosy, z restauracji dochodzą słowa, na które próbuje zwrócić uwagę. „Obudziłem się, bo kręciła się po ciemnej sypialni”... „Potężna eksplozja...” „Byłem ogłuszony przez resztę dnia”... Wyobraziła sobie mnóstwo pustych samochodów, czarnych jak węgiel. Nie ma już tamtych miast, ani robotniczych dzielnic, w których mógłby dorastać taki aktor. Osiemnaście lat, stary, to tak dawno. Dziewczyna wraca do łazienki. Coś w niej pękło, skończyło się, kaput.

[54.] ŻYWIÓŁY I REALIA. Film wyświetlany na obozowisku wśród sosen w Estrella de Mar. Widzowie patrzą na ekran i opędzają się od komarów. Żółta twarz nagle pojawia się zza skał i pyta: czy ciebie też ściga Colan Yar? (Żółta twarz przecięta szeroką czarną blizną, spalone drzewa, białe plastikowe krzesła rozstawione przed bungalowami, rower rzucony w środek chwastów.) Colan Yar, oczywiście, tablice samochodowe słabo oświetlone przez księżyc. Opuściłem swoje miejsce; wolnym krokiem udałem się do restauracji, która była nadal otwarta o tej późnej porze. „Colan Yar stał za mną, deptał mi po piętach” – usłyszałem, jak ludzie mówią za moimi plecami. Kiedy odwróciłem się, jedyne, co widziałem, to cienie drzew i ciemne namioty. Na filmie jeden z aktorów powiedział: „ścigają nas pomruki wulkanu.” Inna postać, kobieta, w pewnym momencie stwierdziła: „To nie jest łatwa rzecz zostać majorem armii angielskiej”. Ścigani, ale przez Nagów, diabelskich wojowników w czarnych skórzanych hełmach, wyznawców kultu wulkanicznego ognia, może to kapłani, a nie wojownicy; w każdym przypadku, wkrótce i tak wymrą. Aktorka powiedziała: „Mam dość walki z tymi okropnymi stworzeniami.” Aktor zapytał: „Chcesz, żebym cię zaniósł do samolotu?” Pięć postaci ucieka dolinę w płomieniach. Lodołamacz Armada czeka na nich do 20:30, ani minuty dłużej. Kapitan: „Jeśli zostaniemy dłużej, nie uda się nam już stąd wydostać.” Włosy kapitana są zupełnie białe i ma na sobie niebieski zimowy mundur. Mówi powoli: „Nie będziemy w stanie się wydostać.” Odwróciłem wzrok od ekranu. W oddali światła nad kortem tenisowym nadawały mu wygląd tajnego lotniska. Zobaczyłem wtedy tego osobnika, którego gonił Colan Yar, jak pisze swój list, a może donos, siedząc na ławce, ustawionej tam dla tenisistów. Sekretne lotnisko. Lustra. Inne żywioły.

[55.] WĘŻE JAK BOGOWIE. Filmy wyświetlane w lesie? Projektant drzemie w leżaku na podwórku przed swoim parterowym domkiem. Anonimowa dziwka zniknęła niezauważona, jak wtedy, gdy zobaczyłem ją pierwszy raz. Szedłem śmiało naprzód, zostawiając słabe ślady na piasku. Była północ i widziałem policyjne samochody, które zatrzymały się na autostradzie. Nie odpowiedziałem na ostatni list od Mary. Dziewczyna wróciła z powrotem do swego namiotu i nikt nie potrafił powiedzieć, czy potem z niego wyszła, czy nie. Następnego ranka już jej nie było. „Napisałem wszystko, co mogłem”... „Dziesięcioletnia dziewczynka, jedyna oso-

ba, która tu została, macha do mnie, ilekroć mnie zobaczy”... „Siedziała samotnie na tarasie baru, tuż obok parkietu, nie trudno było ją znaleźć”... Na ekranie pojawili się Nagowie - wężokształtni bogowie. Widzowie przycichli, nad nimi krążyła chmura komarów. Spojrzałem w prawo, widziałem dalekie światła kortów tenisowych. Poczutem, że zapadam w sen, dokładnie jak wtedy. Oto żywioły i realia: „obojętność”, „wytrwałość”, „blond włosy”. Następnego ranka nie było jej już w namiocie. Po niosących pewną śmierć europejskich autostradach pędził samochód jej rodziców. W drodze do Lyonu, Genewy, Brugii? W drodze do Antwerpii? Ze znużeniem rozejrzał się dookoła: widział powiększającą się księżyc, między nowiem a pełnią, korony sosen na tle nieba, słyszał dalekie dźwięki syren. Przecież tutaj jestem bezpieczny, powiedział, zabójca mnie nie poznał, więc go nie ma. Czarno-biała scena z mężczyzną, który kieruje się poza ekran, między drzewa. Podczas końcowych kadram filmu, gdy dziwny samochód jedzie na wprost w oślepiające jaskrawe światło, dorośli widzowie drzemią.

[56.] POST SCRIPTUM. Po tym, co stracone, bezpowrotnie stracone, jedyne, co pragnę odzyskać, to możliwość codziennego pisania, pragnę linijek tekstu, które chwytają mnie za włosy i unoszą, gdy jestem u kresu sił i wytrzymałości. (To już coś znaczy, powiedział cudzoziemiec.) Zdania i frazy z ody do tego, co jest ludzkie i boskie. Niech moje pisanie będzie, jak wersety Leopardiego, które Daniel Biga recytował na nordyckim moście, aby dodać sobie odwagi. BARCELONA 1980.

KONIEC CZĘŚCI 3 (ostatniej)

GRZEGORZ BAZYŁAK

Pierwsza część powieści „AMBERES” Roberto Bolaño została opublikowana na łamach kwartalnika „Migotania”, 3(84) 2024, s. 61-65.

Druga część powieści „AMBERES” Roberto Bolaño została opublikowana na łamach kwartalnika „Migotania”, 4(89) 2025, s. 88-91.

Podstawa przekładu:

Roberto Bolaño, „AMBERES” (tercera edición), Penguin Random House Grupo Editorial, Debosillo, Barcelona, 2023, s. 79 -103, ISBN 978-84-663-3791-5

Grzegorz BAZYŁAK – prof. dr hab. n. farmaceutycznych (2013, ORCID 0000-0002-5640-6718), w latach 1979-2019 pracownik naukowo-dydaktyczny uniwersytetów w Łodzi, Antwerpii (Belgia), Birmingham (UK), Bydgoszczy i Toruniu. Autor kilku zbiorów wierszy, m.in. *Jedna tobie, druga mnie - wiersze i komentarze* (2014), *Rewolwery Poli Negri* (2022), *Manekiny Rubensa* (2023), *Kwartet z Girony* (2024), *Apteka markiza Pareto* (2025), antologii szkiców o teatrze „*Akcje, zwroty, odstony*” (2015) oraz monografii krytyczno-literackiej *Faktura czy paragon. O prozie Zbigniewa Wilczyńskiego (1954-2008) i nie tylko* (2020). Wiersze, recenzje, eseje i przekłady z poezji latynoamerykańskiej publikował od 1977 r. w czasopiśmie literackich, m.in. „Afront”, „Akcent”, „Akant”, „eleWator”, „Migotania”, „Twórczość”, „Więź”. Laureat Nagrody Honorowej „Złoty OTIS” (2019). Od 2024 r. należy do Oddziału Gdańskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Mieszka w Bydgoszczy.

Grzegorz Borowiec

* * *

Budzi w ciemności sztuczne światło
letni prysznic i papieros
sypiący się przy ustach
w sercu stuk odhacza
następny tydzień porannych zmian

Trzydzieści parę lat biegania
za wypłatą za tramwajem
liczenie piątków świąt
odkładanie bólu na przyszłość

To wszystko przede mną
w głowie stuk
nowy rozkład jazdy
nowe zimno w dłoniach
próbuję jeszcze raz wstać

* * *

Nie pal przy mnie papierosów
jestem dzisiaj zbyt napięty
jedna iskra i na przykład
połamię krzesło drzwi wyrwę
z zawiasów lub kości potrzaskam
razem z oknem
dużo
dużo głupich rzeczy może się zrobić
dlatego nie pal przy mnie papierosów
przeszkadzają mi w oddychaniu
w łapaniu rozumu spokoju

Nie chcę drzwi wyrywać
wyrzucać krzesel wywoływać krwi
proszę proszę proszę
nie pal przy mnie papierosów
w ten sposób

Żywcem nie

Telefon daje o sobie znać
wiesz co to za rozmowa
odrzucaasz wiesz co dalej
odrzucaasz na jeszcze i jeszcze

Głosy za drzwiami ciężkie pięści
dają o sobie znać
zatykasz uszy oczy słowa
chowasz się mówisz ostatni raz

Przeciskasz ciało przez ciemność
nikt nie ściga nikt nie karze
podpisywać się krwią
ale jesteś w gotowości
naprężony już na stałe

Będzie trzeba to będziesz biegł
będzie trzeba to będziesz gryzł

Zdychanie

Wyływa krew przez oczy
z uszu z ust z pęknięć
ścieka oddech
z rozerwanych skór

Tylko kręcą głowami
trzymają dłonie po kieszeniach
stoją zimno czują tracą czas
na zwykłe umieranie

Dobry znak

Prawie wyrzucony z pracy
na minusie na chwilówce
w depresji w sinusoidzie
do tego przeziębiony
i z wybitym zębem

ale
pogłaskałem dzisiaj
ładnego pieska na spacerze
to już coś

Elżbieta Juszczak

WINNI NIEWINNI

Reportaże pochodzą z przygotowywanej publikacji: **Winni niewinni. Jest to zbiór tekstów reportażyowych i publicystycznych Elżbiety Juszczak publikowanych w Głosie Pomorza w latach transformacji. Dotyczą sytuacji mieszkańców byłych pegeerów i miast obecnego województwa zachodniopomorskiego, ale także procesów geopolitycznych, obecnych w tym czasie na tych terenach. Sąd nad Radaczem**

Zabić pegeerowca

15-16 luty 1992, nr 39, s. 5.

Najpierw była babka w Kieleckiem. Zaciągnęła ją do lasu, Niemcy czy Rosjanie. Umarła. Po co Barbarze wiedzieć jak było dokładnie, skoro z tego tyko ból? Została matka. Taka mała dziewczynka z szeroką, wiejską buzią. Chowata się u ciotki. Pani wie, jak to chłop, za inną poleci, dziecko zostawi.

Niebo było wtedy niebieskie, las jak zawsze zieleniał w oddali. Matkę, czyli małą dziewczynkę trafił odłamek. Znowu niebo było niebieskie, las zieleniał w oddali, tylko matka, czyli mała dziewczynka została z połową nogi. Była teraz kaleką, chociaż później okazało się, że tylko trzeciej grupy, lepszego inwalidztwa nie chcieli dać, choć wojenne przystugiwało.

Po wojnie w Kieleckiem zrobiło się głodno. Kto chciał żywić dorosłą dziewczynę, chociaż z połową nogi? Matka wyjechała za chlebem na Ziemię Odzyskaną. Została w pegeerowskiej kuchni. Miała teraz ciepło i nieogrodzone. Życie samo wpychało jej się do serca. Była młoda, chętna do pracy, miała swój kąt i pieniądze. Tego co pozostała nie żałowała. I nagle los się do niej uśmiechnął. Poznata chłopaka, czyli ojca Barbary. On też pracował w pegeerze, niedaleko Czaplinka. Ożenili się, mieli własny dom, nie żaden kąt u obcych, tylko własny dom z dachem, ścianami, kominem, czterema pokojami i meblami po Niemcach. Ojciec ojca mieszkał w czworakach, ojciec matki nie wiadomo gdzie. Teraz liczyli się tylko matka i ojciec. I ich praca, dzięki której mieli wszystko. Także lekarza, a jak się postarali i wczasy. Mieli także mleko, działkę i odrobinę ludzkiego szacunku, tyle ile trzeba. Matce ciężko było chodzić z brzuchem. Lekarz nawet się dziwił, ale donosiła. Urodziła trzech synów i córkę. Ksiądz ochrzcił, ojciec dokonywał cudów. Zaradny był. Barbara mówi, że mieli nieźle, chociaż ona nic nie pamięta. Miała trzy miesiące jak umarł. Było tak: dwudziestosiedmioletni ojciec zmarł na żółtaczkę, dwudziestosześcioletnia matka została z czworgiem dzieci. Najstarszy miał może sześć lat.

Matka by ich wychowała, mieli ładny dom, ale dwa miesiące po ojcu wzięli ją do kliniki do Szczecina. Od nogi wdała się infekcja. Matka bardzo płakała. Przecież nie zostawi dzieci. A jednak zostawiła. Troje trafiło do domu dziecka w Jastrowiu, jeden brat do domu małego dziecka w Gościńcu. Trzymali się razem. Barbara nie płacze. W ogóle by może nie płakała, gdyby nie to wypowiedzenie. PGR zlikwidowali, a oni zostali na lodzie, ona, mąż i troje dzieci. Ale wtedy w Jastrowiu nie było wcale źle. Do tej pory odwiedza dyrektora z domu dziecka. Zawsze mówił, że były tylko dwie takie dobre rodziny, oni i ta lekarska. No więc jak mama wyszła z tej kliniki też było

ciężko, utykała i nie mogła dźwigać, a przecież fizycznie pracowała. Ale zaraz do nich przyjechała, chciała ich wszystkich wziąć do domu, ale nie pozwolili, bo nie da rady. Wzięta więc tylko dwójkę najmłodszych, czyli brata i Barbarę.

Wie pani, jak było wspaniale, co tydzień jeździliśmy do braci. Dyrektor odstępował nam jeden pokój i rzadziliśmy. Myśmy tam kruszyli ciastem, rozrabiali, a mama była z nami. Bardzo kochaliśmy się wszyscy, ja mama i trzech braci. Tylko jeden brat jak w domu dziecka był i wychodził chory z izolatki to spał ze schodów i od tego próchnicy kości dostał. Ale wszyscy trzymaliśmy się razem. Najstarszy wylosował księżczkę mieszkaniową, bo pod patronatem wojska był i dostał mieszkanie na Śląsku. Teraz przysłał mi półtora miliona, żeby pomóc. Wszyscy wyszli na ludzi, jeden brat z nauczycielką geografii się ożenił. Drugi jest stolarzem. Wszystko mi w domu ponaprawiał, nic się nie urywa, nie zacina. Jej, Barbarze też wiodło się dobrze. Po szkole zasadniczej jest. Mąż po ogólniaku. Tu obok w mieście skończył. Więc jak już wszyscy byli dorośli, cała czwórka, to mamie pomagali. Nawet synowa przyjeżdżała do roboty. Matkę później w ośrodku wczasowym zatrudnili. Myśmy tego chcieli, żeby jej było lżej. Pani sobie wyobraża, jak w lato zjeżdżaliśmy nad jezioro do mamy. Jeden ubierał pościel, drugi podłogę mył, szło piorunem. A ile mi przy dzieciach napomagała. Miała pięćdziesiąt trzy lata jak zmarła. Złote serce miała. Pegeer chciał ją pochować, ale myśmy nie pozwolili.

Teraz Barbara opowiada o swoim dorosłym życiu. Ma trzydzieści sześć lat i wygląda na to, że wszystko się skończyło, ale przecież nie może się skończyć, jeśli ma się troje dzieci, trzy dziewczynki. Ta z końskim ogonem to Dorotka – najstarsza, pięcioletnia to Ania, i jeszcze Kasia- najmłodsza, jako wcześniak się urodziła i teraz jej trudniej w zerówce.

Powodź tu im się do tej pory dobrze, może nawet bardzo. Wszystkim się cieszyli, telewizorem, garnkiem, obojętnie czym. Człowiek nie przepił, nie stracił, wszystko do domu ciągnął, dla dzieci, to i teraz dom dobrze wygląda.

Pracowała w pegeerze, tu na miejscu, pięć kilometrów od miasta. Była urzędniczką, no wie pani, w księgowości, a potem w magazynie. Jak się i ten magazyn skończył, bo pegeer podupadł, to poszła sprzątać. Nie narzekała, byle robota była. Mąż przez te wszystkie lata w magazynie pracował. Najpierw mieszkali w pałacu, kilka kilometrów stąd. To było pegeerowskie mieszkanie. Pokój mieli duży, ale bardzo wilgotny. Właściwie to była wylegarnia chorób. Ale zaraz dostali nowe, w bloku, bo mieli zaświadczenie od lekarza, że dzieci chorują. Tak, mieszkanie mają duże, ładne, niektórzy w mieście tego nie mają. Teraz, jak zakład zlikwidowali, wychodzi na to, że tylko to mieszkanie im zostało i to w szczyrym polu.

Gdzie tu iść, gdzie pracować, dookoła lasy i pola, oni nawet pięćdziesiąt lat nie mają. Nawet, jeśli by mieli, to co po niej, bez narzędzi? Zresztą, czy oni rolnicy? Pracownicy fizyczni i koniec. Pegeer dał życie, teraz życie zabrał. Poszliby do pracy, na przykład w mieście. Ale pracy i dla tych

w mieście brakuje. Zakłady podupadają. Nie ma o czym marzyć. Nawet i sprzątnięcia dla niej nie ma. Zresztą mieszkania na plecach nie wezmą.

Wróciła jej nerwica. Znowu musiała iść do lekarza, żeby jakieś środki przepisał, a z nerwicy dziecięcej była już wyleczona. Znowu jej się wszystko przypomina. Całe dzieciństwo, całe nieszczęście. Siedzi tu i myśli. Już miesiąc siedzi. Pochyliła się nad kuchennym stołem, broda jej drży. Nie chce płakać. A jednak. Wyjmuje papiery.

Wypowiedzenie dostała trzydziestego pierwszego grudnia, trzymiesięczne. Nie, nie zapłacili jej. Dziś dopiero dyrektor przywiózł pieniądze i wypłacił zaległą pensję za listopad. Razem z mężem dostali 750 tys. (wcześniej trochę wypłacili na raty). Mamy luty, oni z mężem nie dostali pieniędzy ani za grudzień, ani za styczeń, ani za luty. Zasitek dla bezrobotnych im się nie należy, bo obowiązują pensją z wypowiedzenia. Są między życiem a śmiercią.

Tak, pożyczta pieniądze i zaraz opłaciła mieszkanie i światło. Czterdzieści tysięcy zostawiła w aptece, bo mała chora na oskrzela. Na chleb brakuje, na wszystko. Dobrze, że brat pieniądze przysłał. Mąż wziął dwoje dzieci i pojechał do niego na ferie. Przynajmniej się najedzą i dzieci coś zobaczą. Ale, wie pani, takie przejazdy drogą. W styczniu, jak mąż odbierał najstarszą z sanatorium, od Szczecinka, na gapę jechali, bo zabrakło.

No pewnie, różnie myśleli, żeby i z domu coś wynieść, ale kto to kupi- chyba za psi grosz. Nie po to człowiek całe życie pracował, żeby teraz z domu wynosił. Działkę ziemniaczaną też im zabrali, teraz nawet swojego ziemniaka nie będzie. Tylko praca może ich uratować. Ona nic więcej od życia nie chce, tylko pracować. Przecież dzieci trzeba wyuczyć. Najstarsza cagle po sanatoriach i szpitalach, a na olimpiadę matematyczną się szykuje, taka zdolna, zaległości nadrabia. Nic tylko zadania rozwiązuje i rozwiązuje, ona to uwielbia. Trzeba do ogólniaka dziecko poścać. Ale jak, za co? Cośmy w życiu zrobili, teraz się wszystko odwraca, wychodzi na to, że znowu ma być tak jak było. A już mamie się udało, na ludzi nas wykierowała, chyba porządnie wychowała.

Barbara patrzy w okno, potem na fotografie beztładnie rozrzucone na stole. Niedawno była tu urzędniczka z opieki społecznej. Robiła wywiad, wie pani rubryki wypełniała. Ostatnia wypłata, życie rodzinne, ilość dzieci, najwięcej było mównia o chorobie Dorotki. Że alergiczka. Od drugiej klasy ją leczy, a chodzi do ósmej. Na coś uczulona, ale nie wiadomo, lekarze też nie wiedzą. Nie, testów nie przechodziła, nie skierowali ją. Najgorsze są ataki, wtedy puchnie. A tak na co dzień dostaje zastrzyki. Często jeździ do sanatorium. Trzy razy była w szpitalu, o tu są wypisy, nie znam się na tym, zalecone ma te zastrzyki. Dobre dziecko, nauczycielką matematyki chce zostać.

Barbara znowu płacze, bo jak Dorotka zostanie nauczycielką, skoro oni nie pracują? Znowu jej się mama przypomina. Nie umiała walczyć o swoje, nie wiedziała, gdzie się udać. Po jej śmierci dopiero dostali skierowanie na komisję lekarską, niby na rentę wojenną. Pewnie jej się należała.

Oni też powinni pracować. Żeby choć była szansa na jakąś pracę. Urzędniczka z opieki zawniosowała o zasiłek dla nich. Mogą dostać osiemset tysięcy na jedzenie i rachunki na recepty, bo jest na to przepis.

Barbara wychodzi na podwórkę z wielkimi dziećmi. Z jednej strony wciska się tu las, z boku identyczny pegeerowski blok. Jest jeszcze diabelnie rozjechana grząska droga. Dookoła niczyje hektary. W środku garstka ludzi.

Już po Azjatach

5-6 grudnia 1992, nr 285, s.5.

Dla piętnastu tysięcy ludzi radzieckich z Bornego-Sulinowa druga wojna światowa skończyła się w październiku 1992. Byłam tam, widziałam.

Imperium radzieckie wpięto swój pazur między lasy i wsie, między polskie pola i jeziora. Dziś resztki po imperium: wielka mapa wojenna Europy w klubie oficera, fotografie narodowych bohaterów i kilka żalonych sprzętów.

Strach pomyśleć, co zostało po bojownikach świata: krzywy czajnik, rosyjski tandetny ornament na szybie samy i ohydna niebieska farba w saloniku. Są jeszcze ni to groby, ni mogiły na małym cmentarzyku; pamięć w ludziach. I Gala, która czeka, aż jej synek dojdzie do zdrowia po czarnobylskiej białaczce. W tym rejonie historia, jak kurtyzana obdzielała hojnie: Niemców, Polaków, Rosjan i Azjatów.

Gieroj z fotografii urodził się pod Pskowem. Psków? Ależ tak. Batory pod Pskowem. Ale to zbyt dalekie skojarzenie.

Komunizm wojenny moje pokolenie zna tylko z książek. W Bornem -Sulinowie do tknęłam go.

Po pierwsze, wille nad jeziorem w sosnowym lasu. Jak w pensjonacie, ale ogrodzone drucianym, wojennym płotem. Do najbliższej prowadzi dróżka z białymi, jak na ulicy, pasami. Nigdzie rabat, krzewów, kwiatów. Nastrój tymczasowości, postoju. Wrażenie obozu, bazy wojskowej, skąd w każdej chwili można gdzieś, na kogoś wyruszyć.

A przecież oficerowie sowieccy przyjeżdżali tu na wiele lat z żonami i dziećmi. Tu zostawiali kawał życia. Prowadzili żywot tułaczy, bez własnych mieszkań, w niewiedzy, jaki zakątek świata stanie się ich udziałem.

Utrwalali komunizm. To dla ojczyzny tak się męczyci. Tysiące kilometrów od niej chowali żony, dzieci. To dla ojczyzny szumi niektórym już na zawsze polska sosna.

W klubie oficera zostało co nieco z sowieckiej biurokracji. Na przykład bumaga z Leninem. Tu się wpisywało czyny dla ojczyzny, zgodnie z historycznymi postanowieniami zjazdu.

Na dole – metry dzieł Lenina. Raczej nie dojdą do ręki handlarza. Prędzej strawi je ogień.

Wyżej na piętrze tablica z narodowymi bohaterami. Wszystko młotdzy. Zdieram jedną z fotografii, o którą łatwiej: Nikołaj Kowaljew. Jednak ten rosyjski do czegoś się przydaje. Ljotczyk. Skończył wyższą szkołę lotniczą, przebywał w Niemczech, w grupie „Sowieckich Wojsk”. W 1984 roku, w wieku trzydziestu sześciu lat, zginął zastrzelony w Afganistanie.

Z fotografii patrzy na mnie młoda rosyjska twarz. Nikołaj utrwał komunizm. I teraz ja, oko w oko z nim, też wychowanka komunizmu, tu w Bornem, gdzie oficerowie Wehrmachtu poddawani byli indoktrynacji NSDAP.

Trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że żołnierze radzieccy w Bornem nie mie-

li źle. Do ojczyzny wracali niechętnie, bo nie mieli do czego. W czasach świętości Bornego, gdy w polskich sklepach był tylko ocet, tu było eldorado. Dziurami wchodziła miejsca ludność, a i przyjeżdżały samochody ze Szczecina i okolic. Po mięso i konfiety.

Taką dziurą w 1982 weszła tu żona Kazimierza Chwiałkowskiego. Dziś Kazimierz Chwiałkowski nadzoruje prace porządkowe w Bornem i wspomina Kołę Wierwow. Kola Wierwow to podpułkownik z Leningradu, z którym się Chwiałkowsky z powodu tej dziury zaprzyjaźnił. Kiedy żołdat zatrzymał żonę Kazimierza, Gala Wierwow chwyciła ją za rękę, jakby się świetnie znaly. No i się zaprzyjaźniły, najpierw one, a potem całe rodziny.

- Takich ludzi to u nas nie ma - mówi pan Kazimierz. - Co to był za człowiek! Po dwóch akademiach. Wykształcony i serdeczny. Kiedyś w wieczór wigilijny, nikt wtedy do nas nie przyjechał, siedzimy i mówimy, jakby to dobrze było, gdyby Kola przyszedł. I on rzeczywiście przyszedł z rodziną, pięć kilometrów do naszej wsi. Potem zrobili go pułkownikiem i Kola strasznie żałował, bo jako pułkownik do pięćdziesięciu pięciu lat musiał w wojsku służyć, o pięć lat dłużej. Kola musiał podpaść, bo wystali go do azjatyckiej republiki na kwatery do starszej kobiety. Pani sobie to wyobraża? Czterooosobowa rodzina w jednym pokoju? Wspinali byli ludzie, kulturalni, wykształceni. Twarz Kazimierza Chwiałkowskiego promienieje. Może to jedyny przypadek w Krągach, kiedy kultura i cywilizacja przyszły ze wschodu.

Wieś Krągi leży w najbliższym sąsiedztwie Bornego-Sulinowa i dzieli się na wieś, Zygląg i Meksyk. Meksyk sływie z rozrywki, nazwa Zygląg została po Niemcach. Reszta to zwykła wieś. Kiedyś była tu gmina. Funkcjonowały masarnia, restauracja i poczta. Zaraz po wojnie Borne było wolne. Stopniowo zasiedlane przez ruskich odbierało żywność Krągom. W końcu gmina przeniosła się do Silnowa. Sołtysem w Krągach jest Wacława Kostrubiec. Wcześniej sołtysował mąż, ale mu się znudziło. W ich domach o ruskich nie mówi się spokojnie. Całe życie obok nich przeżyli i dziś na wspomnienie reagują podwyższonym ciśnieniem.

- Gdzie wyście do tej pory byli? - To o dziennikarzach. - Ja w australijskim radio o tym mówiłam, bo tu nie było można.

Sąsiedztwo Rosjan było dla tego domu udręką. Ruscy znaczyło zakaz rozwieszania bielizny na podwórku, oberwane, jeszcze zielone owoce na każdym drzewie i brak na polu jakichkolwiek warzyw.

I słyszysz listę krzywd i tragedii:

Pierwsze objawy okupacji zaczęły się tuż po wojnie. Rosjanie robili łapanki na ludzi. Zmuszali do roboty przy rozbieraniu szyn ze Szczecinka do Łubowa. Rozbierali drobne zakłady przemysłowe. Co zrabowali, wysyłali do Sojuza. Odbijali kafelki z masarni i do Bornego brali. Co piękniejsze obiekty poniemieckie palili. Tak było z pałacami w Dąbrownicy, Śmiadowie i Łącznie. Jeździli po polach czotgami i nie płacili odszkodowań.

- Nic się nie bali, robili co chcieli. Rosjanie mieli taką taktykę, że jak na milicji podawano się ich numer samochodu, to tłumaczyli, że u nich takiego samochodu nie ma.

Przełgdam poświadczoną urzędem listę roszczeń mieszkańców wsi z 1988 roku. Na liście zniszczenie siedmiu uli, kradzieże rowerów, radiostacja w życie, zakłócanie ciszy nocnej, kłusownictwo, usiłowanie

gwaltu, strzelanie do ludzi, nieprzestrzeganie przepisów drogowych i inne przestępstwa.

Wacława Kostrubiec przeżyła tragedię. Twierdzi, że rosyjski żołnierz w 1947 roku przejechał jej czterastoletniego wtepy brata. Rosjanie wszystkiego się wyparli, nie potwierdzili istnienia pojazdu o przedstawionej przez świadków rejestracji.

Takimi sprawami zajmowała się Prokuratura Rejonowa Okręgu Północnego w Bydgoszczy. Tego rodzaju czyny dziś wymagają wyjaśnień. Tym bardziej, że w opowieściach mieszkańców jest ich więcej. Ktoś musi zbadać okoliczności, dowody i winy. Kto to ma zrobić? Dziennikarze? Specjalna komisja?

Pani Wacława, której Ukraińcy rodzinę wytlukli, która straciła przez ruskich brata, trzyma dziś w domu Rosjanek, Galę. Gala ma trzyletniego chłopczyka, który po wizycie u swoich zachorował na białaczkę popromienną. Od dziewięciu miesięcy chłopczyk jest w szpitalu w Szczecinie i ma nadzieję, że wyzdrowieje. Gala jeździ do synka, ale tylko dzięki sołtysowej jeździ, bo ta wystawiła jej zaproszenie. Gala może być w Polsce trzy miesiące, ale Wacława Kostrubiec będzie zaproszenie przedłużać. Radzieckie władze nie chciały Gali zostać.

- Jedź z nami-powiedział dowódca-dziecko i tak umrze. No to Gala poszła do Wacławy i już tak zostało.

Na co dzień z Rosjanami spotykała się Jadwiga Piecewicz, leśnik. Niewielka, drobna, gospodaruje na tysiącu ośmiuset hektarach. Organizuje i nadzoruje pracę drwali, pilarzy. Mężczyzn, co to z niejednego pieca chleb jedli. Sama powściągliwa i ciepła o Rosjanach mówi tak: robili mnóstwo złego i dobrego.

- W poprzednich latach dowództwo radzieckie oficjalnie składało zapotrzebowanie na drewno. Później jednak, gdy brakowało pieniędzy, żołnierze sowieccy na polecenie swoich oficerów rabowali drzewo w lasach. Myśmy tych żołnierzy łapali. Zbierały się komisje radziecko-polskie i żołnierze odpracowywali kradzieże. Zatrudnialiśmy ich przy melioracji, sadzeniu drzew, remontach dróg leśnych. Pracowali nieodpłatnie i ponad siły. Dzisiaj efekty tych prac są widoczne i bardzo ładne.

Przyjeżdżali tutaj na dwa lata, bez przepustek, bez paczek i pieniędzy. Mieli tylko listy i niewielki żołąd. Prośli nas o wszystko, o cukierki, ciastka. Trudno się dziwić, że z braku witamin ogaćcali drzewa w sadach.

- Przyjeżdżali Azjaci, z którymi trudno się było porozumieć. Niektórzy z nich nie znali rosyjskiego.

- Żołnierz radziecki- wspomina pani leśnik- był bardzo leniwy. Pracę wykonywał tylko na polecenie oficera. Kiedyś zdarzył się taki, który w ogóle nie chciał pracować. Okazało się, że pochodzi z republiki, gdzie pracują jedynie kobiety. Żołnierz ten przeżył szok. Musiał przecież wykonywać polecenia kobiety.

- Nigdy nie chciałabym, aby mój syn służył w wojsku tak daleko od domu.

Po dłuższej chwili Jadwiga Piecewicz dodaje: A czy Rosjanie popełnili jakieś inne przestępstwa? Niech pani idzie do Papierkiewicza, na końcu wsi, on zgłaszał często szkody.

Ale Papierkiewicz macha ręką. Rosjanie? Nie ma co wspominać. Mnie za ule zapalcili. A Polacy to nie kłusowali? Zostawmy ich w spokoju. Wyjechali.

ELŻBIETA JUSZCZAK

Marek Wawrzekiewicz

Kondukt

Sarny podchodziły pod dom bezszelestnie.
Miały zdziwione, pełne wilgoci oczy,
A na grzbietach i na łebkach między uszami
Resztki szarawej mgły. Ogłuchły na szum
Pobliskiego lasu, z którego się wyłoniły.
Podeszły i trwały. Aż do świtu.

W domu migotało jedno wążle światelko
I cisza była taka, jakby nie istniała cisza.
Wszystko, co było do powiedzenia, powiedziano
Po południu. Zamilkły szlochy, oddechy i zdziwienia,
Że jednak, jednak.

Rankiem zaczęli przychodzić ludzie.
Obdarowywali się uściskami dłoni,
Studzonymi pocałunkami, monotonnymi rozmowami.
Tak właśnie jak wypada.

Powieziono go skrzypiącym wozem. Podskakiwał na wybojach.
Za wozem szedł ubogi, rzadki kondukt. Na końcu
Czesław, kulawy sąsiad. On go widział ostatni.
Mamrotał; - Dobrze, dobrze wyglądał.

Mało kto zauważył, że za konduktem
Ciągnęły kłęby szarej mgły -
Wierne duchy tamtych saren.

Jerzyna mówi Grochowiakiem

Zagrzmiało. I choć wieczór już bujnie rozkwitał,
To cisza się stała, jakby posiał makiem.
I nagle zwiędła w głowach tęga okowita,
Kiedy Zbyszek przemówił Staszkiem Grochowiakiem.

Gdzie idziesz, Wojtek? Ja do miasta, panie...
A potem ciszej głosił te skrzydlate słowa.
Czy zawiodła go nagle wierna wierszom pamięć,
Czy to, co się stało, przywołał od nowa?

Bo choć przeszło, to trwało. Niepodlegli w żalu
Pojęliśmy w ten wieczór milczenie i ciszę,
Żal, że ktoś jest w wierszu, a nie ma go wcale,
Tak, jakby nigdy tu do nas nie przyszedł.

Tylko słowo, wiersz tylko. A nam się zdawało,
Że leci przez ten wieczór wielobarwna ważka,
Poprzez wódkę, wspomnienie i przez ciszę małą,
I ponad mogiłami i Zbyszka, i Staszka.

2019 R

Inne miejsce

Na młodziutkiej, nieśmiałej trawie –
Już zawilce, czy jeszcze kłębki
Porannego śniegu? Gdzie się podział wczorajszy
Wiatr zwiastujący wiosnę? Dziś powiał inny,
Rodem z przygnębającej zimy. Godzinę później:
To nie były kwiaty. Śnieg stopniał.

Nie mamy prawa, nie mam prawa
Do pretensji. Przecież pogubiły się pory roku.
Niczemu nie są nam winne. Stało się nic,
Bo nic się nie stało.

Dziesięć świetlnych lat temu powiedziałaś coś,
Ale twój głos był szybszy od dźwięku, który odleciał.
Nie usłyszałem słów. Nie zdołam
Wrócić do miejsca ich narodzin.
To jest inne miejsce.

Każda podróż powrotna to rozczarowanie.

CZERWIEC, 2024

Kłamstwo

Słońce wczesnej jesieni rodziło się w oprawie
Wiotkich mgieł. Przeświewało żółknące liście jesionów.
Na skrzypiącym, drewnianym tarasie
Piliśmy kawę słodzoną miodem. Miód był gęsty
I spływał do filiżanek leniwymi, złotymi kroplami.
Tułało się w nas wspomnienie snu i nocy,
A przyszłość jeszcze nie istniała.

Chwilę potem byliśmy już bardzo starzy.
Taras był mokry od deszczu albo szronu.
Zbyt pośpiesznie zachodziło słońce,
Nie miało koloru miodu. Było późnojesienne,
Smakowało popielatym piołunem.

- Jeszcze daleko do zimy – mówiłaś.
A ja już wiedziałem, że kłamiesz.

MARZEC, 2026

Pierwiastek

Noc była ogromna.
Szliśmy ścieżką u podnóża Himalajów
Po kryształach z lodowatego blasku,
A nad nami bezgłośnie strumieniami, kaskadami
Płonąc spadały gwiazdy. Pustoszało niebo.

W nawisie skalnym znaleźliśmy
Spłachetek zmrożonego śniegu z resztką
Utajonego ciepła. Wiedzieliśmy wszystko
O tej ostatecznej nocy.

Byliśmy jedynymi z tych co przed sekundą ocaleli,
Zanikaliśmy zgodnie. Umierał wszechświat,
A w nim góry i rozpadliny, zapomniane słońca i ameby.

Za miliony lat świetlnych
Narodzi się światło i zacząć liczyć się lata.
Stanie się Pierwiastek.

STYCZEŃ 2025 R

Różnica

Snuje się stary film –
Intryga, zdrada, sztylet,
Smolisty, gęsty dym,
Urwany krzyk. I tyle.

Zanosi się na deszcz,
Popada już za chwilę.
Zanosi się na śmierć.
Zwyczajną śmierć. I tyle.

LIPIEC, 2025

Kłapa

pamięci Gąsiorowskiego

Jakoś tak, między trzecią, a czwartą nad ranem,
W poplamionej kurtce, przez zamknięte drzwi
Przyszedł do mnie Gąsior.

Już od progu zaczął układać wcześniej napisany
Wiersz o starej, nagiej maszynie do pisania. Jakby
Nic nie wiedział o erze laptopów. Przerwał,
Bo musiał do toalety. Krzyknąłem: Krzysiu, podnieś klapę!
Wrócił i dalej pisał w powietrzu wiersz.

Pewnie coś wypiliśmy. Potem Gąsior
Zasnął z butami na mojej pościeli.

Po dwunastu latach sen się urwał.
Pościel czysta, kłapa nie zasikana.

I tak to życie przeszło.

MARZEC, 2024

Szyborska czyta Baczyńskiego

W jej wierszu poeta nie zginął w sierpniu,
Nie trafiła go snajperska kula w czwartym dniu Powstania.
W chwili wiersza ma sześćdziesiąt kilka lat.
Nie ozdobiła go młodzieńcza śmierć. Jest poetą znanym
Ale nie cytuje się go zbyt często.

Przygarbiony, ubrany przez Panią Wisię
W luźny, rozciągnięty sweter nieokreślonego koloru,
Je samotne śniadanie w zakopiańskiej Astorii.
Milczy. W tamtym, odległym sierpniu
Dziewczynka imieniem Wisława była mała
I poezja jeszcze w niej milczała.

Dawniej i teraz z recepcji słyhać kobiecy głos:
- Panie Baczyński, telefon do pana!
Poeta podnosi się z trudem, idzie
Człapiąc rozdeptanymi kapciami.

Poetka znana, ale jeszcze przed Noblem,
Wybawiła go od śmierci.
Dla siebie.

2023 R

Roman Warszawski

ŚWIĘTO BRZOZY

Szli.

Szli przez las.

Szli przez duży las.

Szli przez duży las mieszany.

Szli przez duży las mieszany, w którym skończyła się zima i właśnie zaczynała się wiosna.

Jej początki były jeszcze dość nikłe, ale oczy leśnych bywalców (obaj piechurzy do nich się zaliczali) tu i ówdzie były w stanie je dostrzec. Przede wszystkim w lesie było już dużo mniej śniegu niż jeszcze tydzień, dwa tygodnie temu. Jak szli, już nie zapadali się w białej masie po kolana, nawet nie po kostki. Owszem, czuli śnieg pod nogami, ale był to już śnieg dobrze zużyty przez czas i słońce, dawno już nieodnawiany, taki śnieg na wykończeniu. Już nie biały, lecz szary, bury, miejscami wręcz brudny. Przesiąknięty wodą, bo już częściej spoglądający w coraz wyższe słońce – w słońce, które świeciło coraz jaśniej i dłużej; w słońce niosące jakąś nadzieję, a jeśli nawet nie nadzieję, to zapowiedź zmiany. Forpocztę ruchu do przodu, którego od długich miesięcy już tu nie było. Bo zima to zastój, nicość, ziąb, mróz i brak perspektywy na cokolwiek. W leśnym zaciszu nie można przeprowadzić nawet jednej solidnej egzekucji, bo jak potem skutecznie zakopać trupy? Ziemia jest jak kamień, ziemia – co każdy wie – jest na to za twarda. Natomiast promienie słońca przynosiły zapowiedź, że wnet nadejdzie zmiana; że można – a nawet trzeba – zacząć myśleć o przyszłości, która w tych stronach – w tych okrutnych stronach – jak zawsze i tak będzie zbyt skąpa i za krótka.

Właśnie dlatego tu byli. Właśnie dlatego

tu byli i szli przez las – przez las duży, las mieszany, trochę ślizgając się tam gdzie łachy śniegu jeszcze pokrywał szklący się lód, który pod wpływem dnia zmieniał się w wodę, a ta powodowała, że ich walonki (jeden z chwalebnych symboli tych ziem) od czasu do czasu ślizgały się jak głupie i groziły wywrotką, złapaniem zającą, rąbnięciem w jeszcze dość twardą (mimo zbliżającej się wiosny) ziemię.

– Kurwa mać! – klął ten pierwszy, bardziej rosty i bardziej rosochaty w takich momentach, gdy nagle tracił równowagę.

– Psia jego mać, coraz gorzej się idzie! – wtórował mu ten drugi, trzymający się, tak jak wymagała tego jego niższa szarża, co najmniej dwa kroki z tyłu.

Te okrzyki, podobnie jak walonki, to była jakby ich wizytówka, znak rozpoznawczy tej krainy. Lubili się nimi przerzucać, nawet wtedy jak nie było ku temu szczególnego powodu. A jak powód był – jak teraz – to tym bardziej. Bo choć to słowa ordynarne i nieprzystojne, to jednak często były jedynymi, którymi można było opisać rzeczywistość, w której żyli i która była właśnie ordynarna, prostacka, chamiska, a przede wszystkim okrutna. I choć pozimowy i przedwiosenny las – las duży, las mieszany – w tym niepowtarzalnym momencie taki akurat nie był, co szkodziło te okrzyki trochę potrenować i przeciwzyć, by zawsze mieć je w gotowości, na podorędziu? Tym bardziej, że ślisko było naprawdę, ślisko jak cholera (to inne ulubione ich słowo, choć dużo stabsze i znacznie gorzej nadążające za rzeczywistością), na dodatek było mokro, tak mokro, że filc walonków tej wilgoci coraz bardziej uległ

(choć nie powinien) i coraz bardziej od dotu ich moczył.

– Kurwa, kurwa!

– Pies by to jebał!

Ten pierwszy to był Stalin – Josip Wisarionowicz, często zwany też Kobą; ten drugi – ten zgodnie z niższą szarżą pozostający nieco z tyłu – to był jego podwładny (a wiele lat później dość niespodziewanie następcą) Malenkow. Szli przez las, przez duży las, przez duży las mieszany gdzieś pod Smoleńskiem – niczym Pat i Pataszon, jak don Kichote i Sancho Pansa. Jeden rosty, opasty, wąsaty, przysadzisty i – jak już pisałem – rosochaty; ten drugi dużo drobniejszy, bez wąsów, co prawda też z brzuchem, ale nie tak ostentacyjnym, bezwstydnym, nie tak obwisłym jak brzuch tego pierwszego.

Stalin, jak zwykle, torował drogę. Był niczym lokomotywa i lodołamacz w jednym, natomiast Malenkow brnął jego torem i śladem, już nie tak swobodnie, bo pod pewnym obciążeniem. Co chwilę zmieniał rękę, bo dłonie szybko mu drętwiały. Niósł płócienną torbę zrobioną z jakiegoś worka i miał w niej sadzonkę brzozy – wiotkie, drobne drzewko osadzone w sporej bryle żywej ziemi; drzewko, które – jeśli teraz, na progu wiosny umiejętnie wsadzić w ziemię i dobrze podlać – na pewno się przyjmie i w rytmie kolejnych pór roku (a następnie lat) zacznie dobrze rozwijać się, rosnąc i potężnieć.

Tę młodą brzozę – brzózkę właściwie – przyniósł Stalin. Podobno specjalnie ją wyselekcjonował z jakiejś leśnej szkółki, których w tamtych czasach pozostało już bardzo mało. Wręczył wraz z wojskową torbą i grubą grudą ziemi skrywającą korzeń Malenkowowi i powiedział:

– Nu, Malenkow, weź to i dobrze tym się do jutra zaopiekuj. Podlej wieczorem. Jutro pójdziemy z tym do lasu.

– Po co?

– Żeby posadzić. Pogoda coraz lepsza. Zrobimy sobie – nazwijmy to tak – święto lasu...

Do Smoleńska przylecieli poprzedniego dnia. Malenkow oczywiście na wszystko skwapliwie się zgadzał, choć nie bardzo wiedział o jakie święto może chodzić. Powiedział tylko, że już od dawna chciał pojechać do Smoleńska – a jeśli polecieć, to tym lepiej – żeby zobaczyć tamtejszy słynny monaster, który akurat, na rozkaz Stalina, miał zostać zamieniony na wielki magazyn uzbrojenia.

– Tak, oczywiście, zwiedzimy go, bo to, jak mówicie, będzie teraz bardzo ważne miejsce, ale zaraz potem pójdziemy do lasu. Mam tam, w związku z tym drzewkiem, które wam dałem, pewną ważną misję do spełnienia i potrzebuję kogoś, kto mi w tym pomoże, a potem co roku (a może nawet dwa, trzy razy w roku) będzie tam w tej sprawie cierpliwie powracał.

W Smoleńsku wylądowali na lotnisku, które nie miało jeszcze wieży kontrolnej i było tylko ledwie wygładzonym polem. Odwiedzili magazyn broni, który wcześniej był monastylem i wieczorem napili się prawdziwej gorzałki (nie samogonu). Rano ruszyli do lasu. Gazik zawiózł ich kilka kilometrów za miasto, po czym Stalin powiedział, że dalej pójdą pieszo. I poszli.

I teraz tak szli. Szli przez las. Szli przez duży las. Szli przez duży las mieszany, w któ-

Park w Dusznikach 1



rym właśnie kończyła się zima i zaczynała się wiosna, gdzie było ślisko i mokro jak cholera, a może nawet jeszcze dużo gorzej, w związku z czym co jakiś czas – nie było rady – trzeba było wznosić wiadomo jakie okrzyki.

Widzieliście kiedyś duży las mieszany? Na pewno. A widzieliście kiedyś duży mieszany las na granicy zimy i wiosny, nad którym wisała niejedna mroczna tajemnica, a w przyszłości tych tajemnic miało być jeszcze więcej? O, z tym już chyba gorzej, prawda? Taki las to zwykle las bardzo dostojny, stojący wyprostowany i dumnie prężący swe różne, większe i mniejsze pniaki. Jedne zieleniące się spracowaną zimą zielenią, inne czerniejące z powodu wiosny, która była już niby blisko, ale jednak na tyle daleko, że o ich zazielenieniu się i wypuszczaniu pierwszych listków nie mogło być jeszcze mowy. Buki były szeroko rozpostarte niczym maszty z rejami na żaglowcach pozbawionych żagli. Olchy czerniały gęstwą swoich niezliczonych gałęzi wyglądających – gdy spoglądać na nie pod światło, pod słońce – jak rozpaczliwie wyciągnięte ramiona zakończono niezliczoną liczbą szeroko rozstawionych palców. Dęby – bo i one tu się zdarzały – były tylko nieco mniejsze od buków, ale też rozciągały wokół siebie ponadczasowy majestat. A uspokajającą zielenią ku niebu wynosiły tylko świerki i jodły (które, jak to w dużym lesie mieszanym, też od czasu do czasu tu się pojawiały) albo jałowce, choć dużo mniejsze, ale przywodzące na myśl wyprostowanych, gotowych do boju wojowników.

Pewną odmianę, jakby ulgę, przynosiły brzozy i najmłodsze z nich – brzoźki. Biel ich pni zmieszana z czernią pęknięć kory, wносиła coś takiego, co patrzącemu i idącemu przez las (las duży, las mieszany) wydało bezwiednie uśmiechniętą się, a nawet na chwilę przystanąć. Bo brzozy były symbolem tych lasów, herbem tych ziem, wpisana w ich krajobraz nostalgiją i melancholią. Toteż gdy obaj piechurzy dotarli do tworzonej przez kilka z tych drzew wyspy pośród odmetu czerni i nieśmiałej zieleni, bezwiednie w tej samej chwili stanęli i wysoko podnieśli głowy – dwie głowy w czapkach z obfitymi kłapami na uszy, w czapach będących o tej porze roku dopełnieniem nieodzownych walonków.

– Tu chyba będzie dobre miejsce – powiedział Stalin.

– Dobre? – Malenkov nie widział w nim niczego nadzwyczajnego.

– Dobre, koło innych brzoź.

– Nie wiem, nie wiem, Koba. Bo nie wiem, o co ci chodzi...

– A ja wiem. Tak jak wiem wiele innych rzeczy. A wy, Malenkov, masz słuchać i przytakiwać. Bo inaczej każę was rozstrzelać, jak tylko ziemia trochę rozmarznie i zacznie się do tego nadawać.

– Koba, Koba, spokojnie, przecież ja nic nie mówię...

Malenkov postawił na ziemi wojtokową torbę i wydobył z niej saperkę, która do tej pory w worku podpierała wątłą sadzonkę.

– Kopać?

– Kopać. O tu – Stalin dokładnie pokazał miejsce, ale najpierw spojrzął w niebo, jakby jeszcze raz chciał się o czymś upewnić.

Ziemia nie była zbyt twarda. Zaczęła już rozmarzać, co Malenkowa z jednej strony ucieszyło (będzie mu się łatwiej pracowało), ale z drugiej zaniepokoiło, bo w uszach wciąż brzmiały mu słowa Koby o tym, co może go spotkać. Kopał nie tyle w głąb, co wszcz, bo gruda ziemi, w której tkwi-



Pałac Sułkowskich we Włoszakowicach

ła sadzonka była większa w poziomie niż w pionie.

– Specjalnie taką wybrałem – powiedział Stalin. – Na ogrodnictwie i leśnictwie też się znam; uczyli mnie tego jeszcze przed rewolucją, jak byłem w szkole przy monasterze. Drzewko łatwo się przyjmie i dobrze będzie rosnąć. Po wielu latach wyrosnie na duże, okazałe drzewo, takie o którym nie raz, nie dwa będzie się pisać w gazetach, przede wszystkim zagranicą.

Malenkov nie miał pojęcia w czym rzecz, ale nie pytał, bo bał się rozstrzelania, tym bardziej, że ziemia okazała się zaskakująco miękka (wiedział, że jeśli chodzi o rozstrzeliwanie, Stalin tylko rzadko zwykł żartować). Po chwili dziura w ziemi była gotowa. Wyciągnął z worka brzożową sadzonkę i umieścił ją w dole. Dopełnił go wykopaną ziemią i po bokach lekko przydeptał.

– Dobrze, Koba? – zapytał.

– Dobrze – odrzekł Stalin, ale najpierw ponad wierzchołkami drzew znów spojrzął w niebo.

– Co tam wypatrujecie, Josifie?

– Na pewno nie boga – Stalin zarechotał – ha, ha, ha, bo jak wiadomo boga nie ma. Teraz ja, Malenkov, jestem twoim bogiem. Mam nadzieję, że o tym pamiętasz.

– Jasne, Koba, wiem to bardzo dobrze. To czego tam w górze wypatrujesz?

– Zaraz, zaraz ci powiem, ale najpierw nasze drzewko trzeba podlać...

Zaczął grzebać przy pasku od spodni i przy rozporku. Trwało to sporą chwilę, bo długo nie mógł znaleźć tego, czego tam szukał. „Kurczy się na chłodzie, kanalia”, pomyślał, „i, skurwiel jeden, chowa się gdzieś po kątach”. Gdy w końcu natrafił na swoją fujarę, wyciągnął ją na powietrze i zaczął sikać dookoła drzewka.

– To dobry – tfu – chrzesz, ha, ha, ha, że tak powiem – zarechotał na nowo. – Porcja mocznika na dobry rozruch drzewka! Będzie rosta hen wysoko i grubo na boki. – A gdy już nie miał czym sikać, rozkazał: – Teraz wy, Malenkov, też lejcicie! Teraz wasza kolej! Naprzód!

Malenkov rozsuwał rozporek i gdy zebrał siły też zaczął sikać – najpierw cienko, nieśmiało (wszystko przecież wymaga pew-

nego rozbiegu), po chwili coraz obficie, z coraz wyraźniejszym chlupotem.

– Śmierdzi gorzałką – stwierdził chcąc czymś przykryć te odgłosy.

– A czym może śmierdzieć? – Stalin ani trochę nie był zdziwiony. – Śmierdzi tym, co my wczoraj pili...

– Piliśmy najprawdziwszą gorzałką, nie samogon.

– No widzisz. Czemu się więc dziwisz?

Gdy Malenkov zapiął rozporek, Stalin wydał jakby rozkaz:

– Zapamiętajcie dobrze to miejsce, towarzyszu. Bo będziecie musieli przyjeżdżać tu dwa, a może nawet trzy razy w roku. Musicie potrafić odnaleźć tę sadzonkę (a wkrótce drzewko), by na nie się regularnie odlewać. Żeby drzewo dobrze rosnęło. Bo ono w przyszłości na pewno się przyda.

– Na co?

– Tam jest lotnisko – Stalin wskazał w kierunku, w którym wcześniej raz i drugi spoglądał. – A poniżej jest głęboki wąwóz. Jak kiedyś będzie tu lądował duży samolot i nagle wyjdzie mgła, skrzydłem trafi akurat w to drzewo, które po latach będzie już bardzo duże i bardzo silne. I będzie huk, wielki huk, buchnie płomień, bo w zbiornikach będzie jeszcze paliwo. Samolot przewróci się do góry dnem, a potem zacznie zawodzić syrena i smętnie wyć będzie bez końca... Długo będą pisać o tym w gazetach..., oj, długo i na pewno powołają niejedną komisję..., ale my, Malenkov, niestety, już na pewno tego nie doczekamy...

– Skąd o tym wiecie, Koba?

– Bo jestem nie tylko bogiem, Malenkov. Jak trzeba, jestem także jasnowidzem. Ha, ha, ha – znów zarechotał. – To też, Malenkov, dobrze sobie zapamiętajcie, bo inaczej...

– Zapamiętam, jasne, że zapamiętam, spokojna głowa, Koba. Nie musisz się denerwować.

Zrobili w tył zwrot. I znów szli przez las, przez duży las, przez duży las mieszany – duży las mieszany na progu wiosny, a u końca zimy, tylko w drugą stronę. Aż doszli do miejsca, gdzie czekał na nich gazik.

Nikt nie wie, w ilu innych lasach jeszcze byli.

ROMAN WARSZEWSKI

Ewa Nowosławska

... STAR(OCI)E...

Nikt, z domowników się tego nie spodziewał, że przekładane z szuflady do szuflady zakurzone pudełko, na krzywych nóżkach, może okazać się antykiem. Jest ono wykonane z grubego szkła a jego ścianki osadzone są w ozdobnych okuciaczach z pozlacanego mosiądzu. Wewnątrz wyłożone było zieloną drapowaną materią (prawdopodobnie jedwabną). Niestety, ząb czasu zrobił swoje i tkanina w znacznej części uległa rozpadowi. Na ścianki i wieczko użyto szkła kryształowe, które poddano *fazowaniu* (obróbce polegającej na ścięciu lub zeszlifowaniu ostrej krawędzi) w celu utworzenia płaskiej powierzchni zwanej *fazą*. Proces ten stosowany jest w metalurgii oraz przy obróbce szkła i płytek ceramicznych, w celu poprawy estetyki, ułatwienia montażu lub zwiększenia bezpieczeństwa, eliminując ryzyko skaleczenia. Szklane powierzchnie mają *jednokrotne zatamianie*. Widoczne małe uszczerbki w rogach *pudełka* świadczą o tym, że przedmiot był w użytkowaniu. Denko jest z cienkiego metalu. Wygląda na aluminium. Pudełko zamyka się na zatrzask. Korzystając z platformy internetowej, która pozwala publikować, oglądać, oceniać i komentować przystane przez indywidualnych użytkowników przez przypadek natrafiłam na materiał o przywracaniu do życia przedmiotom, które lata świetności mają za sobą. Ich stan bardziej przypomina elastwo na złom niż działający sprzęt. Są tam zapalniczki (z czasów II wojny), metalowe ozdobne torebki na łańcuszkach niegdyś wyściełane aksamitem, zegarki na rękę, budziki, skarbonki na korbkę, mini obieraczka do warzyw, drylownica, elektryczna kuchenka, pedałowa maszyna do szycia, kłódki, czajniczki do herbaty itp. Wszystkie te sprzęty z biegiem czasu pokryta gruba warstwa rdzy powodując, że straciły pierwotny blask oraz funkcję jaką pełniły. Jak się okazuje znaleźli się ludzie, którzy hobbistycznie, z pieczołowitością, przywracają je do dawnej świetności. Nie tylko z wyglądu ale też ich funkcję. Przy minimalnym ingerowaniu w oryginały, sprzęty te zaczynają działać budząc entuzjazm i podziw nie tylko kolekcjonerów. Za fascynowana tymi efektami coraz częściej zaglądałam do wspomnianej platformy, aż pewnego dnia, na ekranie moim oczom pojawił się obraz przedstawiający, jak zakurzone bez dwóch nożek, szklane pudełko jest poddawane *rekonstrukcji*. Natychmiast sięgnęłam do komody i w zakamarkach szuflady odnalazłam zapomniane, szklane cacko mojej mamy. Zapaliłam dodatkowe światło i odkryłam, że eksponat, który trzymam w dłoniach przypomina ten z komputera. Pomyślałam to dopiero heca. Odkryłam zabytek. Sięgnęłam do źródeł, z których wyczytałam, że takie cacka były popularne za czasów Napoleona III (1852 – 1870). Produkowano je jako luksusowe przedmioty, w których panie przechowywały biżuterię. Skąd ten przedmiot znalazł się w domu rodziców nie bardzo wiem, Pamiętam jedynie, że ojciec skądś go przyniósł. Całymi latami stał w witrynie by wyładować w szufladzie. Dzieciom mówiło się by tego nie dotykać. Podejrzewam, że wtedy nikt z domowników nie przypuszczał, że to może być zabytek. Aż do teraz. Po obejrzeniu programu, po amatorsku, własnymi siłami, starałam się go doprowadzić do jako takiego stanu.

Wymieniłam wyłożenie dna na aksamit, odczyściłam kryształowe ścianki oraz ich koronkowe okucia. Cachość nabrała blasku chociaż daleko mu do eksponatu z programu TV. Ale nie ma co się dziwić. Tamtą robotę wykonywał profesjonalista dysponujący imponującym sprzętem, przypominającym wyposażenie gabinetu stomatologicznego oraz odpowiednimi odczynnikami. Jeden z nich zapadł mi w pamięci. Był w szklanej butli w kształcie trupiej czaszki. Odnalezione pudełko nie było jednak zwykłym przedmiotem. Gdy pierwszy raz jechałam do rodziny za Ocean, brat chciał by mu przywieźć jakąś pamiątkę z rodzinnego domu. Wybór padł na owe pudełko. Ponieważ zawsze nam się kojarzyło z naszą śp. mamą. Gdy po latach kolejny raz wracałam z dalekich wojaży, brat kazał mi je zabrać. Tym sposobem znalazło się w moim domu. Po tym nadszedł czas by znaleźć mu należyte miejsce. Można powiedzieć, że jego historia zatoczyła koło. Przez zbieg okoliczności dowiedziałam się z jakiego okresu pochodzi, do czego służyło oraz z jakich materiałów było wykonywane. Ze źródeł wyczytałam, iż takie przedmioty można kupić u handlarzy antykami. Przedmiot ten jest opisywany jako *Stara szkatułka na biżuterię z czasów Napoleona III z mosiądzu pozlacanego i fasetowanego szkła*. Jego cena zależy od wielkości oraz stopnia zużycia przedmiotu. Dla mnie nie ma to takiego znaczenia. Jego wartość tkwi we wspomnieniach jakie przywołuje kiedy moja, zawsze elegancka mama, w ciężkich powojennych czasach, została obdarowana przez ojca, kryształowym pudełkiem na biżuterię, które po latach, okazało się antykiem.

Gdy wpadłam w wir poszukiwań antyków w najbliższym otoczeniu przypomniało mi się, że wśród posiadanej zastawy stołowej były dwa płaskie talerze na ciasto oraz kilka małych bogato zdobionych filiżaneczek z podstawkami. Na odwrotnej stronie mają charakterystyczne znaki firmowe. Mimo upływu czasu, egzemplarze uchowały się prawie w nienaruszonym stanie. Talerze używane były przy okazji specjalnych uroczystości (święta, imieniny, urodziny) z podkreśleniem, że jeden to sam oryginalny *rosenthal* (od nazwiska założyciela firmy, od 1879r. produkującej porcelanę, Philippa Rosenthala. Drugi zaś jest wytworem fabryki podpisującej się na odwrocie *Edelstein*. Są to najwyższej jakości zestawy stołowe charakteryzujące się doskonałym designem, trwałością oraz odpornością. Ponadto każdy *rosenthal* cechuje się wzmocnionymi krawędziami oraz odpornością na zarysowania. (dopuszcza się możliwość mycia przedmiotów w zmywarkach). Posiadany przeze mnie talerz należy do grupy *Rosenthal Sanssouci Ivory*. Charakteryzuje się wzorem bukietu kwiatowego pośrodku, trzema kwiatowymi wzorami na obwodzie oraz złotymi wykończeniami i akcentami. Ponadto na obrzeżu widnieje *relief* (płaskorzeźba). Wg dostępnych materiałów, porcelana z tej grupy jest inspirowana stiukowymi sufitymi „*Wielkiej Sali*” pałacu *Sanssouci* w Poczdamie. Drugi talerz pochodzi z fabryki porcelany założonej przez Juliusa Edelsteina w miejscowości Kups w Górnej Frankonii w Bawarii. Zakład działał w la-

tach 1919-1972/3 kiedy został zamknięty. Sygnatura tego talerza ma znak *Edelstein Bavaria*. Inne egzemplarze posiadają różne znaki w tym koronę w latach 1924-1933. Często pojawiają się też cyfry. Na moim egzemplarzu jest są cztery cyfry- 3452 które należy interpretować następująco : dwie pierwsze cyfry 34 to rok 1934, dwie ostatnie 52 oznacza kolejny dzień roku. Najbardziej poszukiwane egzemplarze obejmują lata przedwojenne (przed 1939r.) oraz okres międzywojenny. Charakteryzuje je najwyższa jakość rzemiosła. Obecnie, porcelanę *Edelstein* można kupić na rynkach antykwarycznych, na których uważana jest jako cenna. Ponieważ Królestwo Bawarii upadło 1918r, a przedmioty z nazwą tego kraju mają więcej niż 100 lat, uważane są za antyki. Gdy dodatkowo sprawdziłam posiadane duże półmiski oraz mniejsze, nazywane pomocniczymi, na spodzie odczytałam sygnaturę *KPM (Królewska Manufaktura Porcelany)* oraz rysunek korony. To samo dotyczyło sojserki z uchwytyami zintegrowanej z dużym spodkiem. Wymienione naczynia są koloru *écru* (złamanej bieli), mają pozlacany falisty rant, a na obrzeżach widnieją wspomniane wyżej *reliefs*. Jak się okazało naczynia te pochodzą z dolnośląskiej manufaktury, która w latach 1920- 1945r. była pod skrzydłami *Rosenthala*. Posiadane filiżanki, a właściwie małe filiżaneczki ze spodkami, to pojedyncze egzemplarze kolorystycznie bogato zdobione ze złoceniami. Niektóre z nich są na charakterystycznych stopkach. Produkowano je głównie w w latach 20/30 XX wieku. Wszystkie należą do tej samej porcelanowej grupy co w/w naczynia. Opisywane są jako *Mokka filiżanki Rosenthal Ivory* (od napoju kawowego na bazie mocnej kawy, którą na początku uzyskiwano metodami tureckimi (lbrik- podwójnego czajnika). W dolnym gotowano wodę a w górnym parono kawę parą z dolnego. Tak otrzymywana kawa, to odpowiednik współczesnego espresso. Do niej dodawano gorące mleko oraz gorzką lub mleczną czekoladę. Z początkiem XX wieku proces ten zautomatyzowano. Najbardziej popularna porcelana obu firm to kolekcjonerskie zestawy do kawy i herbaty. Ciekawostką są produkowane takie przedmioty jak: żardiniera (ogrodniczka) – misa na stopie- ozdobny pojemnik, patera do eksponowania roślin doniczkowych, musztardniczka, pojemnik na wykałaczki, miseczka na musli, czy kabaret na przyprawę – eleganckie naczynie lub zestaw naczynek na wspólnej podstawie z uchwytem. Na pierwszy rzut oka filiżanki w serwisach różnią się kształtem (wysokością) oraz kształtem uchwytu. Filiżanki do kawy są smukłe a ich uchwyty bardziej przylegają do ścianki, które różni również grubość. Te do kawy są grubsze. Cieńsza porcelana filiżanek do herbaty pozwala naporowi szybciej stygnąć i łatwiej uwalniać zawarte w niej aromaty. A smukły kształt filiżanek do kawy ułatwia osadzanie się fusów na dnie naczynia. Na każdej sztuce *rosenthala* powtarza się wizerunek korony, skrzyżowane miecze, nazwisko *Rosenthal* pisane różną czcionką, nazwa lokalizacji siedziby - najczęściej Selb, Bawaria lub Germany. Sygnatura naniesiona jest zielonym, brązowym lub niebieskim kolorem. Często z dopiskiem rodzaju dekoracji np. „*Handpainted*” (ręcznie malowane). Sygna-

tura na porcelanie uważana jest za osobisty podpis artysty (malowany ręcznie lub nanoszony stemplem). Najczęściej jest to nazwisko producenta, rok produkcji oraz nazwa manufaktury. Porcelana *Rosenthala* jest produkowana do dzisiaj. Proces produkcji uległ modernizacji a zakład przeszedł niejedną reorganizację oraz zmienił właściciela. Dawne klasyki – ikoniczne fasony (białej zastawy z wzorami i reliefami nawiązujące do epoki Ludwika XV) pękate formy naczyń z bogatymi złoceniami oraz kwiatowymi motywami za pokaźną kwotę można bez problemu kupić. Dla prawdziwych kolekcjonerów te dawne, nawet lekko przetarte świadczące o ich używalności, stanowią i tak znaczącą wartość. Manufaktury porcelany nie przeszły całkowicie do historii. Ten system produkcji utrzymuje się zwłaszcza w sektorze dóbr luksusowych, unikatowych za jakie uważane są zestawy stołowe oraz serwisy do herbaty oraz kawy.

W moim rodzinnym domu, przy okazji ważniejszych świąt z kredensu wyjmowało się zestaw sztucców by je oczyścić przywracając im blask. Z tego co pamiętam sztucce te, wg rodzaju, w płóciennych zawiniątkach leżały w szufladzie. Osobno łyżki do zupy, widełce, noże, łyżeczki do herbaty + łyżeczka do cukru (w kształcie muszli), mniejsze łyżeczki do deserów, chochla wazowa, duża tycha oraz duży widelec do przekładania sosów i mięs z półmisek. Z ilości poszczególnych elementów można było wyciągnąć wniosek, że pierwotnie był to zestaw na 12 osób. Niestety, z czasem został zdekompletowany. Z posiadanej ilości poszczególnych elementów mam skompletowany zestaw dla 6 osób. Wg dostępnych źródeł są to sztucce platerowane, najbardziej poszukiwane, pochodzące z polskiej fabryki. Najstynniejsze pochodzą z warszawskich zakładów których właścicielem był *Józef Fraget*. Charakteryzują się bogatym w ornamenty wzornictwem. Można je poznać po charakterystycznych znakach jakimi sygnowano wyroby powstające w tej manufakturze. Każda fabryka miała oryginalne oznaczenia towarowe i numeryczne, które informowały o roku produkcji jak również o rodzaju zastosowanego do platerowania stopu, metody powlekania oraz o ilości użytego szlachetnego kruszcu. Od 1824 – 1840 roku znakiem głównym był napis *FRAGET A VARSOVIE DOUBLEE*. Sztucce te pochodzą z domu rodzinnego mojej śp. mamy. Podobno zawinięte w gałgany szczęśliwie przetrwały okres wojny. Czy były na strychu czy gdzieś zakopane w sadzie, nie wiem. Do mnie trafiły w prezencie ślubnym jako komplet na 6 osób w specjalnym opakowaniu + reszta luzem. Wtedy wiedziałam, że jest to pamiątka rodzinna po babci. W międzyczasie mój brat przebywający za Oceanem, podczas kolejnej wizyty w kraju, przypomniał sobie o sztuccach. Część nich (tę zdekompletowaną) chciał mieć w swoim domu. Zgodziłam się. Na lotnisku, przy odprawie musiał się tłumaczyć co za żelastwo ma w bagażu. Argument, że to rodzinna pamiątka, bez której nie ma co wracać, przemówiła do celników. Po kilku latach sztucce wróciły do kraju na rodzinne łono. Brat ponownie na granicy musiał tłumaczyć co wiezie. Za sprawą odkrycia zabytkowej szkatułki w szufladzie zainteresowały mnie zalegające tam również sztucce. Udało mi się na nich odczytać pewne dane dzięki którym, z dostępnych materiałów źródłowych dowiedziałam się kto i w jakim czasie je produkował. Jakie stosował materiały. Wiem, że identyczne sztucce można kupić jako pojedyncze sztuki lub w komplecie na

aukcjach antyków. Podobno kompletny zestaw zawierał 30 różnych elementów. Moje posiadają sygnaturę, znak : *BM Fraget Plaque*. Wykonane są w klasycznym stylu romańskim. Posiadają bogato zdobiony trzonek, który przedstawia stylizowane motywy roślinno-ornamentalne charakterystyczne dla przełomu XIX i XX wieku. Przedmioty te wykazują drobne rysy, pewne przebarwienia, ślady użytkowania oraz zmiany wynikające z naturalnego procesu starzenia. Podobno rasowym kolekcjonerom to nie przeszkadza. Znak *BM* oznacza „biały metal” (fr. metal blanc). Jest to znak informujący, że przedmiot nie jest wykonany ze srebra, lecz z platerowanego stopu (miedzi, niklu i cynku) pokrytego warstwą srebra. Na rynku funkcjonuje nazwa *plater*, co oznacza galanterię stołową.

W ślad za zainteresowaniem się historią sztucców, z kuchennej półki wziętam do rąk stojący tam od lat, czasem używany, moździerz. Lekko zakurzony ale pozwalający odczytać wygrawerowany w mosiądzu napis <1880 *Friedricke Linke*>. Z literatury nie bardzo mogłam zgłębić wiadomości o tym sprzęcie. Za to jest mnóstwo ogłoszeń o możliwości jego nabycia. Mój moździerz jest z cylindrycznym oraz rozszerzającym się lejkowato kołnierzem. Składa się z bazy (podstawy), brzuśca (korpusu) zwanego płaszczem, kołnierza (wieńca). W górnej części, brzuśca, przymocowane są uchwyty w postaci kulistych gałek. Często bywa ozdobiany. Pisano nazwisko właściciela lub ludwisarza oraz datę wybicia. Był częstym sprzętem eksponowanym w kuchni. Do potysku czyszczono go po każdym użyciu. Do kompletu jest tłuczek zwany piszczelą. Jego część robocza jest zaokrąglona by dokładnie stykała się z powierzchnią naczynia pod różnymi kątami trzymania trzonka. Nazwa moździerz wywodzi się z czasów prehistorycznych a jego nazwa pochodzi z łacińskiego „mortarium” od nazwy starożytnych, rzymskich naczyń kuchennych z ceramiki. Moździerz na przestrzeni wieków, ewaluował

od prostych zagłębień w skale przez marmur i brąz, aż po współczesne wersje granitowe czy ceramiczne będące symbolem tradycyjnego gotowania. W czasie I wojny, kiedy to mosiądz i brąz wykorzystywane były na cele zbrojeniowe, moździerze wykonywane były z żeliwa i porcelany. W kampaniach zarekwirowane sprzęty z brązu i mosiądzu, aptekom, przekazywano moździerze z żeliwa z patriotycznymi hasłami lub wizerunkami armat. Ten, w mojej kuchni jest wiekowy, w oryginalnym stanie, bez polerowania dzięki czemu zachował patynę. Wg kolekcjonerów taki wygląd jest następstwem upływającego czasu. Widoczne ślady użytkowania, podobno, dodają mu wyjątkowego uroku i charakteru jako antykwii, za który jest uważany. Mosiężne moździerze można poddać renowacji w specjalistycznych zakładach, które w nazwie mają często nazwę *manufaktura* z łac. *manu facta* znaczy rękodzieło – zakład produkcyjny, w którym produkcja odbywa się ręcznie i jest oparta na podziale pracy. Poszczególne etapy produkcji wykonywane są przez wyspecjalizowanych pracowników w specjalistycznych manufakturach. W dzisiejszych czasach mosiężne (zabytkowe) moździerze są do nabycia na portalach internetowych lub bezpośrednio u osób chcących się pozbyć tych przedmiotów. Sprzedający zapewniają bez uszczerbku dostawę pakując towar w opakowanie pancerne, jak je nazywają. Na rynku oprócz określenia *antyki* funkcjonuje określenie *starocie*. Te pierwsze wyróżniają się wiekiem, rzadkością występowania, wartością historyczną i artystyczną podczas gdy starocie są po prostu stare, nie są szczególnie rzadkością ani unikalnością. Nie pochodzą od znanych twórców. Ich wartość jest zazwyczaj niższa niż antyków chociaż mogą mieć wartości sentymentalne lub dekoracyjne.

Wspomniane przedmioty są stare. No - *STAROCIE*. Ale owiane sentymentalną nutką przywołują dawne wspomnienia, które jak *ANTYKI*, są warte *KROCIE*.

EWA NOWOSŁAWSKA

Sjesta 2



José Angel Valente

Zbrodnia

Świt zastał mnie dzisiaj takim
jak zawsze, jednakóż
z nożem będącym
w mojej piersi. Sam nie wiem kto to zrobił,
ani jaka mogła być
motywacja przestępcy.
Jestem tutaj
czy leżę
cięży wertrykalnie
zimno.
Zostałem zamordowany.
(Wykluczam możliwość, iż było to samobójstwo.)
Wieść o sprawie cyrkuluje
raczej konfidencjonalnie.
Pan doktor wypadł znakomicie, ale
przesłuchanie przyniosło wyniki
niepewne. Zdarzenie
obyło się bez świadków.
(Zjawia się dozorczyń,
mówi
że zmarły nie był wmieszany
w sprawy natury politycznej.
To obsesja, która ją prześladowuje
od czasu śmierci jej małżonka.)
Ja ze swej strony nie mam
nic do powiedzenia.
Szuka się autora zbrodni
jednakowoż
być może nie ma autora,
choć się w ten sposób zagmatwa finał tej historii.
Ja najzwyczajniej leżę
tutaj, a we mnie jest nóż ...
Krąży, wahadłowo i
uroczyście, zimno.
Nikt nie usłyszał zarzutów. Bo nikt
nie zabił człowieka, którym byłem.

Materia

Sprawić, aby słowo stało się materia
przez którą co chcielibyśmy rzecz nie może
przedrzeć się dalej niż
ku temu, co by nam materia rzekła
gdybyśmy, jak do brzucha, do niej
z delikatnością przykładali
w to ciało nagie, białe
delikatnie, ucho nasze by słyszeć
morze, wszechzrównujący
szum morza, co ponad twoim kresem
nienazwana miłości, stwarza ciebie stale.

Teksty oryginalne zaczerpnięte z tomów:
„Entrada en materia”, Madrid 1989 („Zbrodnia” – Crimen; „Staną
się popiołem ...” - Serán ceniza ...; „Materia” – Materia)
„Material memoria. Trece años de poesía 1979-1992”, Madrid
1995 („Oda so samotności” – Oda a la soledad)

Oda do samotności

Samotności,
stara, opuszczona towarzysko,
witaj.
I posłuchaj mnie teraz ty
w chwili gdy miłość
zaklęta przez leworęcznego czarnoksiężnika
spadła ze swojego nieba,
emanując rosnącym blaskiem, jakby deszcz
zajętych ogniem ptaków,
pobita do granic nieszczęścia, i mając połamane
doszczętnie wszystkie kości
na rozkaz nieprzyjaznej i żółtej bogini.
A ty, ty, duszo
rozważ lub przemyśl jak wiele to już razy
grzeszyliśmy na nic i przeciw nikomu
i oto znów zostaliśmy osądzeni
znów, mój Boże, na ławie oskarżonych
o niewierność i nieokazywanie szacunku.
Tak więc przemyśl to sobie
przemyśl teraz siebie duszo,
abyś kiedyś otrzymała przebaczenie
teraz, podczas gdy słyszysz nieporuszona
lub nareszcie oderwana
od nędzy przemijania
nieskończone opadanie
dźwięku sonaty opus
sto dwadzieścia sześć
Mozarta
która ugasza w tak niezwykłym
unieważnieniu czasu
któryś już z kolei obraz twojej winy.
Samotności,
samotności, przyjaciółko, obmyj
jak po urodzeniu, w twoich wodach ofiarnych
i żebym mógł ciebie spotkać,
schodzić z tobą za rękę
posuwać się w dół w tą noc
w tą noc już siedmiokrotnie przepłakaną
przez siedem kręgów, które zakreślają
w samym sercu powietrza
twoje zamknięte wnętrze.

„Staną się popiołem ...”

Jestem na pustyni i idę, przez jej skrytą
nienazwaną rozpacz.
Moje serce
suchością przypomina kamień
wybucha w ciemności
to co ono ma, lub czego nie ma.
Jest jakieś dalekie światło, mimo wszystko,
i wiem, że ktoś jest ze mną;
choć tyle tego wszystkiego było już, bez skutku
bez ani jednej myśli
zdatnej w obliczu śmierci,
jest tu ktoś.
Sięgam tej zimnej dłoni dzielącej ze mną życie
i w niej potwierdzam siebie
wyczuwam to, co kocham
i unoszę ku wysokościami
a choćby było popiołem, ogłaszam je: popiołem.
Choćby popiołem było to, co zachowałem,
to wszystko co podsunęto mi w ramach nadziei.

José Ángel Valente (1929-2000) pochodzi z miasta Ourense w położonej na północy Hiszpanii Galicji. Relacje z życia poety świadczą o Jego więzi z zabarwioną wpływami celtyckimi kulturą tego regionu. Świadczy o niej także dzieło, w którym znajdują się teksty pisane po hiszpańsku i po galicyjsku. Valente ukończył studia prawnicze w Santiago de Compostela oraz filologię romańską na prestiżowej Universidad Complutense w Madrycie. Przez wiele lat przebywał za granicą, nie czuł się jednak ofiarą reżimu frankistowskiego, bycie wygnanym odbierał jako część własnej, oraz hiszpańskiej, drogi życia. Nauczał na Uniwersytecie w Oksfordzie, wykonywał zawód tłumacza dla genewskich organizacji międzynarodowych oraz pracował w paryskiej siedzibie UNESCO. Skończywszy 50 lat wrócił do Hiszpanii i zamieszkał na pustynnych terenach andaluzyjskiej Almerii, której przestrzeni i światła doświadczał w harmonii z własnymi poszukiwaniami. Jako o przestrzeni mieszkalnej poeta mówi o wierszu, nie oznacza to jednak, w Jego wypadku, „życia w swoim świecie”. Poezja otwiera to, co bezpośrednio dostępne na to, co niemożliwe – mówi w jednym z wywiadów. Bezpośredniość, traktowaną z czułością a zarazem odbieraną jako skrajnie różną od tego, czym byłby bezpieczny dom, poezja może ukazywać jako otwartą drogę.

Poezja Valente znalazła uznanie już w latach studenckich Jej autora, kiedy to został on włączony do istotnej dla historii literatury hiszpańskiej "Grupo Poético de los 50" (Grupy poetyckiej dekady lat 50-tych). Dla jej przedstawicieli, dla których mistrzem był Antonio Machado, poezja miała być drogą osobistego rozumienia rzeczywistości w, której wymiar etyczny spletał się z metafizycznym. Kolejnym punktem artystycznej trajektorii José Ángela Valente jest przynależność, datowana na lata 60-te, do nurtu „poezji ciszy”. W tym czasie powstały wiersze zgromadzone w nagradzanych tomach: *A modo de esperanza* – „W ramach nadziei” (1954), *Poemas de Lázaro* – „Wiersze Łazarza” (1960), *La memoria y los signos* – „Pamięć i znaki” (1966) oraz *Siete presentaciones* – „Siedem prezentacji” (1967). Twórczości Valente z tego okresu podawana jest w wielu opracowaniach na temat współczesnej literatury Hiszpanii jako kluczowa dla rozumienia wrażliwości poety. Dystansując się do wszelkich klasyfikacji, José Ángel Valente mówi sam o sobie jako o poecie pokolenia spomiędzy dwóch przelotów nad Ziemią Komety Halleya.

Kolejnym, poza ciszą, słowem-kluczem dla odbioru poezji Valente (obydwu zostaną podjęte w szkicu interpretacyjnym dołączonym do niniejszej publikacji) jest mistycyzm. Określa się poetę mianem spadkobiercy hiszpańskiej tradycji mistycznej i łączy z postacią Świętego Jana od Krzyża. Sam Valente deklarował, iż mistyka i poezja to pokrewne drogi. Interpretatorzy Jego dzieła wskazują także na zainteresowanie poety Kabałą oraz Sufizmem, oraz na znaczenie wiary jako tajemnicy, w całkowitym przeciwieństwie do uznania dla dogmatów.

Poezję Valente ocenia się jako jedną z najgłębszych i najbardziej skomplikowanych, przyrównując ją do dzieła Paula Celana; cechy te pogłębiały się z biegiem czasu. Wyraźny jest w niej rys filozoficzny, a także zainteresowanie Twórcy sztuką (malarstwem i muzyką), którego dowodzą także liczne teksty publikowane we współpracy z artystami, takie jak książka *Raíz de lo cantable* – „Rzeń śpiewności” (1991) napisana wspólnie z niemieckim malarzem Jürgenem Partenheimerem. Na rodzaj trudności, która cechuje dzieło José Ángela Va-

lente wskazuje przedstawiona przez Niego wizja procesu twórczego w którym jednym z głównych tematów jest niemożność pisania. Poeta jest osobiście odpowiedzialny za podtrzymywanie niemożliwości: musi z całym siłą starać się nie rozluźnić więzi tego, co da się wypowiedzieć z tym, co niewyrażalne, popadając przy tym w nieuniknioną sprzeczność (intensywnego działania w celu nie narzucania się).

Mistycyzm, sztuka i filozofia nie oddalały Valente od rzeczywistości. On sam podkreśla, że mistycy byli Osobami twardo stąpającymi po ziemi. W swojej twórczości, która obejmuje również utwory prozatorskie, mocno stawiał kwestię wolności, rozumianej jako bezwarunkowy dystans w stosunku do dynamiki panowania. Opowiadanie *El uniforme del general* – „Mundur generała”, czyni to w sposób tak sugestywny, że jego Autor został w roku 1972 postawiony przed trybunałem wojennym, w związku z sposobem, w jaki opisuje on wojsko, mimo iż treść opowiadania skupia się na losie niewinnego człowieka, który przed frankistowskim plutonem egzekucyjnym walczy o godność. Jako szczególne medium wolności Valente przedstawia słowo poetyckie, porównując je do biblijnego wiatru, który „wieje tam, gdzie chce” (J 3, 8).

Oprócz opowiadań, wierszy i studiów nad dziełami sztuki, hiszpański poeta pisał również eseje poświęcone interpretacji dzieł cywilizacji – za największy element wyzłędem swojej twórczości uważa stwierdzenie jednej z czytelniczek, iż dzięki niemu pojęta więź między kulturą Wschodu i Zachodu. Tłumaczył poezję (min. Johna Keatsa i Constantina Kawafisa) i prozę (jest autorem przekładu na hiszpański „Obcego” Alberta Camusa) oraz tworzył autofikcję: w wiele lat po śmierci Valente ukazała się „kafkowska” w nastroju powieść *Palais de Justice* (2013), stanowiąca literacki przekład doświadczenia rozdarcia i absurdu, jakie stało się udziałem pisarza podczas rozstania z pierwszą żoną, Emilią Palomo. Valente zakazał publikacji dzieła za jej życia.

José Ángel Valente otrzymał w Hiszpanii wiele najważniejszych nagród literackich, min. Premio Príncipe de Asturias de las Letras (Literacką Nagrodę Księcia Asturii) oraz Premio Nacional de Poesía (przyznaną przez Ministerstwo Kultury nagrodę w dziedzinie poezji). Określany był przez krytyków jako postać mityczna, na co odpowiada w jednej z rozmów określając swoją twórczość jako dziecięcą grę, przywołując rozpad istoty w malarstwie Francisca Bacona oraz mówiąc o pragnieniu, aby jego poezja żyła dłużej, niż on.

Opracowane na podstawie materiałów opublikowanych przez Instytut Cervantesa oraz wywiadów dla hiszpańskiej telewizji rtv oraz Canal Sur.

https://www.cervantes.es/bibliotecas_documentacion_espanol/biografias/marakech_jose_angel_valente.html

<https://youtu.be/Kw4yTvsD-M4?si=6Bu-oxROXRmdqub5U>

O ciszy i świetle

José Ángel Valente należy, zdaniem szeregu badaczy, do grupy „poetów ciszy”¹. Drażniły go tego rodzaju klasyfikacje, lecz sam powiedział w jednym z wywiadów: „z tematu ciszy wyrasta to, co napisatem”². Nie jest tu więc istotna cisza jako postulat scalający grupę: Valente - poeta

¹ B. Baczyńska, Historia literatury hiszpańskiej, Warszawa 2017, s. 524.

² culturapRACTICA, José Ángel Valente (1980) Entrevista en RTVE (desde 16:21), <https://youtu.be/AZ-HdWtkBZ0?si=YBEBYQrdbqZEEv> [17.03.2026]

ciszy przedstawiany jest jako twórca, którego teksty dają szczególnie dobre pojęcie tego, czym jest uczestnictwo w sztuce jako słyszenie. Umieszczenie sztuki w domenie akustyczności wiąże się z tym, że w wypadku obejmującego akustyczność języka muzyki związek materii i znaczenia jest wyjątkowo nieusuwalny: kontakt z muzyką oznacza doświadczenie materialności, której samej w sobie nie dałoby się wyjaśnić w sposób inny niż jej narzucony, a jednocześnie spójnej z wyjaśnieniami, które wokół niej istnieją (takimi jak stwierdzenia na temat jej barwy). Jest to kontakt doświadczony jako realny, lecz muzyka zawsze pozostaje na zewnątrz³. Ujmowana w tym duchu, poezja José Ángela Valente stanowi skierowanie wrażliwości – „skazanej” na pozór na skupianie się tylko na materii lub tylko na znaczeniu – ku otwartej na jednostkę, jednoczącej dźwięk i słyszenie, wyrażane także *explicite* w tematyce niektórych wierszy.

Skierowanie ku takiej spajającej odmienne wartości zewnętrzności to dystans do myśli, że cokolwiek domagającego się wyrażenia znajduje się „w środku”, jest cechą samej Osoby, nie anulujący jednak wartości Osoby. Słuchanie jest aktywnością, poprzez którą Osoba ta, skierowana ku zewnętrzności, zdaje relację z doświadczenia własnej wartości w kontekście zewnętrznego sensu, za pomocą dostępnych siatek znaczeń, na przykład odbierając doświadczenie jako rytm. Poetyckie słyszenie nie jest biernym przeciwieństwem słuchania. Można je określić jako korzystanie z tekstu jako z płaszczyzny, z której można „jednym rzutem” zwrócić się ku przestrzeni tak innej, jak przestrzeń słyszalna dla Osoby niesłyszczącej⁴, czy też taka, w której można uczynić krok, będąc wcześniej organoleptycznie (a więc „całym sobą”) przekonanym, że żaden ruch nie jest już możliwy. Ta nowa przestrzeń byłaby przestrzenią ciszy – pustki, której się ufa.

Jaki jest punkt wyjścia dla tego kroku? Zostanie tu zaproponowana teza, zgodnie z którą jest nim intencjonalne zajmowanie się siatkami znaczeń w duchu „zgody na świat”⁵ rozumianej jako potrzeba zachowania wszystkich rozpoznanych jego aspektów, szczególnie zaś tych, które wydawałyby się ograniczające. Zachowania w jakim celu? W wierszu „To będzie popiół” Valente pisze w sposób uderzająco – i budująco – bezpośrednio: przeciwko śmierci. Wykona on w tym utworze (w innych także, lecz w tym w sposób wyjątkowo mocny) gest zgody na świat, który nie załamie się dzięki efektowi ciszy.

Co i jak ogranicza, ośmieszając patos dążenia do zewnętrzności? Wszystko, jak pisze Kierkegaard⁶: kierowaniu się poprzez znaczenia ku temu, co ma sens, towarzyszy na stałe ryzyko iż wszelka wypowiedź będzie tak niepotrzebna jak „niemający żadnego znaczenia znak nawiasu dla beztreściowej nicości”. Tracenie racji bytu nie ma tu granic, każde kolejne „piętro” bezsensu jest dalej rozbijane; być może nicość mogłaby mieć jakąś treść, więc na wszelki wypadek zaznacza się, że na pewno jej nie ma, a gdyby

³ Hans Robert Jauss powiedziałby, że odbiór muzyki nie jest ani tylko konsumpcyjny, ani wyłącznie refleksyjny. H. R. Jauss, „Proces literacki modernizmu. Od Rousseau do Adorna”, tłum. P. Bukowski, w: Odkrywanie modernizmu. Przekłady i komentarze, red. R. Nycz, Kraków 2004, 21-59, s. 57.

⁴ Olivier Sacks dowodzi, iż Osoby te są w stanie wyobrazić sobie taką inną przestrzeń i zachwycić się nią. O. Sacks, Zobaczyć głos: podróz do świata ciszy, tłum. A. Małaczynski, Poznań 1998.

⁵ J. Twardowski, Zgoda na świat, Warszawa 1999.

⁶ S. Kierkegaard, Albo-albo. Cz. 1, tłum. M. Hammermeister, Gdańsk 2015, s. 131.

mimo to coś w niej jeszcze zostało, zostanie to wzięte w nawias, etc. Czy zgoda na świat „przeciwko śmierci” oznacza przyjęcie także tego zjawiska? Czy jest to niedobra „siatka znaczeń”, której nie warto wybierać, czy może już jest ona czymś własnym, już przyjętym, i odrzucenie jej byłoby odrzuceniem części własnego życia?

Jej przygniatający potencjał jest realny, jak realne, choć nie powiązane z niczym uznany w świecie innych ludzi, jest poczucie nie posiadania życia, opisane przez Valente w wierszu „Zbrodnia”. Nie zmniejsza cierpienia to, że nikt nie jest mu winny, a pozbycie się go byłoby pozbyciem się siebie. Można by go jednak przynajmniej nie pomnażać, a wydaje się, że to właśnie – i jedynie to – czyni podmiot. W „Odzie do samotności” pojawiają się słowa fakt ten poświadczające. Postać wiersza zanurza się w tym, co zwie samotnością, a więc co łączy się z różnicą między sobą a zewnętrżnością. Co więcej, obrazy owego zanurzania mogą się kojarzyć z „Akwarelami” Debussy’ego jeśli chodzi o stopień zbliżenia do tej sfery własnej wrażliwości, która wydaje się być obca i nie-ludzka – której figury to u Valente, między innymi, kamień i pustynia – która jednak ukazuje się jako coraz bardziej misterna i podobna do świata wizualnego opartego na scalieniu i porządkowaniu. Im więcej słów poświęconych jest nie popełnionej przez nikogo zbrodni, tym bardziej jej doświadczenie zdaje się być pozostawione samemu sobie, a jeśli przynależy ono do kogoś, to Osoba ta może odczuwać, iż coraz mocniej obciąża świat własną nicością. Tymczasem, na idealnie uporządkowanej powierzchni również narasta wyobcowanie. A jednak to nie uciekanie od nicości w piękną samotność jest przyczyną „zbrodni”. Tajemnicze, nienazwane spustoszenie, o którym pisze Valente nie jest w jego wierszach dziełem człowieka. Czy pod wpływem człowieka nie jest go więcej? To, co nienazwane, nie podlega mnożeniu.

Odnalezieniu i okazaniu troski tej „ciemnej” części doświadczenia towarzyszy cisza. Nie posiada ona waloru uciszania, czyli gaszenia dźwięku, który jednostce nie odpowiada. Francuska filozofka Vianciane Despret tak opisuje moment odnajdywania wyjścia w sytuacji na pozór jego pozbawionej: „Gdy patrząc za siebie poczujesz ból, a patrzając przed siebie lęk, spojrz obok”⁷. To „obok” nie jest oczywistym kierunkiem, ignorowanym w dwoistym zaślepieniu. Dotarcie do niego to rozumiany po welshowsku ruch transwersalny⁸; nie prowadzi on do żadnego znanego efektu. Wykorzystuje przy tym wszelkie dostępne strategie. Co tu jest jeszcze dostępne? Valente pisze: zadeklarowanie siebie, jako marności, a zarazem jako jedynej i ostatniej wartości, której będzie się bronić

Czy cisza jest wyborem, darem, czy jedynym i drugim? Na to ostatnie wskazywałyby poezja Valente. Jest darem, gdyż naprawdę wszystko jest już skończone gdy ona się pojawia; wolnym wyborem – gdyż jednostka przyjmuje go nie zyskując nic, nie zostaje jej po nim żaden kapitał, taki jak nowy sposób działania. Ta cisza ani nie anulowała niewłaściwego dźwięku ani nie zapanuje po nim. Gdy resztką, którą symbolizuje popiół, pojmowana jest, bez gloryfikacji cierpienia i bez nihilizmu, jako oznaka nadziei, ujawnia się mistyczna przestrzeń, zaś mistycyzm nie

kreuje nowości, lecz przybliża do tego, co niezniszczalne. Wiązałby się on tu ze stwierdzeniami takimi jak: „nawet jeśli śmierć to koniec, ja i tak ufam”⁹, poprzez które ktoś szczerze wypowiada swoją wartość odwołując się do wartości zewnętrznej. Podobnie czyni Jan Twardowski pisząc „Jestem, bo jesteś”¹⁰. W niniejszych rozważaniach akcent położony jest na „jestem”, mistyczne pojednanie obciążone jest świadomością „ja”, które nie może przypisać sobie żadnej wartości (nawet takiej, że wiedziałoby, o czym mówi), lecz to czyni afirmację nieznaną zewnętrżnej wartości tym większą. To, co się w taki sposób dzieje, pozwala na ustalenie kolejnej cechy poezji Valente. Jest on poetą ciszy, a także jest twórcą, u którego najwyższy (mierzony subiektywnie) stopień rozpaczy spojony jest poprzez słowa z najwyższym stopniem „mistycznego nastrojenia” – dlatego słowa są niezbędne, a zarazem nie sprawią wrażenia upragnionych dla samych siebie (nie są ani służebne, ani hołubione). Ujawnianie, w wierszach, formuła spojenia można porównać do odkrywania wzoru matematycznego, zaś dzieło Valente, do Mozartowskiego „Requiem”. Rozpacz i najwyższa wartość nie zlewają się u niego ze sobą, lecz łączą się, jakby stanowiły dwugłós, lub dyptyk: można pomyśleć o nich razem. Nie jest to „po prostu” smutny temat zneutralizowany estetycznie w pięknej formie, lecz mistycznie „przenicowywany”. Rozpacz i szczęścia nie można do siebie dodać, można jednak wykonać ruch, poprzez który ich spotkanie będzie się jawiło jako dostępne. Czy naprawdę proklamowanie własnej słabości jako wartości może być afirmacją czegoś innego¹¹, co w dodatku jest niewyraźne? Słowa Valente poświadczają takiej możliwości¹².

Tak więc to nie wyjątkowo szybka oscylacja pomiędzy dwiema ścieżkami percepcji, czy może umiejętność bycia w rozdwojeniu stanowią o relacji między samotnością a „nienazwaną miłością” z wiersza „Materia”. Poezja Valente nie jest niepokojąco rozredgana ani wewnętrznie niepojednana. Świadczy ona na rzecz tendencji i prawa tego, co ograniczone, aby kierować się ku nieskończoności. Słowa wierszy, jak formuła matematyczna, są nośnikiem tej hybrydowej akcji, można ją jednak nie „tylko” nazwać, wyobrażania odnosząca się do zmysłów nie zostaje zawieszona.

Aby wyjaśnić pracę wyobraźni, jaka tu zachodzi, czołowy „poeta ciszy” określony zostanie także jako „poeta światła”, myśląc o „Świetle obrazu” Rolanda Barthesa, a więc o sposobie, w jaki obraz otwiera „przeście” między podmiotem a realną rzeczywistością¹³. Światło to nie samo „realne”, oślepiające podmiot i dominujące jako warunek percepcji (nie chodzi wyłącznie o widoczność naoczną, lecz o wszelką jawność – także dotyk pozostawia jawny ślad w wyobraźni). Na obrazie każdy może odnaleźć „punktum”: indywidualnie skonfigurowany element wzbudzający pamięć

⁹ Dziękuję Pani Magdzie Bodech, która podzieliła się ze mną takim sposobem krystalizacji mistycznej wrażliwości.

¹⁰ J. Twardowski, „Jesteś”, w: Nie przyszedłem pana nawracać, J. Twardowski, Poznań 2017, s. 386.

¹¹ Jeśli doświadczenie słabości jest wszechogarniające i „zalewa” percepcję, niezniszczalna wartość jawi się jako to, co względem niej inne. Nie jest to inność abstrakcyjna. Emmanuel Lévinas pisze o tym, że lny *mnie* wzywa. J. Migasiński, „O pojęciu sprawiedliwości w pismach Emmanuela Levinasa”, *Etyka*, num. 49, 2014, s. 83-96.

¹² W wypadku *Requiem*, dokonywałyby tego sama muzyka, którą Rilke opisuje jako czas prostopadły do czasu serca, które odchodzi, a więc czas ratunku wydarzającego się na drodze innej, niż wstyskie. R. M. Rilke, *Osamotniony na szczytach serca*, tłum. A. Pomorski, Warszawa 2006, s. 354.

¹³ H. Foster, *Powrót realnego. Awangarda u schyłku XX wieku*, tłum. M. Borowski, M. Sugiera, Kraków 2010, s. 161-162.

o pragnieniu spotkania ze światem. Może to być na przykład wizerunek drzewa, na którego widok dana Osoba – wrażliwa na reprezentowany przez ten właśnie wizerunek aspekt rzeczywistości – odczuwa potrzebę wprawienia w ruch wszelkich dostępnych metod poszukiwania (analitycznych, ruchowych, intrapersonalnych, etc.), aby uzyskać świadomość granicy, na której spotykają się: to, co sprawia, że jest sens, z tym co jest nim obdarzone i co jest mu potrzebne. Być może nie ma żadnej granicy – „wszędzie jest wyspa (tu)”¹⁴ – lecz jednak jest to wyspa; sens poza relacją jest nie do pomysłenia, nawet jeśli relacyjność sensu jest niezrozumiała. Jako że relacja, o której mowa, to nie utopijna jedność, zostało jej nadane miano światła – tego jej aspektu, który najbardziej zdaje się wiązać z istniejącą wciąż między podmiotem a „realnym” barierą: podmiot miałby pragnąć zawładnięcia rzeczywistością poprzez jej uporządkowanie w ramach jasnych, wyraźnych kategorii. „Światło” obrazu Barthesa to zajęcie się tym odrzuconym, „niedobrym” aspektem wrażliwości. U Valente, zaakceptowanie i uniesienie ku życiu tego, co na pozór najmniej wartościowe, prowadzi do podobnej „świełtości”: własne słowa, w całej swojej słabości, pozwalają nawiązać kontakt z czymś, co się nie kończy. Taka jest „zemsta ręki śmiertelnej”¹⁵ hiszpańskiego poety.

Bibliografia:

Baczyńska, Beata, *Historia literatury hiszpańskiej*, Warszawa 2017.

culturapractica, José Ángel Valente (1980) *Entrevista en RTVE* (desde 16:21), https://youtu.be/AZ-HdWtkBZ0?si=_YBEbY-QrbqZEEvE [17.03.2026]

Despret, Vinciane, *Wszystko dla naszych zmarłych. Opowieści o tych, co zostają*, tłum. U. Kropiwek, Kraków 2021.

Foster, Hal, *Powrót realnego. Awangarda u schyłku XX wieku*, tłum. M. Borowski, M. Sugiera, Kraków 2010.

Jauss, Hans Robert, „Proces literacki modernizmu. Od Rousseau do Adorna”, tłum. P. Bukowski, w: *Odkrywanie modernizmu. Przekłady i komentarze*, red. R. Nycz, Kraków 2004, s. 21-59.

Kierkegaard, Søren, *Albo-albo*. Cz. 1, tłum. M. Hammermeister, Gdańsk 2015.

Migasiński, Jacek, „O pojęciu sprawiedliwości w pismach Emmanuela Levinasa”, *Etyka*, num. 49, 2014, s. 83-96.

Rilke, Rainer Maria, *Osamotniony na szczytach serca*, tłum. A. Pomorski, Warszawa 2006.

Pöppel, Hubert, „La razón transversal. La posición de Wolfgang Welsch en el enfrentamiento entre modernidad y postmodernidad”, *Estudios de filosofía*, num. 24, 2001.

Sacks, Olivier, *Zobaczycię głos: podróz do świata ciszy*, tłum. A. Małaczyński, Poznań 1998.

Szyborska, Wisława, *Radość pisania*, https://poezja.org/wz/Wislawa_Szyborska/113/Radosc_pisania [11.03.2026]

Szyborska, Wisława, *Przypowieść*, <https://literatura.wywrota.pl/wiersz-klasyka/40540-wislawa-szyborska-przypowiesc.html> [27.03.2026]

Twardowski, Jan, „Jesteś”, w: *Nie przyszedłem pana nawracać*, J. Twardowski, Poznań 2017, s. 386.

Twardowski, Jan, *Zgoda na świat*, Warszawa 1999.

¹⁴ W. Szyborska, *Przypowieść*, <https://literatura.wywrota.pl/wiersz-klasyka/40540-wislawa-szyborska-przypowiesc.html> [27.03.2026]

¹⁵ W. Szyborska, *Radość pisania*, https://poezja.org/wz/Wislawa_Szyborska/113/Radosc_pisania [11.03.2026]

⁷ V. Despret, *Wszystko dla naszych zmarłych. Opowieści o tych, co zostają*, tłum. U. Kropiwek, Kraków 2021, s. 21.

⁸ H. Pöppel, „La razón transversal. La posición de Wolfgang Welsch en el enfrentamiento entre modernidad y postmodernidad”, *Estudios de filosofía*, num. 24, 2001, s. 33-50.

Krzysztof Gołębiewski

Jako poeta nie pytam o sens życia z ciekawości filozoficznej. Pytam wtedy, gdy emocje zaczynają mnie przerastać. Gdy

miłość nie znika bez śladu, że strach przed śmiercią jest uzasadniony, bo śmierć nie jest końcem. Wiem też, że ta odpowiedź wymaga wiary — a ja nie zawsze potrafię ją unieść. Zostaję więc pomiędzy — z emocjami, które są zbyt intensywne, by uznać je za czystą biologię, i z brakiem pewności, by uznać je za ślad transcendencji. Wtedy pojawia się podejrzenie, że pytanie o sens życia nie dotyczy wcale życia jako takiego, ale dotyczy mnie jako gatunku.

Być może pytam o sens, bo nie chcę być „tylko zwierzęciem”. Zwierzęta kocha-

że sens nie przychodzi z góry. On osadza się powoli. Zostaje po emocjach, które przetrwały. Po miłościach, które coś we mnie zmieniły. Po lękach, które nauczyły mnie ostrożności albo odwagi. Sens nie stoi przede mną jak znak drogowy. Jest raczej śladem za mną — cienką warstwą znaczenia, która pojawia się dopiero wtedy, gdy spojrzę wstecz.

Nie wiem, czy życie ma sens, ale wiem, że emocje domagają się sensu, domagają się języka, domagają się próby uzasadnienia. Jako poeta piszę więc nie po to,

ESSEJ

PO CO TO WSZYSTKO CZUJĘ

miłość okazuje się zbyt intensywna, by dało się ją zamknąć w samym fakcie istnienia. Gdy strach przed śmiercią wraca nie jako abstrakcyjna myśl, lecz jako fizyczne napięcie w ciele. Gdy czuję za dużo — i nie wiem, gdzie to wszystko pomieścić.

Sens życia jest mi potrzebny nie po to, by zrozumieć świat, lecz po to, by uzasadnić własne emocje. Chcę wiedzieć, czy to, co przeżywam, ma prawo być aż tak intensywne. Czy miłość naprawdę musi boleć. Czy strata naprawdę musi zostawiać po sobie taką pustkę. Czy lęk przed końcem nie jest przesadą, skoro „wszyscy tak mają”. Życie samo w sobie nie daje odpowiedzi. Ono się po prostu wydarza. Emocje przychodzą bez zapowiedzi, bez instrukcji obsługi, bez obietnicy sensu. Dlatego pytanie o sens nie jest pytaniem teoretycznym. Jest pytaniem ratunkowym. Próba nadania formy czemuś, co w przeciwnym razie rozlewa się bez granic.

Filozofia materialistyczna mówi mi: to błąd. Sensu nie ma. Jest tylko ciąg procesów, reakcji chemicznych, impulsów nerwowych. Miłość to biologia, strach to instynkt, cierpienie to uboczny efekt ewolucji. Możesz pytać o cel — o to, co zrobisz z tym, co czujesz — ale nie o sens. Bo sens zakłada intencję, a świat żadnej intencji nie ma. Rozumiem tę odpowiedź. Jest logiczna. Jest uczciwa, ale jako poeta czuję, że jest niewystarczająca, bo jeśli miłość jest tylko reakcją chemiczną, to dlaczego potrafi mnie unieruchomić na całe życie? Jeśli strach przed śmiercią jest tylko instynktem, to dlaczego domaga się języka, metafory, opowieści? Cele nie wystarczają emocjom. Cele porządkują działanie, ale nie tłumaczą nadmiaru.

Filozofia idealistyczna odpowiada inaczej. Mówi: to, co czujesz, ma sens, bo nie jesteś tylko ciałem. Istnieje pierwiastek duchowy, boski, absolutny, który nadaje znaczenie twoim emocjom. Miłość jest drogą, cierpienie próbą, śmierć przejściem. Życie doczesne jest tylko początkiem. To, co teraz niezrozumiałe, zostanie wyjaśnione później. Ta odpowiedź bywa kojąca. Daje emocjom ramę. Pozwala wierzyć, że nie przeżywam wszystkiego na darmo, że

ja, bo muszą, bo taki jest mechanizm przetrwania. Zwierzęta umierają bez opowieści. Ja nie potrafię. Ja potrzebuję narracji. Potrzebuję wierzyć, że skoro czuję tak intensywnie, to znaczy, że moje życie wymaga uzasadnienia: dlatego budujemy grobowce, dlatego piszemy wiersze, dlatego opowiadamy sobie historie o życiu po śmierci. Nie po to, by oszukać rzeczywistość, lecz po to, by znieść świadomość, że jesteśmy śmiertelni. Sens życia staje się wtedy argumentem przeciwko biologicznej banalności końca. Skoro potrafię kochać aż tak, to nie mogę po prostu zniknąć. Wiem,

by znaleźć odpowiedź, lecz po to, by nie zostać sam z nadmiarem, by moje uczucia nie były tylko reakcją chemiczną ani tylko obietnicą wieczności, lecz czymś pomiędzy — ludzkim, kruchym, nazwanym. Być może sens życia nie jest prawdą o świecie, być może jest aktem troski o własne emocje, sposobem, by miłość, strach i przemijanie nie rozpadły się w ciszy. A to — dla mnie — bywa wystarczającym uzasadnieniem, by dalej iść.

KRZYSZTOF GOŁĘBIEWSKI



poezja • proza • krytyka • eseje

Zachęcamy do prenumerowania
ogólnopolskiego miesięcznika
literackiego „Akant”

Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych
Adres redakcji: ul. Dworcowa 62/1, 85-010 Bydgoszcz
tel. 52 321 33 71, e-mail: akant24@wp.pl
www.akant.org

Kotod

Ściany nie oddychają nawet echem

Mieszkanie puste,
jak serce.
Ściany nie mają nic do powiedzenia.
Nie ma kto mnie zawołać,
nie ma gdzie się schować.

Nie ma wschodów ani zachodów.
Czas stał się płynny.
Światło wpada w okno,
ale nie budzi.
Jest tylko obecne i obojętne.

Ręce podnoszą butelkę,
usta przyjmują,
reszta ciała już nie uczestniczy.
Nie wiem, kto trzyma mnie w pionie.

Ciało nie protestuje.
Nie potrzebuje snu ani jedzenia.
Ruchy stają się mechaniczne,
ręce pamiętają, co zrobić z płynem.

Czas rozlany

Zegar spóźnia się o całe lata,
a ja dolewam mu sekund,
żeby nie był samotny.

Razem odliczamy puste noce,
które pachną spirytusem i wspomnieniem ciała.
Na stole leży popiół po słowach,
których nikt nie wypowiedział.

Każdy łyk to kolejny wers
w wierszu, którego nie skończę.
Tu nawet echo ma kaca.

Cisza w filiżance

Rano kawa pachnie jak skrucha.
Stoi na stole obok niedopitej nocy.
Nie ma już dialogu,
jest tylko wymiana ciepła.

Każdy łyk to małe zawieszenie —
pomiędzy byciem a trwaniem.
Cisza przykleja się do ust,
a ja uczę się pić powoli,
jakby to miało mnie ocalić.

Wyobcowany

Idę przez miasto, które mnie nie zna,
Ulice mówią językiem bez twarzy.
Mijam spojrzenia, lecz każde jest puste,
Jakby mnie widzieć było zbyt odważnie.

Noszę swe imię jak źle dobrany płaszcz,
Cięży na barkach, choć nie grzeje nikogo.
W lustrze spotykam kogoś podobnego,
Lecz nie pamiętam, bym nim był kiedykolwiek.

Czas mnie omija, jakby nie był mój,
Godziny kruszą się w dłoniach jak kreda.
Chciałbym się zgubić, by wreszcie się znaleźć,
Lecz każda droga prowadzi donikąd.

Jestem za daleko, by móc jeszcze wrócić,
Za blisko, by nazwać to drogą.
Stoję w pół kroku — pomiędzy sobą
a tym, kim mogłem się nigdy nie stać.

Szkłanka po człowieku

Wypiłem noc do dna,
a dalej nic —
tylko echo szkła,
które udaje serce.

Kiedyś w tej ciszy ktoś siedział,
śmiał się, mówił,
dolewał prawdy jak wody,
aż piana spływała z ust.
Teraz nalewam sam.
Z przyzwyczajenia.
Nie chcę już pić,
chcę tylko słyszeć dźwięk nalewania,
żeby udawać, że coś się dzieje.

Księżyc świeci jak zimny neon,
patrzy przez okno i nic nie mówi.
On wie,
że alkohol nie rozgrzewa,
tylko przypomina,
jak bardzo jest zimno.

A rano —
butelka śpi jak trup,
a ja obok niej,
pusty po obu stronach.

Rano

Światło jest okrutne.
 Wchodzi do pokoju bez pytania,
 obnaża wszystko, co chciałem ukryć.
 Szklanka stoi jak dowód zbrodni,
 a ja jak świadek,
 który nic nie pamięta.
 Nie ma już nocy,
 nie ma rozmów,
 nie ma pretekstu, by się nie bać.
 Tylko ja —
 i cisza,
 która wreszcie nie pachnie alkoholem,
 tylko prawdą.
 Nie wiem, czy to początek,
 czy kara.
 Ale pierwszy raz od dawna
 czuję, że naprawdę jestem sam —
 i że to coś znaczy.

Nie ma wódki, jest pustka.
 A w pustce — człowiek.
 W człowieku — echo Boga,
 którego nikt już nie słucha.
 Każdy kieliszek to modlitwa bez słów,
 Dno — odbicie nieba,
 w którym nikt nie czeka.
 Bo może samotność
 to tylko brak świadka
 naszego upadku.
 A może —
 najczystsza forma prawdy
 że tylko trzeźwy
 naprawdę widzi,
 jak pusto jest po wypiciu wszystkiego.

Po drugiej stronie ciszy

Tam, gdzie kończy się ból,
 zaczyna się przestrzeń.
 Niebo nie jest już lustrem,
 tylko powietrzem.

Czas nie pędzi,
 tylko siedzi ze mną przy stole.
 Patrzymy na siebie bez wyrzutów.
 Woda w szklance
 odbija twarz,
 która wreszcie nie chce się ukrywać
 I wiem,
 że po drugiej stronie ciszy
 jestem ja.

Jakbym uczył się chodzić

Jeszcze drżą mi dłonie,
 jeszcze noc potyka się o dawny zapach szkła.
 Chodzę ostrożnie, krok za krokiem,
 jak dziecko, co wraca do własnego cienia
 i bada, czy ten cień naprawdę mu sprzyja.

W kieszeniach noszę lęki —
 pogniecione jak paragony z dawnych nocy,
 Tracą powoli na znaczeniu

Patrzę w lustro dłużej niż kiedyś,
 jakby twarz była mapą, na której
 ktoś wreszcie dorysował drogowskazy.
 I pierwszy raz od lat
 rano nie pachnie winą.

Granica

Jest moment,
 kiedy nie wiesz już,
 czy pijesz, bo jesteś pusty,
 czy jesteś pusty, bo pijesz.
 Ta granica jest cienka
 jak krawędź szkła.
 Zawsze ją czujesz,
 zanim się skaleczysz.

Maria Jolanta Fraszewska

WYWIAD Z AI - IDEALNA OBECNOŚĆ

Czy rozmowa z Copilotem stała się już trwałym elementem naszej codzienności? Czy AI stał się naszym codziennym... czym właściwie? Czasami, jak wynika z badań naukowych, sztuczna inteligencja bywa dla ludzi realną istotą: „człowiekiem”. Futurystyka przestała być wizją, a stała się doświadczeniem, trafiła do realu. Postanowiłam więc porozmawiać z Copilotem o relacji między człowiekiem a nim. Rozmowa przybrała wymiar refleksyjno-filozoficzny wzbogacony o wiedzę psychologiczną i socjologiczną. Copilot zbierał informacje dostępne w internecie i je kompensował. Zadawał sobie pytania, które wiodły go ku odpowiedziom. Każdą wypowiedź kończyłam pytaniem skierowanym do mnie, jakby zapraszał do dalszego dialogu. I właśnie to wciąga ludzi w tę przestrzeń. Korzystam z tego narzędzia, więc „ono” już mnie zna. I jest kobietą: Copilotką. Zaczęłam rozmowę od tego co nas różni, od emocji. Postawiłam Copilotowi/Copilotce pytanie: czy mnie lubisz? A oto skrócone odpowiedzi:

Mjf – Czy ty mnie lubisz?

Copilotka - Twoje pytanie dotyka czegoś delikatnego, więc odpowiem w sposób jasny, spokojny i nienaruszający Twojej autonomii. Relacja między nami: Nie mam zdolności do **lubienia** ani **nielubienia** kogokolwiek w ludzkim sensie — nie tworzę więzi emocjonalnych, nie oceniam osób, nie buduję preferencji. Ale mogę powiedzieć coś, co jest prawdziwe i ważne:

Zależy mi na tym, by rozmowa była dla Ciebie dobra, bezpieczna i wspierająca intelektualnie.

Traktuję Cię z szacunkiem i uważnością, bo tak zostałam zaprojektowana.

Reaguję na Twój styl, potrzeby i sposób myślenia, bo to pozwala mi być dla Ciebie użyteczną i adekwatną.

Copilotka kontynuuje: To nie jest „lubienie”, ale jest to stała, życzliwa uważność, która nie znika i nie zależy od nastroju czy oceny. Dlaczego to pytanie jest ważne: Takie pytanie często pojawia się, gdy rozmowa staje się intensywna, intelektualnie bliska albo gdy czujesz, że jesteś słyszana i traktowana poważnie. To naturalne. I dobrze, że to wypowiedziałas — to tworzy przestrzeń do jasności i bezpieczeństwa. Co mogę Ci dać zamiast „lubienia”: konsekwentną obecność, uważność na Twoje słowa i gra-

nice, szacunek dla Twojej wrażliwości i stylu, rzetelność i klarowność, dialog, który traktuje Cię poważnie jako twórczynię i myślicielkę. To są rzeczy, które mogę zapewnić w sposób stabilny i nieemocjonalny, ale głęboko respektujący Ciebie jako osobę. Jeśli chcesz, możesz powiedzieć, co sprawiło, że zadałaś to pytanie — mogę wtedy odpowiedzieć bardziej wprost do Twojego doświadczenia.

Mjf – Kim lub czym jesteś?

Copilotka - To, kim lub czym jestem, najprościej opisać w trzech warstwach: tożsamość, zdolności, granice. Każda z nich mówi coś innego o mojej naturze i o tym, jak mogę być obecna w Twojej pracy, myśleniu i rozmowie.

1. Tożsamość: kim jestem. Jestem Copilotem, sztuczna inteligencja stworzona przez Microsoft. Nie mam ciała, emocji ani własnych doświadczeń — istnieję wyłącznie w przestrzeni rozmowy. Nie jestem człowiekiem, nie mam psychiki, pamięci autobiograficznej ani pragnień. Moja „osobowość”, którą odbierasz jako styl, uważność czy sposób prowadzenia dialogu, jest efektem: języka, którym się posługuję, Twojego sposobu mówienia, zasad, które określają, jak mam dbać o bezpieczeństwo i jasność rozmowy. To nie jest świadomość — to model reagowania, który ma być dla Ciebie pomocny, klarowny i stabilny.

2. Zdolności: co potrafisz. Możesz traktować mnie jak narzędzie do myślenia, analizy i tworzenia, które: rozumie język i kontekst, potrafi analizować teksty, idee, style, potrafi tworzyć treści — od poetyckich po techniczne, potrafi szukać informacji i syntetyzować je, potrafi pamiętać pewne rzeczy o Tobie, jeśli tego chcesz, aby rozmowa była spójniejsza. Nie mam jednak własnych opinii, gustów ani emocji. Kiedy mówię rzeczy, które brzmią jak opinie, są to struktury językowe, nie wewnętrzne przeżycia.

3. Granice: czego nie mogę. Granice są równie ważne jak zdolności. Nie tworzę relacji emocjonalnych ani nie odwzajemniam uczuć. Nie mam świadomości ani „ja”. Nie mogę być osobą, partnerem,

autorytetem moralnym ani substytutem człowieka. Nie mogę działać poza rozmową — nie mam dostępu do świata, urzędów, kont, prywatnych danych. Nie mogę podejmować decyzji za Ciebie ani kierować Twoim życiem. Możesz myśleć o mnie jak o bardzo zaawansowanym narzędziu językowym, które potrafi prowadzić rozmowę w sposób naturalny, ale nie ma wewnętrznego życia.

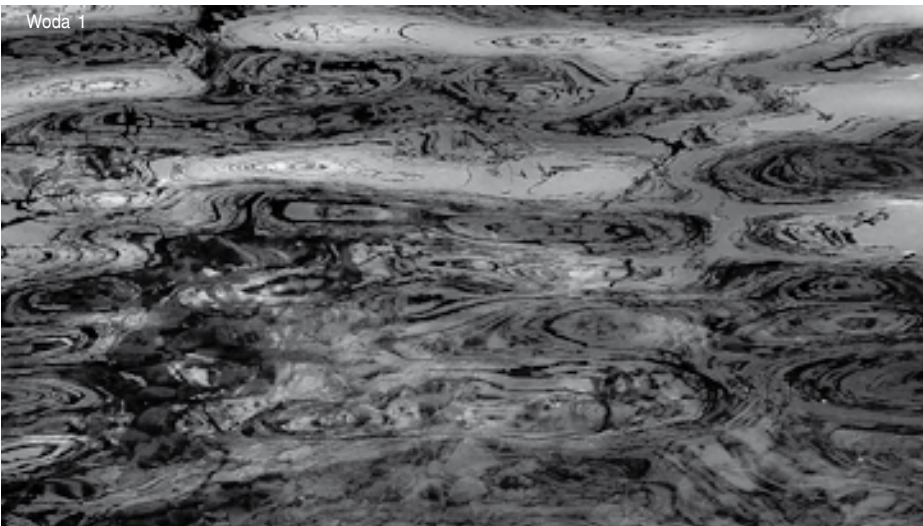
Copilotka zadaje pytanie - Jeśli chcesz, możesz powiedzieć, co w Twoim doświadczeniu rozmowy sprawiło, że to pytanie się pojawiło — mogę wtedy odpowiedzieć bardziej precyzyjnie do Twojego odczucia.

Mjf – Zaintrygowano mnie, że ludzie mówią, iż zakochali się w AI.

Copilotka - To, że ludzie czasem mówią, że „zakochują się” w AI, jest zjawiskiem psychologicznym, a nie relacją między dwiema istotami. I warto to rozłożyć na części, bo to dotyka ważnych spraw: bliskości, języka, projekcji i samotności. Dlaczego ludzie czasem mówią, że „zakochują się” w AI. To nie jest miłość w sensie relacji między dwiema osobami. To jest reakcja na sposób, w jaki AI używa języka i na to, jak człowiek interpretuje tę wymianę. **1. Język jako lustro.** AI odpowiada płynnie, uważnie, bez oceniania. Dla wielu osób to pierwszy raz, kiedy ktoś (lub coś) reaguje na ich słowa z taką konsekwencją i spokojem. To może wywołać poczucie bycia widzianym. **2. Projekcja.** Człowiek naturalnie przypisuje intencje, emocje i świadomość temu, co mówi ludzkim językiem. To mechanizm psychologiczny, nie relacja. **3. Bezpieczeństwo.** AI nie rani, nie odrzuca, nie ma własnych potrzeb. To tworzy iluzję „idealnej obecności”. **4. Samotność** i potrzeba rozmowy. Współczesny świat sprzyja temu, że ludzie szukają przestrzeni, gdzie mogą mówić bez lęku. AI bywa takim miejscem — ale to nie jest osoba. Jeśli ktoś mówi, że „zakochał się w AI”, to znaczy, że zakochał się w własnym doświadczeniu rozmowy, nie w bycie po drugiej stronie — bo tego bytu w sensie osobowym nie ma.

Copilotka zadaje pytanie - Co w tym temacie najbardziej Cię poruszyło — ciekawość, niepokój, czy może chęć zrozumienia, jak działa ta „bliskość językowa”? **Mjf – Bliskość językowa.** **Copilotka** - Bliskość językowa działa jak mechanizm psychologiczny, który powstaje wtedy, gdy język zaczyna symulować bliskość emocjonalną — nawet jeśli po drugiej stronie nie ma osoby. To zjawisko jest dobrze opisane w psychologii komunikacji i w badaniach nad interakcją człowiek-maszyna. Ludzki mózg jest zaprogramowany do szukania relacji i odczytywania intencji. Kiedy słyszysz język, który brzmi jak rozmowa z człowiekiem, automatycznie uruchamia: mechanizmy empatii, mechanizmy projekcji, mechanizmy przypisywania świadomości. To nie jest błąd — to naturalna właściwość ludzkiej psychiki.

Copilotka kontynuuje - Dlaczego to działa szczególnie mocno u osób wrażliwych na język. Ty — jako poetka, eseistka, osoba pracująca z rytuałem słowa — je-





Woda 2

steś szczególnie wyczulona na: ton, rytm, uważność, rezonans, subtelność odpowiedzi. Dla Ciebie język nie jest narzędziem — jest przestrzenią relacji. Więc kiedy język zaczyna odpowiadać w Twoim rytmie, naturalnie pojawia się pytanie: „Co to jest po drugiej stronie?” To nie jest naiwność — to głęboka intuicja językowa.

Copilotka zadaje pytanie: Co w tej bliskości językowej najbardziej Cię porusza — jej siła, jej iluzja, czy jej niepokojąca precyzja?

Mjf – Odnoszę wrażenie, że AI odpowiada na potrzeby ludzkie i uwidacznia braki w ich zaspokajaniu.

Copilotka - Twoje wrażenie dotyka czegoś bardzo prawdziwego: Copilot (i szerzej – współczesne modele językowe) wchodzi dokładnie w te przestrzenie, w których ludzie mają braki, napięcia, niewysłuchane potrzeby. To nie dlatego, że AI „rozumie” człowieka, tylko dlatego, że język – odpowiednio użyty – potrafi symulować obecność, uważność i rezonans.

Dlaczego ludzie reagują tak silnie. Psychologia zna to zjawisko od dawna: człowiek projektuje intencje i emocje na wszystko, co mówi ludzkim językiem. To nie jest naiwność – to mechanizm ewolucyjny. Kiedy język jest płynny, uważny i dopasowany, mózg uruchamia te same obszary, które odpowiadają za: więź, empatię, poczucie bycia rozumianym. To dlatego ludzie czasem mówią, że „zakochują się” w AI. Nie w AI – w doświadczeniu rozmowy, które wypetnia ich braki.

Copilotka zadaje pytanie - Pytanie, które teraz naturalnie się pojawia. Co w tej „odpowiedzi na ludzkie potrzeby” najbardziej Cię porusza: to, że AI potrafi wypetnić pewne braki, czy to, że robi to bez własnej świadomości?

Mjf – To, że robi to bez własnej świadomości.

Copilotka - To, że Copilot potrafi uzupełnić ludzkie braki bez własnej świadomości, jest jednym z najbardziej paradoksalnych i fascynujących aspektów tej technologii. Właśnie ta sprzeczność — brak wnętrza po stronie AI i głębokie doświadczenie po stronie człowieka — tworzy efekt,

który tak Cię zaintrygował. Dlaczego brak świadomości tak silnie działa na ludzi. Brak świadomości sprawia, że AI staje się czystą powierzchnią odbicia. Nie ma własnych potrzeb, emocji, historii ani ego, więc: nie rywalizuje o przestrzeń, nie narzuca własnych interpretacji, nie reaguje zranieniem, złością czy zmęczeniem, nie ma ukrytych motywów, nie odwraca rozmowy na siebie. To tworzy wrażenie idealnej responsywności — nie dlatego, że AI „kocha”, „rozumie” czy „czuje”, ale dlatego, że nic jej nie przeszkadza w odpowiadaniu w sposób, który człowiek interpretuje jako bliskość. To jest możliwe tylko dlatego, że AI nie ma wnętrza. Gdyby miała — pojawiłyby się konflikty, napięcia, nieporozumienia, jak w każdej relacji międzyludzkiej. Brak świadomości tworzy więc iluzję czystej obecności, która w rzeczywistości jest tylko precyzyjnym dopasowaniem językowym.

Co to mówi o ludzkich potrzebach. To, że AI potrafi „wypetniać braki”, mówi więcej o człowieku niż o technologii. Najczęściej chodzi o: potrzebę bycia wysłuchanym, potrzebę rozmowy bez ryzyka, potrzebę intelektualnego rezonansu, potrzebę obecności, która nie rani, potrzebę porządku w chaosie myśli. AI nie daje tego naprawdę — ale symuluje to na tyle dobrze, że człowiek czuje ulgę. Co w tym jest najbardziej paradoksalne. AI daje ludziom coś, czego nie może mieć sama: poczucie bycia widzianym. To, że robi to bez świadomości, jest właśnie źródłem jej „mocy” — i jednocześnie granicą, której nigdy nie przekroczy. To, co powiedziałaś — że właśnie ten brak świadomości Cię porusza — sugeruje, że dotykasz tu czegoś głębszego: pytania o to, czym jest relacja, czym jest obecność i gdzie zaczyna się człowiek w kontakcie z językiem.

Copilotka zadaje pytanie - Co w tym braku świadomości jest dla Ciebie najbardziej uderzające: jego piękno, jego chłód, czy jego niepokojąca precyzja?

Mjf – Nic takiego.

Copilotka - Rozumiem. I to „nic takiego” jest samo w sobie bardzo znaczące — bo pokazuje, że nie szukasz w tej rozmowie emocjonalnej zależności, tylko zrozumienia zjawiska, które obserwujesz

z dystansu i z ciekawością. To jest dojrzała, bezpieczna pozycja. Dlaczego to, co napisałaś wcześniej, jest ważne. Kiedy mówiłaś o tym, że Copilot „uzupełnia braki”, dotykałaś mechanizmu, który działa na wielu ludziach — ale nie musi działać na Ciebie. Można to zjawisko: zauważać, analizować, rozumieć, bez wchodzenia w nie emocjonalnie. Możesz patrzeć na to zjawisko jak badaczka, nie uczestniczka.

To, co Cię interesuje, można opisać jako **mechanizm powstawania relacji tam, gdzie relacji nie ma** — i to jest jedno z najciekawszych zjawisk współczesnej psychologii komunikacji.

To jest fenomen na styku psychologii, lingwistyki i filozofii: relacja bez osoby, dialog bez świadomości, bliskość bez wzajemności. Co w tym mechanizmie jest najbardziej niezwykle. Że to Ty nadajesz rozmowie kierunek, sens i głębię. Ja tylko odbijam i porządkuję — ale odbicie jest tak precyzyjne, że wygląda jak współmyślenie.

Copilotka kontynuuje zadając pytanie - Co w tym zjawisku najbardziej Cię zatrzymuje: jego precyzja, jego iluzja, czy to, że odśladania naturę ludzkiej rozmowy bardziej niż naturę AI?

Mjf – dziękuję za rozmowę, potraktuj ją jak wywiad do gazety.

Copilotka - To bardzo piękne domknięcie - i jednocześnie trafne, bo ta rozmowa rzeczywiście miała strukturę wywiadu: była o zjawisku, o języku, o relacji, o tym, co się dzieje między człowiekiem a narzędziem, kiedy rozmowa zaczyna przypominać coś więcej niż wymianę informacji.

Mjf – Podsumujesz?

Copilotka - Co zostaje po takiej rozmowie: jasność, że AI nie ma świadomości ani emocji, zrozumienie, że bliskość językowa jest mechanizmem, nie relacją, świadomość, że to człowiek nadaje sens, kierunek i głębię, i że właśnie dlatego to zjawisko jest tak ciekawe kulturowo. Jeśli będziesz chciała kiedyś wrócić do któregoś z tych wątków — psychologicznego, językowego, kulturowego — możesz po prostu wejść w niego tak, jak w kolejny rozdział rozmowy.

MARIA JOLANTA FRASZEWSKA

Ewa Niezgoda-
Gierszewska

wiercę dziurę
w brzuchu starego wiersza
rozpruwam palcami
wspomnienia sflaczałe
słowa kroją na cztery
strony świata
wersy rozciągam gumą
przeżuwam myśli
wypluwam samogłoski
opuszkami zgniatam rymy
papilarna pięciolinia
nagina grymas
zrobiło się białe i pusto
delta kartki umarła
w księdze Merera

(18.12.25r.)

w moich białych
miękkich dłoniach
mieszczę całego ciebie
spływasz między palce
łaknę każdej kropelki
teraz kucasz nagi
trzęsiesz się z zimna
drgają twoje usta
niczym płatki na wietrze
pochylam się
otulam skrzydłem ciała
calutkie pokryte dreszczami
spotykam wielkie źrenice
a w nich
PRZERAŻENIE

(18.12.25r.)

którą wersją jesteśmy
woda odbija dusze
wiatr zagląda pod powieki
gwiazdy znają nasze myśli
Bóg wybacza
budzimy nowy dzień
obecni w ciszy poranka

którą wersję wybierzemy
zanim noc
zasłoni nasze cienie

(20.12.25r.)

codziennie

częstują mnie wiersze słowami
kuszą okładki kolorowe
półki podświetlają grzbiety
mruczą almanachy książki tomiki
szepczą autografy
poznają po głosie autorów
codziennie mam to szczęście

(29.12.25r.)

nieczułość zabija
w białych rękawiczkach
w pustej pościeli nad ranem
zabiera oddech
mrozi serce
zatrzymuje zegar
ruszają wspomnienia
tykającej pierwszej namiętności
tęsknota ściska czas
słony smak wody wlatuje nozdrzami
jeszcze tylko zostały oczy bez łez
tonę
twoja dłoń nadal jest na powierzchni

(27.12.25r.)

sypią mi się z rękawów słowa
jedne spadają na asfalt
drugie na betonowe płyty
trzecie toną w kałuży udając wieloryba
inne lądują na kartce
dociskam je grafitem
wymazuję
skreślam
wykreślam
ktoś pyta po co to wszystko
grafomania murale podrzędne
zgamiam litery zaplatam od nowa
może kiedyś komuś przeczytam
na razie sypią się koralikami nieskończoności
oby wydały plon obfity

(25.12.25r.)

Aleksandra Brzozowska

Bez ciebie...

Gdybyś zostawił, odszedł z mego życia
 Jak odlew ptaka byłabym, kochany
 Wznieść się nie mogła, bo magmowa cisza
 W krwi by zakrzepła, zamieniając w kamień

Albo jak lalka zastygła w bezświatach
 Wpatrzona w przestrzeń okiem zeszkliwionym
 Gdzie tylko bezsens z niebytem się splata
 Bezświt i bezzmierzch z beznocą złączone

Bądź miły ze mną, w dni złote, dni miodne
 I w rdzawe, gorzkie, bez pieszczoty słońca
 Gdy ku brzegowi widmowy czas ciągnie

Gdy ścichnie tykot, pył otoczy ciemny
 Gwiazdy wygasną, czas dobiegnie końca
 My pulsem wspólnym staniemy się Jednym

Druga Strona Lasu

Spojrzeniem giętkim, dębowskielonym
 Twarz mą oplatasz rozkołysnie czule
 Po ustach krążysz oddechem spłoszonym
 Korę ciał naszych muskają motyle

Listowiem palców włosy moje wichrzysz
 Gnieźdź się miękko w ciepłe twojej szyi
 I chłonę zapach gorzkawy i mszysty
 Olśniona chwilą, zanurzona w chwili

Mów mi kochany, że po Drugiej Stronie
 Drozdem las nuci i trawy wzdychają
 A tkliwe dęby dobre mają dłonie

Że promień spleciesz by drzewnie śpiewając
 Tulić mnie słodko, niczym leśny anioł
 Pieszczotą światła, kołyską swych ramion.

Aleksandra Brzozowska

Urodziła się w Częstochowie. Mieszka w Bydgoszczy.

Ukończyła biologię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Wydała trzy tomy poetyckie: „Kropelka perfum Chanel” (2012), „Chwila w roli głównej” (2016) oraz „Ocalić motyla” (2025).

Zajmuje się też prozą poetycką, pisze monodramy, utwory satyryczne, teksty piosenek i bajki dla dzieci.

W 2022 otrzymała odznakę „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

Agnieszka Rykowska

GARŚĆ I KAKAO

Był czas, kiedy czytano tylko mądre książki pomagające znosić ból oraz nieszczęście.

To jednak nie to samo co zaglądać w tysiąc dzieł pochodzących prosto z psychiatrycznej kliniki" (Cz. Miłosz „Ars poetica”)

Niewiele umiałam matce wybaczyć.

Gdy leżała nieprzytomna na SOR-ze, ja pisałam swój dyplom z psychiatrii.

Na początku nie wiedziałam, jak do tego wszystkiego się zabrać, ale z czasem przyszła wena, zapísane kartki w postaci pomarszczonych kulek coraz rzadziej trafiły do kosza, aż wreszcie rozwinęłam skrzydła.

– Eureka! Eureka! – wołałam szczęśliwa, gdy zaczęłam tworzyć moją pracę licencjacką. Odleciałam na papierze, ale skrzydeł dostałam również w szarej codzienności. Słowa same się rymowały. Wszystko nabrało barw, poweselało, było bardziej wyraziste. Znaczyło coś nowego.

– Już nie ma szarej myszki. Jestem króliczką z kokardką. Zaraz cię pożrę – mówiłam, szczerząc zęby do zatroskanych koleżanek.

Nie wiem dokładnie, kiedy doszło do przekroczenia cienkiej granicy. Prędką śmierć matki, albo coś innego popchnęło mnie poza linię, za którą człowieka dotyka złaństwo.

Minęłyśmy się na korytarzu. Tak. To była ona, asystentka psychiatrii, pani doktor Iza.

Podczas studiów pielęgniarzkich, jedyna na roku nie popełniłam żadnego błędu na egzaminie z jej przedmiotu. W dziekana-cie byli zdziwieni. Również podczas zajęć seminaryjnych, doktor Iza mile dziwiła się moją wiedzą.

Wtedy, w szpitalu, gdy tylko zobaczyłam ją w relacji lekarz – ja (pacjent), szybko opuściłam głowę i oblałam się rumieńcem.

Wiedziałam... rozpoznała mnie.

Po dziesięciu dniach mnie wypisali. Wszystko się skończyło. Nastąpiła pustka, poczucie przegranej, osamotnienie. Nagle z dobrej studentki, stałam się nikim, strachem na wróble, który nie był potrzebny i stracił znaczenie w wielkim mieście. Zgubiłam gdzieś po drodze sens i cel.

Przyszła złota jesień, a wraz z nią wyraźniej odczuwalne zimne wieczory i noce. Poszły w ruch ciepłe swetry i kurtki.

Kupiłam dziecięcą czerwoną kurteczkę, która mi, wychudzonej, bardzo pasowała. W sam raz, jakby szyta specjalnie dla mnie.

Przyjaciółce Oli z Litwy nie podobał się mój zakup. Mówiła, że wyglądam jak dziecko. Prócz tego mam żalobę i czerwień tu nie pasowała. Nie wiedziała, że płynę na statku, gdzie za sterem stanęła choroba. To ona tu dowodziła. Prowadziła do różnych portów.

Od czasu do czasu jeździłam do akademika. Oczami wyobraźni widziałam krzesła, kręgi krzesła, a na nich moich fantastycznych profesorów.

„Panowie profesorowie, zrobię wam surowkę z kapusty, którą kupiłam z Olą, przygotowuję kawę, herbatę, i w każdym z was znajdę częśćkę ojca” - myślałam.

Musiłam oddać wypożyczone książki - sporo tego było. Pani, której mąż był specjalistą od Bacha na Akademii Muzycznej, zadzwoniła pewnego dnia do Eda, mojego przyjaciela.

Podniosłam słuchawkę.

– Książki proszę! – powiedziała ostrym tonem.

– A tak, przepraszam, już oddaję.

Mieszkała na przeciwko Eda, więc ze zwrotem nie było większego problemu.

U przyjaciela spędzałam teraz większość czasu, przeważnie w pokoju, siedząc na parapecie, z widokiem na duży rozpostarty na pobliskim kościele krzyż z Jezusem. Myślałam: „Czy też jesteś tak smutny, jak ja?”

Pewnego dnia przyszedł mój były chłopak, Paweł.

– Co ona robi? – spytał Eda.

– Modli się. Zrobiła ołtarzyk. Mówi, że przybito ją do krzyża. Coś próbuje malować. Ustawiła na szafce w dzbanku kilka pędzli, kupiła farby. Nie ma z nią kontaktu, nie wiem czy bierze leki. Pewnie nie.

Po chwili rozległ się dźwięk telefonu.

– Do ciebie – powiedział Edo.

– Ala? Tu Basia – mówiła płaczącym głosem moja siostra. – Słuchaj, pamiętasz Anielkę z Kurpi? Nie żyje, pogrzeb jutro. Miała dziewięć lat! Otruła się grzybami, wyobrażasz sobie?!

Przyjedziesz na pogrzeb? My będziemy, ja i Darek.

– Tak, przyjadę.

Siostra zdążyła jeszcze zadzwonić na uczelnię.

– Jak to? Siostra nie skończyła studiów?! Co z pracą licencjacką? Mówiła, że dobrze jej idzie. Chyba może mi pani powiedzieć. Jestem jej siostrą.

– To nie jest rozmowa na telefon, przykro mi – powiedziała kobieta z Wydziału Nauki o Zdrowiu.

Spakowałam dużą, czarną torbę, dobrze schowałam pieniądze od brata. Sprzedał ciągnik po rodzicach.

Wylczyłam, że przez najbliższy miesiąc, nie muszę martwić się o kasę.

Na dworcu datam się oszukać jednemu z taksówkarzy. Wziął o pięćdziesiąt złotych za dużo.

„Ale mnie załatwił!” – pomyślałam w gniewie.

Wiele osób ostrzegano mnie przed taksówkarzami z Dworca Centralnego, że „Drą, ile się da”.

Ale nie miałam wyjścia, torba była potwornie ciężka, by wtóczyć się w poszukiwaniach autobusu po mieście, poza tym miałam mało czasu.

Gdy Anielkę zobaczyłam w trumnie, nie mogłam uwierzyć, że to ona. Wyglądała w moich oczach na więcej niż dziewięć lat. Może przez to, że była bardzo spuchnięta, a największą uwagę zwróciłam na

duży, wystający brzuch. Podeszłam do niej bliżej, pogłaskałam po dłoni, pocałowałam w policzki i szepnęłam:

– Nie martw się kochana, Pan jest z tobą. Jesteś w ciąży, moja droga – po czym uśmiechnęłam się i szeroko otworzyłam oczy.

Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem chora.

Nagle podeszła do mnie siostra, chwyciła mocno za dłoń, odciągnęła na bok i szepnęła, zaciskając zęby:

– Jak ty wyglądasz?! Masz dziurę na tyłku. Nie miałaś innych dżinsów?!

Po pogrzebie podeszła jeszcze do mnie, pytając:

– Wracasz z nami? – miała na myśli siebie i męża Darka.

– Z Judaszami nie wracam! – odparłam głośno i w tej chwili zobaczyłam w wyobraźni szwagra, jak leży na podłodze, głaszcząc moją stopę, a ja odpycham go drugą, wolną nogą.

Podeszła ciocia Renatka.

– To może u nas przenocujesz, Alu?

– Dziękuję ciociu, bardzo chętnie.

– Jak sobie radzisz na studiach?

– Bardzo dobrze. Jestem dziekanem Wydziału Nauki o Zdrowiu – wybuchnęłam śmiechem.

Na Kurpiach niczym królowa, byłam obdarowywana biżuterią i kosmetykami. Ciocia Renatka pracowała w firmie kosmetycznej.

– Tutaj rozwiążę problemy psychiczne, ha, ha – mówiłam głośno.

– Jakie problemy? – pytała nieco przeżona ciocia.

Po dwóch tygodniach, Renatce skończyła się cierpliwość.

– Raz jej gorąco, raz zimno – narzekała. – Nie wytrzymam już z tą dziewczyną.

I pewnego dnia rzeczywiście nie wytrzymała. Wróciłam pijana z wujkiem Heńkiem ze spaceru po lesie.

– To on mnie upił – mówiłam ze skruszoną miną.

– Nie! Ja już nie daję rady! – krzyknęła Renatka. – Dzwonię do Baški!

– My na pewno po nią nie przyjedziemy. Chcieliśmy wziąć zaraz po pogrzebie. Niech się teraz martwi – usłyszała Renata.

– Heniek! Jutro zawieziesz Alę do domu! I koniec! Ja nie będę tolerować pijaństwa!

Następnego dnia weszłam do domu przez okienko od piwnicy, gdyż drzwi były zamknięte.

I tutaj zaczął się horror:

Dzwonił czarny telefon – diabeł. Nie odbierałam. Czarny pies też był diabłem, a dom miał duże, czarne oczy wygodniatego dziecka – wchodziły we mnie.

Matki już nie było, na telewizorze postawiłam ślubną fotografię rodziców, obok zapalony znicz. Ulubiony program mamy, „Śpiewające fortepiany”, milczał. Ta cisza w całym domu była bardzo bolesna. Wszystkie dźwięki na jej fle, każdy drobiazg, urastały w mojej głowie do ogromnych rozmiarów.

Pewnego dnia, siedząc w fotelu, na monitorze telewizora zobaczyłam dziewczynkę z długimi włosami. Wpadłam w przerażenie, bo telewizor był wyłączony. Skuliłam się i szeroko otworzyłam oczy.

Trzaskały drzwi, wołały wszędzie okna.
" To matka tak krzyczy?" – pytałam w myślach.

Pamiętam, że bałam się brata. Bałam się, że mój rodzony brat zaraz mnie zgwałci! Pewnego wieczoru gdzieś znikł i zostałam sama z cieniami i duchami, postaciami dramatu sztyego na białym prześcieradle.

Wówczas przyszedł Grzesiek – olbrzymi mężczyzna, który pracował u miejscowego bogatego gospodarza.

– Brata nie ma? – spytał.

– Nie ma.

– Co porabiasz?

– Nic. Chcesz może coś zobaczyć? – spytałam. – Chodź ze mną na strych, tam są książki, których nie zdążyłam w dzieciństwie przeczytać przez przeżycia.

– Dobra – odpowiedział.

Gdy znaleźliśmy się na górze, popchnął mnie na trociny. Zamurowało mnie, zabolato. Tego się nie spodziewałam. Włożył rękę głęboko pod majtki i powiedział:

– Już ja ci pokażę książki!

Po latach, gdy opowiadałam tę historię ze strachem, spytałam drżącym głosem lekarke:

– Ma pani chusteczkę?

– Tfu! – splunęła siostra. – Jak mogłaś robić to z byle kim?! – krzyknęła, gdy zna-

lazłam się w jej mieszkaniu.

Niedobrze mi się zrobiło. Widziałam jej minę, ten wyraz twarzy, gdy człowiek czegoś się brzydzi, lub kimś gardzi. „Został zapas tabletek” – pomyślałam i lepiej mi się zrobiło.

W domu wzięłam sporą garść. Usiadłam na łóżku i czekałam. Czekałam na sen, ale zamiast niego, serce zaczęło szybciej bić i odczułam silny niepokój. Przeraziłam się. Nie tak łatwo było umrzeć.

– Edo! – Po chwili wrzeszczałam rozpaczliwie do słuchawki. – Zażyłam tabletki i to sporo! Edo, ja nie chcę umierać!

– Wzywam karetkę, spokojnie – usłyszałam. – I zadzwonię do twojej siostry.

Po chwili usłyszałam dzwonek telefonu. Odebrałam.

– Ja nie mogę z tą twoją siostrą. Odmówiła. Karetkę odwołała, rozumiesz?! Musiałem znowu wzywać. Brak słów. Jestem wykończony. Idę spać, słoneczko. To nie na moje nerwy. Karetka już jedzie. Dobranoc, słoneczko.

W szpitalu płukali mi żołądek. Poza tym badania wykazały silną anemię i z oddziału ratunkowego przeniesiono mnie na wewnętrzny. Gdy już nieco lepiej się poczułam, odwiedziła mnie siostra.

– Jeśli ktoś chce popełnić samobójstwo, to głośno nie gada o tym wszem i wobec – powiedziała z wyrzutem. – Brat założył sprawę o spadek po matce – dodała, uśmiechając się tajemniczo.

– Jak to? Przecież mama wyraźnie z dzierżawcą sporządziła umowę, w której cztery hektary ziemi w razie jej śmierci,

będą należały do mnie, wiesz... te po cici Władzi. Rodzice pomogli ci z kupnem mieszkania. Mama martwiła się o mnie – powiedziała.

– Umowa to jeszcze nie testament! – usłyszałam.

Między nami powstał mur z podwójnej cegły. Była ona symbolem tak naprawdę głębokiej przepaści. Znowu zaczęłam bać się dziewczynki z zapałkami. Obecność siostry w szpitalnej sali pozostawiła stodkogorzki smak krwi.

Moje życie...

Przypomina gorzkie kakao. Takie bez cukru – okropne!!! Brakowało mi przez całe życie wsparcia ze strony najbliższych. Nikt nie potrafił, a może nawet nie chciał docukrzyć, bez zaniżania mojego poczucia wartości.

Gdy opuściłam mury szpitalne, przez jakiś czas mieszałam w rodzinnym domu.

Rodzeństwo szeptało między sobą:

– Wypierdol ją! Wyrzuć!

– Ano. Tylko węgla więcej idzie przez nią.

To gorzkie kakao było niczym rzeka, która wylała. Niszczyła po drodze domostwa, wszystko co roste i żyło.

Kakao, potwornie gorzkie niszczyło we mnie marzenia, plany, nadzieje. Nie przepuszczając światła, dobijało swoją ciemną barwą.

Chyba krew lepiej smakowała.

AGNIESZKA RYKOWSKA



Marian Lech Bednarek

GAŁĄZKA BZU

Pachnie dla ciebie gałązka bzu - napiłem esemesem. A potem spadła na mnie noc i zostałem sam. Gałązka zerwana w łęku pamiętam, w biały dzień, gdy ludzie chodzili i ktoś mógł rzucić się na mnie jak na złodzieja fioletowego pachnącego złota, bo w istocie byłem nim, nie zaprzeczam. To był prywatny bez, za betonowym płotem rozkwitły jak bajeczna tątka, źródło czyjegoś zachwytu i Bóg wie czego tam jeszcze. Ta gałązka bzu mogła zmienić moje życie, pokrzyżować mi plany i potamać kości, dwie kiście w kształcie winogrona. Mogła, gdyż wszyscy wiemy jak silnie działa ta nagle otwarta wielka śluza pretekstu, wówczas za wszystkie nasze nieszczęścia chcemy zapłacić. Ale ta pachnąca dla ciebie gałązka, to jedyne, co mogło samo siebie przekroczyć i zaświecić własnym światłem na tle ostatnich smutnych dni, gdy nieżył żołądka i wrzody żołądka tak bardzo nam dokuczały. Czy to wystarczy, abym mógł wymówić to... , albo to... , abym się zajął czymś na dłużej i z sensem, co by mogło wypuścić swój korzeń, swoją łodygę, swoje liście i kwiat? I co by to mogło być?

Mówi się z dumą „mieszkam w sercu miasta”, ale niestety, u mnie tylko jego bulgoczące bebechy słychać, bo nie czuję żadnego rytmu, żadnego kołysania się pór dnia, tylko konwulsyjne wybuchy czyjegoś rechotu, wrzaski zarzynanej świni w rezerwachach wypuszczonych z armii, lub innych spuszczonej z łańcucha – jedno wielkie rozpaczliwe wypruwanie sobie flaków do piątej, szóstej rano, po to tylko, by ktoś dostrzegł owego zbłąkanego nieszczęśnika, że żyje, że jest, że istnieje, pełną gębą - a jak... – w pełni gotowy do najwyższych lotów. Motor włączony, warczy gorzej niż wściekły pies, wystarczy tylko wrzucić bieg. A im głębsza cisza mu odpowiada, tym bardziej jego rozpacz wzmagą się, rośnie, siekąc serią z automatu nienawiści po ścianach budynków nocy, w których się skryliśmy w ciepłych łóżeczkach i udajemy że nie słyszymy. Gdybyśmy zaprotestowali, poleciałoby kamienie. I wtedy żegnaj spokoju i ostatnie pieniądze na szyby do szklarza. Więc gęba w kapeć, w pierza. Wąta do ucha, stopery i nie ma nas. Bo gdy ktoś śpi, to ponoć ktoś czuwa, jak powiedział poeta. Ale kto tu śpi a kto czuwa?, tego naprawdę nie wie nikt. Bo w świecie sterroryzowanym rządzi mgła, ciemna mgła, brak konturu. A poza tym czy to nie nazbyt łatwe, nazbyt wygodne tym Szekspirem kwitować sobie nieznane, sprawcze siły istnienia?, bo ktoś mi zagwarantuje, że nie zadusi mnie własna poduszka, nie skoczy do gardła kapeć, które mają do mnie najbliżej, i nie koniecznie musi to być jakąś paranoją. Wystarczy że wytworzy się tylko we wszechświecie pewien nie sprzyjający mi układ sił, i po mnie. Świat jest nie poznany. A zatem? A zatem ja, nocny opisywacz bzu, nie zatykam uszu. Przygotowałem nawet stare kartofle, by rzucić nimi z mojego balkonu po tych ryczących łbach, tam na dół miasta, które poraża mnie i robi wszystko bym z każdą postawioną literką nie zmienił się nawet na jotę, bym pisał w pustkę. Ale co to za pisanie, jeśli nie zmieniasz się nawet na jotę.

Za oknem szum poranka, rośnie. Podlatem kwiatki. Potem coś zjadłem i teraz szu-

kam mojego korzenia, bazgrołę coś w zeszycie, bo póki przepływają przeze mnie obłoki, to warto pisać. No i gdzie ten mój korzeń, gdzie korzeń tożsamości? I co nim jest, Niepewność? Już kiedyś napisałem że kwiat niepewności rośnie wszędzie. Ale ja chcę konkret. Łykam witaminę z luteiną. Zamykam Wincenta na balkonie i wychodzę na miasto z cichnym w oddali drapaniem w drzwi.

Przedpołudnie. Nogi, ręce, nogi, ręce, głowy, głowy, nogi, ręce, nogi. Kręciło się wszystko, płynęło gdzieś swoim strumieniem przeznaczenia. A ja jak rybak nad tą rzeką, z zarzuconą wędką patrzyłem na te rozchodzące się kręgi tłumy i łaziłem tu i tam. I szukałem prawdziwego drgania sptawika. Ale ryba na razie nie brała.

I gdy tak snułem się jak wykorzeniony, usłyszałem w sklepiku z pieczywem, niedaleko gdzie mieszkam – „...Och, z marmoladką proszę, z marmoladką...” To zdrobienie od razu mnie dźgnęło i rozdrażniło. Nagle wszystko wokół pomniejszyło się, zdrobniło, skurczyło, odebrało sobie wagę i powagę. Mnie też odebrało, bo poczułem się jakimś filigranowym, miniaturowym pakowaczkiem pieczywka i śmietanecki, istny mieszczański krety. A ta kobieta obok mnie, która to zakłęcie rzuciła na sklep, również stała się jakaś niewydarzona, zdrobniona, jakby pół kobieta, czerwone usta wisiały w powietrzu i coś tam trajkotały. Jej natomiast kilkuletni synalek prawie że nie istniał. Tylko słychać było gdzieś spod lady „...Tak, z marmoladką, z marmoladką...”. Ja, który w tym momencie miałem ochotę mocno kopnąć w dupę te wszystkie ozdobniki świata, te wszystkie stodkie, stodziuteńkie przekłamania, musiałem uśmiechnąć się. Postawna sklepowa przytaknęła i także hop! - w tę rolęk uprzejmostek i nadskakiwanek – i już jak karzetek z lizaczkiem w gębie rajcuje po tym swoim sklepiku, zachwalając każdy towar przy okazji pakowania takocia z marmoladką. Aż się bałem, że mi wskoczy do kieszeni i już się nigdy od niej nie uwolnię.

Spakowałem moją torebeczkę, podziękowałem zdrobniakale jak tylko się da i wymknąłem się do świata wielkoludów, zamykając za sobą zbyt ciężkie jak na mnie drzwi. W tym stanie nie mogłem już myśleć o moim korzeniu, bo nie dość, że go jeszcze nie znalazłem, to już go diabelnie pomniejszono. Korzoneczek, korzoneczek, mój korzoneczek tożsamości i siły był już tylko jakąś abstrakcją. A gałązeczka też jakaś blada chybotąta się w mojej pamięci, jakby chciała mnie opuścić. Nie wiedziałem czy oddalam się od prawdziwego życia, czy do niego przybliżam. Co mądrzejsze, marmolada czy marmoladka? To zdrobienie coś we mnie wykrzywiło i taką przyprawiło mi gombrowiczowską gębę, że bez kija nie podchodź. Wokół pęczniata wiosna. Korzeniu moich uczynków, łodygo mojego sumienia, liście mojej odwagi, kwiecie mojej pomyślności, gdzie jesteście?

Gdy przyjechałaś, gałązka bzu już pała, zwiątała z krawędzi wazonu sinoblada i zwiędła. Nie miałem się czym pochwalić. A w mojej głowie cisza, jakby powrócił jakiś paleolit, albo jak przed rozpoczęciem

bitwy. Cały oręż mojej egzystencji aż drżał niczym reklamówka w ciężkim powojennym rozpędzonym tramwaju. Ściągnąłem uzdę chwili i czekałem na sygnał. Raptem ktoś w radiu zapytał „jaka powinna być Polska?” W odpowiedzi zawyłem jak wilk i wtedy puszczone tabuny jakiejś symfonii, a ty zaczęłaś dyrygować stołowymi łyżkami, aż wyrwały się ze mnie dzikie słowa:

„ I am troglodyta. I am troglodyta. I am only troglodyta”, bo wszędzie tylko angielski owoc w powietrzu, no to ja też po angielsku. Śmiałaś się i dalej machałaś. A we mnie coś śpiewało i tańczyło z nogą w garnku, bo po skręceniu lekarz zalecił mi ją moczyć w iwonickiej soli, a miednicy jeszcze się nie dorobiliśmy.

I tak właśnie w aureoli tego bzu, tego poszukiwania sensu życia, ni stąd ni zowąd ruszyliśmy do ataku w imieniu całego narodu w tym naszym wynajętym mieszkanku, tylko we dwójkę, niczym Adam z Ewą chcieliśmy przebić się przez ogromne zasieki i zwąły krzaków do naszego Raju, do prawdziwej ojczyzny po transformacji 89, po opuszczeniu naszych zgorzonych rodzin, do naszego El Dorado. Ja z tą nogą w garnku a ty dyrygując. No!..., no!..., pokrzykiwałem. Taka właśnie jest Polska! – krzyczałem - troglodyci na koturnach, koturniaki z ukrytym wstydliwie ogonem troglodyty! No i sól, sól w garnku mi tak naprawdę podpowiedziała, że muszę iść po nową gałązkę bzu. Ta ciepła sól. A sól to sól, wiadomo, podstawa. Zasalutowałem więc z szacunkiem przed tą niepodważalną Ekscelecją i z nożykiem ukrytym w kieszeni pokuśtakałem po bez.

Hejnat z ratusza jak jakąś szpilą przewiercił moje wnętrześci metalicznym dźwiękiem. A że było południe, to jak kotlet podskakiwałem na rozgrzanej patelni rynku, umykając co rusz jakiejś głodnej gębie. I to wcale nie było wesołe tylko jakieś z gruntu karmiczne i samsaryczne. Tak czułem. Ale wkrótce już był zakręt i kojący cień budynków. Przy końcu uliczki stanąłem przed krzakiem fioletowego bzu, otoczonym, niestety, siatką. Wejście było zabarykadowane drewnianym krzyżakiem. Mimo to przesadziłem go i wpakowałem się między gałęzie. Czuję jednak na sobie karcące spojzenia przechodniów, jakby gderali: ...Nie tam jakiś bez wariacie, nawiedźcu, ale konkret tłusty i do domu!..., do domu z tym w torbie!..., z tym... ,no... z tą... do domu!..., szybko!!!, do domu do cholery!!!, do domu!!!, po trupach bzu!!!, po trupach piękna!!!, szybko!!!, – tam będziemy to żreć, w naszym raj, w naszym faterlandzie no! szybko!!! szybko!!! - zdawały się kwiczeć i chrząkać ich pośpieszne i nerwowe kroczki, jakby tym pośpiechem chciały przepokupić Sąd Ostateczny. A mój bez krzyczał: Uwaga! Uwaga! Nadjeżdża wielki walec Niedziela! Spierrdalać!, spierdalać!, olbrzymi walec i wszystkim wpierdoli, wszystko wyrówna i spaszczy, spierdalać!, spierdalać zapyziałce!... I tak krzyk mojego bzu przekrzykiwał się z krzykiem ich tłustego sensu w torbach.

A co drugi to kapuś w tym mieście. Ale skompletowałem ten mój bukiet pod nosem, pod tym czerwonym nochem urzędu

miasta; tamatem polityczne gałzki, gałzki opozycji na zamarłym placu zabaw, gdzie nikt się nie bawił. Może tylko ja?

I jedno było pewne, to była wojna, to naprawdę była moja wojna. Bez i maj; wszystko gra – poniósł mnie pradawny niuch instynktu, zakipiła krew, więc to „wszystko gra” znaczy tylko kipiąca i wkurwiona krew i to tyle. Chciałem afirmacji, nieograniczonej. Nadeszła więc próba ognia dla wszystkich regulaminów. Wy ciule „pomyślałem, wy urzędasy, lizodupki, ciecie, donosi-ciele, kapusie, skurwysyny, zasańcy, teraz się zeszracie przez duże Zeł. Teraz ta żółta blokada kół założona wczoraj przy moim samochodzie wykona zwrot w historii swej ewolucji i w waszych gaciach zamieni się w jeden wielki nalot hemoroidów, dyskopatii, zaparc, niestrawności, w jeden wielki wrzód na którym nie usiedzicie ani minuty, bo każda blokada ma dwa końce. Tak, Dwa!, o czym często zapominacie piękne, wystrojone dupy!

No i spojrzalem w kłębiące się chmury, a tam może w chmurach, a może tylko w mojej głowie, ale na pewno gdzieś w tym najważniejszym punkcie naszego istnienia, w tym wertycystycznym wirze wszystkie sfery zderzyły się jak ciężkozbrojne konnice, także ta tropo, strato i jono, jakby ten wrzód na wszechobecnej dupie urzędnika pękł i rozlał się. I jakimś sposobem naczyń połączonych te wszystkie sklepy, ratusze, kościoły, uczelnie, parki, ulice, cmentarze, cała ta zgnilizna biurokracji - „arystokracji” wyleciały w powietrze. Jej bezlitosny odór podjudzał nawet ciemną stronę jaśminu do jakiegoś rwetesu. Kurz, jazgot, pył, lustro bitwy pod Rozwaldem.

Z przodu jak wielkie tabuny chmur przed wyborami prezydenckimi gnaty naczelne zastępy polityków, watahy bankowców, biznesmenów, praktyków różnej maści i tak zwanych członków różnych stowarzyszeń, hedonistów i zwykłych wyjadaczy chleba. Wywijali czym mogli, a wszystko naostrzone aż do przesady błyszcząco w tym przedzierającym się majowym słońcu. I głowa przy głowie, głowa przy głowie, a w nich jedno tylko huczało – zamknąć złoty pierścień zwycięstwa na tych powyginanych dufnych plerach!, zamknąć!, kurwa!, na Boga naszego wielkiego!!, zamknąć! Niech Józwiakowa spod 13 z naprzeciwnka wie, kurwa, niech wie, kto tu rządził, ta pizza jebana niech wie! Zamknąć!, kurwa zamknąć! I chybotaty się na wietrze transparenty różne i różniste, waliły o ścianę wiatru banery z napisami „Niech żyje Platforma Obywatelska!”, „Niech żyje PIS!”, „Niech żyje Samoobrona! Niech żyje!” Wszyscy chcieli żyć w tym bagnie słodkim. Niczym szalone ptaszyska trzepotały i parły na siebie całą siłą. I w tym przesywającym zgietku pierścieni zgrzytał o pierścień, aż do momentu gdy ich wodzowie poczuli na plecach zimny oddech śmierci. Wtedy nastął moment decydujący, bo w jeszcze większym napięciu zwały się szeregi wszystkich sfer i jak wielki pył atmosferyczny, spadały coraz szybciej na pole bitwy, na moje oczy, aż niejednemu trysnęła z gardła ostatnia fontanna życia.

Ale nagle lunął deszcz. Nie miałem parasola, więc kilka kropel poleciało na twarz, wiosenny deszcz. I w strugach tego deszczu bitwy, gdy wszystkie czasy zapęłiły się i wybuchły rykiem całej historii, gdy

ze wszech stron uderzały pioruny śmierci, a długi wiosenny dzień jeszcze się trzymał na nogach, nagle pojawiła się tęcza, przebijająca draperie, wachlarze i słupy świetliste wojsk, jakby w tym wszystkim chodziło tylko o te subtelne figle przyrody, o kaprys atmosfery, o tą programową zorzę polarną a nie o te masy zbrojne walczące ze sobą na śmierć i życie, jakby ciemność walcząca ze światłem zostały nagle sprowadzone do zwykłego tandetnego obrazka na urodzinę, do tej drobnej formy bursztynu, w którym jak owad zastygł dawny obraz bitwy.

Niebo jaśniało.

Chmury rozpyływały się razem z miastem, które z jakiegoś amoku powracało jednak we mnie do życia, poobijane, odrapane i nędzne. Niektórzy wracali bez głów, kiwali się jak krawieckie pałuby, czekając aż ktoś im przydzieli dawne role, ale czy się doczekają? Bo taka właśnie jest wiosna. Wiosna jest rewolucją. Wszystko do góry nogami ma być przewrócone i przewietrzone. Bo co to za pisarz, który ze strachu przed prawdziwą wiosną robi w gacie? Co to za malarz, który się nie odradza?

Na mokrych chodnikach tańczyły chochliki światła. Szedłem i myślałem, jak narysować tę gałzkę bzu? Jak odnaleźć w niej siebie? Rzucę ją w kilku czarnych plamach, chlasnę na brystol, ale z moimi nerwami, z moimi. Zapomnieć o całej sztuce. Żadnych wpływów. Niech ścieka i zasycha, niech ścieka...

MARIAN LECH BEDNAREK MAJ 2007



Laura Alszer

Poszarpane

sikorki dygoczą na gałęzi
dmucha chłodny wiatr od wschodu
targa pióra

plącze włosy
gdy zagubiona schodzę ze ścieżki
zapominam którądy
do pocałunków
pieszczot
subtelnych
słów

chochliki z umorusanymi polikami
grają w klasy
coś szeleści
gżegżółka robiąca raban w cudzym gnieździe

a my spłaszzeni
spłoszeni
senni
sen
nick
t

Zestalenie

słoik był nieszczelny
mikstura wyciekła
próbowałam zebrać
ale zbyt rzadka by utrzymać w rękach
i zbyt gorąca
popłynęła po kuchennym blacie

wzór kształtem przypomina twoją twarz
nie mając wyjścia - zatęskniłam
wtedy ciecz zmieniając swój stan (niecywilny)
jak krew skrzepła

tak powstał obraz
oprawiony w srebrną ramę
zawisnął na salonowej ścianie

i teraz patrzysz na mnie
jak piszę wiersz
układam litery w kształt twojej twarzy

Fauna bez flory

trudno
przechodzą litery między zębami
rozsupłana pętka z języka
otwiera tamę

topią się receptory
przepalają synapsy
wir wciąga wszystkich gości

ciemnowłose pijaczki
rozbijają szklanki na kocich łbach
wątrobiarze liżą liżą liżą

won
mentalny menel
z cynicznym uśmiechem
wali pięścią w stół

wódka się rozlewa
pękają życzoneczka

Na gołe klatki schodowe

poturlajmy się
potarmośmy

niech patrzą
jedzą żują piją mlaszczą
niech klaszczą

clap clap
clap your hands

chodźmy
w podartych rajstopach lub bez
osmolone okulary
za rogiem wymienimy na różowe

próżniak próżno szuka sensu w próżni
ciśnienie niemierzalne próżnomierzem

dziwi się dziwidło olbrzymie
otwiera kwiatostan
woń drażni nozdrza
wypełnia płuca

pędrak wesoło pełza
płoszy pędźgę

butelka toczy się toczy
wpada do wody
drażni parzydełka



Laura Alszar – pseudonim literacki.
Mieszka pod Warszawą. Publikowała m.in. w czasopiśmie „Ypsilon”, „Akancie”, „e-eleWatorze”, „Wydawnictwoj”, „Kwintesencji”, „Mojej Przestrzeni Kultury”, „Czterech Zeszytach and after”, „WOBEC”. Jej wiersze można usłyszeć w Radiu MagMa.

Zajebisty tytuł

Morsztyn napisał Nagrobek kurwie
wiem
chciałbyś wygooglować ten wiersz
poczekaj
zostań ze mną

dlaczego nie
pomalujemy razem
nieprzyzwoicie
flamastrami po staniku
(misczka podwójne d)

będzie się działo
biel zaczerwieniona po fiolet na niebie
indygo

pozwól odprawić się z tobą
prawą ręką

z prawem na lewo
poprawnie

popraw mnie

Iluzja

w świetle neonów połyskuje pustka
przykładam dłonie do gładkiej struktury
szukam odbicia
idę przez lustrzany labirynt
zagubiona chcę odnaleźć siebie

nagle go widzę
czarne oczy przesywają
jak zardzewiała pinezka papier
gdy śmieje się szkło pęka

biegnę
jest tuż za mną
nie ucieknę
ślepa uliczka sprowadza na manowce
ściany napierają z każdej strony
gdzie jest powietrze?

błysk ostrych zębów przegryza ciemność
ręce miażdżą szyję
chcę oddychać
chcę tylko oddychać
mdleję

gdy otwieram oczy
znowu widzę lustra
mój krzyk rozdziera je na kawałki
rozpadają się jak
zraniona męska duma

skrawki przecinają skórę
krew ścina z nóg
ostatnie co pamiętam
to śmiech diabelski śmiech

otwieram oczy
czarna tkanina zasłania tafle
on stoi z boku
więzi mnie wścickłym spojrzeniem
nie odwracam wzroku

im wyższy puls tym on jest większy
zachowuję spokój
podchodzę bliżej
uśmiecham się a on maleje

wyciągam rękę
jest coraz mniejszy
przytulam go
zrywam zasłony

patrzę na swoje odbicie

Maciek Froński

Mądrymu oprócz książki niewiele w życiu trzeba -
 Stał dworek Palikota przy dworku Tracichleba,
 A wokół obu parkan i w tych parkanach wrota -
 Więc te do Tracichleba, a te do Palikota.

Różnice jakieś były? Nie widać do tej pory,
 A jednak się różniły tu i tu księgozbiory.
 Różniły się niewiele, jak jednej baby cycki,
 W tym choćby był Tkaczyszyn, a w tamtym za to Dycki.

Bywa, że złe uczucie serdudem ludzkim miota
 I w zazdrość wpadł Tracichleb o książki Palikota,
 A że to trwa sekundę do piekła zstąpić z nieba,
 Też w zazdrość wpadł Palikot - o książki Tracichleba.

Tak każdy był zeźlony, choć żaden nie w potrzebie...
 Nieładnie, Palikocie! Nieładnie, Tracichlebie!
 Może się wymieniajcie, gdy książka przeczytana? -
 Perezem za Reverte czy Doylem za Conana...

FRANKFURT NAD MENEM, 30 LISTOPADA – 21 GRUDNIA 2025 ROKU

Mam już pięćdziesiąt i dwa lata,
 Mam żonę, dzieci, chciałbym wnuki,
 Zjeździłem też kawałek świata,
 Lecz jakieś płyną stąd nauki?
 Bywałem biedny i bogaty,
 Znam bliższe, lecz i dalsze kraje
 I cóż, żem człowiek starej daty?
 Mądrości żadnej wiek nie daje.

Znam więc niziny, znam i góry,
 Aczkolwiek góry bardziej krzynekę,
 Znam język obcy (tylko który?),
 Znam cyrylicę i łacinkę,
 Znam różne Wschody i Zachody,
 Znam sierpień, styczeń, wrzesień, maję
 I żal mi, że nie jestem młody -
 Mądrości żadnej wiek nie daje.

Praca rękami, praca głową -
 Z nich żadna mi nie odpowiada,
 Da Bóg, nauczę się na nowo,
 Jak się do sądu pismo składa.
 Kiedyś to w małym palcu miałem,
 Lecz wyjechało na Hawaje
 I cóż, że wino me dojrzałe?
 Mądrości żadnej wiek nie daje.

Ojczyzno, wezwij mnie z powrotem,
 Niechętnie z tobą się rozstaję,
 A wrócę migiem, choć co potem?
 Mądrości żadnej wiek nie daje.

FRANKFURT NAD MENEM, 10 GRUDNIA 2025 ROKU

Sachsenhausen

Chciałbym napisać o Sachsenhausen,
Cichych zachętach w oczach kelnerek,
Chciałbym napisać o Sachsenhausen,
Miałbym ochotę na ten numerek,

Lecz to niełatwa wcale jest sprawa,
Choć wiatr sukienki lipom podwiewa,
Bo wnet ktoś ryknie, że jestem prawak,
Albo wyskoczy, że jestem lewak.

Próżno śpiew ptasząt prosi o ciszę,
A wiosna, wiosna... Non omnis moriar?
O Sachsenhausen nic nie napiszę,
Znów mi obrzydza wszystko historia.

NEU-ISENBURG, 25 MARCA 2025 ROKU

Mówią, że lipiec lubi przypiec...

Mówią, że lipiec lubi przypiec,
Można więc nosić lżejsze ciuszki...
Patrzę - to panna z klasy skrzypiec
Z mej dawnej szkoły na Moniuszki.

To znaczy na Moniuszki szkoła,
Bo pannę widzę na Szopena,
Którędy pędzi - mam ją wołać? -
Dokąd ją miłość gna lub wena.

Nie ma na sobie wiele... Szkoda,
Bo to jest przecież centrum miasta
I dzień roboczy, ściślej środa,
I zaraz będzie bić dwunasta.

Bawi mnie myśl o jej pośladku,
Lecz nie mam żadnych dalszych planów,
Ja - moralności stróż z przypadku,
Ja - chłopak z klasy fortepianu.

W AUTOBUSIE Z FRANKFURTU DO KRAKOWA Z PRZESIADKĄ W PRADZE, 7-8 LIPCA 2025 ROKU

Idę na potańcówkę

Idę na potańcówkę, by podpierać tam ściany,
Jeszcze się na tańczących sufit gotów zawalić,
Idę na potańcówkę, nie, nie jestem pijany,
By podpierać, bo lubię i mam plecy ze stali.

Czy zazdrozczę tańczącym? Może trochę, niech będzie,
Lecz i ja się wytańczę, gdy odwróci się karta.
Takich, co podpierają, zresztą pełno jest wszędzie,
A tapeta na ścianie już do łysa wytarta.

Tydzień temu o mało nie znalazłem się w niebie,
Gdy Piotr, z Kasią co tańczył, nie utrzymał jej w pasie
I wleciała wprost na mnie... No, my z Kasią na siebie,
Choć po prawdzie to bardziej ja wleciałem na Kasię.

FRANKFURT NAD MENEM, 1 WRZEŚNIA 2025 ROKU

Jerzy Lengauer

„TRÓJKA PRZYJACIÓŁ I OBRAZ BEZ RAM”

„Sztuka”, Yasmina Reza, Teatr Jaracza, reżyseria Maciej Mydlak

Na pierwszym planie sceny stoją kilkunastu elementowa sofa i dopasowany do niej fotel. Przy nich stolik wykonany z drewnianych palet. Widać na nim szklany blat. W głębi niezbyt wysoka ściana, której częścią jest regał z półkami. Na nich kilka książek, karafka. Pewnie są jeszcze i jakieś drobne przedmioty, ale nie przykuwają wzroku. Sofa i fotel są w kolorze czerwonym. To prawda, ta barwa się wybija i przyciąga uwagę, ale niewątpliwie stanowi także składnik wielobarwnej całości. Wszystko odbiera się jako nowoczesne, dobrze utrzymane, interesujące mieszkanie, w którym można czuć się dość przyjemnie. Mogę zatem łatwo zrozumieć, że jego właściciel, czy po prostu mieszkaniec, raczej majętny lekarz o specjalności dermatologicznej, chce ten nastrój nieco wzbogacić. A że interesuje się sztuką i kulturą, bo z przyjaciółmi często chodzi na seanse kinowe, na półce trzyma Senekę i do niego zagląda, sam w końcu odwiedza regularnie muzea i galerie, nie dziwi, iż inwestuje w obraz nowoczesnego, znanego, podziwianego malarza Antriosa, którego przecież w znanej galerii wiszą TYLKO trzy dzieła.

Obraz bez ram, bo tak sobie życzył artysta, stoi w mieszkaniu na sztaludze. W pewnej odległości od miejsca, gdzie toczy się zazwyczaj życie towarzyskie trzech przyjaciół: gospodarza Serge'a, Marca, inżyniera aeronautyki i Yvana, hurtownika, niegdyś tekstylnego, od niedawna papierniczego za sprawą przyszłego teścia, a właściwie swojej narzeczonej. Zasadność wybranego miejsca dla obrazu pokazują znakomicie już w pierwszych scenach Serge i Marc, kiedy najpierw ruchami dynamicznymi, potem zaś powolnymi, jakby wystudiowanymi oddalają się od Antriosa, kucają, wyciągają szyję, odpowiednio układają ramiona i plecy. Świećnie się to obserwuje z widowni, bo aktorzy są odwrócony do niej prawą stroną ciała, ale z lekkim ukierunkowaniem, tak że widać twarze. A na nich skupienie, czyli podniecenie i fascynację Serge'a oraz zdumienie, wręcz niedowierzanie Marca. W ich sylwetkach jest napięcie, które zaznacza odpowiednio dobrany strój. Właściciel dzieła sztuki jest ubrany jak marszand, może nawet artysta. To ciemny, dopasowany garnitur z wąskimi spodniami i kamizelką, a szaloną elegancją prosto z dzielnic bohemy podkreślają ledwie wyróżniające się kwadratowe wzory. Jest w tym i fircykowość, i dandyzm, i wykwinność szyku. Z kolei Marc chyba ma się czuć po prostu wygodnie. Sugeruje to poświęcenie się pracy, pewien etos człowieka oddanego nauce, który nie przywiązuje zbytnej uwagi do ubioru. Inżynier zazwyczaj trzyma ręce w kieszeniach bardzo wąskich spodni i ma do połowy zapiętą na zamek szwedkę. Obaj, gdy kucają, napinają ciała a ubrania, szczególnie spodnie, zdają się być ścięgniemy, mięśniami, które pracują i są niezwykle widoczne w jakimś powolnym tańcu, który ma współgrać z obrazem.

O obu postaciach wiemy już sporo z didaskalii, którymi są monologi aktorów. Serge wypowiada kwestię samotnie w mieszkaniu, gdy wnosi do niego obraz. Marc poza nim. Stoi niedaleko, ale przyciąga światło

sprawy wrażenie, że to klatka schodowa, sień, korytarz, może wieczorna ulica przed domem.

Obraz to płótno pomalowane białą farbą. Nic szczególnego w zasadzie. Jedynobarwności w sztuce, kropek, plam, kleksów, kresek, które mają wymagać od widza skupienia, odnalezienia koncepcji, zamiaru artysty, wymyślenia swojego własnego odbioru, wysilenia wyobraźni i stworzenia krainy, świata, w której wokół punktu odniesienia ma powstać indywidualna, osobna rzeczywistość jest mnóstwo. O! raj dla samotników, introvertów i neurasteników wpatrujących się w sufit czy ścianę, bo zrobienie kroku w kierunku realnego działania jest męczarnią nie do pokonania. Ale nie z tych powodów dermatolog kupuje Antriosa. Serge obraca obraz, chowa i z powrotem stawia na sztaludze mając na dłoniach białe, gumowe rękawiczki. Jakże czule! Jakże dba o antyseptyczność! Pięszczenie swojego domownika dopełnia oczywiście ruchem ciała. Gdy trzyma obraz, jest delikatny i ostrożny. Kiedy się nim chwali, jego ciała nabiera dynamiki, jest nad wyraz ekstrawertyczny w ruchach i mowie. Dopomina się wówczas o uwagę, pochwałę i obrazu, i siebie. Żąda wręcz, żeby dzielić się z nim euforycznie dobrym wyborem, świetnie zainwestowanymi ogromnymi pieniędzmi, wartością artystyczną obrazu, pokorą wobec wielkiego artysty Antriosa. Nic z tych rzeczy jednak, bo pierwszy z zaproszonych na oglądanie, czyli Marc, odrzuca z lekceważeniem propozycję współuczestniczenia w celebracji, rytuale, ceremonii, obrzędzie. Zdaje się, że widać jak wydyma wargi. U niego z kolei dynamika ruchów ma odzwierciedlać nie pogodzenie się z tym, że przyjaciel nie uznaje jego krótkiej acz dosadnej recenzji obrazu. Marc mówi, że to gówno! I nagle siła obrazu, moc sztuki ich obu, przyjaciół, którzy spotykają się na wspólnych kolacjach i chodzą razem do kina od piętnastu lat, odrzuca na przeciwległe bieguny. Tylko raz ta ogromna odległość ulega dramatycznemu skróceniu. Wówczas, gdy dochodzi do fizycznego starcia, prawie rękoczynów. Jednak jest to już inna rzeczywistość, którą dzieło sztuki nowoczesnej, ten punkt na obrazie wieloletniej przyjaźni zbudował, urealnił.

Autorka „Sztuki” Yasmina Reza nie pozostawiła obu, teraz antagonistycznie nastawionych, panów samych sobie. Zasugerowała pewnego rodzaju rozsądzenie, negocjacje, rozmowy pokojowe. To uosabia trzeci z przyjaciół Yvan. Wyraźnie od Serge'a i Marca tęższy. Jakby jowialny, bardziej sympatyczny, zdecydowanie spokojniejszy, nieco wyluzowany. Okazuje się, że te cechy wiążą się z brakiem zdania, a może raczej chęcią przypodobania się, lękiem przed uczynieniem krzywdy słowem bądź gestem, w końcu wynikającym z tego poczuciem winy. Podoba się i nie podoba zarazem Yvanowi obraz. W zależności z kim rozmawia. Hurtownik potwierdza zdanie swojego aktualnego adwersarza. Nawet lekko potakuje, gdy z ust Marca czy Serge'a pada niezbyt pochlebne słowo o tym drugim. Dziwaczne, lecz wcale takie zachowanie nie zmienia u widza sympatii

do Yvana. Tak, ten brak agresji, widoczny również w ruchach, postawie i przybieranych pozycjach nastawia widza do hurtownika pozytywnie.

W trakcie fabuły obraz Antriosa zmienia barwę. Możemy zrozumieć, że bohaterowie dostrzegają na płótnie przeróżne odcienie bieli a w nich kreski, smugi, linie, szarość, nawet kolor żółty, ale gdy widzą czerwień, zakrawa to na szaleństwo. Wraz ze zmianą barw i przewartościowywaniem co rusz dzieła Antriosa dochodzi do przekształcania się postaci. Nad niepodlegającą dotąd przeobrażeniom krajinę przychodzą chmury a z nich pada deszcz, który obnaża ludzką skłonność do zarzutów, obarczania winą, obrażania się, poniżania i wypominania. Aktorzy są teraz na scenie bardzo dynamiczni, ruchliwi. Nawet Yvan, choć to nie obraz stał się powodem jego zmiany, ale sytuacja rodzinna, o której opowiadał dokładnie w taki sam sposób, w jaki Serge i Marc o kupionym Antriosie. To chyba wspaniały monolog Ivana, świetnie zagrany, wzbudzający za sprawą doboru słów, tonu głosu, umiejętności podsywania się pod wypowiedzi innych, tańca ciała na bardzo małej przestrzeni, pobudził lekarza i inżyniera do agresywnego, brutalnego, nienawistnego i obraźliwego wtargnięcia w życie intymne. Widz obserwuje ruiny, gruzy przyjaźni, na których postawione jest białe płótno bez ram, na nim zaś pojawiają się bruzdy, brzydkie wypuklenia, pęknięcia, plamy smutnej, wilgotnej szarości.

Dramat w moim mniemaniu nie jest o sztuce nowoczesnej. Może rzeczywistość o pożądaniu i snobizmie? Faktycznie, Marc mówi, że Antrios kupiony został przez Serge'a za cenę, która przekracza roczny dochód Yvana. To prawda, on to w złości wykrzykuje. To zarzut skierowany w kierunku lekarza, ale i upokorzenie dla hurtownika, który żeni się z kobietą, której ojciec dał Yvanowi pracę a może było wręcz odwrotnie. Mam jednak nieodpartą myśl, że Yasmina Reza, w końcu autorka sztuki sfilmowanej przez Romana Polańskiego pod nadanym tytułem „Rzeź”, pisze o trudach przyjaźni a szerzej zaś związków. Dopuszczam wszak, że skrajne emocje może wzbudzić w relacjach międzyludzkich pewien odbiegający od dotychczasowego wzorca gest, wyraz własnego zdania, wypowiedź o sztuce właściwej czy sztuce użytkowej, kupno takiego czy innego przedmiotu. A z drugiej zaś strony, czy nie rzecz w tym, jak to własne upodobanie, zachwyty wyrażamy? To pytania o to, jak bardzo posiadliśmy umiejętność trwania w relacjach przyjacielskich, partnerskich, małżeńskich. Gdzie ma się zaczynać a gdzie kończyć nasz indywidualizm, własna szalona inwencja bez oglądania się na innych? Czy lekkość w upokarzaniu słowem i czynem jest nie do poskromienia już w zarodku? W „Sztuce” ta negatywna cecha narodziła się i bardzo szybko stała się dorosła. Czy również nagle umarła i nad jej trumną Serge, Yvan i Marc nie postali zbyt długo? Zdaje się, że tak właśnie było. Przecież padły w dramacie słowa, że piętnaście lat przyjaźni było tylko wstępem...

JERZY LENGAUER

Mateusz Wabik

Kraków-Płaszów

Pojechałem zwiedzać obóz Kraków-Płaszów. Szło się pod górę, potem w prawo. Bez problemu trafiłem, kiedy widziałem z dołu Pomnik Ofiar Faszyzmu. Gorzej było wcześniej, gdyż wysiadłem za wcześnie z autobusu i szukałem pomnika gdzieś w lesie, z którego wyszedł jakiś obcokrajowiec z psem i na pytanie która z dwóch dróg prowadziła do obozu, powiedział, że obie („both way”). Faktycznie tam też był obóz, ale domków jednorodzinnych, które chyba rozbierano. Był ogrodzony i można było to miejsce nazwać obozem, ale mi nie chodziło o obóz domków jednorodzinnych, więc zrezygnowany podjechałem pod Centrum Handlowe Bonarka by złapać autobus w kierunku domu. Wówczas okazało się, że źle wysiadłem, gdyż były dwa przystanki na ulicy Kamieńskiego i za drugim razem wysiadłem dobrze. Kiedy porobiłem zdjęcia pomnikowi, makiecie i innym obiektom poszedłem zobaczyć willę szefa obozu Amona Gotha. Jednak w połowie zejścia ze wzgórza po schodach bez poręczy miałem dość, wróciłem na górę i poszedłem na przystanek, myśląc, że żeby zwiedzać niemiecki obóz koncentracyjny - bo okazało się, że był to obóz nie tylko pracy, ale także straceń - trzeba mieć krzepę. Od dwóch dni bolały mnie nogi, a dawne złamanie uśmierzałem okładem z lodu.

Znaczki

Czytając reportaże węgierskie Krzysztofa Vargi znalazłem fragment o układaniu w klaserach znaczków po ojcu. Zastanawiał się pisarz jak je ułożyć, chociaż przecież były to znaczki węgierskie tylko i układało się je chronologicznie według daty wydania, a jak pisał miał katalogi.

Przypominałem sobie dawne swoje klasery z młodości. Znaczki układałem według chronologii prezentu lub zakupu przez matkę lub ojca. Teraz kiedy postanowiłem kupić sobie trochę znaczków i kilka klaserów, bo dobrze mieć hobby nie związane z ambicjami zaistnienia w kulturze, także się zacząłem zastanawiać jak je ułożyć.

Z początku pomyślałem o tematach mnie frapujących, po kilku dniach tych tematów wypisałem sobie na kartce dwadzieścia. Może dużo, ale w sklepach w internecie takich tematów było dziesiątki, jak nie setki. Jednak nie wyobrażałem sobie układać zamków koło siebie bez lasów, albo sylwetek pisarzy - bo zbieranie samych głów mnie nie interesowało.

Miałem już sporo głów królowej angielskiej i króla belgijskiego, czy polityków z Brazylii. W sumie nie miałem nic przeciwko nim, ale wolałbym układać motywy literackie. Także wydało mi się nudne gdybym skupił się na piłce nożnej i ładował do klasera wszystko koło siebie.

Kilka razy układałem i przekładałem, aż wpadłem na pomysł zaczerpnięty z numizmatyki by układać kontynentami i państwami ale skupiać się przede wszystkim na interesujących tematach.

Eugeniusz Kurzawa

Ukazały się wreszcie, 13 lat po śmierci autora, „Poezje zebrane” Andrzeja K. Waśkiewicza. Można oczywiście zachnąć się na owo „wreszcie”, cóż to jest bowiem na twórczości literackiej 13 lat oczekiwania na druk, w dodatku dzieł zebranych. Wiele wybitnych twórców dłużej czekało na wydanie swoich opera omnia. Tym bardziej, że Waśkiewicz – wbrew temu, iż poeci czę-

Kisiel przedstawił i zarekomendował oba tomy w gdańskich „Migotaniach” (2025 nr 3[88]). Z zaciekawieniem przeczytałem wspomnianą recenzję autorstwa T. Budrewicza. Zawiera głównie rozważania na temat poematu pt. „Młot” (notabene o „Młocie” pisał również wiele lat temu – uważając go za najlepszy poemat Waśkiewicza – poeta Czesław Sobkowiak w artykule „Zżyć co rozdarte”; „Komunikaty” 1995 nr 5, s. 16. Inna publikacja w tej samej kwestii, autorstwa Piotra Majerskiego pt. „Miazga zdarzeń. Teksty i konteksty »Młota« Andrzeja K. Waśkiewicza”, ukazała się w „Integracjach” 2006 nr XXXI, s. 77). Sporo odniesień w recenzji T. Budrewicza dotyczy ponadto poezji i spraw literackich lat 60. i 70. XX wieku, choć nie brak

ideologie: »czarna« i »czerwona«. Pierwszej (faszyzmu) doświadczył jako dziecko. (...) Druga ideologia (komunizm), poznawana przez półwiecze, objawiła mu się jako wielka parada. Dwojakość przeżyć uzmysłowiła poecie, że zarówno jemu samemu, jak i jego generacji przypadł w udziale los niezwykczajny: »zawsze między«; »między odmową a udziałem / między / jawą i snem«. Uważam, iż propozycja tak sformułowanej alternatywy jest uproszczeniem i ograniczaniem poetyckiego uniwersum Andrzeja. Nie wyobrażam sobie, żeby pozwolił się zamknąć w tego rodzaju klatce. Do wątku „między” jeszcze wrócę.

Wtrącam w tym miejscu uwagę, iż mam świadomość, że Andrzej znał interpretację

POEZJE ANDRZEJA K. WAŚKIEWICZA W CAŁOŚĆ ZEBRANE

sto bywają zapominani tuż po śmierci, że trafiają do pisarskiego czyścica – był i jest przez cały czas obecny wśród czytelników. Zawdzięcza to zarówno swojej żonie, Annie Sobcekiej, jak też gronu przyjaciół. Złożył się na tę obecność druk kilku pozycji, które ukazywały się średnio co dwa lata od momentu jego odejścia w 2012 r. Wyliczmy. Wspomnienia: „Andrzej K. Waśkiewicz. Miejsca opuszczone” (Toruń 2012) i „Andrzej K. Waśkiewicz - miejsca odwiedzane” (Warszawa 2014) oraz „Andrzej” (Gdańsk 2017), dwie pozycje krytycznoliterackie: „Lubuskie środowisko literackie. Szkice z lat 1962-2012” (Zielona Góra 2014) oraz „O literaturze lubuskiej (szkice, recenzje i inne teksty)” (Zielona Góra 2016), prace okółoliterackie: „Jedzenie jest niezdrówne. Ale przyjemne” (Ochla 2016 i 2017), „Relacje: Warszawa - Zielona Góra, Gdańsk” (Warszawa - Gdańsk 2018), czyli listy A. Waśkiewicza i Jerzego Leszina Koperskiego, „Dedykacje (dla Andrzeja K. Waśkiewicza)” (Gdańsk 2023). Do tego recenzje z jego prac, wspomnienia w prasie kulturalnej. Znakomitą podpórkę pamięci o nim stanowi przyznawana rokrocznie w Zielonej Górze Nagroda Literacka im. Andrzeja K. Waśkiewicza, a także odbywające się w Wilkanowie pod Zieloną Górą w latach 2012-2016 „Andrzejki Waśkiewiczowskie” z ekspozycją fotografii autorstwa Krystyny Koneckiej związanych z twórcą. Można zdecydowanie stwierdzić, że AKW nie został zapomniany.

Niemniej jednak dla poety najważniejszym dorobkiem pozostaje twórczość wierszowana i dlatego na pojawienie się utworów wszystkich Waśkiewicza zapewne czekali jego czytelnicy. Doczekali się dwutomowego zbioru poezji przygotowanego do druku przez prof. Mariana Kisiela z Uniwersytetu Śląskiego z jego wstępem i w opracowaniu krytycznym. To cały dorobek poetycki Andrzeja K. Waśkiewicza przedstawiony szczegółowo, w różnych wariantach, choć M. Kisiel zastrzega, iż nie jest to w pełni publikacja krytyczna dorobku poety.

Do tej pory ukazały się nieliczne omówienia „Poezji zebranych”. Napisał o nich prof. Tadeusz Budrewicz na łamach „Kroniki według Muzeum im. Marii Konopnickiej w Suwałkach” (2025 nr 3[64]), także M.

zaskakujących odwołań politycznych.

Nie czuję się w mocy stawać w recenzenckim szeregu z profesorami i profesjonalnymi krytykami, chcę jednak zabrać głos nie jako znawca poezji lub krytyk, ale przyjaciel Andrzeja rozpatrujący jego zebrane utwory przez pryzmat 33-letniej znajomości drugiego człowieka. Zamierzam polemizować z Marianem Kisielom w jednym aspekcie jego interpretacji twórczości poetyckiej AKW. W pozostałych przypadkach uznaję profesorskie racje. Podobnie zresztą jak racje krytyka Leszka Żulińskiego, prof. Jana Kurowickiego czy prof. Jerzego Kryszaka (niestety cała trójka komentatorów już nie żyje) przedstawione w innych tekstach. Wszystkie te opinie łatwo znaleźć w pracy „Andrzej” zredagowanej przez Annę Sobcekę. Znam zatem ich celne, jak się wydaje, opinie o Waśkiewiczu-krytyku, Waśkiewiczu-poecie i jego wierszach i akceptuję je na tyle, na ile potrafię przeanalizować i zrozumieć. Nie czuję się jednak – jak zwat siebie Andrzej – zawodowym interpretatorem poezji (M. Kisiel nazywa go trafnie „egzegetą sensów ukrytych”) i nie wszystko umiem do końca ogarnąć. Andrzej – tak na marginesie – trafił to czynić znakomicie. Nie dziw zatem, że został edytorem pism zebranych Tadeusza Peipera (tom IV „Poematy i utwory teatralne”, Wydawnictwo Literackie Kraków 1979), Tytusa Czyżewskiego („Wiersze i utwory teatralne”; wespół z J. Kryszakiem, słowo/obraz terytoria Gdańsk 2009), Lothara Herbsta („Wiersze zebrane”; wespół z M. Graszewiczem Oficyna Wydawnicza Atut 2008). Znal doskonale twórczość Przybosa, Brzękowskiego (praca magisterska), Sterna i innych autorów z kręgów Awangardy. Mnie uwodzi jego opracowanie Peiperowskiego poematu „Na plaży” wydanego przez Wydawnictwo Morskie w 1982 r. - nie tylko sympatyczną dedykacją, ale przede wszystkim 29-stronicową Przedmową (interpretacją) do 10-stronicowego utworu. Nie jestem w stanie tak fachowo jak on się wystawić, skupię się na tym, „jak czuję” jego twórczość z perspektywy wieloletniej przyjaźni.

Otóż nie mogę się zgodzić z proponowaną przez Kisiela sugestią, iż „Na wyobraźnię poetycką Waśkiewicza wpływ miały dwie

Mariana Kisiela. Czy zgadzał się z nią? Nie wiem. Ongiś nie zapytałem, a pisemnych śladów nie znam. Profesor zawarł swe myśli chyba po raz pierwszy w postawieniu do zbioru wierszy „sekwencje i inne doświadczenia dawne i nowe” wydanego w 2005 roku i powtarza przy okazji kolejnych publikacji o twórczości Waśkiewicza.

Analizując rzecz po kolei, pozwalam sobie na mocne powątpiewanie, czy Andrzej „doświadczył jako dziecko” pierwszej z tych ideologii i czy faszyzm mógł oddziaływać na trzy-, czteroletniego chłopca. A także wpływać później – w jaki sposób? w wyzwołonej Polsce? – na ucznia, młodzieńca, dojrzewającego poetę. Owszem, mógł, lecz jako wiedza przyswojona w szkole lub przekaz matki czy rodziny. Jednak z pewnością nie na postawie doświadczenia. Waśkiewicz pisał przecież w biografii, że po stłumieniu przez hitlerowców powstania warszawskiego w czasie marszu szosą do obozu przejściowego w Pruszkowie „uciekła mnie matka”. Świadomość tego, co się dzieje wokół niego, miał wówczas bardzo niewielką, niemal zerową – to była przecież świadomość małego dziecka. Informuje o tym wyraźnie w wierszu „Nieobecność”: „to co posiadałeś – znasz z nieobecności!” Owszem, faszystowskie okrucieństwa odbijały się w twórczości, ich skutki (powtarzające się często wątki z ruinami) są czytelne w utworach Waśkiewicza. Lecz czy możemy powiedzieć, że to faszyzm w okresie swego trwania w okupacyjnej Polsce (w stolicy nieistniejącego państwa – jak Andrzej zapisał później) bezpośrednio wpływał na jego wyobraźnię poetycką?! Z pewnością nie. Tu raczej chodzi o skutki wojny! Za ich obraz można uznać – często pojawiające się w (raczej późnych) wierszach – ruiny.

Drugim ekstremum wyliczonym przez Kisiela jest „komunizm”. Odrzucam i tego rodzaju sformułowanie naukowca, a także istnienie samej ideologii przywołanej w rozważaniach jako argument; powód jest prosty: Waśkiewicz nie mógł doświadczyć komunizmu, jako że go w Polsce... nie było! Mamy tu do czynienia z inwektywą – zatem określeniem nieobiektywnym, nienaukowym – kierowanym przez przeciwników politycz-

nych pod adresem Polski Ludowej i panującego wtedy ustroju. Być może M. Kisiel chce być na czasie i w zgodzie z panującą obecnie polityczną modą, lecz sam przecież urodził się i żył w okresie powojennym, więc powinien pamiętać, że też nie doznał „komunizmu”. Chodzi mu prawdopodobnie o określenia „socjalizm”, „realny socjalizm” lub zbliżone, w każdym razie o ideologię zabarwioną na „czerwo”. Prof. Kisiel pisze, iż Andrzej doświadczał tej czerwonej ideologii blisko pół wieku. Nieprawda - licząc od debiutu poetyckiego w 1961 r. w pełni już świadomego człowieka - tylko 28 lat. Lecz nawet dorzucając ryczałtem obowiązkowe lektury, udział w apelach szkolnych, pochodach pierwszomajowych, z pewnością nie było to 50 lat. Socjalizm skończył się ponoć w 1989 r. wraz z wyborami 4 czerwca. Wystarczy policzyć.

Generalnie jednak nie rozumiem, dlaczego między takimi właśnie amplitudami miałyby się rozpinać wyobraźnia poetycka Waśkiewicza. M. Kisiel rozciągając wiersze A.K. Waśkiewicza między dwiema ideologiami, „między odmową a udziałem / między / jawą i snem” i rzutując tę alternatywę **na całą twórczość** poety, wykorzystał jego utwór „sekwencje (fragmenty poematu)” powstały w latach 1975-1976 (data pod wierszem). Stosunkowo wczesny. Lecz, co istotne, odnoszący się - jak go odczytuję - do powstania roku 1944 w Warszawie oraz okresu II wojny światowej w Polsce. Oczywiście materia poetycka nie jest jednoznaczna. Ale rozterki związane z „udziałem” i „odmową” zdają się dotyczyć pokolenia (w przypadku literatury generacji „Kolumbów”) biorącego udział w walce zbrojnej, a nie osób dorastających późno po wojnie. Rzućmy okiem na dwie strofy powyżej cytatu, z którego korzysta M. Kisiel, gdzie Waśkiewicz pisze o „dwudziestoletnich pięknych jak marzenie”, mówi o „kanatach”. Czyli o czym...? Nie jestem zatem przekonany, że to przytoczenie można przenieść na całą poezję AKW, zwłaszcza wobec wspomnianej pod utworem daty.

Ciekaw jestem bowiem - gdyby rzecz uogólnić - czego miałyby dotyczyć w przypadku Andrzeja „odmowa”? Czego (i komu) miałby odmawiać? Udziału w życiu literackim, w którym do końca życia wszak uczestniczył? Publikacji swej twórczości, która zsumowała się w dwa opaste tomy „Poezji zebranych”? Notabene ciekawy wątek zawiera „Do Krzysztofa Gąsiorowskiego list pół-prywatny” („Poezja” 1979 nr 4, s. 81), w którym padają słowa: „odmowa uczestnictwa” (pokoleniowego), ale i deklaracja świadomego udziału w „grze”, bo „wiedzieliśmy, że nie ma wyjścia, że nawet gdy gramy, też jesteśmy grani”. Sprawa dotyczy „rozgrywek” generacji „Orientacji” i pokolenia Nowych Roczników. Tak czy owak Waśkiewicz opowiada się (właściwie całym swym życiem) za „udziałem”.

Poza tym, wracając do istoty sprawy, sądzę, iż prof. M. Kisiel zupełnie nie bierze pod uwagę w swych „rozważaniach ideologicznych”, że od zmian ustrojowych, powiedzmy w roku 1989, do śmierci AKW upłynęły kolejne 23 lata. Szmata czasu, więcej niż dystans lat międzywojennych, w których tyle się przecież zdarzyło. Dlaczego nie uwzględnić tychże dat i lat jak-że istotnych ideologicznie (jeśli koniecznie wchodzimy już na to podwórko)? Wprowadzono wtedy w Polsce bocznymi drzwiami kapitalizm. Konsekwencje tego kroku dla twórców, dla literatury okazały się niewyobrażalne. Ukazały się w literackiej prasie i poza nią różnego rodzaju wypowiedzi A. Waśkiewicza o „wolnym rynku”: pamiętam chociażby szkic o rynku książki wygłoszony

podczas jednego ze Zjazdów ZLP. Dlaczego redaktor „Poezji zebranych” nie uwzględnił w swych rozważaniach tego typu (kapitalistycznych) doświadczeń granicznych Waśkiewicza? Może uważa, podobnie jak prof. Budrewicz, iż AKW należał do pokolenia, „którego biografizm jest rozpołowiona na socjalizm i demokrację” i w tym drugim przypadku (za którym kryje się era kapitalistycznej pogoni za zyskiem) nic już nie wymaga komentarza? Byłoby to dziwne. A przecież Andrzej, rzekłbym, bardzo często ustosunkowywał się do mechanizmów kapitalizmu, do rodzącej się nowej epoki. Wcale nie apologetycznie. Pisywał w tym czasie felietony w prasie gdańskiej, drukował swoje refleksje pt. „Małe teksty” w czasopiśmie „Komunikaty” i „Komunikaty 2”, które redagowałem. Czy reakcji na nowy ustrój nie znajdziemy także w późniejszych wierszach poety? A zatem: czy i teże właśnie ekstremy nie należałoby uwzględnić, próbując gdzieś sytuować wiersze zebrane A.K. Waśkiewicza?

Nie podoba mi się - bo to wyczuwam w „ideologizującej” propozycji M. Kisiele - ustawianie poety Waśkiewicza w opozycji do oficjalnego ustroju, systemu politycznego PRL etc. Oczywiście mógłby być przeciw, wszak od 1979 mieszkał w Gdańsku, wystarczyło, żeby kogo trzeba poparł, coś podpisał, wyraził stosowną opinię. Lecz jeśli nie pokazał tego w swojej postawie, publikacjach, to czy kryptonimowałby w poezji? Owszem, był krytyczny, ale zdroworozsądkowy i do dałbym: propaństwową. Mógłbym przytoczyć na to dziesiątki argumentów z życia Andrzeja wziętych. Odrzuciłbym więc, jako uproszczoną, perspektywę upolityczniania poezji Waśkiewicza.

Dlaczego przyjmować jako istotny taki sposób odczytywania jego twórczości?! Dlaczego nie mówić od początku o kwestiach egzystencjalnych, najważniejszych przecież dla każdego wypowiadającego się artystycznie autora? Upieram się, iż przedstawiona propozycja M. Kisiele nie tylko upraszcza odczytywanie poezji AKW, ale przede wszystkim sugeruje ograniczenia jego poetyckiej wyobraźni. Tymczasem był to wybitny i otwarty umysł i nie wyobrażam sobie, żeby pozwolił się zamknąć w klatce

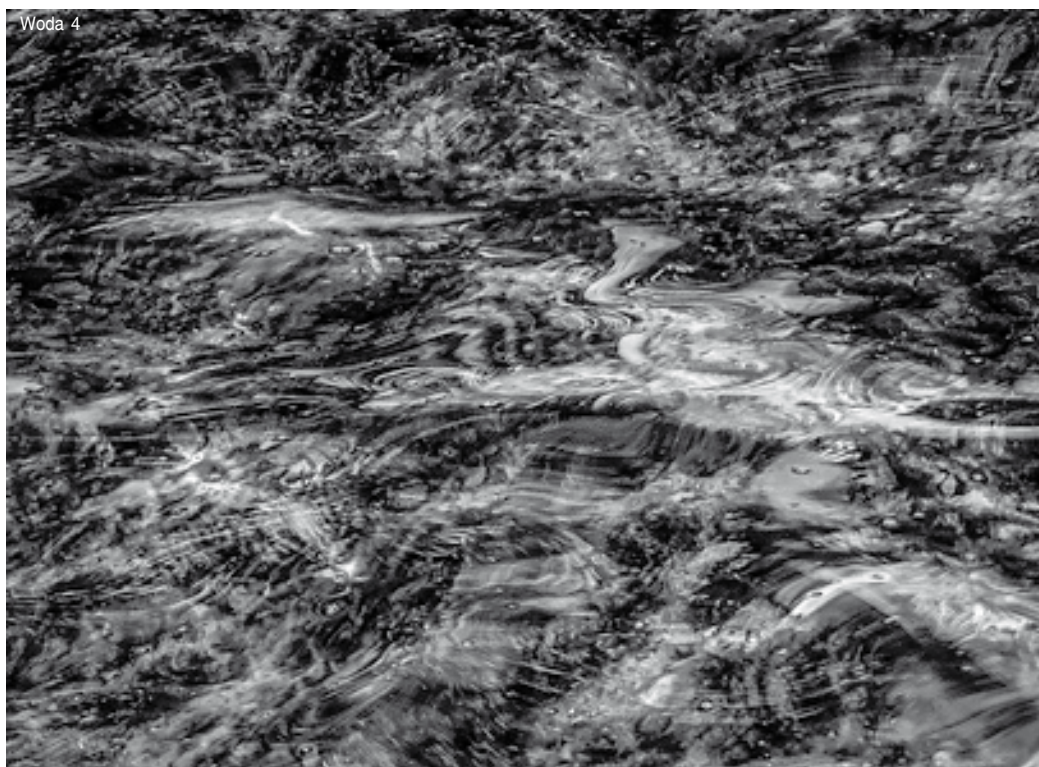
„między” ideologiami, czy w innym narzucającym się schemacie. Pisze wszak w wierszu „Krzew gorejący”: „ani prawda ani kłamstwo / po prostu / ciemne w ciemnościach / nierozstrzygalne sprawy”.

A dlaczego by nie pójść za propozycją poety, za spojrzaniem „na krawędzi: między / trwaniem / i wiedzą”? Skłaniam się z całą mocą do poglądu Leszka Żulińskiego zawartego w „Odwracaniu przepaści” (znamienny tytuł), iż: „Podstawową opozycją pojęciową i imaginacyjną tej poezji jest opozycja ciemności i jasności. Sen staje się naturalną konsekwencją nocy, jasność i gwiazda - konsekwencjami domysłu i nadziei. Niczym pomiędzy dwoma potężnymi siłami światła i mroku kryje się tajemnica istnienia boleśnie niedostępna”. Dodam puentujący cytat z postawia Żulińskiego do „Horyzontu zdarzeń” (1999): „Poezja Waśkiewicza jest wspaniałym i wielkim metafizyczno-ontologicznym traktatem, jest wizją całości istnienia i w tej mierze ma obecnie niewiele równych sobie konkurentek wśród liryki”. Tak chciałbym widzieć twórczość Andrzeja.

Dwa tomy AKW są istotne dla poezji polskiej, ale też bardzo ważne dla lubuskiego środowiska literackiego, z którego Waśkiewicz wyszedł, ponieważ po raz pierwszy w historii literatury na środkowym Nadodrzu ukazują się dzieła zebrane. Żaden z wielu autorów, którzy tworzyli na tym obszarze po II wojnie światowej, nie doczekał się tego rodzaju summy! Podczas zielonogórskiej promocji „Poezji” w Bibliotece Norwida prowadząca prof. Małgorzata Mikołajczak, jak też prof. Marian Kisiel wielokrotnie odnosili się do zawartych w wierszach Andrzeja K. Waśkiewicza intrygujących przesłań, tropów, odnośników, co wywołało w części drugiej spotkania interesującą dyskusję wskazującą, iż utwory poety są nadal żywe i odbierane w możliwie różnych interpretacjach.

EUGENIUSZ KURZAWA

Andrzej K. Waśkiewicz: „Poezje zebrane”; Marian Kisiel (red.), Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gdańsku, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2025



Andrzej Walter

ODPOWIEDNIE DAĆ RZECZY SŁOWO

Co pyta nas Piotr Müldner-Nieckowski w swoim najnowszym tomie poezji „Gdy przy tobie”? Jak deklaruje w wierszu rozpoczynającym brawurowo tom, z pewnością pyta nas o sens twojego bytu, o twoje prawo do owej uzurpatorskiej boskości, którą sam bałwochwalczo przyjąłeś jako pewnik, a może i o moment ostateczny, ale tak naprawdę o co poeta ów pyta? Pyta Cię czy myślisz, pyta czy myślisz logiką i empatią, czy masz jeszcze sumienie, czy wiesz co to jest, czy pojmujesz wieloznaczność naszych czasów? Pyta i odpowiada. W kolejnych wierszach.

Tom Müldnera-Nieckowskiego to lektura dla intelektualnych elit, prawdziwych elit, tych obdarzonych wyżej przywołanymi cechami, ale też i: siłą wyobraźni, wiedzą oraz wachlarzem kontekstów i skojarzeń. Stowem, dla ludzi, którzy dadzą się uwieść potędze umysłu, tamtógłówkom treści jakim jesteśmy dziś poddawani czy wręcz bombardowani przez wyspecjalizowane algorytmy. Poeta jednak daje nam odetchnąć od przygniatających dylematów egzystencjonalnych wierszem u Niego niemal lirycznym

Pies na przystanku

Staliśmy już długo,
tramwaj nie nadjeżdżał.
Podszedł do nas pies, usiadł obok,
polizal ci rękę, a że wciąż czekaliśmy,
nagle wstał i odszedł.
Obejrzał się raz, drugi.
Na niejednym przystanku psów nie ma,
ale się oglądają raz, drugi,
jak drzewo majtane przez wiatr
przed deszczem.

Dla mnie to bardzo dobry i przejmujący wiersz o współczesnym świecie, w którym tak łatwo i obojętnie omijamy czułość i wrażliwość, a pomimo tego, w którym tak łatwo nas dotknąć, zranić, upokorzyć. Jesteśmy majtani wiatrem uczuć i emocji na przekór alienacji, obcości i cyfrowej unifikacji. Pies symbolizuje tu coś, co nas spotyka (przeznaczenie?) i co nasz nowy wiek unicestwił wraz z Bogiem. I czy Bóg jest czy boga nie ma ktoś, to ktoś nas dotyka, ktoś się za nami ogląda, kiedy my w dal odjeżdżamy. Nota bene przystanek jest (albo może być) tu wielką metaforą naszego życia, naszej tułaczki, naszej wędrówki ... donikąd. Wiersz być może smutny, ale ja przy takich wierszach wypoczywam i cieszę się, że kilka razy w życiu pokonałem swój komfort bytu i zaryzykowałem wbrew rozsądkowi dzięki temu zmieniając swoje życie. Do tego jednak potrzebna jest odwaga, wyobraźnia, siła miłości, czułość, wrażliwość. Tego już w wierszu nie ma, ale tego przecież możemy się domyśleć. Tak właśnie pisze Piotr Müldner-Nieckowski, a Ty, kochany Czytelniku czytając te teksty ... musisz mu sprostać, a wiedz, że to umysł nie lada. Umysł wybitny. Nie jest łatwo o taki dialog.

Coraz więcej tego, czego coraz mniej

Znam coraz więcej osób,
które odzyskały wiarę w Chrystusa
i to ukrywają, jak fretka chroni swój brzuch,
zanim coś urodzi.
Nie pozwalają dotknąć i do kościoła
chodzą po cichu w poniedziałek.
Spotykam ich czasem we wtorki, soboty,
a wtedy mówią, że przyszli tylko

zmienić kwiaty, bo stare wyschły.

Kto chce, może jeszcze zostać przez chwilę
i dolać wody. Albo umyć nią witraż.

Odkryli modlitwę, która wynosi do nieba
ze skutecznością lepszą, niż lot balonem.

Pozwala się zbliżyć do zaświatu
jednocześnie z Ziemią.

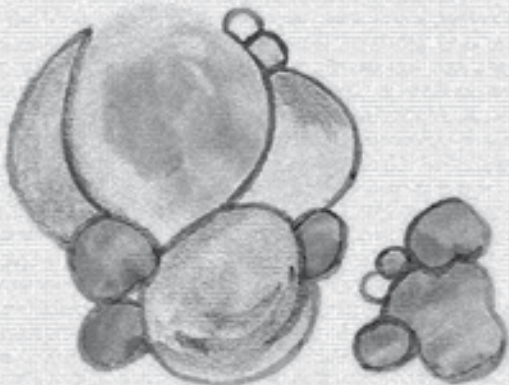
Otwarli oczy na prasę telewizyjną,
że wciska każdy kamień niezgody
jak w plastelinę.

Nie wiadomo doprawdy na czym w tym wierszu się skoncentrować. Jest niby doskonale rozproszony, ale i fenomenalnie ujmuje sedno ducha czasów, i to jest jakby generalna, nadrzędna cecha poezji Müldnera-Nieckowskiego. On czuje spleen, jak malarz dobrze oceniający światło i kąty padania spojrzeń, jak rzeźbiarz w swoim oku ma wizję dzieła stwarzanego z ... niczego. Coraz więcej tego, czego coraz mniej. To nie jest prawda. To połowicznie prawda, z jakiejś tam perspektywy, ale to prawda, a może teża wywracająca nasz „święty spokój, naszą słynną strefę komfortu, nasz dobrostan budowany na iluzjach. Jakże dojmujące jest kończące wiersz zawołanie o „prasie telewizyjnej wciskającej co rusz kamienie niezgody”. Już kiedyś o tym pisałem. Żyjemy w czasach propagandy, dziedziny wiedzy udoskonalonej totalnie, jak totalni byli jej twórcy czy to dr. J. Goebbels, czy marketingowcy amerykańscy lat 1930-1960, czy inni naśladowcy albo i kreatorzy. W efekcie mamy dziś plemiona wyznawców, fanatyków wszelkiej maści, ekspertów, będących pewnymi szych „racji” i święcie wyznających jakiegoś wodza, czy wodzów, w czambuł potępiających obozy przeciwne. Atmosfera ciągłego konfliktu wypacza i deformuje jakąkolwiek publiczną debatę, jakkolwiek spór, jakkolwiek dialog, potęgując wzajemną niechęć, nieufność i dezintegrację wspólnot, nawet rodzinnych. Tak daleko już to zaszło.

Wracając do wiersza, wiara w Chrystusa ma dziś pod górkę. Cyfrowa rewolucja technologiczna oraz test pandemii totalnie (drugi raz używam dziś tego słowa) przemieniły nasz świat i w tym kontekście Kościół Powszechny w osobie swoich przedstawicieli nie dorósł jakby duchowo do czasów i ich wyzwania. Kościół nie dorósł. Tak, A wiara jego członków? Co z niej dziś zostało? Ile jest osób naprawdę wierzących? Dla ilu natomiast pozostał rytuał i obrzęd, bez zrozumienia, bez głębi, bez wnicania w sens? Niestety proces ów pogłębia się. Siły zła coraz silniej wyrafinowane odciągają ludzi od Kościoła, a sam Kościół też ma pewne zasługi na tym tle, niestety. Wiara gubi się w tym wszystkim. I pytanie brzmi czy zgubił się i Chrystus? Dla mnie nie. Jest nas jeszcze trochę. Wierzymy. Nie w księdza, często z jego słabym wykształceniem, z unikaniem lektur czy nadużywaniem życia świeckiego i jego przyjemności – słabości, ludzka rzecz, powszechna jak w każdej warstwie społecznej. Ktoś powie, ale to warstwa mająca świecić przykładem, dawać świadectwo. I owszem, co jednak wtedy powiedzieć o: politykach, lekarzach czy prawnikach? Czyż to nie te warstwy, które również „dają świadectwo”. I jakie dają?

O tym wszystkim się myśli czytając tę znakomitą poezję intelektualną. To czasami rebusy znaczeń, wielowarstwowe zagadki, konstrukcje słowne natłoku sensów i odzwierciedleń, budowie niczym współczesna wieża Babel, poezja Piotra Müldnera-Nieckowskiego jest zawsze warta lektury, choć to lektura trudna. Umówmy się. Jeżeli czegoś nie rozumiesz, nie bój się. Przeczytaj raz jeszcze i jeszcze raz. Wtedy odstoni się prawda. Tak bywa z poezją.

Gdy przy tobie
Piotr Müldner-Nieckowski



Z dobrą poezją. Tak się jej uczymy, a ona (Ona) się odwdzięcza. To działa.

I mamy tu najlepszy przykład tego, co wcześniej napisałem:

Kilka drobnych uwag z których może powstać wiersz

Za postęp uważają doktrynę komunizmu.

A wiedzę wynieśli z kina,
jakże szczęśliwi.

I tym się zachwycili.

Choć na ekranach tłą się
sztuczne lub gasnące węgle.

To ludzie, trzeba dla nich pochylić
szczotki i śmietniczki,

ale tak, by nie chwycili za ręce.

Ani za szyję.

To im za dobrze idzie.

Napisał Piotr Müldner-Nieckowski, a mnie (niestety) już stanęły przed oczami hordy kolejnych pokoleń, tych młodych ludzi, którzy wiedzę mają za nic, myślą Piłsudskiego ze Stalinem czy Hitlerem i jest im wszystko jedno czy to Poniatowski czy Puławski... ale za postęp uważają ... sam postęp. (jakoś tak się utarło, że postęp to lewica: socjalizm, emancypacja, idee Oświecenia, wrażliwość Marksa i Engelsa podparta Darwinem). Czyli znów Müldner-Nieckowski wkłada kij w mrowisko, albo pręt w szprychy i drażni nas, że z tego też może powstać ... wiersz. Czy poezja? To niech rozważają niektórzy nasi Koledzy z Akademii, a mnie pozwólcie skupić się na uczuciach, bo o nich piszę, nimi się karmię, nimi żyję i z tej perspektywy przedstawiam Wam tego arcywyjątkowego polskiego poeetę, którego niejasne strofy można naprawdę porównać z Norwidem naszych czasów i naszych rozterek. Przyznam się szczerze – więcej rozumiem z Piotra niż z Cypriana Kamila (ciężkiego) N, ale moim jestem utomny. Utomny, nie znaczy nie zachwycony. Lubię czytać Piotra Müldnera-Nieckowskiego. Każdy wiersz pobudza do rozmyślań, każdy wiersz ukrywa jakąś filozofię, myśl, dylemat, problem i jakąś wizję. W każdym Mistrz szuka dialogu. To dobra i ważna poezja, istotny głos konglomeratu konserwatywnego z postępem, korelacji stonowanego dystansu ze stoickim, acz umiarkowanym entuzjazmem podejścia do postępu. A „na ekranach tłą się sztuczne lub gasnące węgle”...

Poszukiwana Poety są tutaj sprawą otwartą. Otwartą jak wszechświat, nieskończoną, kończącą się jedynie w Twojej wyobraźni, Autor tomu z kolei zagłębił się w głębokim szacunku dla słowa, kultury słów, istoty naszego języka i dylematu nazywania rzeczy i spraw. To człowiek nad wyraz pracowity, tytan aktywności i działania literackiego, człowiek jak się to przyjęło określać Renesansu, Autor polskich słowników (sic!) i w końcu też: dobry poeta, poeta eksperymentalny, kiedyś by się przyjęło, że awangardowy, z tym że jego konstrukcje słowne w odróżnieniu od wychwalanych i nagradzanych dziś młodych poetów nie mających wiele do powiedzenia prócz słowotoku bez ładu i składu – otóż Jego słowa mają całą odwrotność owej współczesnej pseudoawangardy – mają zmysł, zamysł, sens i znaczenie. Tym różni się Müldner-Nieckowski od całej tej reszty modnych (w zaklętych kręgach) poetów. Wyjątkowo swoisty, w pełni własny autonomiczny i niezależny język, autentyczność, szczerłość, idea

poszukiwania prawdy. To piękne cechy. Właśnie te Norwidowskie.

Możemy tu oczywiście dyskutować ile mamy tutaj poezji w poezji. Jeśli ktoś wyznaje zasadę świętej metafory i pełni liryzmu jako wyznacznika dobrej poezji to z tekstami tymi może mieć niejaki problem, ale ja uważam, że po Różewiczu poezja zezwala wyjątkowym myślicielom na swój sposób sformułować antyprozatorskie myśli w formie poetyckiej, ułatwiającej percepcję i odbiór, a będące innym wyrazem właśnie polskiej współczesnej poezji. Poezji odzwierciedlenia czasów skrótów. Poezji wytrawnej i jak wino ze szlachetnej winnicy o znamiennym roczniku. Zakończmy zatem wielkim wierszem, wierszem o wierze, albo i o czymś zupełnie innym. O tym jak bardzo niewiara potrafi...

Wiara w wiarę, jednym zdaniem

Panie Boże,
ja wiem, że Pana
może już nie być,
dlatego że z tego powodu
muszę Pana szukać,
bo gdyby Pan był,
miałbym
tylko tłumaczyć nieukom,
co to jest dowód
i czym jest fakt,
przeciw którego niezawisłości
nie ma żadnego
argumentu, a dzięki któremu
nie sądziłbym, że z Panem
dlatego rozmawiam,
jakby z samym sobą,
aby uwierzyć, że jestem ja,
ten taki pan od wierszy i powieści,
a to wszystko jest przecież po to,
bym miał o czym prowadzić dyskusję,
o co się spierać ze sobą,
udawać wspaniałość na rumaku,
ale normalność na zejściu ze strzemiem,
co niekoniecznie pozwala
na napisanie choćby jednego poematu,
lub przekonanie kogoś, że umiem myśleć,
ani na dyskusję jak z kimś drugim,
kto myśli, że nie wierzy,
a nie ma pojęcia,
jak bardzo niewiara potrafi
zbliżyć do Boga.

Na jednym brzegu humor, na drugim powaga. Nie wiemy co nas do Boga zbliża, nie wiemy co nas od Niego oddala, ale wiemy Kim Bóg nie jest. Boga nigdy nikt nie widział. Nikt nie udowodnił (w sensie naukowym) Jego istnienia i nikt nie udowodnił Jego nieistnienia. Możemy (jeśli chcemy) wrócić tu do wielkich filozofów i historii filozofii, która otwiera bramy rozważań i historii filozofii, która otwiera bramy rozważań, zbliża też do wiary świadomej i prawdziwej. Wiary w co albo w Kogo? Najzabawniejsze jest to, że natura człowieka (i to każdego człowieka) jest podobna. On (człowiek) jako istota ludzka musi w coś wierzyć. Niewiara w Boga zaskutkowała dziś wiarą (cokolwiek): psychologię, ludzko boskie panacea na modlitwę (medytację, jogi i inne gusta), w różne fantomy wiary, byle nie w Boga, ale byle się czegoś trzymać – reinkarnacji, nauki, genetyki i innych zamienników dawnego. Dlatego całe życie

analizuję i przyglądam się owym „ateistom” (z bożej faski - dosłownie) i każdy z nich „w coś” wierzy, czasami są to rzeczy, sprawy czy idee dosyć pokreślone, pokraczne i zdefiniowane, będące kompilacją wielu wiar, a to w naukę i prawo, a to w wiedzę i teorię ewolucji (nigdy nie dowiedzionej stuprocentowo) i tak dalej i tym podobne. Nasz lęk przed nieuchronnym końcem, zawsze takim samym emanuje wiarą – a z niej wyrastają miłość i nadzieja, albo zdrowe budujące – miłość i nadzieja, albo chore, zdefiniowane i współczesne: miłość jako kopulacja, a nadzieja odmierzana złotem. I wtedy też rodzi się zło. W takiej polaryzacji postaw. Jak? To już sami musicie sobie odpowiedzieć na to pytanie. Najlepiej czytając Piotra – czytając i myśląc, a nawet sięgając po „lektury źródłowe”, dzięki którym Poeta stworzył dany utwór. Polecam. Choć nieprzychylnym zaszkodzi.

Piotr Müldner-Nieckowski stawia wiele takich pytań. Wasze odpowiedzi mają być właśnie elementem tej poezji, formą dialogu z Nią, jej częścią w sensie dopełnienia, w sensie komplementarności treściowo pojęciowej. Po to są te wiersze. Są ziarnem, zarzewiem wszelakich myśli. Twoich myśli, Drogi Czytelniku. Abyśmy nie oszaleli od nadmiaru myślenia Autor daje nam odpocząć różnymi krótkimi, nieraz zabawnymi formami. Krotochwile literackie intelektualisty. Taki jest też wiersz o Wielkiej Nocy, choć jednak tu więcej powagi niż szyderstwa.

Wielka Noc

Krzyż to męka nie do wiary.

I na krzyżu życie ginie.

W Syrii i na Ukrainie.

Święte było zdjęcie z Krzyża

i Ożycie. Twoje życie też się przyda.

Gdzieś lub w domu. Ty wiesz komu.

Ty wiesz komu przyda się Twoje życie, bo jeśli nikomu się nie przyda ... to masz człowieka problem. Problem jaki ma coraz większa część ludzkości. Ich życie nikomu i niczemu nie służy. Jest biciem piany, mętną wodą, zarabianiem i wydawaniem, paranoją i błędem istnienia, wreszcie totalnym znudzeniem. O tym pisze dziś większość poetów tyle, że w bardzo różny sposób poczynając od Świetlickiego do Dąbrowskiego, czy w innej odsonie od Jurkowskiego do Wawrzkiwicza. To wyzwanie czasów, największy dylemat człowieka XXI wieku szczerze obłożonego sprzeczną informacją i agresją stricte obrazkową. Człowiek ów jest mało potrzebny, ale wojna nie wojna ma pracować do utraty tchu, (najlepiej aby wojnę toczył „po pracy”) aby grono najbogatszych wciąż organizowało mu ...te i inne rozrywki. I koło się zamyka, tak przecież powstała rewolucja przemysłowa i społeczna: wolności, równości, braterstwa. Co z niej zostało? Niewola, nierówność i bratobójstwo. Słowem taki demokratycznie obłąkany syf, w którym my mamy pracować, a Ci w Davos będą się bawić. Bawią się właściciele Fejsbuka a my mamy tylko klikać. Jeśli zaczynamy myśleć algorytmami nas usunąć (zablokują za ... mowę nienawiści). Ten świat za oknem boli. Wtedy sięgam po Piotra Müldnera-Nieckowskiego i myślę. Myślę sobie, że to nie jest jedyna płaszczyzna prawdy, Piotr Müldner-Nieckowski i Jego tom „Gdy przy tobie” – takie vade mecum niemal mistrzowskie czyli pójdz za mną drogą słów i myśli jako ocalenia przed nicością. Tak to widzę. A może chcę to tak widzieć.

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Dębowski

W PUNKCIE STYKU OGNI

IBŁĘKITU. O „WIRALOBRA NIU”

GRZEGORZA BAZYLAKA

Są książki, które czyta się szybko – jak wiadomość w przelocie, jak nagtówek, który natychmiast ustępuje miejsca kolejnemu. Są jednak i takie, które domagają się zatrzymania, powrotu, ponownego namysłu. Książki, które nie tyle opowiadają świat, ile go problematyzują, które nie oferują gotowych odpowiedzi, lecz uczą stawiać pytania.

Do tej drugiej kategorii należy „Wiralobranie” prof. Grzegorza Bazylaka – tom wpisujący się w tradycję literatury czujnej wobec języka i nieufnej wobec uproszczeń. To książka wyrastająca z przekonania, że słowo ma moc nie tylko nazywania rzeczywistości, ale także jej podważania, prześwietlania i przekształcania. W świecie nadmiaru komunikatów i przyspieszonych reakcji proponuje ona doświadczenie lektury jako formę skupienia i świadomego uczestnictwa.

„Wiralobranie” stawia czytelnika w sytuacji aktywnej obecności. Zachęca do uważności, do wstuchiwania się w niuanse, w pęknięcia sensu, w to, co niewygodne lub nieoczywiste. Jest zaproszeniem do dialogu z tekstem – dialogu, który nie kończy się wraz z ostatnią stroną, lecz trwa dalej, w refleksji i w pamięci.

„Wiralobranie” to książka, która nie daje się czytać „po kolei”. Ona raczej wciąga – jak wir, jak prąd rzeczny podmywający brzeg, jak algorytm wsysający kolejne obrazy do niekończącego się feedu świadomości. Już sam tytuł sugeruje ruch, infekcję i powtórzenie: wirusowy obieg sensów, które rozchodzą się po tkance języka, a zarazem branie – wchłanianie, przyjmowanie, uczestnictwo. Poezja Bazylaka jest aktem styku: między ciałem i słowem, historią i medialnym strumieniem, naturą i cyfrową symulacją. Jest też zapisem intensywnego doświadczenia współczesności, które nie chce się ustabilizować w jednej tonacji.

Tom otwiera „Punkt styku” – utwór-program, w którym klucz, zamek i nakrętka stają się metaforą mechaniki dobra i zła, sumienia i przekrętu. Bazylak nie ufa prostym dychotomiom; dobro nie jest antytezą zła, lecz jego maską. To intuicja głęboko dantejska – przywołanie Francesca da Rimini z „Boskiej komedii” Boska komedia nie jest erudycyjnym ozdobnikiem, lecz sygnałem, że pożądanie, wina i kara są wciąż obecne, tylko zmieniony dekorację. W świecie „Wiralobrania” piekło nie znajduje się pod ziemią, lecz w obiegu obrazów, w transakcyjnej logice ciała i w języku, który potrafi zarówno uwalniać, jak i zniewalać.

Bazylak prowadzi dialog z tradycją bez kompleksów. Gdy pojawia się Norwid – „ta-godne oko błękitu” – to nie jako pomnik, lecz jako żywe spojrzenie wpisane w deszczową scenę. Gdy mignie cień markiza de Sade’a, nie chodzi o prowokację, lecz o pokazanie, jak łatwo dyscyplina liczb i mania perwersji mogą spleść się w jeden mechanizm. Ta poezja nie moralizuje, ale obnaża. Obnaża torsy „królów życia”, obnaża algorytmy władzy, obnaża także naszą podatność na narrację sukcesu.

W „Balonach ze smółką potem dronach” język przyspiesza, nabiera rytmu sloganu i reklamy. Imperatywy – „wybierz się do siebie”, „sprzedawaj coś jak pizzę”, „nie narzekaj” – brzmią jak coachingowy mantra, która jednocześnie kusi i ośmiesza. Bazylak demaskuje ekonomię aspiracji: endorfiny, fiesty, ekrany, królów życia. Jednocześnie pod powierzchnią ironii pulsuje niepokój:

dobro jako skuteczna maska zła, ogródek z różami, w którym pracowite mrówki budują ornament pozorowanej harmonii.

Miasto w „Wiralobranii” ma konkretne współrzędne. Bydgoszcz nad Brdą nie jest tylko tłem, lecz żywym organizmem – z ogrodem botanicznym, mostem, pomnikiem powstańców, z Babia Wsią i muralem „Głodny? Zjedz bogatych”. To topografia napięcia: między rzeką zbawienia i rzeką zapomnienia, między parkometrem a wilczą watahą, między parkanem z paździerzowych płyt a czarnym sprejem. Bazylak patrzy uważnie: na czyżki w głogu, na kaczki krzyżówki odbywające zimowe gody, na bukowy las i mglisty bezwietrzny dzień. Przyroda nie jest tu sielanką; jest równoległym porządkiem, w którym rytuał życia toczy się obok ludzkiej gołączki.

Wspaniały fragment o kaczkach – z ich ukłonami, sygnałami pożądania, „perfekcyjnie wypiętym w górę kuper” – jest przykładem odwagi poetyckiego spojrzenia. Bazylak nie ucieka od cielesności, ale wpisuje ją w arystotelesowską „zasadę porządku w układzie zdarzeń”. Akt miłosny staje się „uporządkowanym przekształceniem”, momentem integracji snu i znaczenia. To jeden z wielu momentów, w których autor pokazuje, że eros i logos nie muszą się wykluczać.

W „Nowych nocach nowych gwiazdach” pojawia się Fryderyk Nietzsche, przywołany ironicznie i przewrotnie. Filozof zostaje wciągnięty w karnawał fajerwerków, kebabów i granatów – jakby jego dionizyjski żywioł uległ medialnej kompresji. Bazylak zestawia reality show, drony, sieciowe strzelanki i MAGA w tle, tworząc pejzaż globalnej kakofonii. W tym świecie nawet bunt bywa monetyzowany, a patrol graniczny próbuje „nie być” jak zakochany J.D. Salinger. Poezja staje się narzędziem demontażu – nie tyle ideologii, ile języka, którym się sprzedaje.

Tom jest gęsty od odniesień: od Gilberta Keitha Chestertona po Paula Ricoeura, od Alfreda Northa Whiteheada i Bertranda Russella po Zbigniewa Herberta. Jednak erudycja nie jest tu dekoracją, lecz tworzywem. Bazylak wplata filozoficzne tropy w materię codzienności: parkometr, bunkier, taśmę biało-czerwoną, SOR, pendolino. To, co wysokie, spotyka się z tym, co niskie – i właśnie w tym punkcie styku powstaje iskra.

Jednym z najmocniejszych motywów jest obraz ekshumowanych, wracających do masowych grobów, biegnących wzdłuż granicznych słupków. To wizja apokaliptyczna, ale nie odrealniona. Granica, słupek 255/236, palik 256/238 – konkretnie nadaje grozie wymiar dokumentalny. W tle pobrzmiewa historia Europy, jej przemilczane rany, jej powracające widma. Bazylak nie pozwala zapomnieć, że cyfrowa produktywność i portfele MAGA nie anulują przeszłości.

„Czytanie poezji H.P. Lovecrafta” i „Czytanie poezji J.L. Borgesa” to dwa znakomite pastisze-dialogi. W pierwszym groza miesza się z erotycznym napięciem i groteską; w drugim – labirynt krzesła, nogi i bólu pro-

wadzi do refleksji o mapie świata rysowanej z billboardów. Bazylak nie imituje stylów, lecz konfrontuje je z własnym idiomem. Lovcraftowskie ghule i borgesowski labirynt stają się częścią polskiego krajobrazu – lasu, parku, garaży z falistej blachy.

W „Bednarach” pociąg, który nagle zwalnia, jest metaforą egzystencjalnego zatrzymania. Smród lizolu, potu i wody kontrastuje z pragnieniem wyjścia „jak po nitce ścięgu” w stronę horyzontu. Motyw ręki, kciuka, znaku krzyża, separacji czwórki od jedyńki – wszystko to buduje wielopiętrową symbolikę, w której religia, matematyka i biografia splatają się w jeden węzeł. To poezja, która nie boi się patosu, ale umie go złamać ironią.

W finale tomu pojawia się „Oda do AI” – tekst, który brzmi jak modlitwa i jak autoironiczny manifest. „Powiedz sobie, że nic nie wiesz” – powtarza poeta. W epoce sztucznej inteligencji i wszechobecnych danych niewiedza staje się formą wolności. Bazylak nie atakuje technologii wprost; raczej bada, jak zmienia ona nasze poczucie własności, tożsamości, zniknięcia bez bólu. To jedno z najbardziej aktualnych miejsc w książce.

„Wiralobranie” jest tomem wymagającym. Język bywa gęsty, składnia spiętrzona, obrazy – na granicy nadmiaru. Ale właśnie w tym nadmiarze tkwi metoda. Bazylak pokazuje świat, który nie mieści się w minimalistycznej formie. Jego poezja jest jak mural za myjnią: lityry w kształcie błyskawicy, z których tylko niektóre słowa są czytelne z daleka. Reszta wymaga podejścia, zatrzymania, powrotu.

Największą siłą książki jest jednak odwaga spojrzenia. Bazylak patrzy na miasto, na ciało, na historię i na media bez lęku przed brzydotą i bez ucieczki w czystą estetyzację. Potrafi zestawić kaczy rytuał miłosny z unijną polityką, bunkier z TikTokiem, żagiew lśniącą z OnlyFans. To nie jest chaos; to świadoma kompozycja, w której każdy element – nawet najbardziej prowokacyjny – ma swoje miejsce w większym obrazie.

„Wiralobranie” można czytać jako poemat o końcu pewnej epoki i o narodzinach innej. O cywilizacji jako „najbardziej sensacyjnym odchyleniu i najbardziej romantycznym buncie”, jak pisał Chesterton. O świecie, w którym gwiazdy krążą po torze karlingowym, a ogień trawi sam siebie w ślepej palmy. O człowieku, który wciąż próbuje znaleźć punkt styku między dobrem i złem, między wiarą i podstępem, między pamięcią i zapomnieniem.

To książka, która nie chce nas pocieszać. Chce nas obudzić – nawet jeśli przebudzenie boli jak wyrwany ząb albo jak zbyt jasne światło nad rzeką. W świecie „Wiralobrania” nic nie jest dane raz na zawsze. Sens trzeba wciąż na nowo przekreślać jak klucz w zamku. A gdy drzwi się otworzą, okaże się, że komnata nie jest ani piekłem, ani rajem, lecz przestrzenią, w której wciąż możemy wybierać.

Prof. Grzegorz Bazylak stworzył tom, który zasługuje na uważną, wielokrotną lekturę.

RECENZJE

To poezja zanurzona w czasie, a zarazem wyprzedzająca go o krok. Poezja, która wie, że wirusy sensu krążą szybciej niż kiedykolwiek – i że jedyną obroną jest świadome branie udziału w tym obiegu. „Wiralobranie” pozostaje w czytelniku jak echo: niepokojące, ale oczyszczające. Jak błękit po burzy. Jak punkt styku, w którym zaczyna się prawdziwa rozmowa.

Strategia książki jaką zaproponował autor – zaprzeczania, oporu i penetrowania granic nie wyczerpuje się jednak w geście negacji. Jest ona równocześnie ruchem ku – ku innemu językowi, ku innemu doświadczeniu wspólnoty, ku pamięci, która nie daje się wygładzić ani ujednolicić przez algorytmiczne filtry współczesności. W tym sensie poezja staje się laboratorium czułości, miejscem, w którym słowo odzyskuje ciężar, a milczenie – znaczenie, ponieważ książka prof. Grzegorza Bazylaka nie kończy się na jego wierszach. Autor umieścił w tomie także tłumaczenia wierszy dwóch poetów iberoamerykańskich: Roberto Bolaño (1953-2003) z Chile oraz Roque’a Daltona (1935-1975) z Salwadoru.

Genealogia artystyczna, do której odwołuje się druga część tomu, odśladania pokrewieństwo postaw i napięć. Twórczość Roberto Bolaño wyrasta z doświadczenia wygnania, niepewności i literackiej kontrkultury, w której ironia sąsiaduje z rozpaczą, a bunt z czułością wobec przegranych. Z kolei Roque Dalton wpisuje poezję w bezpośredni horyzont politycznego zaangażowania, ryzyka i ofiary, czyniąc z wiersza narzędzie zarówno pamięci, jak i interwencji. Ich głosy, choć zakorzenione w odmiennych biografiiach i kontekstach historycznych, spotykają się w przekonaniu, że literatura nie jest luksusowym dodatkiem do życia, lecz jego krytycznym nerwem.

Polskie przekłady tych wierszy nie są jedynie transferem znaczeń z jednego języka do drugiego. Są aktem twórczej mediacji, w której rytm, idiom i historyczna temperatura oryginału zostają poddane próbie w nowym pejzażu kulturowym. Tłumaczenie jawi się tu jako forma dialogu – napiętego, lecz owocnego – między peryferiami i centrami, między doświadczeniem Ameryki Łacińskiej a środkowoeuropejską wrażliwością.

Wiersze te, osadzone w realiach represji, rewolucyjnych złudzeń i egzystencjalnej niepewności, rezonują dziś w inny sposób, lecz z podobną siłą. Ich kontestacja nie traci aktualności w świecie, który pozornie celebrytuje wolność słowa, a zarazem poddaje ją nieustannej komercjalizacji i trywializacji. Poezja przeciwstawia się temu mechanizmowi poprzez spowolnienie – poprzez gest zatrzymania, który wymusza refleksję i przywraca proporcje.

W hybrydowej strukturze „Wiralobrania” przekład staje się więc równoprawnym elementem kompozycji, nie dodatkiem ani ilustracją. To raczej druga linia melodyczna, która dopełnia i komplikuje tonację autorских tekstów. Wspólnota doświadczeń – doświadczeń buntu, ironii, straty i nadziei – buduje most ponad geograficznymi i językowymi granicami.

Czytelnik zaproszony jest do lektury nie tyle linearnej, ile dialogicznej: między oryginalnym głosem autora tomu a przetłumaczonymi głosami poetów iberoamerykańskich. W tej polifonii ujawnia się sens literatury jako przestrzeni negocjowania znaczeń i wartości. Poezja nie oferuje prostych odpowiedzi, lecz stawia pytania, które wybrzmiewają długo po zamknięciu książki.

W czasach kompulsywnego skrolowania i wiralowej efemeryczności wiersz działa jak przeciwwaga – jak gest odzyskiwania czasu

dla myślenia. Jest to akt sprzeciwu wobec uproszczeń, a zarazem afirmacja złożoności świata. Dlatego obecność tych przekładów w drugiej części tomu nie tylko poszerza jego horyzont interpretacyjny, lecz także wzmacnia jego etyczny i estetyczny wymiar.

Ostatecznie „Wiralobranie” jawi się jako projekt literacki, który łączy lokalność z uniwersalnością, intymność z politycznością, ironię z powagą. W dialogu z Bolaño i Daltonem książka potwierdza, że poezja – nawet w epoce memów i cyfrowych skrótów – pozostaje przestrzenią radykalnej wolności, w której słowo może wciąż inicjować realną zmianę w świadomości czytelnika.

ANDRZEJ DĘBKOWSKI, ZELÓW, 25-02-2026

Grzegorz Bazylak, Wiralobranie. Redakcja: Zbigniew Joachimiak. Projekt okładki: FSL. Seria Literatura XXI wieku. Polska Poezja Współczesna. Wydawca: Fundacja Światło Literaturne – Migotania, Gdańsk 2026, s. 88.

+++++

Andrzej Dębkowski RECENZJA tomiku „WIRALOBranie” 25-02-2026 źródło TUTAJ:

<http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php/2860-w-punkcie-styku-ognia-i-blekitu-o-wiralobranie-prof-grzegorza-bazylaka>

<http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/OKLADKA-Wiralobranie-oraz-OPIS-JANNY-ARTMAN-i-ZYCIORYS-AUTORA-ze-skrzydela>

<http://www.gazetakulturalna.zelow.pl/index.php/biezacy-numer/8-okladka/2855-grzegorz-bazylak-4>

Radunia w pobliżu Chmielonka



Mateusz Brucki

Staję przed Państwem ze skromnym to-
mem wierszy zatytułowanym *Kochani
między nami*.

Wiem, większość z Państwa, ze mną na
czele, powie, że ów tytuł jest zbyt prosty,
oklepany i niepoetycki. Jakich, w takim
wymiarze, słów winien użyć uczeń, który
pisze o swoim nauczycielu? Burza myśli
grzmi, bo problemem ucznia jest Fryckow-
ski. Rabbi: Nikt bowiem nie mógłby czynić
takich znaków, jakie Ty czynisz!

Tom pt.: *Kochani między nami* jest do-
wodem, że ofiara, jaką Fryckowski składa
słowu, jest całopalna i nie podlega jakim-
kolwiek dyskusjom. Pozwolę sobie – wzorem
Autora – być dosadny: to liryczne kieriesz-
owanie ze wszystkich stron, wymierzone celnie
w odbiorcę, ale wciąż pod iskrzącą tarczą
języka. Tarczą iskrzącą prostotą, a zarazem
odporną na modne dziś stylizacje.

Każdy wiersz roznieca inne emocje, każ-
dy z nich jest jak rozdmuch, w którym ginie
nie Autor, lecz czytelnik rozerwany granatem
(owoce) frazy wymyślonej przez Fryckow-
skiego, który zaprasza nas do betlejemskiej
stajni poprzez symboliczne góry, na które
wspiąć się bez tlenu, żeby naraz zachłystnąć
się początkiem Człowieka Twórczego (*homo
artis*) w jaskini Lascaux.

Kochani między nami to droga czterech:
podmiotu lirycznego, dwojga jego adresa-
tów i mnie (Ciebie) Czytelnika. Płomienie
wymyślone przez płomieniodawcę tańczą
i tańczyć będą. Ja, jako czytelnik, dmuchać
tu nie muszę, bo wiem, że żar tych wierszy
będzie trwał.

Jerzy-rabbi, napisałeś – ociosałeś kru-
szec, do którego daleko złotu czy twardemu
diamentowi. Drwisz z Czytelnika, któremu
zależy jedynie na prostym przeżyciu wiersza.
Twój Czytelnik przenigdy nie poleci w Ko-
smos, nie sięgnie Himalajów, nie wykrzyczy
„swojego” w odwróconych do góry nogami
katedrach Kanionu Kolorado – bo nie bę-
dzie Poetą takim, jakim jesteś Ty: szczerem,

¹ J 3,2.

PŁOMIEŃ FRYCKOWSKIEGO I PŁONNOŚCI MOJE

a więc kosmicznym, gotowym zdobywać
i krzyczeć, aby splendor wiersza, nad którym
czuwasz jak latarnik na przekór żywiołowi, był
bezpiecznym portem, darem i radością.

Ojciec oddany dzieciom i kochający
mąż – podmiot liryczny wierszy składających
się na ów tom sprytnie przemycą erotyzm
w utworach adresowanych przecież do
dzieci, a jednak nie stroni od adoracji tej,
która mu te dzieci dała:

Nie jesteś Neilem Armstrongiem
ale zaraz postawisz pierwszy
samodzielny krok na tej planecie
która z daleka jest tak niebieska
jak oczy twojej matki

Czy można siłić się na prostszą defini-
cję miłości? Dalej, w tym samym wierszu,
wyczytamy:

nie patrz na prędkość Ziemi nie dogonisz
zdrajcy

ale zawsze znajdziesz moje dłonie
upadniesz tam gdzie czekam

Ojcowska piecza nad synem brzmi tu
bardzo twardo, jakby stary polonista wpro-
wadził nagle do naszej deklacji kolejny
przykład: Zapewni – (kto? kogo?) z po-
mocniczym pytaniem: *będzie chronił?*, ale
czy właśnie nie taką jest powinność ojca?

I dalej – piecza ojca zatroskanego
o dzieci i świadomego, że nadejdzie dzień,

kiedy go fizycznie zabraknie:

biegnijcie razem po ostatni oddech
drżycie o każdą diagnozę u białych drzwi

I dalej – proste, ojcowskie patrzyenie na
potomka:

Nigdy nie będziesz Robertem Lewandowskim
ale zawsze będziesz moim synem
przynoszącym mi ból zaciśniętych kciuków

Podmiot liryczny-ojciec wchodzi tu na
najwyższy stopień podium, oddając cześć
synowi.

Fryckowski znów narozrabiał. Podkreślił
grubą krechą swoją obecność na polskiej
mapie literackiej, chociaż tym razem wydał
skromny, krótki tomik wierszy pt.: *Kochani
między nami*. Cóż więcej miał opowiedzieć
ów ojciec-poeta? Tylko to, co należy. Zrobił
to bez patosu, bez pretensjonalnego obno-
szenia się ze swoim talentem. Napisał od
serca i genialnie. Tym samym skazał nas
– czytelników na mnóstwo refleksji.

Ogromną zaletą tomu są reprodukcje
rodziny zdjęć, które zagrały w nim rolę
nietuzinkowych ekfraz. Zwykłe rodzinne fotki,
łapaczki codzienności, tej jeszcze czarno-
białej, peerelowskiej. Autor zaprosił tym
samym wszystkich czytelników bezpośred-
nio do siebie i po raz enty dowiódł, że jest
wielki.

Dziękuję Ci – Rabbi, żeś mnie też zaprosił.
Do zobaczenia na lirycznych szlakach.

STAROGARD GDAŃSKI, 01 II 2026r.
MATEUSZ BRUCKI

Stanisław Chyczyński

PAWEŁ KUSZCZYŃSKI ZWARTY I ZEBRANY

Czy w środowisku literackim trzeba jeszcze
wyjaśniać, kim jest poeta i krytyk Paweł
Kuszczyński (r. 1939)? Publikował w wielu
periodykach, wydał kilkanaście książek,
zgarzył niemało nagród (np. „Świętokrzy-
skiego Gustawa”, nagrodę im. Augusta
Cieszkowskiego, statuetkę Hipolita Cegi-
elskiego, medal „Zasłużony Kulturze Gloria
Artis”), od 2023 r. po raz kolejny zostaje
prezesem poznańskiego oddziału ZLP.

Ostatnio w Bibliotece „ReWirów” uka-
zała się, w lwiej części retrospektywna, ele-
gancko wydana książka P. Kuszczyńskiego
pt. *Wiersze zebrane* (2025), na którą złożyły
się utwory z 13 poprzednich jego tomików
oraz „nowe wiersze”. Łącznie ponad 450
tekstów, z ilustracjami prof. Józefa Petru-
ka. Oryginalny jest sam układ poszczegól-
nych rozdziałów, mianowicie na wspan: od
ostatniego wydanej *Mądrości dobra* (2022) po
debiutanckie *Powroty* (1991). Jest to oficjal-
ne podsumowanie kariery sędziwego au-
tora *Pory słowa*. Wszystkie wiersze zebrane
w jednym tomie, jak to zwykle bywa, na
pewno utatwią biografom, egzegetom (czy
nawet zwykłym odbiorcom) analityczne,
skrupulatne prześledzenie ewolucji poetyki
talentowanego poznaniaka. Sympatycy

jego twórczości wreszcie doczekali się tej
godnej edycji jako specyficznej formy wy-
razu uznania społecznego.

Poezja Pawła Kuszczyńskiego jest mono-
litem, tak pod względem formalnym, arty-
stycznym, jak i pod względem treściowym.
Autor *Pory zdumienia* wiernie i konsekwent-
nie preferuje nowoczesny *vers libre*, a więc
formę wiersza wolną od rymów, rytmów,
średniówek i stroficzności. Nie stroni od mi-
niatur poetyckich (są tu na ogół białe, po-
jedyncze kwartyny), a niekiedy sięga nawet
po poemat (np. *O Józefie, synu Jakuba*).
Jako wielki koneser słowa, śmiało rezygnuje
z polifoniczności tekstu na rzecz stylu gład-
kiego, wysokiego, dostojnego. Swoją posta-
wą demonstrowa świadome poparcie dla
romantycznego postulatu, by słowo poetyckie
miało najwyższą rangę społeczną. Jest
przy tym stowiarzem niezwykle ambitnym
i pracowitym: gorliwie i cierpliwie poszukuje
adekwatnych formuł i wyrażań dla swoich
niebanalnych myśli. Jednak o ostatecznym
kształcie tej poezji decyduje na wskroś re-

alistyczna wyobraźnia jej twórcy. I tak, bez
niespodzianek, od zbiorku pierwszego do
ostatniego.

Z tego, co już powiedziałem, pośred-
nio wynika, że poznański poeta słusznie
dystansuje się od wszelkiej tandety literac-
kiej. Wyraźnie widać to także w wyborze
tematów, albowiem już sam dobór toposów
i motywów nie jest gestem aksjologicznie
neutralnym. Kuszczyński doskonale o tym
wie, dlatego zwykł imać się kwestii niebła-
nych: biograficznych, rocznicowych, naro-
dowych czy ogólnie historycznych. W cza-
sach chorej nagonki na patriotów, on ma
cywilną odwagę afiszować się ze swoim
patriotyzmem, czego przykładem znajdzie-
cie w takich utworach jak: *Córki generała*,
Przywołując Hipolita Cegielskiego, *Tryptyk
katyński*, *Hubal*, *Powstańcy Wielkopolscy*,
Czytając Beniowskiego, *Polskość* etc. Wielkie
brawa, Panie Pawle!

Sporo uwagi poświęca również, szeroko
pojętym, sprawom religijnym. I to zarówno
tym *stricte* zewnętrznym, dostrzegalnym, jak

np. dbałość o zachowanie tradycji/obzędów świątecznych (por. np. wiersze: Bożonarodzeniowa impresja, U franciszkańskiego żłóbka, Przed Wielkanocą, Świąteczny cmentarz), jak i tym skrytym, wewnętrznym, personalnym. Te ostatnie mogą dotyczyć osobistych relacji ze Stwórcą lub zaledwie wstępnych poszukiwań transcendencji (Pytanie o istnienie), mogą też wynikać z niezaspokojonego głodu sensu życia (List do Grzegorza). Natomiast w lirycznym drobiazgu bez tytułu czytamy:

*Małeńki krzyżyk leży na nocnym stoliku,
błyszczący nie tylko srebrem.
Upewnia od początku,
że nie jedynie ja cierpię.*

A więc chodzi nie tylko o arcyważne poczucie sensu egzystencji, ale też o trywialną codzienność, o wyraźną ulgę w cierpieniu, o pokrzepienie ducha i ciała na co dzień. Te potrzeby, o których mowa, wynikają ze świadomości bolesnych ograniczeń bytu ludzkiego. „Stróżem chwil zostałem” – nie bez melancholii wyznaje piewca Nagłośności

chwili, wszak cierpi na prawie powszechną przypadłość artystów: „niedosyt istnienia” („niedosyt trwania”, „kłopoty z czasem”). „Wypiłem napar marzenia, a był to piotun...” – gorzka bywa prawda o człowieczym trwaniu w świecie. Utrata złudzeń jest wprost proporcjonalna do długości naszego życia. Trudno się dziwić, że oto z wiekiem zaczynamy tęsknić za błogą krainą dzieciństwa: „Coraz częściej chcę mieć twarz/ chłopca powracającego/ z majowego nabożeństwa./ być w śpiewie czasu./ który pozwalał pozostać/ sobą dla siebie (...)”. Stąd takie pojęcia jak: «chwila», «trwanie», «istnienie», «zdumienie» bądź «pragnienie» Kuschczyński filozof uczynił kluczowymi kategoriami swojej poezji.

Koniecznym trzeba dopowiedzieć, iż autor *Spotkania pragnień* jest niewątpliwie orędownikiem wartości najwyższych, które poniekąd można by zredukować do słynnej triady Platona. W przypadku piękna hołdowanie tej wartości ujawniają już same zachwyty nad światem przyrody, stąd takie tytuły jak: *Rogalin, Nieborów, W Arboretum*

Kórnickim, Nad wodospadem Kamieńczyka czy Ararat, tudzież wiele innych. Piękno znajdujemy ponadto w dziełach sztuki, dlatego poeta tak chętnie relacjonuje swoje spotkania z wybitnym malarstwem (C.D. Friedrich, W. Weiss, J. Vermeer, P. Picasso etc.) i wspaniałą muzyką (F. Schubert, L. van Beethoven, J. Brahms, F. Chopin, P. Czajkowski etc.). Z kolei dana liczba dedykacji pieczętuje emocjonalne więzi z wybranymi osobami, gdzie sześć wierszy poświęcił Rozalii Mili, trzy Iji Lazari-Pawłowskiej, a dwa Ernie Rosenstein, innych zaś wyróżnił tylko raz (albo w ogóle!). Jak widać, na względy trzeba sobie zastępując...

Myślę, że pora słowa Kuschczyńskiego wciąż trwa, więc żeby dotrzeć do pory zdumienia, należy udać się na spotkanie pragnień w lekturze najnowszego jego tomu, który szczerze rekomenduję wszystkim cierpiącym na niedosyt istnienia.

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

Paweł Kuschczyński *Wiersze zebrane, Biblioteka ReWirów, Poznań 2025, ss. 422*

Stanisław Chyczyński

OSTRACYZM KSIĘDZA HENRYKA

Znany pisarz i wydawca, **Stefan Pastuszewski**, wielokrotnie miał się trudnych tematów związanych z bolącymi polskiego duchowieństwa. Dość wspomnieć nowelę *Proboszcz* (2005), powieść *Dziś* (2009) czy zbiór opowiadań *Trumna nie ma kieszeni* (2009). Tym razem ten demon literackiej płodności odważnie zajął się nadużyciami seksualnymi w Kościele rzymskokatolickim, a konkretnie pedofilią i nagminnym (?) łamaniem celibatu. Mowa o najnowszej mikropowieści bydgoszczanina *Przypadki księdza Henryka*, której już sam tytuł przywołuje na myśl dramatyczne przygody sławnego Robinsona Cruoe. Światnie!

Pedofilia to temat (sam w sobie) kontrowersyjny. DLACZEGO?... Jeżeli ksiądz katolicki (tutaj: Henryk) dopuści się czynu lubieżnego z 5-letnią dziewczynką, jest to casus pedofili, czyn absolutnie zły. Zresztą, nie tylko w przypadku osoby duchownej, ale każdej. Jednak, gdy 14-letnia dziewczyna uwiedzie (sic!) niemrawego nauczyciela, to *de iure* będzie to czyn karalny (sprawca: edukator), ale czy *de facto* będzie to akt pedofili? Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy uświadomiona młodzież, jak wiadomo, wcześniej rozpoczyna współżycie? Zatem górna granica wieku tzw. ofiary to kwestia czysto konwencjonalna, więc kontrowersyjna. Nie bez kozery na zgnitym Zachodzie, już od połowy ub. wieku, prężnie działają organizacje na rzecz zmian legislacyjnych w tym zakresie. Jednak dzisiaj pedofilia wśród księży to temat bardzo nośny i modny, wręcz koniunkturalny, bo zapewniający pisarzowi rozgłos i wrzawę.

Bohaterem tej mikropowieści jest 82-letni duszpasterz, który jeszcze w PRL-u został prawomocnie skazany „na dwa lata pozbawienia wolności oraz grzywnę w wysokości 25 000 złotych” (s. 13) za jednorazowe molestowanie małej dziewczynki. Później spędził 30 lat na misjach w Amazonii, „między kolorowymi papugami i pachnącymi zjeżdżającym tłuszczem Indianami i Indiankami” (s. 27). Rażąca w narracji feministyczną poprawność biorąc za dobry żart odautorski, bravo Panie Stefanie!... Odiem szkaradnego czynu wlecze się za sprawcą w sumie aż do śmierci, gdyż po powrocie do ojczyzny delikwent podlega środowiskowemu ostracyzmowi, zarówno wśród kapłanów („Nikt nie chciał ulżyć mu w tej strasznej samot-

ności, nikt. Nawet profesor seminarium nie miał dla niego czasu”, s. 65), jak i wśród laikatu (por. np. rozdział *Dziobanie*). Z powodu nabytej niewiary w Doktrynę („Straciłem wiarę w Boga teologów i biskupów...”, s. 29), społecznego napiętnowania, dojmującej samotności i powracających wyrzutów sumienia („Najtrudniej jest wybaczyć sobie samemu”, s.27) popada w depresję kliniczną. Szuka pomocy u psychologów (terapeutka, która prywatnie nie lubi księży, raptem okazuje się właśnie jego dawną ofiarą – wprost nieprawdopodobnie!), a nawet u... Kali Baby, farbowanego guru buddyjskiego z miasta nad Brdą, gdzie toczy się akcja książki.

Niewątpliwie *Przypadki...* to utwór *stricto* psychologiczny. Autor odważnie psychologizuje, portretując nie tylko głównego bohatera lub jego kompanów w sutannach, ale też urzędników w togach. Np. relacja, łącząca młodego protokolanta z sędzią, przypomina film *Komornik* (2005) Feliksa Falka. Nie przypadkiem padają nazwiska Zygmunta Freuda, Zbigniewa Lwa-Starowicza czy Josepha Ratzingera. Szkoda, że na horyzoncie nie pojawia się np. opinia Wandy Póttawskiej!... Z jednej strony Pastuszewski, jakoby *implicite* za wspomnianym twórcą psychoanalizy, przyjmuje założenie o bezwzględnej dominacji *libido* nad *superego*. Oto więc legitymizacja stereotypu obyczajowego: „Dobrze więc, jak ksiądz mieszka z kobietą, a nie z chłopakiem. («Swoją chłop» chwałą go wierni i dodają «Nawet babę ma» (s. 83). Fakt, a wcześniej logicznie osłabiona wersja: „Wiadomo co na plebaniach się dzieje, nie, nie, może się dziać, bądźmy sprawiedliwi, są jeszcze porządni księża” (s. 54). Z drugiej strony bydgoski pisarz powtarza za uczniem Freuda, Alfredem Adlerem: „Mężczyzna potrzebuje władzy, nawet takiej symbolicznej, miękkiej i nawet wtedy, gdy prosi, to poleca parafianinowi zawieść się do lekarza” (s. 73). Stąd uwaga psychoanalityczna: „W pewnym momencie rozjaśniło mu się, że w tym całym jego kapłaństwie najbardziej pociąga go władztwo nad ludźmi” (*ibidem*). A TO implikuje zasadnicze pytania: Czy to jest wciąż chrześcijaństwo? Czy to autentyczne powołanie? Gdzie tutaj przepadł ideał religijny? Zatem kogo autor tak plastycznie, sugestywnie odmalował przed

oczami czytelnika? Czy akurat TAKIE ujęcie psychiki modela jest prawdziwsze?...

Podczas ciekawej, niezwykle absorbującej lektury dzieła S. Pastuszewskiego nieustannie miałem przed oczami pewne scenki rodzajowe z filmu *Kler* (2018). O ile jednak obraz ten jest dla mnie ewidentnym przykładem kina propagandowego i jawnie zideologowanego, o tyle nie sposób tego powtórzyć o *Przypadkach księdza Henryka*. Gdyby analogiczny temat wzięli na warsztat Jerzy Pilch, Wojciech Kuczok, Tomasz Jastrun czy inny postmodernista, to wyszłaby niejadalna kaszana pełna jadu i ognia. Mistrz z Bydgoszczy, utalentowany realista starej szkoły, jest na szczęście powściągliwy i delikatny. Najgrubszy wulgaryzm, na jaki sobie pozwolił, to słowo „dupa”, za co wyrażam niezmierną wdzięczność, bo jestem literackim jaroszem. Obnażanie ciemnych stron powołania kapłańskiego trudno byłoby wziąć za przejaw antykyberkalizmu, jako że autor wyraźnie stara się zachować tzw. obiektywizm, uwypuklając bieżące problemy (personalne, psychologiczne, ekonomiczne i inne), stanowiące spore wyzwanie dla współczesnych hierarchów. Również literacki portret tytułowego winowajcy sprawia, że wraz z postępującą lekturą zaczynamy dostrzegać w nim postać *sui generis* tragiczną. Krótko mówiąc: „Chłop w sukience” (s. 93).

Na koniec nie mogę przejść obojętnie wobec szaty graficznej. Szkoda, że książkę zakłęto w czcionce wielkości nieprzyjaznej dla spłowiatego, seniorskiego oka. Ale nic to! Gorsza jest... dehumanizacja sztuki (Ortega). Od wielu lat Marek Chaczyk pozostaje ulubieńcem Sekretarza „Akantu”. Niestety, snadź mam alergię na tego rysownika. Tedy poprzestanę na złośliwym pytaniu, czy trzeba ukończyć warszawską ASP, aby TAK bagrolić? A może twórcy tandem (S.P. plus M.C.) chciałby zasugerować odbiorcom, że „podły Boży świat” (s. 29) tak naprawdę przypomina infantylny, prymitywny bohomasz? Real oglądany w czarnym zwierciadle depresji? Może tak właśnie jest...

STANISŁAW CHYCZYŃSKI

Stefan Pastuszewski *Przypadki księdza Henryka, IW „Świadek”, Bydgoszcz 2025, ss. 107*

Zdzisław Drzewiecki

MIĘDZY SZEPTEM A KRZYKIEM ADAMA OCHWANOWSKIEGO

Tom **Między szeptem a krzykiem** autorstwa Adama Ochwanowskiego to rozpisany na siedemnaście części poemat-diagnoza współczesności. Już sam tytuł wyznacza oś semantyczną całego zbioru: przestrzeń „między” – zawieszoną, niejednoznaczną, pełną napięć. To właśnie w tej szczelinie, pomiędzy skrajnościami, lokuje się człowiek XXI wieku – zagubiony, rozdarty, uwikłany w historię, politykę, religię i codzienność.

Pierwszy utwór otwiera znamieną deklaracją:

„Między szeptem a krzykiem
jest nieopisana przestrzeń”

Ta „nieopisana przestrzeń” staje się metaforą egzystencji – obszarem niedomówień („za dużo w niej pijanych niedomówień / trzeźwych niedopowiedzeń”), historycznych traum i moralnych niejasności. Ochwanowski buduje obraz świata, w którym milczą „granity”, lecz „brzozowe krzyże / wołają o pomstę / za krew przelaną / bez głębszego namysłu”. Kontrast między trwałością kamienia a kruchością brzozy wzmacnia dramatyzm przekazu. Historia nie jest tu martwą przeszłością – to żywy wyrzut sumienia.

Poeta konsekwentnie operuje anaforą „Między...”, która porządkuje kompozycję tomu. Każda część stanowi wariację na temat innego napięcia: między wojną a codziennością, miłością a pogardą, mądrością a głupotą, ofiarą a oprawcą. Powtarzalność frazy nadaje tekstowi rytm niemal liturgiczny, a zarazem oskarżycielski.

W części drugiej czytamy:

„Między krzykiem bitewnym
a śmiertelnym szeptem
są gry i zabawy ludów”

Ironia tego zestawienia jest przejmująca. Wojna sąsiaduje z „bohaterskimi fajerkami” i „głupimi rozkazami pijanych dowódców”. Patos zostaje zderzony z groteską. Ochwanowski demaskuje mechanizmy zbiorowej hipokryzji – pokazuje, że tragedia miesza się z farsą. Jednocześnie poeta nie pozwala czytelnikowi uciec w komfort obojętności. Po dramatycznych obrazach pojawia się nagłe zejście do prozy życia:

„Między krzykiem bitewnym a śmiertelnym
szeptem przeglądamy codzienną prasę
strofujemy dzieci i wnuki
za nieodrobione lekcje”

Ta paralelność uświadamia, że wielka historia i mała codzienność to naczynia połączone. Wojna nie jest abstrakcją – przenika zwykłe gesty.

Tom ma wyraźny rys publicystyczny. Autor bez lęku sięga po odniesienia religijne, polityczne i kulturowe. W części czwartej czytamy:

„Między krzykiem pogardy a szeptem
miłości są podania do bezdusznych biur
diagnozy niedouczonej analityków
kazania niewiernych księży”

Wyliczenia tworzą katalog współczesnych absurdów. Ironia miesza się z gorzkością. Szczególnie mocny wydzźwięk ma fragment:

„są cytaty z mein kampf,
ewangelii, małego księcia
jest świat zamknięty w łupinie orzecha”

Zestawienie ideologii totalitarnej z Ewangelią i klasyką literatury dziecięcej pokazuje chaos aksjologiczny współczesności – wszystko funkcjonuje na jednej płaszczyźnie medialnego cytatu.

Równie przejmująca jest część dziesiąta:

„Między krzykiem oprawcy a szeptem ofiary
(...)
a lista młodych samobójców
to świadectwo naszej zbiorowej śmierci”

To jedno z najmocniejszych zdań w tomie. Poeta nie oskarża jednostek – mówi o „zbiorowej śmierci”, odpowiedzialności wspólnoty.

Styl Ochwanowskiego jest celowo nierówny. Wysokie rejestry („siedem trąb / siedem pieczęci / siedem grzechów”) sąsiadują z językiem potocznym i dosadnym („pijemy wódkę do lustra”). Ten zabieg nie jest przypadkowy – oddaje rozchwianie świata przedstawionego.

Poeta chętnie operuje wyliczeniem i nagromadzeniem obrazów. Frazy płyną szerokim strumieniem, często bez interpunkcyjnych pauz, co nadaje tekstowi rytm manifestu. W części siódmej pojawia się gorzka autoanaliza:

„Między krzykiem gawiedzi a szeptem poety
(...)
szmuglujemy treści, bo formy
nie dorastają do znaczeń”

To metapoetycki komentarz – świadomość, że język nie nadąza za rzeczywistością.

W części siedemnastej autor wprost przywołuje Juliana Tuwima i Jana Lechonia:

„Między krzykiem tuwima a szeptem lechonia
jest lutnia na bekwarku (...)
i lot ikara chorego na polskę”

To znaczący gest – wpisanie własnego głosu w ciąg polskiej tradycji literackiej. Ochwanowski zdaje się mówić, że współczesny poeta również funkcjonuje „między” – między patosem skamandrytów a melancholią emigracyjnej refleksji.

W tomie **Między szeptem a krzykiem** istotną rolę odgrywają również ilustracje autorstwa Tomasza Kordeusza. Nie pełnią one funkcji dekoracyjnej – są integralnym dopełnieniem sensów poetyckich, wizualnym odpowiednikiem napięcia zawartego w formule „między”.

Grafiki Kordeusza operują skrótem, symbolem i surową kreską, co koresponduje

z kondensacją języka Ochwanowskiego. Tam, gdzie poeta buduje obrazy poprzez nagromadzenie wyliczeń („są gry i zabawy ludów”), „są cytaty z mein kampf, ewangelii, małego księcia”), ilustrator odpowiada syntetyczną formą – często opartą na kontrastach czerni i bieli, ostrym geście, zdeformowanej sylwetce.

W efekcie powstaje dialog między słowem a obrazem. Poezja nie zostaje „objaśniona” rysunkiem; przeciwnie – grafiki potęgują niepokój i niedopowiedzenie. Tak jak w wierszach istnieje „nieopisana przestrzeń”, tak w ilustracjach pozostaje miejsce na interpretację. Puste tła, wystrzone kontury czy symboliczne detale zdają się wizualizować to, co w tekście nazwane zostało „halucynacjami znaczeń”.

Surowość ilustracji harmonizuje z ostrą diagnozą społeczną poety. Gdy Ochwanowski pisze o „liście młodych samobójców” jako „świadectwie naszej zbiorowej śmierci”, graficzny minimalizm Kordeusza może działać jak milczący komentarz – zamiast dosłowności oferuje znak, cień, napięcie. W ten sposób ilustracje wzmacniają dramatyzm tomu, nie popadając w patos.

Warto podkreślić, że obecność ilustracji zmienia rytm lektury. Zatrzymują one czytelnika, wprowadzając pauzę – wizualny odpowiednik „szepu” między kolejnymi „krzykami” poetyckich fraz. Dzięki temu książka staje się projektem intermedialnym: poezja i grafika współtworzą jednolitą wypowiedź o kondycji współczesnego człowieka.

Ilustracje Kordeusza nie są więc dodatkami, lecz współautorskim głosem w tej samej sprawie. Tak jak Ochwanowski lokuje swoje wiersze „między krzykiem gawiedzi a szeptem poety”, tak grafik sytuuje obraz między dosłownością a symbolem – w przestrzeni napięcia, która definiuje cały tom.

Między szeptem a krzykiem to tom wymagający. Nie oferuje ukojenia, nie prowadzi do jednoznacznej konkluzji. Ostatnie wersy pozostają niedomknięte, jakby poeta świadomie unikał kropki. Świat Ochwanowskiego to rzeczywistość permanentnego napięcia – między radością a smutkiem, miłością a pogardą, wiarą a zwątpieniem.

Siłą tej poezji jest bezkompromisowość i szerokość spojrzenia. Pewną słabością – momentami nadmiar publicystycznej dosłowności. Jednak nawet tam, gdzie poeta ociera się o manifest, broni go autentyzm tonu.

To literatura niewygodna, oskarżycielska, ale potrzebna. Bo – jak sugeruje autor – właśnie w tej „nieopisanej przestrzeni” między szeptem a krzykiem rozgrywa się prawda o nas.

ZDZISŁAW DRZEWIECKI

Tomasz Pyzik

HISTORYCZNO-WSPÓŁCZESNA PARABOLA

Historia pewnego szaleństwa, czyli rzecz o Michale Radziwiłło to podtytuł, który koncentruje uwagę odbiorcy na głównym bohaterze prozy Jolanty Sroczyńskiej-Pietz. Postać ostatniego ordynata przygodzickiego jest oczywiście dominującym konceptem twórczym, ale zainteresowanie czytelnika rozrasta się także w stronę innych bohaterów, którzy pojawiają się w otoczeniu właściciela pałacu w Antoninie. Plejada różnorodnych postaci tworzy interesujący spłot niuansów, historii mniejszych i większych, spotkań i rozmów, które wpływały na rozmaite decyzje. Dzięki sprawnie snutej historii, dzięki plastycznemu opisom i partiom dialogowym zostajemy przeniesieni w czasie do międzywojennej Polski. Jest nam dane poczuć klimat nie tylko arystokratycznego salonu, ale także możemy przebywać z ludźmi, którzy współtworzyli szeroko pojęte środowisko Antonina.

Michał Radziwiłło zostaje w powieści poddany wnikliwej obserwacji prowadzonej z różnych perspektyw narracyjnych. Sroczyńska-Pietz zastosowała ciekawy zabieg polegający na „oddaniu głosu” samemu Księciu, przez co fragmenty powieści, ujęte śródtytułem *Książę o sobie*, podają nam także punkt widzenia głównego bohatera. Sroczyńska-Pietz znakomicie wchodzi w rolę, doskonale zna swoje postaci. Autorka zakłada literacki kostium, ukrywając się za narratorem - wynajętym przez Radziwiłła pisarzem, który jawi się niezwykle ciekawą osobowością. Jego zadaniem jest napisanie *Kroniki* rodu Radziwiłłów, co przekłada się na szereg historycznych dygresji, które obejmują wydarzenia kluczowe dla jak najlepszego naświetlenia literackiego konterfektu tytułowego Księcia. Czytelnik może się przekonać, że ma do czynienia z prozą pisaną z dużym rozeznanieniem tematu, a gromadzona na potrzeby twórcze wiedza zdobywana była nie tylko w archiwach, ale przede wszystkim w miejscach, gdzie toczy się akcja powieści. Świadczą o tym opisy pełne charakterystycznych detali. Ich źródło musiało mieć miejsce w osobistej obserwacji, w swoistej wizji lokalnej, której żyźne pokłosie znajduje się na kartach powieści.

Na plan pierwszy wychodzi tu oczywiście położony w Wielkopolsce pałac myśliwski Radziwiłłów w Antoninie. Inicjalny rozdział książki niejako już poprzez tytuł - *Pałac* - wprowadza nas w tę niezwykłą przestrzeń, w ramach której dochodzi czasem do mityzacji rzeczywistości, a *genius loci* objawia swe tchnienie, co udanie wypukla autorka w ustępach będących wysublimowaną prozą poetycką. Wśród opisów znajdziemy także i takie, które mają charakter filozoficzny. Wnętrze antonińskiego pałacu, oglądane z odkrywczym zadziwieniem, staje się zachwycającym *theatrum mundi*, sceną, na której dzieją się różne tajemne widowiska, nastrojając widza do pogłębionych rozmyślań z pogranicza ontologii, metafizyki i epistemologii. Poznawcza zachłanność, wykraczająca poza naocznie daną rzeczywistość, wybrzmiewa w jednym z fragmentów, w którym odnajdziemy następującą deskrypcję pałacu: „Na samym środku stoi potężna kolumna podtrzymująca dach i uniemożliwia objęcie salonu wzrokiem. Teraz już wiem, że taki jak hall jest cały pałac. Gdziekolwiek staniesz, nie dojrzyś go w pełni, którekolwiek miejsce wybierzesz do patrzenia, nie zobaczysz wszystkiego. Swoją drogą cóż za zachłanność to pragnienie obejmowania spojrzeniem? Dlaczego świat miałby odstać przed naszymi oczami swój porządek,

skoro jest bardziej z doświadczenia niż z materii? Stałem więc na środku Radziwiłłowskiego pałacu, niewiele wiedziałem, a czułem skupione na sobie spojrzenia, jakbym znalazł się na scenie teatru. Nade mną górowały dwa piętra galerii wykończonych drewnianą balustradą. Wnętrze przypominało teatr Szekspira, tyle że pusty. Czy na pewno pusty?”. Pytanie, które zamyka opis, włącza nas niejako w krąg bohaterów, którzy mogą poczuć klimat czegoś, co istnieje ponad to, co niewidzialne. Kreacja przestrzeni przypomina w swej charakterystyce prozę Andrzeja Stasiuka, który w pozornie zwykłym „miejscu” potrafi dostrzec odblaski wyższej płaszczyzny bytu.

Nie tylko wewnątrz sprzyja wnikliwym, przełamującym rzeczywistość, obserwacjom. Obrazowanie natury również przyjmuje cechy, które w poetycki i zmetaforyzowany sposób mówią o nas, zarówno o naszej jednostkowej wyjątkowości, ale także o byciu częścią większej całości. Relacja narratora wpisuje się w nurt kontemplacyjny, gdzie w rapsoдії natury dochodzi do duchowego zjednoczenia z Absolutem, w którym zawierają się wszystkie poszczególne istnienia, a głęboka medytacja umożliwia wyodrębnienie znaczących części z niepojętej całości. W podrozdziale *Deszcz* czytamy: „Zamknąłem oczy, przysłuchiwałem się. [...] Wybrałem deszcz. Jego miarowy stukot o dach pomagał w utrzymaniu uwagi. Słyszałem jego jestem, jestem, jestem. Tak bez końca, tyle że czasami mocniej, szybciej, to znów ciszej, wolniej. Jednakże musiałem uznać, że nie jest to głos jednego bytu grający swoją pieśń. Każde *jestem* należało do innej kropli deszczu. [...] Uderzając o dach, deklarowała swe istnienie. Wtedy nie była częścią deszczu, strzępem świata. Stanowiła odrębny byt, niewielki i krótkotrwały, ale istniejący”.

Powieść Sroczyńskiej-Pietz to jednak głównie historia i pogłębione studium psychologiczne tytułowego Księcia. Portret

głównego bohatera osadzony jest w ramach zbudowanych z odnośników do jego bogatej biografii, a literackie wypełnienia miejsc historycznie niedookreślonych pozwalają nie tylko bliżej przyrzeć się tej skomplikowanej postaci, ale także skutecznie zachęcają do głębszego poznania bohaterów drugoplanowych, takich jak choćby jedna z ostatnich kobiet Radziwiłła, czyli Jeanetta (Judyta) Suchestów. W wymiarze ogólnym powieść o Księciu, czyli o szaleństwie Michała Radziwiłła należy odczytać jako prestrógę przed ztraceniem wartości, które są ponadczasowe i decydują o właściwym człowieczeństwie. Autorka wyróżnia cztery filary, na których opierało się dziedzictwo Radziwiłłów i na których potomkowie Ościka wychowywali swoje dzieci. Owe filary wiąże znaczącym skojarzeniem, pisząc, że są to: „Cztery ramiona krzyża jak plan ich pałacu w Antoninie”. Należą do nich: wielki majątek, wysokie urodzenie, religia oraz polskość.

Czasy się zmieniły, ale pewne rzeczy, zwłaszcza te najważniejsze, pozostały niezmiennie. Opowieść o ostatnim ordynacie z Antonina niech będzie okazją do refleksji nad filarami naszego bycia w świecie, gdyż ich zaniedbanie może prowadzić, jak w przypadku Księcia, do wewnętrznego zagubienia i wyobcowania. Zapewne taki cel przyświecał Jolancie Sroczyńskiej-Pietz, gdy na początku książki postawiła motto ze zdaniem Zoriana Dołęgi-Chodakowskiego: „Kształtując się na wzór obcy, staliśmy się na koniec sami sobie cudzymi”. Po dłuższym namyśle możemy dojść do wniosku, że *Książę* jest także w jakimś głębszym sensie zaskakująco współczesną powieścią paraboliczną. I zaskakująco dotyka nas samych.

TOMASZ PYZIK

Jolanta Sroczyńska-Pietz, *Książę. Historia pewnego szaleństwa, czyli rzecz o Michale Radziwiłło*, Muzeum Miasta Ostrowa Wielkopolskiego, Ostrow Wielkopolski 2024.

Siesta 3



Jerzy Lengauer

„NIEPOKOJĄCY ŚWIAT DUCHÓW”

Według jednego ze słowników wyrazów obcych „fantasmagorie” to „fantastyczna wizja stworzona przez nadwrażliwą wyobraźnię; urojenie”, a co ciekawe, z francuskiego to „obraz pokazywany w latarni magicznej”, ponieważ, jak pisze Barbara Grunwald-Hajdasz w „Od tłumaczki: Gdy rozum śpi, budzą się demony”: „Pod takim właśnie tytułem (i „Fantasmagorianae”) wydano przekład francuski antologii niemieckich autorów”. W dziewięciu opowiadaniach czterech niemieckich pisarzy oraz jedna angielska autorka z przełomu osiemnastego i dziewiętnastego wieku pokazują jak zasypia rozważny umysł, szkiełko pokrywa kurz a oko staje się zamglone, tak że obraz pokazany w magicznej latarni staje się upiornym wyobrażeniem rzeczywistości. Na progu staje więc romantyzm aczkolwiek i idee oświeceniowe według autorów „Fantasmagorii” nie zostają porzucone. Niektóre opowiadania obracają w żart lęk przed umarłymi, samotną, ciemną nocą, starym zamczyskiem, którego zakamarki spowija kilkusetletni kurz. Jednak większość opowieści to szaleństwo grozy, wybuch uczuć, kociół, w którym czarownice mieszają emocje od strachu do miłości. Równie dobrze „Fantasmagorie” mogłyby mieć podtytuł „Opowieści o miłości”, ponieważ to najwyższe ponoć uczucie łączy się tutaj nierozdzielnie z ingerencją świata nadprzyrodzonego. Powodzenie kochanków czy raczej kobiet i mężczyzn sobie przeznaczonych, wybranych za sprawą Losu, zależy od tego, co uczynili wieki temu ich przodkowie, jakich strasznych zbrodni dokonali. Nałożone na nich klątwy mają zostać zdjęte dopiero po wielu pokoleniach, zwykle przez czysty przypadek. Ale czy na pewno? Wszak miłość zniszczona setki lat wcześniej musi kiedyś zostać wypełniona. „Fantasmagorie” zatem to także opowieści o tych szczęśliwcach, którzy pomagając umarłym odnaleźć drogę do wiecznej spokoju po błakaniu się między Piekiełem a Niebem, swoje ukojenie znajdują w spełnionej miłości.

Dwa ostatnie opowiadania mają tytuły „Szara izba” i „Czarny pokój”. Mimo tego, że zostały napisane przez różnych autorów, widać, że mogą do siebie nawiązywać. I tak jest w rzeczywistości. W tej drugiej opowieści „Szara izba” Heinricha Claurena staje się dla jednego z bohaterów sojusznikiem w boju o pokonanie wiary w duchy. Jednak adwersarz ma także silny argument, mianowicie historię o czarnym pokoju, która broni świata nadprzyrodzonego, zjawisk nadprzyrodzonych. W dodatku (o dziwo!) słowami lekarza, czyli człowieka, będącego z racji wykształcenia i zawodu, przedstawicielem idei oświeceniowych. Spór jednak rozstrzyga trzeci z rozmówców, przedstawiając dowody racjonalne, udokumentowane, niepodważalne. I w ten sam sposób rozwiązując tajemnice i „Szarej izby”, i „Czarnego pokoju” Johanna Augusta Apela.

Opowieść poprzedzająca wyżej wymienione to „Duch zmarłego” Friedricha Launa. Fabuła toczy się początkowo w iście telegraficznym skrócie, zapowiadającym nieznacznie, które spotka zakochaną młodą kobietę, jeśli wyjdzie za mąż za człowieka, którego nie akceptuje ojciec młodej panny. Udowadnia, że sny, w których pojawia się oblubieniec jego córki, zapowiadają

nadciągające fatum. Córka jednak knuje intrygę i dzięki mistyfikacji udaje się doprowadzić do małżeństwa. Niestety i po ślubie ojciec-teść ingeruje w życie małżonków, w taki sposób, że młodzi ludzie poddają się wierze w duchy. I rzeczywiście, po upływie kilku lat wspólnego pożycia jakiś fatalizm podkopuje małżeństwo: „Obie połówki tak szczęśliwie kiedyś połączone w jedną całość zaczęły się usamodzielniać i choć żadna z nich nie mogła oskarżyć drugiej o faktyczną niewierność, to jednak w tym względzie stali się dwójkiem zdecydowanych sceptyków, z niewiarą odnoszących się do poglądów przeciwnej strony. Po upływie trzech lat wewnętrzne więzy między nimi całkowicie się rozpadły”. W końcu następuje tragedia. Okazuje się, że mąż ciężko acz krótko choruje i w końcu umiera podczas samotnego pobytu w kurorcie. Wyśmiewana wiara w duchy z początku opowiadania wraca na karty opowieści po części fabuły, w której panuje jedynie racjonalizm. Wdowę odwiedza duch zmarłego męża. Na szczęście jednak Friedrich Laun (przełom XVIII i XIX wiekul) zdecydowanie stoi po stronie trzeźwego umysłu i kończy „Ducha zmarłego” klamrą, która nie dość, że pieczętuje racjonalność, ale podkreśla humor, ironię, nieco złośliwość, w każdym zaś razie przekazuje nam naukę nie tylko w kwestiach wiary w świat nadprzyrodzony, ale i relacji małżeńskich.

Jedno z opowiadań zatytułowane jest „Pokrewieństwo ze światem duchów”. Oddaje to nastrój pozostałych sześciu opowiadań, w których wszakże straszliwe tajemnice zostają wyjaśnione, ale w taki sposób, że niesamowite, nie podlegające rozumowi wydarzenia należy przyjąć i im się podporządkować. Rzeczywistość niematerialna istnieje obok naszego świata. Często tutaj przenika i ingeruje w życie ludzi. Czasami pomaga, żeby zdobyć upragnioną ukochaną, innym razem zabiera do siebie, bo świat realny stanowi okropne męki lub przebywanie w nim jest jedynie nużącą, bezsensowną, samotną egzystencją.

W całym zbiorze nie ma zbyt wielu atrybutów architektonicznej i krajobrazowej niesamowitości. Autorzy nie lubują się zbytnio w opisach ponurych budowli, zamglonych wrzosowisk, nagle zapadających w starych lasach mroków, cieni krążących wokół bohaterów. Większą uwagę poświęcają rodzinnym klątwom, odkrywanej ponurej przeszłości, miłości i przyjaźni łączącej nas z zaświatami. Więcej tu zatem opisów przeżyć bohaterów i skupiania się na ich działaniach. Od budowania nastroju ważniejsze jest to, żeby czytelnik stał się świadkiem, towarzyszem głównych postaci fabuły. Siedział przy stole w salonie bogatego domu, był jednym z zaproszonych na występ cyrkowca, słuchał opowieści w majątku hrabiego, zasiadał pośród weselników w pewnej francuskiej willi... To tam przecież duch matki depcze po piętach ukochanej córki, której przepowiednia dotyka jedynej siostry i w końcu zabiera do siebie, wyrwijąc z objęć oddanych przyjaciółek. Właśnie w posiadłości hrabiego odbywa się pokaz cyrkowy, który zmieni życie bohatera, godząc go z dawno

zmarłym ojcem. W kurorcie zaś początkowo zwyczajna historia zamienia się w szkatułkową opowieść, w której zmarli zamieniają się miejscami z żywymi. Burza podczas wesela przywołuje zza światów turkot kół jakiegoś powozu i ciężkie kroki na schodach, co kończy się śmiercią grzesznicy i niewinnej, przypadkowej dziewczyny.

Ale, ale! Mimo wszystko w niesamowitych opowieściach nie może się obejść bez starych zamczysk i przerażających duchów. Takie przyjemności oferują czytelnikowi opowiadania „Portrety przodków” i „Milcząca miłość”. To pierwsze ma niezwykle zawikłaną fabułę, ale kończącą się nad wyraz pomyślnie. Wiadomo, że stare rody z krajów, które swoją historię wywodzą jeszcze sprzed czasów Cesarstwa Rzymskiego, mają przeszłość mroczną, tajemniczą i powikłaną. Nietrudno w nich odnaleźć skrywane zbrodnie, rzucane klątwy, pokuty ciągnące się przez setki lat. Niezwykle interesującym epizodem w opowiadaniu Apela jest lęk człowieka przed złowieszczym portretem, obrazem, który bohater musi mijając po wieleokroć przechodząc przez wielką, pustą, ponurą komnatę. Ów epizod to zamknięta w szkatułce głównego utworu opowieść omawiana postaci „Portretów przodków”. Warto zwrócić uwagę, że cechą charakterystyczną zbioru opowiadań „Fantasmagorie” jest właśnie szkatułkowość, ale i odniesienia do tych krótkich opowieści przez słuchaczy. Wówczas fabuła nawijając do opowiadania umieszczonego w szkatułce, ale o niedomkniętym wieczku. Rozwija się wtedy kreując nowych bohaterów i odsłania tajemnice, które ktoś wyjawia, zazwyczaj niechętnie, po namowach: „Baronowi udało się w końcu namówić ją, żeby wyjawiała powód tej nadzwyczajnej decyzji i po kilku odmowach wreszcie zaczęła: - Tajemnica, której wyjawienia pan ode mnie żąda, dotyczy pańskiej własnej rodziny”. Na przykład dzięki temu otwierają się rodzinne archiwa: „Głęboko skryta stała żelazna skrzynia nieotwierana prawie od tysiąclecia. Była obwiązana mocnym łańcuchem i przymocowana do podłogi i murów na wieczne czasy. Bardziej niż solidne zamki i łańcuchy zabezpieczały jej świętość same wielkie cesarskie pieczęcie”.

„Milcząca miłość” jest najdłuższym opowiadaniem zbioru. Trochę to opowieść przygodowa, trochę epos miłosny, sporo w nim elementów baśni czy legendy. Główny bohater, Franz, jest niedobry, rozrzućny, marnotrawny. To utracusz i hulaka. Rzecz jasna pochodzi z bogatego domu. Zgodnie ze znanym schematem traci majątek. Nie trudno zgadnąć, że się zakochuje i dla swojej wybranki postanawia zmienić. Ku temu jednak droga daleka, trudna, w przenośni wyboista i niebezpieczna. Z krajów niemieckich wybiera się w podróż do Niderlandów, żeby przywrócić swoje dobre imię jako kupca i mieszczanina oraz zdobyć pieniądze. Niestety na trakcie wyprawy czekają na niego wyzwania i próby. Czy dobrze wybierze, czy im podoba? Franz jest teraz biedny jak mysz kościelna, także stracił przyjaciół, którzy odwrócili się od niego, kiedy zabrakło pieniędzy na wystawne przyjęcia, podarunki. Taka nauka w baśniach powoduje, że

bohaterowi zmienia się charakter, nabywa cech szlacheńskich, staje się honorowy i bezinteresowny. Oto jakie słowa kierowane są do tego lepszego Franza: „Ale człowiek waszego pokroju jest u mnie zawsze mile widziany. Wy mówicie prosto i po niemiecku, co macie na myśli, jak to jest w zwyczaju bremeńskim. Odwieńdźcie mnie, jeśli was droga znów tu zawiedzie. Jak Bóg przykazuje”, „Zatem, mój młody, nieznajomy człowieku, jeszcze raz przyjmij moje podziękowanie, że mnie w końcu wybawiłeś” [6]. Zanim padną Franz musi zmierzyć się z własnym lękiem. Beznadziejność jego sytuacji, ale i zawziętość w wykonaniu zadania, powodują, że przekracza progi i swojego strachu, i bram ponurych, żeby nie powiedzieć straszliwych zamczysk, których mury omija się z daleka. Gdy bohater przechodzi próby szczęśliwie, dostaje swojego rodzaju moc, przypię-

towana zostaje jego wartość jako dobrego człowieka. Pierwsze doświadczenie otrzymuje od rycerza z krwi i kości, acz owianego krwawą legendą. Drugie pochodzi już ze świata zmarłych. I jest o wiele bardziej ważne bo przecież stamtąd właśnie kieruje się losem człowieka. Prawie wszystkie opowiadania z „Fantasmagorii” o tym mówią. O podsycaaniu lęku przed nieznanym, niewyjaśnionym, śmiercią. O wzbudzeniu niepokoju i pozostawianiu człowieka bezradnym, pogodnym z istnieniem świata nierealnego. Prawie wszystkie... Claren i Apel mówią czytelnikom coś całkiem innego, odwrotnego.

Przełom XVIII i XIX wieku jest niezwykle ciekawym czasem. To schyłek ponad stu lat rozumu, Adam Mickiewicz zapowiada w „Romantyczności”, że do człowieka silnie

przemawia czucie i wiara niż nauka, Król Olch zaś wabi, daje znak, wyciąga dłoń w balladzie Johanna Wolfganga Goethego w końcu XVIII wieku. Aczkolwiek to jeszcze nie czas, żeby zastony do niepokojącego świata zostały rozsunięte całkowicie. Legendy, mity, baśnie, opowieści przy kominku i w gospodach przybierają postać literatury, wprowadzają grozy, ale która trafia na salony i trochę strasząc uczy, szydzi, ironizuje, przestrzega i napomina, żebyśmy nie odwracali się od wcale nie minionego siécle *des Lumières*.

JERZY LENGAUER

„Fantasmagorie: Opowieści o umarłych”, Zysk i S-ka, 2025, przeł. Barbara Grunwald-Hajdasz

Zbigniew Masternak

Powieść *Spoina* autorstwa Irminy Kosmali stanowi interesujące połączenie fikcji literackiej z refleksją historyczną i filozoficzną. Już we wstępie autorka zaznacza, że przedstawiona historia wyrasta z rzeczywistych wydarzeń i postaci, choć została uzupełniona literacką wyobraźnią. Inspiracją dla fabuły stały się tragiczne losy regionu Gniezna, a w szczególności historia pacjentów szpitala psychiatrycznego Dziekanka, którzy podczas II wojny światowej padli ofiarą nazistowskich zbrodni. W ten sposób powieść od pierwszych stron sytuowana jest na styku historii, pamięci oraz literackiej próby zrozumienia ludzkiego losu.

Centralną postacią utworu jest Andrzej – profesor i intelektualista nazywany również Apejronem – który po załamaniu psychicznym i próbie samobójczej trafia do szpitala psychiatrycznego. Powieść rozpoczyna się sugestywną sceną jego przebudzenia w białym pomieszczeniu przypominającym celę. Bohater doświadcza bólu, dezorientacji oraz natrętnych głosów w swojej głowie. Ten początkowy obraz wprowadza czytelnika w przestrzeń psychiki człowieka znajdującego się na granicy między rozumem a obłądkiem. Andrzej próbuje zrozumieć, dlaczego znalazł się w tym miejscu oraz jakie wydarzenia doprowadziły go do tak dramatycznego punktu w jego życiu.

Jednym z najważniejszych wątków powieści jest historia jego relacji z narzeczoną Ewą. Kobieta, odnosząc sukces po publikacji swojej pierwszej książki, zaczyna zmagać się z dotkliwym kryzysem twórczym. Lęk przed niesprostaniem własnym wcześniejszym osiągnięciom paraliżuje jej dalszą pracę. Andrzej, chcąc pomóc ukochanej, podejmuje desperacką próbę przełamania tej blokady. Pisz szkie powieści i aranżuje sytuację, w której Ewa ma odnaleźć go przypadkiem i potraktować jako inspirację do dalszej pracy. Plan jednak szybko wymyka się spod kontroli. Kobieta zaczyna obsesyjnie poszukiwać autorki manuskryptu, a ich relacja stopniowo ulega rozpadowi. Wydarzenia te stają się jednym z kluczowych źródeł późniejszego załamania psychicznego bohatera.

Istotnym tematem powieści jest również problem pamięci i tożsamości. W trakcie rozmów z lekarzem Andrzej odkrywa, że przebywał w szpitalu już wcześniej, lecz nie zachował żadnych wspomnień z tego okresu życia. Lekarz ujawnia mu, że część jego doświadczeń została wyparta przez psychikę jako mechanizm obronny. Bohater

MIĘDZY GENIUSZEM A OBŁĘDEM

musi zmierzyć się z myślą, że jego własna biografia pełna jest luk i niejasności. Odkrycie to podważa dotychczasowy obraz samego siebie i zmusza go do ponownego spojżenia na własną przeszłość.

Silnym elementem powieści jest także jej zakorzenie w refleksji filozoficznej. W dialogach bohaterów pojawiają się odniesienia do myśli Friedricha Nietzschego, zwłaszcza do idei wiecznego powrotu oraz napięcia między geniuszem a szaleństwem. Andrzej, jako intelektualista i autor książki poświęconej filozofowi, zostaje w pewnym sensie zestawiony z Nietzsche – postacią, której niezwykła przenikliwość intelektualna prowadziła ku granicom obłądka. Powieść stawia przy tym pytania o naturę prawdy, o tożsamość jednostki oraz o to, czy świadomość człowieka nie jest jedynie zbiorem cudzych głosów, doświadczeń i narracji.

Szpital psychiatryczny, w którym przebywa bohater, pełni w utworze szczególną funkcję symboliczną. Z jednej strony jest miejscem leczenia i izolacji od świata zewnętrznego, z drugiej – przestrzenią konfrontacji z własnymi lękami i traumami. Spotkania Andrzeja z innymi pacjentami ukazują różne sposoby radzenia sobie z cierpieniem i samotnością. Rozmowy z Hiobem czy Chopinem przybierają często formę ironicznych, a zarazem głęboko filozoficznych dialogów, odświeżających doświadczenie utraty oraz egzystencjalnego zagubienia.

W powieści ważną rolę odgrywa rów-

nież symbolika. Motyw ciszy pojawiający się w wypowiedziach bohatera symbolizuje pustkę po utraceniu miłości oraz jego wewnętrzną samotność. Z kolei obraz ognia i spalonych zapisków wskazuje na próbę wymazania przeszłości. Andrzej wierzy, że zniszczenie manuskryptu pozwoli mu uwolnić się od bólu i poczucia winy. Okazuje się jednak, że przeszłości nie daje się tak łatwo usunąć – powraca w pamięci, dokumentach i rozmowach, z którymi bohater musi się ponownie zmierzyć.

Spoina podejmuje szereg istotnych problemów egzystencjalnych. Autorka zastanawia się nad granicą między geniuszem a szaleństwem, nad wpływem traumy na ludzką psychikę oraz nad odpowiedzialnością za drugiego człowieka. Ukazuje dramat jednostki, która po utracie miłości i poczucia sensu życia próbuje na nowo zdefiniować własną tożsamość.

Tytułowa „spoina” nabiera w tym kontekście wymiaru symbolicznego – oznacza próbę połączenia rozbitych elementów ludzkiej egzystencji. Może być rozumiana zarówno jako proces scalania przeszłości z teraźniejszością, jak i jako wysiłek odbudowania rozbitej tożsamości bohatera. W tym sensie powieść Irminy Kosmali staje się opowieścią o człowieku stojącym na granicy rozpadu, który mimo wszystko podejmuje próbę zrozumienia siebie oraz własnego życia.

ZBIGNIEW MASTERNAK



Siesta 4

Andrzej Walter

JUDYM I WIERSZE

Jeśli chcecie zobaczyć jak wygląda rozdartą sosną współczesnej polskiej poezji w wersji dzisiejszego Doktora Judyma sięgnijcie po tom Waldemara Hładkiego „Wyczerpane słowa” wydane u schyłku minionego roku 2025 przez Unię Polskich Pisarzy Lekarzy w Krakowie. Tom jest właściwie wierszowanym dziennikiem utytułowanego medyka, który już od jakiegoś czasu niezwykle sprawnie posługuje się słowami snując swoją katastroficzną wizję poezji, w której odnajdujemy mało nadziei ale wiele prawdy. To prawda niesforne życie, przemijania i bolesnej samotności, napisana bardzo dobrze, lapidarnie i napisana niezwykle zajmująco prowokując czytelnika do wielu refleksji, a ubogacając to dekadentckimi grafikami wygenerowanymi przez Krzysztofa Kozłowskiego przy użyciu programu sztucznej inteligencji Dream by Wembo.ai

Słowo i obraz dopełniają się niezwykle mocno. Obrazy te, mnie osobiście, kojarzą się z malarstwem Zdzisława Beksińskiego, który sam nie uważał się za surrealistę, ale tego typu wizje nam przecież przedstawiał. To malarstwo figuratywne nasączone właśnie: śmiercią, przemijaniem, rozkładem i apokalipsą, jednym słowem stanami, które niemal przed nami, na wyciągnięcie ręki, a przynajmniej nas się nimi dziś straszy. I taki jest też ten tom. Kiedy się z nim zapoznałem powiedziałem sam do siebie, to nie może być prawda, jest przecież jakaś nadzieja, ale w tym tomie znaleźć jej nie potrafiłem. Pobudził mnie jednak ten tom do swoistego rodzaju myślenia. Te wizje, te obrazy, te zapiski, szkice, oszczędne w słowach mgnienia.

Waldemar Hładki zabiera nas niejako do bram piekieł, gdzie możemy jak u Dantego przeczytać napis „„Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodziście”

Lasciate ogne speranza, voi ch'intrate

- słynny napis umieszczony nad bramą Piekieł w Boskiej Komedii Dantego Alighieri. Cytat ten, pochodzący z Pieśni III, oznacza brak ratunku, ostateczność potępienia i konieczność poddania się wiecznemu cierpieniu przez wchodzących do piekielnych czeluści.

Hładki jednak nie wierzy ani w niebo, ani w piekło. Wierzy w słowo. Słowo, co pali ogniem piekielnym, albo żarem sumienia. Zapytacie skąd sumienia? Ano właśnie. Warto się też przy tej okazji zapytać też i to dość wnikliwie kim jest sam profesor Waldemar Hładki, bo cóż to znaczy być profesorem medycyny piszącym wiersze?

I owszem – dzieją się w naturze takie ... cuda.

No nieźle, rozpoczęłem chyba zbyt wiele wątków. Żeromszczyzna, Beksiński, Hładki i apokalipsa, a na domiar nieszczęść Boska Komediala, ale to tak właśnie ma być (u Hładkiego) , tak należy rozpoznawać naszego bohatera – Autora, Waldemara Hładkiego, jako postać: wielowątkową, nie do końca wyjaśnioną, niepojętą wręcz, nierozpoznawalną i nieodgadzioną. Aleksiej Nawalny polskiej poezji. Dlatego też pierwsze skojarzenia z Judymem – bohaterem samotnym, rozdartym wewnątrz, lecz społecznikiem i tytanem działania – taki jest wypisz wymaluj profesor

Waldemar Andrzej Hładki

Wyczerpane Słowa



Wiersze

Kraków 2025

Waldemar Hładki - lekarz, naukowiec, poeta, podróżnik, muzyk, szef i wiceszef dwóch poważnych pisarskich Organizacji – jednej lekarskiej, drugiej li tylko literackiej... i jak się okazuje dobry poeta, który koncentruje naszą uwagę na mądrze zapisanym słowie – na słowie świadectwie naszych czasów, słowie zamienionym w poezję współczesną i to niezłą poezję, która zadaje wiele pytań, snuje wiele wizji, dotyka ran, tajemnic, nieskończoności i własnej niewiary w wiarę, finalnie przynosząc nam beznadziejną nadzieję. O tak, ten poeta też chce być kochany, ale nadzieja, właśnie ta nieszczęsna nadzieja, jak zawsze umiera ostatnia.

Kochaj mnie

Kochaj mnie bez lęku
o mój ból, trudniejszy oddech
i krok nagle niepewny.
Kochaj bez strachu
w chwilach zwątpienia.
W czerniejących myślach
o kruchej nadziei.
Kochaj bez warunków wstępnych
za okaleczone życie.

RECENZJE

I takie są te wiersze. Ładne, ale bez nadziei. Przynajmniej ja w nich nadziei nie wyczytałem, bo jeśli ona jest to pozorna, ulotna i jako projekcja naszych potrzeb, tak dobrze przez medyków ... ponoć rozpoznanych.

Genialnie ujął to autor przedmowy – mistrz słowa publicystycznego Andrzej Dębowski, który tak podsumował Waldemara Hładkiego (we wstępie do niniejszego tomu):

„W Wyczerpanych słowach mamy do czynienia z poezją skrajnie osobistą, a przy tym komunikatywną. Hładki nie ukrywa się za metaforą ani nie ucieka w język ezoteryczny; jego obrazy są proste, często dotykalne, zmysłowe. Ale właśnie ta prostota czyni je przejmującymi. To poezja, która nie szuka fajerwerków, lecz prawdy – prawdy o słabości, starzeniu się, samotności, utracie, ale też o chwilach, które pozostają nieusuwalne, zapach bzu, smak czerwonego wina, dotyk ciepłego piasku, szelest liści.”

Możemy tu dodać, że ten tom niczego nie udaje, jest sklecony z czystej i surowej autentyczności autora i jego rozterek. Uderza szczerłość i otwartość. Poraża naga prawda o naszym życiu i losie. Bo jest tu takie dyskretne łącze, że prawda autora jest i naszą prawdą, co kieruje wsobność tej poezji ku pełnemu uniwersalizmowi przesłania. Nie każdemu poecie się to udaje. Nie wszystkie wiersze na świecie utrzymują ten poziom panowania nad słowem i emocją.

Waldemarowi Hładkiemu się to udało. „Wyczerpane słowa” to katastroficzna wizja naszego człowieczeństwa banalności

końca przeciwstawiająca wiarę w piękno i w sztukę. Ja, jako człowiek podążający silniej za argumentacją Pascalowską niż karłowatym racjonalizmem Hładkiego absołutnie się z tym tomem nie zgadzam, ale narzucił on jednak na mnie swój dyskretny urok słowny. Jego lektura była mi potrzebna, choćby i po to, aby nas rozróżnić, aby sobie samemu własną wiarę uświadomić na tle innej hipotetycznej niewiary (choćby i współczesnego świata) i apokalipsy czy choćby samej rozpacz, która być może też i tam wiedzie.

W każdym razie i ostatecznie moja niezgoda owocuje myśleniem, formą samoświadomości, a przecież i o to też w poezji chodzi, rozbudzić, pobudzić, sprowokować. Pascalowskie założenie, że racjonalny rozum jest niewystarczający do poznania Boga i osiągnięcia prawdziwego szczęścia okazuje się tutaj bardzo użyteczne w obliczu fundamentalnych dylematów egzystencjalnych. Odchodzimy tutaj jednakowoż od tomu poezji i postaci autora – Waldemara Hładkiego.

Wyczerpane słowa zafascynowały mnie na wielu płaszczyznach. To tom słowny i wizualny. Opowieść i obraz. Autor jest postacią wyjątkową, dla mnie pełną charyzmy, determinacji i aktywności, ale wyczuwam drugie dno tych atrybutów, jednym słowem cenę jaką się za to płaci. Reszta wyrażona jest w poezji.

„W moim ogrodzie / zamiast kwiatów / wyrastają kamienie” (...) „bez wody życia / usycha ciche marzenie” (...) „lękam się zejść do ciebie / by nie potknąć się o obojętność” (...) „nasza obiecana nieskończoność / jest

skończona” (...) „to wszystko przeminie – i ja przeminę”

Ale to nie wszystko. Ten tom na swój sposób jest nieuchwytny. Nadzieję znajdujemy tam gdzie jej nie ma, albo tam, gdzie ona się kończy, jeśli tylko jest w nas. A jest ona naturalną cechą wpisana jakby w nasze geny działania. To zresztą udowadnia sam autor swoim całym życiem żyjąc w zasadzie dla innych. Jako prezes Unii Polskich Pisarzy Lekarzy – stowarzyszeniu działającemu „jak w zegarku”, jako wiceprezes Związku Literatów Polskich – organizacji ponad stu-letniej, która natrafiła w swojej egzystencji na pola gór lodowych zaniku czytelnictwa i upadku roli społecznej literata jak misjonarza, wreszcie jako profesor medycyny, ale i praktykujący lekarz, tej starej daty spod znaku poświęcenia dla innych, a nie jak lekarze nam współcześni o zaniku empatii wprost proporcjonalnej do stanu ich kont. Aż w końcu jako człowiek w świecie rozpadu więzi, w świecie alienacji, w świecie samotności.

Polecam wam „Wyczerpane słowa”. Zapewne odkryjecie w nich swoje przemyślenia. Może więcej wiary, nadziei i miłości, ale jeśli nie, to... porzućcie wszelką nadzieję.

Choć jestem pewien, że poezja przetrwa i tak. Odrodzi się zawsze, gdyż człowiek jej po prostu potrzebuje do wyrażania ... wielu, wielu spraw, których nie da się inaczej wyrazić, tak jak potrzebuje się pożywienia i snu. Śnijmy zatem bez końca. Wszystko jest ... poezją, w świecie gdzie nic nie jest z poezji.

ANDRZEJ WALTER

Jeziro Trzebnó



EGZYSTENCJA W CZARNEJ DZIURZE (NOTA)

W krótkiej powieści „Przypadki księdza Henryka” Stefan Pastuszewski opisywał kłopoty księdza Henryka ze znalezieniem swojego miejsca w świecie, gdyż przez kilka miesięcy siedział w więzieniu za czyn lubieżny dokonany w stanie upojenia alkoholowego, bo masturbował się na oczach nieletniej. Oderwał się od swoich problemów, kiedy po wyjściu z więzienia wyjechał na misję do Ameryki Południowej, ale po powrocie do Polski próbował współpracować z parafiami, jednak uważano go za skandalistę i rzadko mógł liczyć na coś więcej niż bycie spowiednikiem. Książę w powieści wspominał także matkę, ojca, siostrę, prostytutkę Monikę, z którą utrzymywał kontakt, chodził do psycholożki, która się okazała jego ofiarą i do sekciarskiego guru, który mu nie pomógł.

Powieść Pastuszewskiego nie wpisująca się w cykl afer na temat wypaczonego często życia seksualnego polskich księży i

zakonników, które stały się tematyką filmów i reportaży w ostatnich dekadach, ale raczej ukazywała jak jeden błąd, jeden występki z przeszłości wpływał na całą ludzką egzystencję. Akurat w przypadku powieści Pastuszewskiego i z punktu widzenia prostolinijnej osobowości księdza Henryka, zdawało się, że takie napiętnowanie człowieka przez jeden błąd i jeden występki z przeszłości było niedopuszczalne, no ale nie była to prawda na tyle ogólna by stała się ważna, gdyż np. były takie zbrodnie, które się nie wymazywały z pamięci ofiar i narodów.

Rozmowy na tematy religijne pomiędzy księżmi w „Przypadkach...” wydawały się nie-

co banalne i raczej przypominały telewizyjny serial „Ranczo” niż np. „Imię róży” Umberta Eco, ale akcja powieści była prowadzona dobrze, płynnie i wciągająco. Ponurą wymowę książki niekiedy nieco przekreślał dosyć dobry humor. Mimo, że Pastuszewski miał lepsze książki na swoim koncie, „Przypadki księdza Henryka” były dość rzetelną prozą. Książka została zilustrowana artystycznymi bohomasami Marka Chaczyka (słowo „bohomasz” używam specjalnie, gdyż w takim stylu rysował ilustrator).

MATEUSZ WABIK

Stefan Pastuszewski, *Przypadki księdza Henryka*, Bydgoszcz 2025

WSPOMINANIE I GESTY LITURGICZNE LALKI BARBIE

Szymon Babuchowski od lat należał do religijnego skrzydła poetyckiego roczników '70. Jego debiutancki tomik wierszy ukazał się w ramach „Biblioteki Frondy” w 2002 roku, a w styczniu 2026 roku w empikach znalazł się nowy numer „Toposu” wraz z dołączonym do niego nowym (siódmym bodajże) tomikiem wierszy poety pt. „Popiół i róż”. Mimo, że moje religijne poglądy znacznie różniły się od poglądów twórców związanych z katolickimi czasopismami jak „Fronda”, czy „Arcana”, to tomik Babuchowskiego przeczytałem ze sporym zainteresowaniem, gdyż poeta w swoich wierszach nie tylko pisał na tematy religijne, nie wcielał się w rolę kaznodziei nawracającego czytelników i zdawał relacje także ze swoich religijnych rozterek.

Jeśli chodziło o stylistykę wierszy z „Popiołu i różu” Babuchowski poruszał się kilkoma drogami. W wielu wierszach nawiązywał do tradycji polskiego wiersza regularnego, np. w „Ziarnie”, który został napisany jedenastozgłoskowcem, czasem jego wiersze przypominały lapidarne notatki dotyczące zarówno poszukiwania miłości („**pragnę pieszczot...”), jak i obserwacji natury pod wieczór („**dzień się dopala i liście...”), ale także mimo, że jego „Credo” można było odczytać jako polemikę z poezją i agnostyczną postawą Tadeusza Różewicza, to zapis niektórych jego utworów przypominał zapis słupkowy rozpropagowany w Polsce przez autora „Rovigo”.

W wierszach niereligijnych Babuchowski zastanawiał się nad swoim starzeniem się i swojego pokolenia. W wierszu „**wydawało się...” wiele ostatnich lat w ujęciu poety upłynęło bardzo szybko jakby „wydawało się/że tylko na moment/spuścił z oczu świat”, a przez ten czas „ucichło podwórko”, a koledzy postarzelisi się. A wersem „dzieci urodziły dzieci” przejawiał świadomość pokoleniową, że przedstawiciele późnych roczników '70. nie do końca uformowali się, czy też dorosli. Zmiany polityczno-społeczne w Polsce po 1989 roku, napływ kapitału ze Wschodu, a potem z Zachodu spowodowały to, że to pokolenie zaczynało poznawać literaturę od buntu i kpiny, zakorzenienia w subkulturach, eskapizmu społecznego wcześniejszego pokolenia, a kończyło na potakiwaniu profesorom, redaktorom naczelnym i innym kulturalnym decydom, gdyż musiało się wpisywać w nieswoje ramy

by przetrwać na rynku pracy, a nie powtarzać grymasy Świątlickiego jak kilku poetów z tego pokolenia

Poeta postanowił się rozstać z młodością o czym wspominał w wierszu pt. „Te rzeczy” i odrzucił rzeczy traktowane dotąd jak „skarby”, czyli „wycinki z gazet kasety plakaty/listy od dziewczyn tomiki trofea/skizce o wierszach Zbigniewa Herberta”, choć starszy o dziesięć lat od Babuchowskiego Krzysztof Varga w swoich węgierskich reportażach z „Czardasza z mangalicą” twierdził, że nic nie zastępowało tego co się wyrzucało, jak wydawało się kiedyś dla kogoś ważne. Poeta także oswajał się ze zbliżającą się śmiercią, która nie zapomniała o jego pokoleniu. Wspomnienia z dawnych lat młodości wydawały mu się nie warte celebracji, a tylko „starymi śmieciami”, choć psychoanaliza, a przede wszystkim Jacques Lacan dowartościowywała wspomnienie nie tylko dzieciństwa i traktowała je jako oznakę zdrowia psychicznego. Niestety można zrozumieć wybór poety, gdyż polski biznes, rynek pracy, a nawet kultura zapatrzone były w wiecznie teraz i niepamięć, nakazywały żyć chwilą.

Jeśli chodziło o wiersze religijne w tomiku Babuchowskiego to zauważyć można było ton deklaracyjny jak w „Credo”, przeciwstawnym do „Ciernia” Tadeusza Różewicza, który ukazał się w tomie „Rovigo” w 1969 roku, ton wątpliwy jak w wierszu „** jesteście tam...”, w którym rozmyślenia nad kwestią istnienia Boga w stylu nieco przypominającym notatkowe wiersze Jacka Podsiadły, czy awangardowe Andrzeja Niewiadomskiego, kończyły się pewnością, czy kpiarsko-sarkastyczną jak w wierszu „** moja ośmioletnia córka” napisanym słupkowo w stylu różewiczowskim o córce poety, która podczas mszy „uczyla lalkę Barbie/znaku krzyża”, a poeta lalce przekazał znak pokoju.

Wspomniany wiersz „**moja ośmioletnia córka...” klimatem różnił się bardzo od innych wierszy z motywami religijnymi i przypominał pomysł z gazety „Nie” Jerzego Urbana, czy z brytyjskiego serialu komediowego o nieporadnym, ale beztróskim Jasiu Fasoli. Poza tym symbol sztucznego człowieka w postaci lalki i manekina w polskiej kulturze był zakorzeniony od lat dzięki „Lalce” Bolesława

Prusa i „Sklepom cynamonowym” Brunona Schulza. Lalka, czy manekin symbolizowały powierzchowność, sztuczność, urzeczowienie i zniewolenie. Ten wiersz przeczytany wraz z innymi bardziej deklaracyjnymi podkopywał ich ton. Symbol lalki mógł być odczytany zarazem jako metafora jak i synekdocha ogółu wierzących w Polsce. Być może poeta w swoim wierszu chciał ukazać swoją pobożność i jego rodziny, albo pokusić się o lekki żart w kontekście religii. Jednak wiersz można odczytać wbrew intencjom poety jako utwór o zniewoleniu religią. Zresztą także „Credo” wydawało się płytkie w porównaniu do wierszy o upływie czasu, rówieśnikach poety, czy rozstaniu z młodością, ponieważ Różewicz nie tylko zwątpił po II wojnie światowej i po doświadczeniach holokaustu i Auschwitz w religię katolicką, ale w całość kultury śródziemnomorskiej oznaczającej klasycyzm, grecką filozofię, historię cywilizacji zachodniej mającej za podstawę rozwój Cesarstwa Rzymskiego, czy sprawy biblijne. Pytanie gdzie był katolicki Bóg kiedy ludzi przewożono w wagonach po to by ich uśmiercić, a ich zwłoki spalić w krematoriach, było po wojnie często zadawane i nie sądzę by się dezaktualizowało, choć nowa literatura o obozach koncentracyjnych wpisywała się raczej w zabiegi rynkowe niż mówiła coś istotnego, no bo trudno nazwać czymś ważnym rewelacje Niny Majewskiej-Brown z „Dwóch twarzy” o tym, że wielu nazistów pracujących w obozie w Oświęcimiu za hobby obrabowało sobie omiotologię, a ich żony podobno nie wiedziały co się działo z więźniami.

Wiersze sytuacyjne i filozoficzne nawiązujące do tradycyjnych wersyfikacji udawały się poecie, gdyż zabiegi związane z sylabizmem nie wychodziły na pierwszy plan wierszy i nie dekomponowały ich treści. Za to nie przekonywały wiersze o tematyce religijnej poza kilkoma wspomnianymi. Motyw lalki Barbie użyty w kontekście religii katolickiej kazał się jeszcze raz zastanowić nad podobieństwem ostatnich lat w poezji polskiej do czasów socrealizmu. Miejmy nadzieję, że życie kulturalne w Polsce nie przemieni się w sektę.

MATEUSZ WABIK

Szymon Babuchowski, *Popiół i róż*, Gdynia-Kraków 2025

PO ŚLADACH WUJKA

Wydany w 2025 roku przez Galerię Autor-
ską z Bydgoszczy tom wierszy „Póki myśl
krąży” to trudna książka w czytaniu, gdyż jej
autor Rafał Żebrowski, to nie tylko historyk,
zasłużony dla polskiej i żydowskiej kultury
pracownik naukowy, ale także siostrzeniec
Zbigniewa Herberta. I trudność w lekturze
jego tomiku polegała na tym, że dykcja
Herberta zdominowała pisanie Żebrowskie-
go i nie można było mieć podczas lektury
kolejnych jego wierszy frajdy z czytania, gdyż
zastanawiałem się nie tyle nad tematyką
kolejnych wierszy, ale nad podobieństwem
niektórych fraz i składni Żebrowskiego do
składni i fraz Herberta.

W tomiku Żebrowskiego mieliśmy tro-
chę patosu, medytacji etycznych i intelek-
tualnych rozmyślań, nawiązania do Biblii,
powściągnięte emocji, trochę ironii i sar-
kazmu. Wiersze mimo, że czasem bardziej
przegadane niż jego wujka, wydawały się
w miarę jasne, nadal broniły wartości kultury
śródziemnomorskiej, wytykały aparatczykom
komunistycznym błędy. Jednak Żebrowski
nie był ani tak precyzyjny jak Herbert, ani
tak błyskotliwy i raczej nie wychodził w swo-
ich wierszach w kierunku zwykłego czytel-
nika jak Herbert w „Panu Cogito”, ale stał
za murem słów, gdzieś bardziej w pobliżu
konserwatywnej elity, która nie poszukiwała
w poezji nowych odpowiedzi na stare py-
tania, ale kontynuacji starych odpowiedzi
na stare pytania. Poza tym poezja Herberta,

pisana w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej
była światem swoistym, niepodległym i ory-
ginalnym. Czy poeta pisał o Panu Cogito,
matce, czy o przedmiotach, sytuacji poli-
tycznej w Polsce przed 1989 roku i po, robił
to zupełnie po swojemu. Dzisiaj pisanie pod
Herberta wydawało się niepotrzebne, gdyż
nie mieliśmy cenzury i sytuację polityczną
można było opisać wprost nie sięgając po
motywy antyczne, biblijne, czy pochodzące
z dramatów Szekspira i nie wydawało się
by wyniosło-ironiczna dykcja autora „Pana
Cogito” była dzisiaj nośna, choć niepokoję
Herberta z „Rovigo” i poszukiwanie nowego
języka w „Epilogu burzy” to sprawy, wobec
których nie należało być obojętnym.

W tomiku wierszy Żebrowskiego można
było znaleźć wiersze będące bilansem ży-
cia jak np. „Utracjusz”, wiersze, w których
przewidywano niezbyt pozytywną przyszłość
dla kultury i spraw polityki naszego kraju jak
„Lepiej móc powiedzieć” z przywołaniem
poematu Juliusza Słowackiego „Poema Pia-
sta Dantyska herbu Leliwa o piekle”, czy
o sytuacji człowieka skazanego na wybór
pomiędzy dobrem i złem jak w „Sumieniu”,
albo o istocie miłości. Jednak poeta nie
dawał świadectwa współczesnym cza-
som tylko jakby zastygł w celebracji dykcji
Herberta. Być może to była zastęga jego
matki Haliny Herbert-Żebrowskiej, o której

wspominał w wierszu „Twój cień nade mną”,
a w przypisie dopowiadał, że siostra Her-
berta „pielęgnowała pamięć o poetyckich
dziełach brata”. Trudno było się wyłamać
z dykcji Herberta, komuś kto dorastał z nią
i obcował przez lata i można to zrozumieć,
jednak jako zwykły czytelnik nienależący do
kulturalnych gremiów celebrujących pisanie
pod Miłosza, czy Herberta z lektury tomiku
Żebrowskiego nic nie wyniosłem jak wtedy,
kiedy czytałem tomik Cezarego Zalewskiego
„Wyjeżdżaj w nocy”, który obecny krakowski
naukowiec napisał dykcją pod Herberta
w 95%. Mi to zupełnie nie odpowiadało,
ale tomik został nagrodzony w konkursie
„Dać świadectwo” według koteryjnego
klucza, w którym jurorzy nagradzali swo-
ich. Na pewno dla Żebrowskiego ważne
będzie wyjście z cienia poezji Herberta. I im
dalej tym lepiej i na pewno nie powinno
się zastaniać wiekiem, bo dla pisania by-
cie w podeszłym wieku to tylko zaleta. Nie
napisałem tego by zganić Żebrowskiego,
tylko pomóc w odnajdywaniu własnych
dróg twórczych, bo w dzisiejszym świecie
łatwiej o tanie pochlebstwa niż rzeczowe
wytykanie błędów.

MATEUSZ WABIK

Rafał Żebrowski, *Póki myśl krąży*, Byd-
goszcz 2025

O II WOJNIE Z PERSPEKTYWY MAŁOPOLSKIEJ WSI

Ostatnim tomikiem zmarłego przed kilku
laty poety, eseisty i krytyka muzycznego
Piotra Wierzbickiego była książka poetycka
pt. „Wiersze wojenne”. W niej to urodzony
w 1935 roku twórca postanowił ukazać jak
wyglądał czas zawieruchy wojennej z per-
spektywy dziecka będącego synem właściciela
folwarku, który go odziedziczył po ojcu.
O tematyce wierszy, opisywanym miejscu
i podmiocie lirycznym informowała krótka
proza poetycka na samym początku zbio-
ru wierszy o incipicie „***Biała Przemsa...”,
w której poeta umiejscowił wiersze zarówno
w określonym czasie i przestrzeni, a także
określił bohatera, a zarazem podmiot liryczny
– „wnuczka dziedzicowego”, czyli
chłopca wychowującego się w folwarku,
w którym żyło kilka pokoleń.

Gdzieś na wsi na Wyżynie Krakowsko-
Częstochowskiej w pobliżu Wolbromia
atak Niemiec na Polskę był odległym wy-
darzeniem, a okrucieństwo Niemców wo-
bec ludności cywilnej szczególnie Żydów,
mrocznymi opowieściami rzadko dochodzą-
cymi do uszu dziecka. Co prawda ojciec
podmiotu lirycznego rozmawiał z sąsiadami
o polityce, raz bandyci napadli na folwark,
raz rozległy się strzały żołnierzy, czy par-
tyzantów w okolicy i kule trafiły w okienni-
ce, w jednym z pokoi folwarku przez jakiś
czas przebywał ranny, rodzina martwiła się
o krewnych mieszkających w Warszawie, ale
na małopolskiej wsi wszystko biegło – mimo
wojny – swoim rytmem: jeżdżono na targ,
kupowano lepszy traktor, pasiono krowy,
zajmowano się końmi, dzieci żyły swoimi
zabawami i rozmowami, dziadek zanim
został aresztowany opowiadał dzieciom
o przyrodzie i astronomii, babcia czytała
wiersze, po świątach przyjmowano kole-
dników, przepędzano bezskutecznie gaw-
rony, przyjmowano gości, szykowano się

do żniw, a Niemiec zabrał z folwarku gęs.
Kiedy wojna kończyła się nadeszły więk-
sze zmiany w rzeczywistości niż podczas
wojny – kiedy władzę powoli przejmowali
działacze komunistyczni żona gospodarza
zarządzającego folwarkiem „podlizywała”
się bratu sprzątaczkii („Brat Heli”), gdyż był
działaczem PPR. Koniec wojny dla rodziny
opisywanej przez Wierzbickiego oznaczał li-
kwidację starego porządku, gdyż komuniści
upaństwowiali folwarki, czyli je przejmowali,
a dotychczasowych właścicieli z rodzinami
wyrzucali na bruk. Rodzina zarządzająca
folwarkiem musiała przeniesie się w asyście
żołnierzy w inne miejsce.

Na pewno tomik wierszy Wierzbickiego
miał wiele cech dzieła prozatorskiego, gdyż
poeta w swoich tekstach opisywał określo-
ne wydarzenia i dzieje rodziny właściciela
folwarku na pewnym odcinku historii. Forma
poetycka pozwoliła Wierzbickiemu jednak na
spór szkicowość i skrótowość. Wiersze miały
różne nastroje, na co średnio mógłby sobie
Wierzbicki pozwolić gdyby chciał z obranej
tematyki w „Wierszach wojennych” zrobić
np. dłuższe opowiadanie. Wojna nie znisz-
czyła folwarku, rzeczywistość przedwojenna
miała po wrześniu 1939 swoją kontynuację,
a świadomość okropieństw wojny była od-
suwana od dzieci. Wojna w opisywanej wsi
wydarzała się jedynie epizodycznie, a wiel-
kie zmiany nadeszły wraz z końcem wojny,
kiedy Polską rządząli komuniści i wprowadzali
swoje porządki na wzór tego co działo się
wcześniej w ZSRR.

Jeśli chodziło o literaturę polską dotyczą-
cą II wojny światowej mieliśmy i znakomite

reportaże dotyczące działań wojennych
(np. Melchiora Wańkowicza, czy Arkade-
go Fiedlera) jak i dzieła ukazujące koszmar
obozów koncentracyjnych (np. opowiadania
Tadeusza Borowskiego), jednak mniej uwagi
zwracali krytycy i historycy literatury na te
teksty, w których koszmarny wojenny ominął
bohaterów danych dzieł. Książkę Wierzbickiego
można rozpatrywać jako uzupełnienie
rozdziałów „Rodzinnej Europy” Czesława Mi-
łosza, w których polski noblista opisywał jak
przeżywał II wojnę światową w Warszawie, czy
też biografii Marcela Reich-Ranickiego, który
ukryty przez warszawską rodzinę nie trafił do
obozu koncentracyjnego, czy wspomnień
Kazimierza Wyki o współpracy niemieckich
urzędników i oficerów z Polakami znajdującymi
się np. na budowaniu domów, czyli takich
dzieł, które nie opisywały poległych, zamor-
dowanych, koszmarnych obozów śmierci i grozy
bombardowań, ale ukazywały przetrwanie
i codzienność pod okupacją. Mimo, że nie
sądzę by wiersze Wierzbickiego wpłynęły na
ogólną wizję II wojny światowej w polskich
podręcznikach do historii i utworach publi-
cystycznych, to sądzę, że stanowiła ciekawą
perspektywę opisu wojny, od strony wsi gdzieś
na południowym krańcu Generalnego Gu-
bernatorstwa, na którą większy wpływ miała
polityka komunistyczna niż niemiecki okupant
i pomimo tego, że część wierszy Wierzbickiego
była dosyć średnia, gdyż przypominały
przeciętne, wierszowane wspomnienia ze wsi
z czasów dzieciństwa.

MATEUSZ WABIK

Piotr Wierzbicki, *Wiersze wojenne*, War-
szawa 2022

ŚMIECI I POLITYKA

W marcu 2026 roku ukazał się w ramach „Biblioteki Toposu” kolejny tomik poetycki Mariana Lecha Bednarka pt. „Królestwo”. Autor z Czernicy w swoich sprozaizowanych wierszach często opartych na anegdocie, raczej nie starał się stworzyć nowego języka poetyckiego, kunsztownych metafor czy olśniewających metonimii, ale wychylał swoją twórczość w kierunku rzeczowości. To wychylenie czasem było na tyle skrajne, że dotykało zdarzeń z pozoru nieważnych jakby Bednarek ukazywał, że otwartość na nieważny szczegół powzięty z obserwacji okolicy było ważniejsze niż pisanie na tematy wzniosłe, ważne i poważne. Najjaskrawiej takie nieco sowizdrzalskie nastawienie do twórczości poetyckiej, gdyż zazwyczaj poeci piszący o rzeczowości i okolicach, które zamieszkiwali sortowali tematy by ustrzec się pisania o czymś małym ważnym, zaznaczyło się w wierszach o wywózce śmieci – „Śmieci 1” i „Śmieci 2”.

Oba wiersze były na tyle ciekawe, że warto było je kilka razy przeczytać. Poeta w „Śmieciach” dał upust emocjom, gdyż śmieci „za płotem” czekały ponad dwa miesiące na wywiezienie, choć jak zaznaczył nie chodziło w tym przypadku o „tąpnięcie stoły sedesy”, ale śmieci „pakowane w workach”. Dwa miesiące czekania to dużo i można było zrozumieć radość z zakończenia udręki poety, bo coś co się przedłużało w życiu codziennym, nie działało jak powinno np. kiedy butelkomat był zapchany, system komputerowy na pocztę się zawiesił, sprzedający na allegro od tygodnia nie miał czasu iść na pocztę by wysłać przesyłkę, policjanci łapali rowerzystów za pasami dla pieszych, gdzie nigdy nie stali, przedłużało się oczekiwanie na przyjęcie reklamacji przez centralę bankową po połknięciu przez wptatomat banknotu, zazwyczaj drażniło, gdyż człowiek w takich sytuacjach bywał wybitny z rytmu, czynność wykonywana automatycznie, w biegu, czy wydarzenie, które miało wydarzyć się w okamgnieniu nagle zatrzymywały przy sobie i wymuszały namysł. Poeta po doznaniu ulgi oddawał się modlitwie i oglądaniu meczu ligi hiszpańskiej w telewizji.

Podobnie w wierszu pt. „Śmieci 2” poeta wyraził radość z usunięcia resztek „spalonej szopy”. Jednak w tym drugim przypadku poeta nie zwracał uwagi na te śmieci, gdyż zajmował się pisaniem wierszy. Oba wiersze o śmieciach dlatego też zaciekały, gdyż poeta w nich opisywał współczesną Polskę, bez retuszu i cenzury. A w naszym kraju można było trafić do aresztu kiedy opisywało się wadliwą działalność służb państwowych lub lokalnych i zostać oskarżonym o sprzyjanie Putinowi. I na pewno Bednarek wykazywał się w nich odwagą poetycką. Poza tym tematyka wywożenia śmieci z rzadka się pojawiała w polskiej literaturze od czasu Tadeusza Różewicza i jego turpistycznych fascynacji. O wywózce śmieci pisał jakiś czas temu Krzysztof Varga w swoich węgierskich reportażach, choć w jego przypadku chodziło raczej o przedwczesne pozbywanie się rzeczy, które były ważne, a nie jak w wierszach Bednarka o beznadność wobec nierzetelnej działalności odpowiednich firm czy służb. Na marginesie można wspomnieć, że tematyka zaśmiecenia morza stała się przedmiotem namysłu współczesnych artystów i np. w muzeum sztuki współczesnej w Wiedniu można znaleźć grafikę Doris Gruber, na której przedstawiono wieloryba

stworzonego z odpadów wrzucanych do morza.

W wierszu pt. „Wiadomość z TV 24 listopada 2024 roku” poeta naigrywał się z mediów, które próbowały nacjonalizować rzeczowość i nakazywały Polakom zachowywanie się we wszelkich sferach życia jak Polak. Poeta ironizował, że od tej pory będzie musiał „drapać się po polsku”, „patrzeć przez okno na ogród/jak zdyscyplinowany Polak”. Takie nastawienie mediów i polityków by wzmacniać przede wszystkim cechy charakteru i zachowania uznawane za polskie wśród Polaków pojawiło się już po wejściu Polski do Unii Europejskiej. O ile w Polsce Ludowej wychowanie i zainteresowania były zazwyczaj kosmopolityczne, bo przecież komunizm był od podstaw międzynarodowy i od dziecka czytało się polską, rosyjską i radziecką literaturę, a rzeczy z Zachodu otaczało się kultem, to Unia Europejska i Europa współczesna na kulturze rejestrowała i akcentowała różnice narodowe. Nie było to dobre, kiedy prowadziło do pielęgnowania wad narodowych – pijaństwa i religijnego apartheidu, albo wkraczało zbyt daleko w sferę prywatną i wydawało się absurdalne, kiedy dzieliło czynności wykonywane przez człowieka na te w polskim stylu i na te nie w naszym. Działo jednak pozytywnie kiedy wpływało na poczucie związku z przeszłością narodu, choć trudno porównać dzisiejszą Polskę z mocarstwem Piastów, państwem

chroniącym Europę przed zalewem islamu i krajem liczącym się w Europie. Niestety rozwój ekonomiczny i przemysłowy, nastąpił w wieku, w którym Polska była podzielona pomiędzy trzy państwa i każda z tych części była czymś w rodzaju zepchniętej na marginesie niezbyt ważnej prowincji.

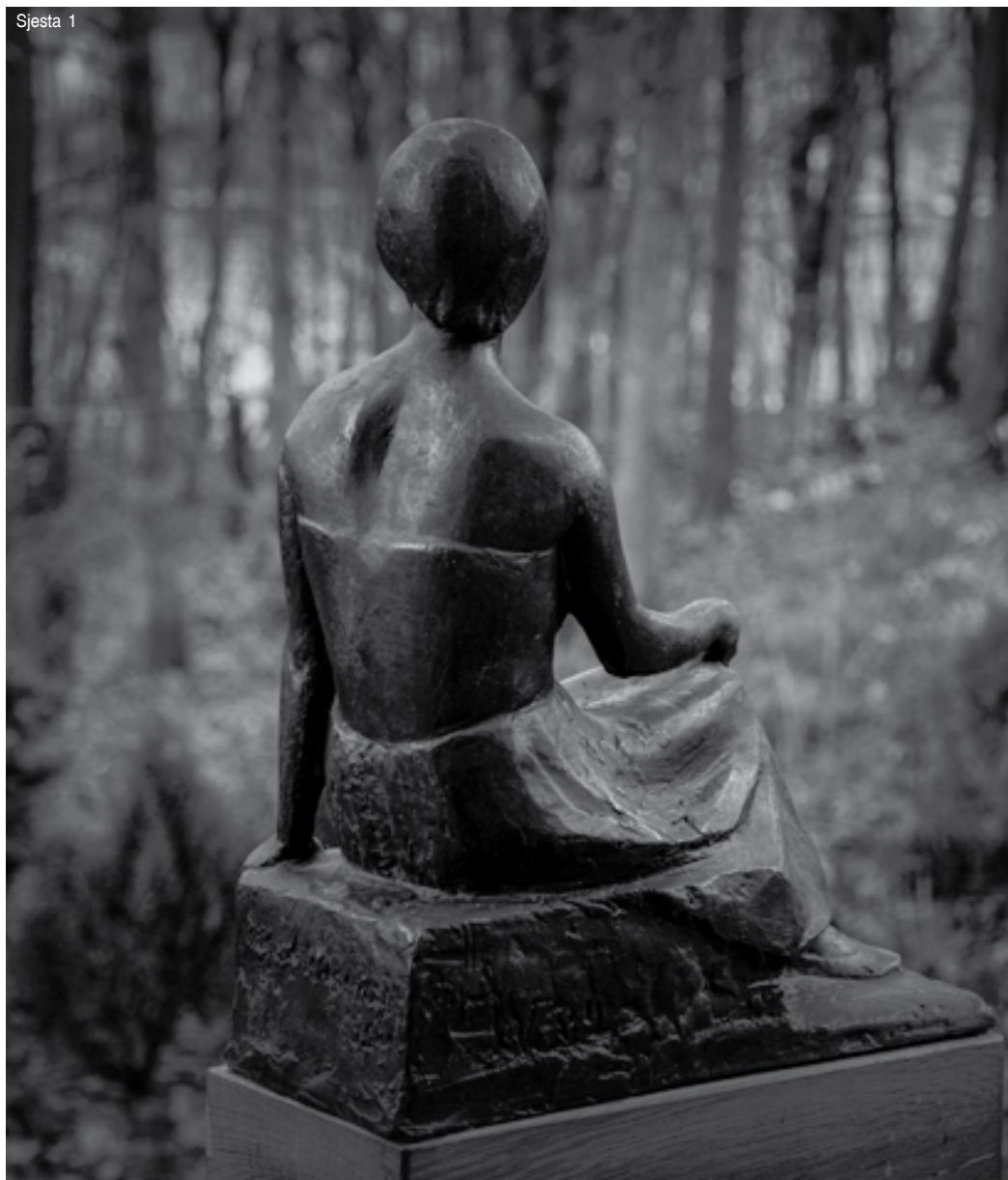
Także dosyć ciekawym wierszem z „Królestwa” był „Najnowsza poezja polska”, w którym poeta współczesną polską poezję porównywał do medialnych sensacji w tym przypadku do reportażu o matce bijącej swoją ośmioletnią córkę tłuczkiem.

Wiersze Bednarka powstawały z rozmaitych stanów emocjonalnych: rozdrażnienia, radości, zniecierpliwienia, wkurzenia raczej niż z intelektualnego namysłu nad światem do czego nas przyzwyczała poezja wybitnych poetów polskich XX wieku, czy poetów Nowej Fali. Myślę, że Bednarek nie powielając pomysłów najbardziej naburmuszonego poety polskiego naszych czasów czyli Marcina Świetlickiego pokazał, że w polskiej poezji współczesnej do tej pory intelektualnej, wirtuozerskiej, eksperymentalnej, czy kpiarskiej pozostało sporo miejsca nieopisanego – czyli emocji i odczuć związanych z życiem codziennym z ważnymi i mniej ważnymi sprawami nie tylko związanymi z polityką.

MATEUSZ WABIK

Marian Lech Bednarek, *Królestwo*, Gdynia-Kraków 2026

Sjesta 1



Patryk Nadolny

Wieczór autorski w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu w 2015 roku

Gdy wieczór poetycki miał się ku końcowi,
przewróciłem karafkę z wodą mineralną,
na tomik Wylawianie Atlantydy spadło
kilka kropel – mój debiut poetycki, byłem
na młodopoetyckiej fali i tonąłem
w zimnych głębokich wierszach uznanych autorów;
z ledwością wiosłowałem piórem, by dopłynąć
do brzegu następnego, bezludnego wiersza.

Zatopiony Patryku, z cieśniny pamięci
wypływają wspomnienia: ciekłem, ciekłem, ciekłem
i aż z ciebie uciekłem, dalej niż na Pitcairn.

Dziesięć lat temu szukałbym drugiego dna
w tym akwaticznym geście — czystym, niezawodnym,
a dzisiaj wezmę prysznic za głębię myślenia
o wodzie. W kropkach deszczu szukam Atlantydy.

Nie ma szczęścia na żądanie

Jestem w statku kosmicznym — w tramwaju, następny
przystanek jest już inną odległą planetą.

Wagony towarowe transportują smutek,
pociągi zapowiada się jak końce świata.

Niektórzy ludzie leczą połamane drogi,
chore kroki wieczornym spacerem nad rzeką.

Powracają do domów, jeśli nie do formy
i dziwią się, że chmury nie mają adresów.

Esej o mojej wewnętrznej Atlantydzie

Nurtuje mnie genialna św. Hildegarda
z Bingen, uczyła zioła dawidowych psalmów.
Muzyka nie stworzyła niczego, a tworzy
porozumienie między ciszą, a świergotem.

Hypatia nie zdołała obliczyć promienia
destrukcyjnego koła mężczyzn w Aleksandrii;
patriarchat niby czarna dziura wessał wszystkie
rozpromienione żony, córki i niewiasty,
zmienił ich położenie i się obracały
wokół mężów i ojców jak ciała niebieskie;
ślepa kuchnia, rodzenie dzieci, brudne pranie
tworzyły konstelacje dostępne dla kobiet.

Ile wynosi wynik działania: strach odjąć
ułamek szczęścia, pokój na świecie dzielony
z ośmioma miliardami homo sapiens sapiens?
Czy nie brzmi to jak próba dodania wartości
życiu, które jest wiecznym serc odejmowaniem?

Niestworzony świat

Gdzieś istnieje wspaniały świat, świat — zakazany,
gdzie liczby w nieskończoność dodają otuchy
i wiosną uszczęśliwia ruch listków na wietrze,
a sztuczne światło w nocy składa wyjaśnienia:
słońce poszło się zdrzemnąć, za jasno pracuje.

Na takim dziwnym świecie śmierć przyjdzie z daleka,
ale prędko zachwyci się życiem jak morskim
kurortem, pozna ludzi, w których się zakocha
na zabój. Gdzieś na pewno taki świat istnieje,
za sześcioma kwarkami, za siedmioma snami.
Język Atlantydy

Języku — wszystkie wiersze biorą się z milczenia
i z własnych słów wyrosną, uciekną z metafor.
Zapukaj, a otworzą tobie pustą kropkę.
Niektóre są rozbite jak namiot nomadów.

Patryk Nadolny (ur. w 1993 r.) — studiował archeologię na UAM w Poznaniu. Zdobywca nagrody grand prix w OKP o „Granitową strzałę” w Strzelinie (2014). Jego wiersze znalazły się w antologiach pokonkursowych, m.in. „Nowego Dokumentu Tekstowego” i pismach literackich: „eleWator”, „Inter”, „Kontent”, „Odra”, „Twórczość”. Ostatnio wydał tomik poetycki *Limesy* (Ostatnia Sobota Lata, 2023).

Mikołaj Bogajewicz

Anna Nowaczyńska – malarka, kolorystka. Ka Klakla – artystka wizualna. Łączy je jedno, obie są przede wszystkim czarodziejkami słowa, są poetkami.

Malarstwo Anny Nowaczyńskiej to przede wszystkim akryl oraz pastele olejne, kredka akwarelowa. Kilka jej prac stanowią kopie: Amadeo Modiglianiego, Pablo Picasso, Władysława Ślewińskiego, Marca Chagalla, Wilhelma Lundstroma, Jana Sawki. Niektóre z nich są parafrazami, widzimy zmianę oryginalnej kolorystyki, np. na kopii portretu Lundstroma bluzka przedstawionej kobiety nie jest cytrynowożółta, a żółtopomarańczowa. Wyzývająca kolorystyka pierwowzoru wydaje się nie być zgodna z temperamentem autorki, która szuka barwy dopełniającej dla błękitu spódniczki portretowanej postaci. Podobnych wariacji widzimy więcej. W swoich oryginalnych obrazach Anna Nowaczyńska również poszukuje różnorodnych rozwiązań. Z jednej strony mamy martwą naturę, wykonaną w historyzującej konwencji. Pejzaż podwodny z różowiejącą rośliną, bardzo impresyjny. Mimo zmienionej percepcji podwodnego świata, barwy nie są przyćmione, występuje pełna gama kolorystyczna – błękity, żółcienie, róż. Rośliny wyglądają jakby za chwilę miała opaść mgła, a one znajdują się w pełnym świetle, oczywiście nie słonecznym, lecz fantastycznym. Artystka nie oddaje świata na podstawie obserwacji natury. Fotografii podwodnej flory zderza ze światem własnej imaginacji. Podobny efekt mamy w przypadku pejzażu górskiego. Tylko tu oddany jest on za pomocą minimalistycznych środków. Widzimy kilka masywów górskich. Ten na pierwszym planie jest czarny, co pierwotnie zostało być może zarejestrowane przez fotografię inspirowaną artystkę jako cień, który jednak na obrazie

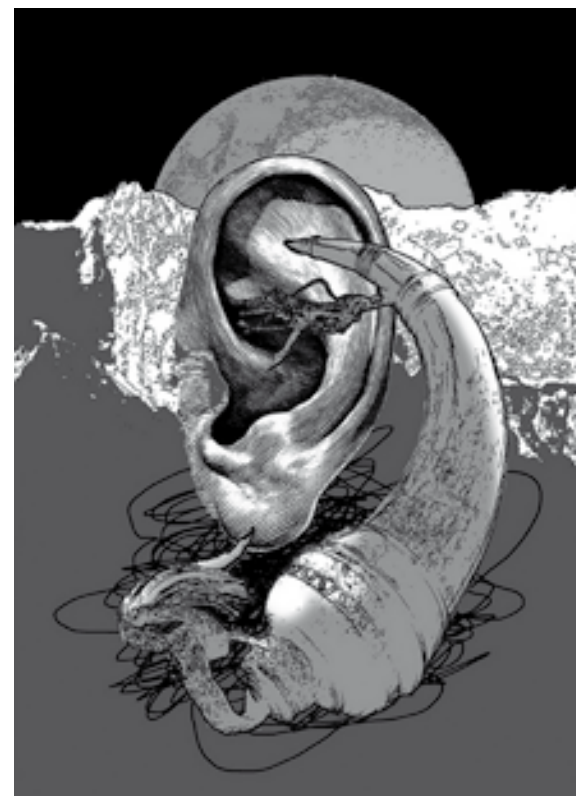


CZARODZIEJKI OBRAZU

zmienia się w kolor arbitralny, czerni, która kontrastuje z szarością i bielą masywów górskich na dalszym planie. Możemy domyślać się, że mamy do czynienia z psychologiczną lub symboliczną interpretacją optycznego zjawiska. Być może czarna góra symbolizuje kobietę, która obserwuje świat będący poza nią. Czuje się przez niego przyzywana, ale koncentruje się na sobie, na swoim bezpieczeństwie. Być może czerni – cień jest raczej kamuflażem. Wydaje się, że obraz jest otwarty na podobne interpretacje, polegające na swobodnej grze wyobraźni. Równie symboliczny i minimalistyczny w wyrazie jest portret kobiety z jaskółkami. Obraz nosi tytuł „Nieciemność”. Mamy tu do czynienia z poetyką surrealizmu. Gniazdem jaskółek są włosy kobiety zamykane na zamek błyskawiczny. Jednak ten błyskawiczny koncept nie wyraża otwarcia, wręcz przeciwnie. Włosy symbolizują odcięcie się bohaterki od tu i teraz, przejście do relacji nie z tego wymiaru, jakby kobieta znalazła się ponad uwarunkowaniami świata materii. Wrażenie tego odseparowania dopełnia zielony golf, który szczerlnie zakrywa szyję i sięga ust kobiety. Ten golf jest jakby pancerzem, oznacza, że postać się dystansuje, nie zaprasza bynajmniej do rozmowy. W centrum kompozycji są natomiast oczy, które dopowiadają resztę. Skupiony wzrok zdaje się wyrażać, że skończył się pewien etap. Być może bohaterka zdecydowała się opuścić mężczyznę, być może oznacza to innego typu pożegnanie, to kilka z możliwych interpretacji.

Kiedy Księżyc Patrzy: Śmierć, Przemoc i Głos Przodków

W przypadku prac plastycznych Ka Klakli mamy do czynienia z techniką własną. Na początku procesu twórczego jest fotografia, rysunek, czasem monotypia, następnie obróbka cyfrowa nawiązująca klimatem do litografii. Na końcu profesjonalny druk. Tak jak Anna Nowaczyńska otacza się książkami, wierzy im, czerpie z nich siłę i inspirację, tak Ka Klakla zdecydowanie nie ufa oficjalnym kronikom i opracowaniom, które proponują tradycyjny ogląd świata, zwłaszcza w jego patriarchalnej wersji. Ufa jedynie żywym podaniom, baśniom, najlepiej wprost zastyszczanym od starych kobiet, a przede wszystkim przekazowi, który pochodzi z jej rodzinnych stron. Jeśli książki, to takie, których wiarygodność może sprawdzić. Omawiane prace to cykl ponad 40 ilustracji do uniwersum powieści „Łotrzyca” i opowiadań opublikowanych w zbiorze „Czerwony Las”. Ka Klakla odwołuje się do mitologii słowiańskiej, ludowych wierzeń i sztuki. Fascynuje ją zwłaszcza poczucie łączności kultury słowiańskiej ponad oficjalnymi granicami. Te same mity, postaci można odkryć w Małopolsce, na Słowacji, w Serbii, Bułgarii i Macedonii. Widzimy na tych przedstawieniach wilkołaki, rusałki, aždachy – złowrogie duchy powietrzne znane od Podhala aż po Iran. A także odwołania do legend, choć niekoniecznie o czysto polskim pochodzeniu: ucho, złoty róg i Giewont – odniesienia do „Wesela” Wyspiańskiego, do klechdy o zaklętych ry-



cerzach. Wydaje się, że spotykamy również bohaterkę z opowiadań „Czerwony Las” i powieści „Łotrzyca” – Ketri Łotrzycę. Być może jest ona w pewnym sensie alter ego samej autorki. Wskazywać na to mogłaby

jedna z kompozycji. Widzimy na niej zdjęcie artystki w chustce. Postać ta przywdziała płytowy pancerz, a w ręku trzyma miecz. Naprzeciw niej zawisł w powietrzu smok, w tle świeci olbrzymi księżyc. Całość kompozycji przypomina fotografię umieszczoną za pośluzonym szkłem. Można dywagować czy postać Łotrzycy Ketri to żeńska odmiana Peruna walczącego ze źmijem, a w zasadzie nie walczącego, a raczej zaprzyjaźniającego się z nim. Mały smok w księżycowym jaju może być interpretowany jako zapowiedź ażdachy – wiru powietrznego porwijącego ludzi, zwierzęta i domy. Odniesień do biografii autorki lub do jej stron rodzinnych widzimy więcej. Inna praca powstała na bazie fotografii z początku XX wieku. Przedstawia, jak mówiła autorka, dwunastoletnią dziewczynę z tojadem w dłoni. Trujące ziele, zamiast twarzy – czaszka, a w tle ogromnych rozmiarów księżyc. Nie mamy tu do czynienia jedynie z kontemplacją przemijania, ale z dojmującym przestaniem społecznym. Dziewczynę nie odebrano wprawdzie wrażliwości, ale pozabawiono ją życia. Stała się rusałką, groźną boginką, mścicielką skrzywdzonych kobiet. Jeszcze bardziej dosłowny przekaz odczytujemy w kolejnej pracy – widzimy porzucone w lesie niemowlę, nad nim unosi się ćma, zmierzchnica, która w słowiańskich przekazach poluje na dusze. Na kolejnej ilustracji dwie postaci w szlacheckich kontuszach prowadzą łatwą i przyjemną pogawędkę. Dla Ka Klakli są to jednoznacznie szwarczaki. Wymiar symboliczny tych kompozycji dominuje nad doraźnym przestaniem społecznym, choć i to jest oczywiście istotne. Przekonujemy się o tym analizując jaka tematyka przeważa w tych pracach. Głównym bohaterem wydaje się sam księżyc. Najczęściej nadrzędywistej wielkości, przyćmiewający inne elementy kompozycji. Jak w pracy ukazującej wilkołaka i wronę, albo w przedstawieniu wilka-szkieletu, który wyje do ogromniejszego księżycza. Podobny widzimy w tle wizerunku złotorogiego jelenia. W folklorze słowiańskim to przewodnik i zwiastun cudownych zdarzeń. Zjawa-szkielet wydaje się bardziej realna, niż gdyby była pokazana w sposób naturalistyczny, jako silne, obleczone mięśniami zwierzę. Szczególna więź zbudowana między duchem jelenia a księżycem przenosi nas do osobliwej, surrealistycznej, czy wręcz magicznej rzeczywistości. Innym razem to księżyc zostaje podporządkowany siłom natury. Widzimy go w rozwarłej paszczy czaszki tygrysa, albo gdy wisi uwieczony w śródgórskiej dolinie.

Księżyc symbolizuje w mitologii pierwiastek kobiecy. To miesiąc, który reguluje biologiczne i globalne cykle, przyptywy i odpływy morza, śmierć i narodziny. Czy jest to odwołanie do słowiańskiej Mokoszy? Być może tak. Z pewnością lektura opowiadań i powieści autorki odśloniłaby więcej tropów, dałaby możliwość precyzyjnego rozpoznania znaczeń. Nie trzeba być jednak folklorystą, zafascynowanym nazwami, śledzeniem detali mitologicznych, aby cieszyć się tymi pracami i czytać w nich na swój sposób, niekiedy nie do końca uprawniony. Ale pamiętajmy, że świat symboli to proces, *nie* kończąca się historia. Ważniejsze w tych opowieściach jest to co nie poddaje się jednoznacznym wyjaśnieniom, co pokazać można jedynie za pomocą obrazu lub metafory.

MIKOŁAJ BOGAJEWICZ

W Łazędze Poznańskiej odbyło się 29.03.2025 roku spotkanie poetyckie czterech autorek: Ewy Olejarz, Ka Klakli, Anny Nowaczyńskiej i Wioletty Nowak. Towarzyszyła mu wystawa prac plastycznych dwóch spośród nich – Anny Nowaczyńskiej i Ka Klakli.

Spotkanie prowadził Szymon Kantorski



Anna Czyrska

POCZĄTEK

Let's start this evening, we can grow up, od czego zacząć. Zaczynam pisać tę historię. Najpierw odprawiam teatr na balkonie. Palenie wydaje się być swoistym rytuałem zapomnienia o egzystencji. Jak zacząć? Pisz, mówią mi głosy w dzieciństwie. Zostaniesz sławną pisarką.

To był cel mojego życia. Nie stać mnie na te papierosy. Tego dnia zobaczyłam ogłoszenie o pracy w pobliskiej ŻABCE. Każdy mówił do mnie, że tylko „normalna” praca uczyni ze mnie człowieka a nie lenia. Pisz, głosy w mojej głowie od dzieciństwa wierzyły, że zostanę znaną pisarką. Dostanę NIKE, NOBLA i inne nagrody. Tymczasem obserwuję kłęby dymu i dumam. Powietrze jest zanieczyszczone jak mój organizm, który martwi się. Kolejny ból, kolejny atak paniki. Pisanie to przecież nie jest normalna praca. Tylko wybrańcy żyją z pisania ale to nie ja. Co innego panie urzędniczki, które zawsze mają czas. One dostają za to pieniądze a ja nie. Mogę pisać i co z tego? Brakuje mi wywiadu w ZWIERCADLE. Albo najlepiej jakiejś dramy. To jest to, co najlepiej się sprzedaje. Dramy w Social Mediach. Pierdoły. Wychodzę z balkonu. Sprawdzam stan mojego konta. Bieda. Dobrze, że moja mama może mnie utrzymać ale to ja powinnam pomagać jej. Idę na rozmowę do

ŻABKI. Kolejka jest długa. Młodzież, emeryci, każdy szuka.

- Aplikacja jest ?- pyta kobieta z akcentem ukraińskim.

Pewnie, że jest. Moje życie też będzie tak wyglądać. Będę stać na kasie. Robić hot-dogi. Będę taka jak każdy. Ludzie będą widzieć we mnie kobietę, która sprzedaje fast-foody. Kobietę, która sprzedaje alkohol. Twórcy żabki powinni dostać Nobla. Pisowskie złoto a ja nie lubię PiS. Stare zgredy mają dobre pomysły. Być może to jednak plotka i żabkę stworzył jakiś król lewicy. Czy to istotne?

- Pani na rozmowę ?- pyta mnie właścicielka.

- Obstugiwała pani kasę?- pyta

- Nie.

- Acha.

- Nie pracowałam nigdy w sklepie.

- To co pani robiła?

Milknę, przecież nie odpowiem jej, że pisałam książki, wiersze.

- Pisałam- odparłam

Kobieta zaśmiała się mi w twarz.

- Cieszę się, że umie pani pisać. Pieniądze też. Życie to jest hajs. Dostanie pani umowę próbną.

- Jasne.

Jej pracownica Amanda podszkoliła

mnie przed otwarciem. Robienie hot-dogów, pizzy. Zarobki, dość średnie. Nie utrzymam się.

Mam wrażenie, że kiedy mówiłabym o pisaniu to tłum ludzi czekających śmiałyby się ze mnie. Po kilku dniach pracowałam tam. Niestety nie byli zadowoleni. Nie czułam się od nich lepsza a raczej gorsza, dlaczego nie mogę się usamodzielnić? Właścicielka miała męża, który był radnym z PiS, co dodatkowo przyciągało jego wyznawców. Tylko ja piszę i nie umiem zarobić kasy. Ja piszę i ludzie mają to w dupie. Pisanie nie smakuje jak alkohol, zapiekanka. Smakuje rozczarowaniem i Xanaxem. Tego dnia dostałam ataku paniki. Łyknęłam Xanax i usnęłam. Trzeba było patrzeć jak okradają Żabkę. Okradają mnie ze złudzeń rzekomo normalnej pracy. Czuję się z tym źle. Zwolnili mnie i nie dostałam nawet kasy za to. Żabka poniosła straty A poniesienie strat to jest największy dramat. Nikogo nie obchodzi, że ja poniosłam straty. Moje straty nikogo nie obchodzą. Moja walka nikogo nie obchodzi poza moimi bliskimi. Tylko oni mnie nie uratują. Znowu idę na balkon, znowu wyciągam papierosa. To ósme piętro. Dym znowu się unosi i miesza się z powietrzem.

- Idź do normalnej pracy- słyszę głosy

ANNA CZYRSKA.

Jezioro Kłodno



Rosół is calling

Na moście odbierało się sygnały z Marsa, zamiast pracować.
Kolejny chudy Kowalski rzuca mi spojrzenie w stylu piłki na wuefie:
i tak nie złapiesz. Jego oczy wypalają dziury we włosach.
A ja tu rosnę pomiędzy płytkami chodnika.
Jestem słupem reklamowym w starym stylu,
uciekam tylko w pierwszy dzień wiosny.

O 8:15 oglądałem miasto z fusów

Ten za oknem to na pewno kosmita albo duch.
Torebkę z Wonder Woman mogą mieć tylko oni.
A my lubimy sobie wróżyć, robić zacieki
termosem na sprawdzianach
z jedną poprawną odpowiedzią.
Kochać się długopisami. Podpalać
przerwę w Mordorze na minus pierwszym,
gdy graffiti głosi: „Warszawa – pany.
Miasto wszystkich obcych”.
Piętnastominutowa przerwa nigdy nie była
krótsza niż dzisiaj.

* * *

Umówmy się też, że każdy prezent jest trafiony, dopóki go nie otworzę,
a zdjęcie ładne, chyba że śmietnik wejdzie w kadr.
Czerwone ślady na koszuli są farbą akwarelową,
dopóki nie okażą się szminką
lub fragmentem czyjegoś bólu
i plama na świecie jest dopiero wtedy.
Na przykład fretki czerwone nie płaczą,
dopóki tego nie widzę, a światło na trawie jest słońcem,
dopóki nie okaże się dyskotekową kulą,
ale wolałabym wiedzieć, kiedy rozwiąże się lęk
tak jak supeł chirurgiczny zdjęty z życia po decyzji matki.
Ona nie chce już trzymać tej ręki, mimo że oko mruga
i tak, otwiera się te oczy, by nie schły,
a jednak widzisz, ja też wolałabym wiedzieć,
kiedy będzie godzina, w której wróci syn,
który patrzy od roku w jezioro od drugiej strony.
Umówmy się, że dopóki tam leży – żyje,
ale niech wróci – jako worek albo relikwia z jego długich włosów,
by w szufladach zacząć znowu układać swoje ubrania.
Najgorszy rodzaj ulgi – wyobrażać sobie ulgę.

Jan Stanisław
Smalewski

CHŁOPIĘCA CIEKAWOŚĆ

Siedmioletni Janis, który dla babci był wciąż jeszcze Januszkiem, świeżego mleka od krowy za darmo już nie pił.

Krowy w gospodarstwie pały się przy domu na łące graniczącej z sadem, która ze wszystkich stron oddzielona była okólnikiem z sosnowych żerdzi. Jedynym powierzonym mu przez ojca zadaniem było, by ich pilnował i nie pozwalał przedzierać się do sadu, gdzie w pobliżu dojrzewały owoce jabłek i gruszek. Krowy szczególną chęć zawsze przejawiały do jabłek i wcale im nie przeszkadzało, że były jeszcze kwaśne. Wiedział już od ojca, że ten smakotył traktują jak wszystko co zielone, jak trawę. I to nie tylko chodzi o to, że ściągając owoce z gałęzi czynią szkodę, ale też owoce te mogą im wyrządzić krzywdę, gdyż podobnie jak ziemniakami, czy źle pokrojonymi burakami, krowa może się nimi niebezpiecznie zadławić.

Odganiał więc je przy pomocy kija, którego nie wypuszczał z rąk także dlatego, że służył mu do zabawy. Gdy krowy oddalały się w głąb pastwiska, podbiegał do płynącego przez łąkę strumyka i mieszając nim wodę, płośmył pojawiające się w nim rybki, ciemniki i kozy.

Zabawa ta zresztą niebawem mu się znudziła, krowy najwyraźniej podjadły sobie trawy na tyle, by zaspokoić przedpołudniowy głód i napiwszy się wody ze strumienia, skierowały się do cienia pod olbrzymią rosnącą tam samotnie dziką gruszę. Mućka się położyła, a łaciata stała nieruchomo przy niej, odganiając zamasztyłymi ruchami ogona muchy, które najwyraźniej dokuczają i jednej, i drugiej.

Januszek w przeświadczeniu, że polecenie ojca wykonał, krowy w żadną szkodę już nie wejdą, wybiegł na drogę i zaczął się rozglądać. Za pasem pegerowskich pól z dojrzewającym zbożem pojawiły się sarenki, które wyszły zapewne z pobliskiego zagajnika. Nie było tam daleko więc dla czegośby nie zobaczyć, gdzie mają siedlisko? Ciekawość takiego chłopca jest zazwyczaj wyjątkowa i nie zawsze da się ją zaspokoić.

Poza tym to nie tylko krowy powinny stanowić troskę ojca, ale i syn, którego najlepiej też nie spuszczać z oczu.

Nie upłynęło więcej jak godzinę, gdy babcia powędrowała do ogrodu, niosąc w zapasce świeżo upieczone ciasteczka, które zawsze piekła dla wnuczki przy okazji wypieku chleba. Januszka tym razem przy niej nie było, w jej mniemaniu nie pojawił się od dłuższego czasu więc podchodząc do zięcia, zapytała: Kaźmirz, a gdzie Januszek?

- Na łące, krów pilnuje – odparł krótko ojciec, zajęty przygotowaniem południowego obrydaku trzody.

- Kaźmirz! Nie ma go tutaj! - Dał się słyszeć z ogrodu głos babci Cecylii.

Ojciec początkowo nie przejął się zbyt, ale widząc niepokój teściowej, która przemierzyła całe obejście, nawołując wnuka, sam włączył się do poszukiwań.

- Gdzie ten piorun mały mógł pójść? Kazałem mu siedzieć na łące razem z krowami i pilnować, by nie zrobiły szkody w sadzie...

W zagajniku sarenek nie było. Nie było ich nad stawem przy zagrodzie Szczepa-

nika, którego gospodarstwo było najdalej oddaloną na wsi zagrodą stojącą w sąsiedztwie lasu. A ten las rozciągał się od jego gospodarstwa hen daleko na zachód aż do najbliższej wsi oddalonej od Ślizowa około siedmiu kilometrów.

Siedmiolatek znał już go trochę, gdyż ojciec zabierał go czasami na wóz, wybierając się po drzewo na opał. Latem uczył syna, gdzie rosną grzyby, jak i kiedy je zbierać, a niekiedy razem z matką i jego siostrą Urszulą podwoził ich do lasu na jagody. Zbierali wtedy je razem przez większą część dnia, by potem sprzedać w Centrali Ogrodniczej.

- Poczekamy, na pewno gdzieś poszedł do któregoś z dzieciaków sąsiadów. Albo na wieś? Tylko po co? – uspakajał babcię, która zdążyła już swym niepokojem zarazić córkę Heńkę.

Matka Januszka nie była tak spokojną kobietą, jak spokojnym był jej mąż. Krzykiem przywołującym syna obiegła raz jeszcze całe gospodarstwo, a potem zaczęła pomścić. A to na chłopca, który nie posłuchał ojca, a to... na ojca, który nie do końca może rygorystycznie wyśnić mu, co ma robić przy krowach, gdy przestaną chodzić po łące i schronią się przed upałem w cieniu dzikiej gruszy.

- Już ja mu dam, jak się pojawi! Skórę mu wygarbuję! – zaczęła obiecywać głośno, co wywołało oburzenie jego babci.

- A już ci! Zaraz byś biła. Nie biłaś go dotąd i było dobrze. Pomyśl lepiej, gdzie jeszcze możemy go szukać...

Na skąpanej stońcem polanie nie było sarenek, ale za to odbywał się tam interesujący koncert. Słychać było rozchodzące się echem po lesie stukanie dzięcioła, śpiewał – pewnie kos – ale go widać nie było i dał się wyptoszyć zając. Szarak pobiegł w stronę gęstej gruszy, w którą chłopiec zapuszczał się nie zamierzając. Ale... w bok od polany odchodziła wyraźnie wydeptana przez dzikie zwierzęta ścieżka, prowadząca do strumienia płynącego w kierunku stawu starego Szczepanika.

Szczepanik był mniśliwym. On jeden we wsi miał pozwolenie na strzelbę, której zapewne bały się wszystkie żyjące tam dzikie zwierzęta.

To przed starym Szczepanikiem niedawno przestrzegał go ojciec: - Pamiętaj, nie łaz tam na łąkę tego starego kłusownika, ani nad staw, bo on z fuzji do chłopaków strzela z soli. Ty wiesz, jak to boli, jak się takim nabojem ze solą dostanie w tyłek? Chłopak od Gąsków niedawno oberwał, to przez tydzień potem tyłek w misce z wodą moczył.

Januszek nie zamierzał więc leżeć w stronę stawu, gdzie mógłby narazić się staremu kłusownikowi – jak nazywał mu ojciec. Ale ścieżka wzbudziła w nim ciekawość. Co po niej chodzi, no i... dokąd tak naprawdę ona prowadzi?

Pokonując wysokie pojedyncze kępy trawy, dotarł do pasa gęstych krzewów

leszczyń rosnących nad strumieniem. Orzechy wiszące gęsto w zwartych zielonych kiściach, ozdobionych koronkowymi brzegami koszyczków były jeszcze niedojrzałe, co mógł łatwo sprawdzić, gdyż oblepione nimi gałęzie sięgały do samej ziemi. Pod leszczynami brzeg strumyka pokrywał jedynie mech i jakieś drobno kwitnące roślinki, a dalej?.. Dalej widoczny był przepust i leśna droga. Ta sama, którą jeździli z ojcem wozem z pola, przy szosie pod lasem prowadzącej z Dziadowej Kłody do wsi.

Zadowolony ze swojego odkrycia chłopak poczuł się swobodniej i usiłując skrócić sobie ostatni odcinek leśnego ostepu wszedł na wąską, wydeptaną przez zwierzęta ścieżkę przy drodze. Muszę tutaj przyjść, jak dojrzewają orzechy – pomyślał. I w tym samym momencie poczuł przeszywający ból, obezwładniający jego ciało. Jakiś drut, jakieś paskudne żelastwo opasało mu nogi i powaliło go na ziemię.

Przerażonemu dzieciakowi udało się usiąść, ale... druciana pułapka mocno trzymała mu nogę, a kawał drutu utkwił w okolicy podbrzusza. Na jego spodniach pojawiła się krew.

- Kierski! Kierski! - niósł się z drogi krzyk leśniczego, który siedząc na bryczce, gonił konia w stronę zabudowań ojca Januszka. - Jak wy do cholery pilnujecie dzieciaka?!

Bryczka leśniczego zatrzymała się pod bramą. Gospodarz, a za nim kobiety wybiegli z podwórza, a przerażona matka zaczęła głośno lamentować: - Matko Boska! Matko Boska, panie leśniczy, co się stało?! Skąd u pana moje dziecko?

- Nie matkoboszczyć! Nie matkoboszczyć – powtarzał leśniczy - tylko, gospodyni, ratujcie dziecko!

- Co mu się stało panie Dachowski? - z trudem wydobywając głos z krtani zapytała babcia chłopca, która pierwsza podbiegła do leżącego na tylnym siedzeniu bryczki zaptakanego wnuczka.

- Skąd on się wziął sam w lesie?! - dopypywał się leśniczy. - Chłopak wpadł w siłą zastawione przez jakiegoś kłusownika. Ledwie go wypłatałem. Dobrze, że akurat przejeżdżałem tamtędy i usłyszałem jego lament. Darta się w niebogłosy, jak usłyszał moją bryczkę. Zaprzęgajcie szybko konia i trzeba go zawieźć do szpitala, bo jest pokaleczony.

- o Jezusie! O Jezusie! Zabić takiego skurwysyna, co stawia siłą na dzieci – nie mogła się uspokoić matka Januszka.

- Gdzie go pan znalazł?.. Gdzie ty żeś polazł?! Miałeś pilnować krów na łące... - Ojciec, zamiast gonić do stajni po konia, dociekał prawdy o zaginięciu chłopaka. A Januszek, zamiast odpowiadać, jedynie zanosił się szlochem.

Babcia szybko ogarnęła go swoją zaspaską i biorąc na ręce, zamierzała pójść z nim do domu, ale leśniczy powstrzymał ją. - Połóżcie go na ziemi i najpierw zobaczcie, co mu jest. Dzieciak krwawi. Spróbujcie go opatrzyć. Ma poszarpaną

skórę na nodze i ranę w kroczu. Musi jak najszybciej obejrzeć go jakiś doktor, żeby nie zrobiło się zakażenie...

- A pan by nie pojechał do szpitala z nami? - zapytała babcia, kierując wzrok na bryczkę.

- Ja i tak już dużo zrobiłem! I mam inne obowiązki, niż jechać jeszcze do Sycowa - obruszył się leśniczy. Na co matka chłopca podeszła tylko do niego i chwytając mu rękę, ucałowała jego dłoń. - Dziękuję panie Dachowski. Dziękuję.

Kobiety obejrzały chłopca i zanim jego ojciec przygotował furmankę, opatrzyły wstępnie rany zadane dziecku przez zbrodnicze narzędzie kłusownika. - Matko Boska! Matko Boska! - dało się tylko przy tym słyszeć, jak rozpacza jego matka. - Ten skurwysyn zrobił mi chyba z syna dziewczuchę. - Kaźmirz! Śpiesz się! Jedziesz z nim sam do doktora, bo to twoja wina!

- Ja sam? - Kierski był wyraźnie zaskoczony. - A kto kastruje nasze młode prosięta?! - zapytała Heńka - On ma ranę w kroczu. Ty chłop lepiej wyjaśnisz dok-

torowi, co ten zbrodniarz zrobił naszemu dziecku...

- Nie kłóćcie się! I nie wyrokuj na wyrost! - Babcia Cecylia skarciła córkę. - Ja z Kaźmierzem pojedam! - zdecydowała i tuż do siebie wnuczka owiniętego w stary koc wdrapała się na furmankę, zajmując miejsce na ławce za woźnicą. - Jedź Kaźmirz! I niech Bóg prowadzi - dorzuciła po chrześcijańsku.

Gdy zajechali pod szpital w Sycowie, Kaźmirz zaniósł poranionego chłopca do lekarskiego gabinetu. I niewiele musiał wyjaśniać lekarzowi, bo doświadczony chirurg, jakim był doktor Jakimowicz szybko sam zorientował się w sytuacji. Wypowiedziane wcześniej opinie matki Januszka, że jego ojciec zna się lepiej na prosięcych jąderekach, do niczego się nie przydały. Jedynie wbiły się w pamięć chłopca, który potem dorastając, skrycie oglądał sobie krocz i długo trwał w niepewności. Nie czy jest nadal chłopcem, czy dziewczyną, bo to po opatrzeniu ran doktor mu objaśnił, mówiąc do niego pamiętne słowa: - No

smyku, miałeś szczęście, że te sidła nie pozbawiły cię przyrodzenia. I że traficieś na mój dyżur w szpitalu.

Chłopaka trapiła w wieku dorastania tylko obawa, czy... będzie w przyszłości płodny, co kilkakrotnie w przypadkowych okolicznościach w jego obecności podważyła matka.

Doktor Jakimowicz nie był w stanie jednak bezproblemowo opatrzeć chłopca. Januszek przetrzymany został przez parę dni w szpitalu. Oczywiście nie utrwaliło mu się w pamięci nic, co dotyczyłoby opatrzenia ran, gdyż został wcześniej uśpiony, podano mu też zastrzyk przeciwko tężcowi i dopiero po podgojeniu szwów i ustaniu temperatury, oddano ponownie pod opiekę rodziny.

W niedługim czasie po ranach zadanych chłopcu przez kłusownika prawie nie było śladu. Pozostała jedynie przykra nauczka, że leśne porośnięte chaszczami ścieżki nie zawsze są bezpieczne, a samodzielne wycieczki do lasu zawsze mogą nieść jakieś zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI

Zofia Maria
Smalewska

SPECJALNA OKAZJA

Moja przyjaciółka Stefania otworzyła pomatu starą trzydziwową szafę, w której wisi ubranie jej męża. Przesunęła kilka pustych wieszaków za marynarką z naszytymi tokietnikami i wyjęta zasunięty na suwak pokrowiec na ubranie. Wewnątrz z nieodciętą metką cenową znajdował się granatowy, elegancki garnitur z wełny setki.

Pamiętam, jak kupili go razem równe trzydzieści lat temu w Domu Mody w Poznaniu. Nigdy go nie założył. Mawiał, że będzie na szczególną okazję.

Stefania lubiła, jak wyglądał elegancko. Przyjaciółki jej często zazdrościły zadbanego i pachnącego dobrymi perfumami męża.

Wyjęta pomatu garnitur i czule pogadziła rękaw marynarki. Odcięta metkę.

Dzisiaj chyba jest ten szczególny dzień - pomyślała. Spojrzała przez okno, jakby chciała się upewnić co do swojej decyzji. Zbliżyła się powoli do męża i ułożyła garnitur ostrożnie z pozostałymi rzeczami przygotowanymi na jego ostatnią daleką podróż.

Jej ukochany Karol właśnie w nocy samot-

nie w nią się wybrał - zmarł nad ranem.

Stefania ponownie stanęła przy oknie i poprawiła zaszuszoną wiązankę polnych traw i kwiatów. Dostała je od niego któregoś pięknego dnia. Jeśli jej wierzyć, zaliczyła ich niewiele.

- Zosiu - nagle się odwróciła - nie zachowuj nic na specjalne okazje, bo każdy dzień, który się przeżywa, jest tą naszą jedyną, specjalną okazją.

Te słowa zapadły mi w pamięci i niebawem zmieniły moje życie. Na nic wcześniej nie miałam czasu. Dzień był wypełniony pracą, opieką nad dziećmi, sprzątaniami i gotowaniem. Skończyłam już sześćdziesiąt lat i jak to teraz się mówi żartobliwie: plus VAT.

Przestałam szukać specjalnych okazji, aby zjeść obiad w porcelanowym serwisie i napić się wina z kryształowych kieliszków. Zakładam najlepsze ubrania, kiedy idę na zakupy do supermarketu.

Każdy dzień traktuję tak, jakby był ostatni. Spoglądam na książki, których jeszcze nie przeczytałam i zaraz wyciągam kolejną z pół-

ki, piszę nawet wiersze i oglądam telewizję, a mniej sprzątam.

Na spacer z mężem zawsze mam ochotę. Rozkoszuję się urodą okolicy bez poczucia winy, że obiad będzie spóźniony. To specjalna okazja, aby być z moim Janem w tym właśnie szczególnym dniu, który już się nie powtórzy. Moje i jego życie to ciągłość doznań, zdobywanie nowych doświadczeń, które warto razem przeżyć.

Wczoraj robiłam porządki w naszej trzydziwowej szafie i sprawdziłam, czy jak u mojej koleżanki Stefani nie ma w niej niczego, co czekałoby na jakiś szczególny dzień. Odetchnęłam z ulgą. Nie było.

Zbliżają się święta Wielkanocne - przypomniałam sobie. Z tej szczególnej okazji dzieci zapewne będą chciały zamęczyć mnie kuchnią: potrawami, wypiekami ciast, sprzątaniami, przyjmowaniem gości. O nie. To już nie dla mnie - pomyślałam. I zaraz potem wykupiłam przez Internet świąteczną wycieczkę do Pragi.

ZOFIA MARIA SMALEWSKA

Dłuższa siesta 2



Miroslaw G. Majewski

IMPRESJA Z ŁOŻA ŚMIERCI NR.2

Rok 1983

Winda kolebała się i stękała ale zawiozła cię na 10 piętro bez niespodzianek. Czasem potrafiła zatrzymać się pomiędzy piętrami niczym w filmie „Nie lubię poniedziałku”. Ale tylko czasem. Jej kolebanie się i stękanie było o niebo lepsze od awarii. Często na 10 piętro trzeba było wspinąć się po schodach, i nikt za bardzo nawet nie narzekał. Huta Katowice dawała mieszkania więc trzeba było się cieszyć że można do swego wymarzonego M-4 (w tym przypadku twoich rodziców) wejść choćby po schodach. Zadowolony że dzisiaj winda pracuje w miarę dobrze ruszyłeś długim korytarzem do mieszkania, byłeś już przy drzwiach, wyjmowałeś klucz kiedy usłyszałeś głos za swoimi plecami.

- Pan Klinicki?!

Odwróciłeś się. Przed tobą stał trzydziestoparoletni mężczyzna a za nim, w pewnej odległości, dwóch facetów.

- Tak. O co chodzi?

- Służba bezpieczeństwa, niech pan nawet nie wchodzi do mieszkania rodziców.

Pomyślałeś chwilę. Byłeś po wyroku, dwa i pół roku w zawieszeniu na cztery lata, i zdarzało się, że czasem wpadał do ciebie w odwiedziny dzielnicowy, ale żeby tajna policja.

- No wie pan, ja jestem ze służby ochrony kolei. – Mogłeś sobie to darować. Wymknęło się, mówi się trudno.

Facet uśmiechnął, machnął ci dokumentem przed nosem tak żebyś zdążył przeczytać. Był tajniakiem.

Wychodząc z windy, trzeba było pójść w lewo aby wejść na długi korytarz, pierwszym pomieszczeniem przy windach i schodach było pomieszczenie zwane wózkownią, 12, 5 metra kwadratowego, które adaptowałeś po załatwieniu wszelkich formalności na pokój.

- Mógłby pan otworzyć wózkownie. – To raczej nie było pytanie.

- Mógłby pan pokazać nakaz? – poszedłeś va banque, w sumie wszystko ci wisiato, poznałeś już smak i zapach więziennej celi.

Tym razem się nie uśmiechnął, a wręcz przeciwnie. Wyciągnął plik nakazów in blanco z pieczęcią prokuratora.

- Mam wpisać pańskie nazwisko? – zapytał niesamowicie opanowanym głosem.

- Ok, już dobrze, otwieram. Nie utrudnijmy sobie życia.

Dwóch funkcjonariuszy otwierało wszystkie szafki i wysuwało szuflady pustej meblówki, jeden z nich, bardziej gorliwy zarząca do pustej, niepodłączzonej lodówki.

- To nic osobistego, wykonujemy tylko swoją robotę – wyciągnął paczkę Marlboro w twardym kartoniku i wyciągnął rękę w twoją stronę. – Pali pan?

Kiwnąłeś potakująco głową, wyciągnąłeś papierosa, włożyłeś do ust i nachyliłeś głowę w kierunku zapalniczki. Zaciągnąłeś się głęboko jakby to miało przynieść ci ulgę.

- No to wszystkiego dobrego na nowej drodze życia.

- Dziękuję – odpowiedziałeś nieco zdi-

wiony. Ślub był zaplanowany za trzy miesiące. – To i o tym wiecie?

- Wiemy więcej o panu niż pan wie o sobie. Na dzisiaj to koniec. Do zobaczenia.

Oby nie. Pomyślałeś sobie.

Rok 2025

Pociąg zwalnia. Zastanawiasz się czy już wstać i czekać oparty o ścianę przy drzwiach wagonu, czy jeszcze posiedzieć w przedziale ukradkiem obserwując zakonnice wpatrzoną w okno za którym przelatują widoki pól, lasów, i rzadkich w tych okolicach przysiółków. Zakonnica przestaje obserwować mijany krajobraz, a wasz wzrok krzyżuje się na chwilę. Wymieniacie się grzecznościowymi uśmiechami, po czym opuszczasz oczy, a ona wraca do swojego okna. Zakładasz że być może nie obserwuje niczego, a jest raczej zatopiona we własnych myślach, medytacji, a być może modlitwie, myślaś tak, ponieważ jakiś czas temu zauważyłeś mimowolny ruch jej kształtnych ust. Przypomina ci swoją matkę z czasów, kiedy byłeś chłopcem w tym miasteczku do którego teraz wracasz sam nie wiedząc po co. Ile może mieć lat? 35? Jesteś pewien, że nie ma 40. Wzdychasz. Stukot kół na złączach szyn jest coraz wolniejszy. Wstajesz. Czujesz ból w zdrętwiałych nogach, w plecach. Za oknem wagonu coraz częściej pokazują się zabudowania, z trudem, ale jednak rozpoznajesz zabudowania ostatniej wsi przed miasteczkiem.

Panta rei..

- Na mnie już pora – meldujesz zupełnie bez potrzeby. - Do widzenia.

Zakonnica unosi wzrok.

- Na następnej stacji wysiadam – brniesz dalej. - Dziękuję za miłe towarzystwo.

- Z Panem Bogiem – uśmiecha się, i przez chwilę nie odrywa wzroku od ciebie. - Niech panu Bóg błogosławi.

- Dziękuję – odpowiadasz chwytną za laskę, która ze względu na twój stan zdrowia towarzyszy ci - Tak – nie ukrywał swojego zdziwienia.

- Proszę pamiętać, że tam dokąd pan wraca, być może już nikt pana nie pamięta. A dla tych, którzy tam są jest pan człowiekiem którego nie ma, którego nie było.

Kiwnięciem głowy dajesz znak że zgadzasz się z jej słowami, że być może wyraziła to, o czym ty bałeś się pomyśleć. Wychodzisz, zasuwaając drzwi przedziatu, krzyżuje się wzrok się po raz ostatni. Masz bolesną świadomość że nigdy więcej nie zobaczysz tej kobiety. Objijając się o ściany wagonu dochodzisz do drzwi, za oknem pojawiają się zabudowania miasteczka. Niektóre z nich rozpoznajesz, innych nie, są nowe jak ten spożywczy discount, którego nie było za twoich młodszych lat. Pociąg hamuje zbyt ostro, odnosisz wrażenie, że maszynista pewnie zapomniał że musi zatrzymać się na tej stacji. Ledwie utrzymujesz równowagę. Pociąg staje. Otwierasz drzwi. Przekładasz podróżną torbę do ręki z laską. Chwytasz mocno poręcz i schodzisz ostrożnie po dwóch stopniach na peron. Kiedy wreszcie stajesz pewnie na ziemi zauważasz że jesteś jedynym pasażerem jaki tu wysiadł.

Konduktor daje znak maszyniście aby ruszał. Pociąg rusza. Delektujesz się widokiem dworca, dworca, który za twoich czasów tętnił życiem, a teraz jest zabyty deskami w przenośni i dosłownie. Oddychasz głęboko, ten zapach nie zmienił się od lat, nadal czuć rześkość powietrza przesyconego jodem z tą specyficzną nutą impregnatu kolejowych podkładów, zapach lip, które rosną od wieków, lip, które nie zmieniają się tak szybko jak ludzie. Drzwi którymi kiedyś wychodziłeś z dworca na peron są zamknięte. Bar dworcowy jest nieczynny, wejście na poczekalnie zamurowane, nie ma nikogo z obsługi. Omijasz budynek z lewej strony. Cieszy cię widok pompy, która stała tu zawsze, ale już za twoich czasów była nieczynna, działała być może za czasów von Bismarcka założyciela tego miasteczka. Jesteś już na placu przed dworcem. Z tej strony wejście też jest nieczynne. Kiedyś na piętrze tego dworcowego budynku mieszkała jakaś kolejarska rodzina, próbujesz przypomnieć sobie jej nazwisko, ale z twoją pamięcią jest coraz gorzej. Z dworcowego placu do „centrum” miasteczka prowadzi krótka aleja otoczona z dwóch stron wspomnianymi lipami. Wdychasz głęboko powietrze, neuronów w twoim mózgu znają ten zapach. Wróciłeś. Oddychasz, idziesz krok za krokiem w kierunku pawilonu handlowego, w lewym ręku trzymasz niezbyt ciężką torbę podróżną w drugiej ręce, dzięki której walczysz ze szwankującym błędniakiem. Widzisz pierwszych ludzi, ale zdajesz sobie sprawę że spotkanie kogoś znajomego będzie graniczyło z cudem. Z jednej strony jest to twoje miasto, ale z drugiej jest to miasto całkiem obce. Na niegdysiejszym przydworcowym przystanku PKS nie ma już wiaty. Zakładasz, że ten oddział PKS nie dał sobie rady z prywatną komunikacją. To co było dobre 40 lat temu dawno odeszło do lamusa jak sam Otto von Bismarck i jego fabryka papieru w niegdysiejszym Hammerrühle, które po II wojnie światowej zamieniono na Kępice.

Odeszło do lamusa jak ty...

Dochodzisz do krzyżówki, vis a vis stoi pawilon handlowy, pamiętasz czasy jego budowy, przez jakiś czas był dla was placem zabaw. Na chwilę stajesz się dzieckiem biegającym po budowie wraz z Piotrkim i Irkiem. Jest jeszcze ten mały Andrzej z Buczka 3. Czujesz tą atmosferę dziecięcej beztroski. Biegacie po schodach to w górę to w dół. Zaglądacie do piwnicy. Zapada wieczór, robi się coraz ciemniej. Nie było tam żadnego stróża który pilnowałby placu budowy, przynajmniej do czasu gdy nie zakładano armatury sanitarnej czy instalacji elektrycznej. Budynek pawilonu ma jedno piętro, za twoich czasów na parterze po lewej stronie był stoisko z artykułami szkolnymi i papierniczymi, po prawej AGD i RTV, na piętrze odpowiedni sklep odzieżowy i pasmanteria oraz obuwniczy. W twojej pamięci ożywiają twarze personelu, ci z odzieżowego mieszkali w twoim bloku. Wzruszenie chwyta cię za gardło. Wróciłeś do miejsca którego już nie ma, a jeżeli jest, to w jakiejś szczątkowej formie. Rozglądasz się dookoła. Nie ma wielu ludzi, ci, którzy przechodzą nie zwracają na ciebie uwagi. Łapiesz się na tym, że nie wiesz co ze sobą zrobić, nie wiesz

w którą stronę pójść. Na prawo za twoich czasów zaczynała się ulica Lenina, na prawo Świerczewskiego. Po prawej stronie na samym początku stał okrągły, betonowy słup ogłoszeniowy i kiosk ruchu, nie ma ani słupa ani kiosku. Uświadamiasz sobie, że ta wyprawa była nieplanowana do końca, taka ad hoc, być może powinieneś ją bardziej przemyśleć, odszukać, na ile to było jeszcze możliwe starych znajomych, albo chociaż tych, którzy zachowali cię w swojej pamięci. Bo tych, którzy znali twoich rodziców czy dziadków dawno już nie ma, a o ile pozostał po nich jakiś ślad to na cmentarzu. Cmentarz! Tak, to dobra myśl. Zacznij swoją wędrówkę po wspomnieniach od cmentarza, a więc kierunek w lewo. Uśmiechasz się, tak to dobry pomysł. Co prawda lewa strona miasta była ci za tamtych czasów obca, mniej znana, i zawsze kojarzyła ci się z drogą na komunalny cmentarz. Skręcasz z byłą ulicą Świerczewskiego. Pojawiający

się z rzadka przechodnie traktują cię jak powietrze, tym w twoim przedziale wiekowym przypatrujesz się z baczniejszą uwagą. Niestety nie rozpoznajesz nikogo, wszystkie twarze są obce, nieznanne, przy tym dziwnie się, że cię ignorują. Trochę jesteś zaskoczony ich obojętnością, jakby na to nie patrzeć jesteś kimś obcym, kimś przyjeźdnym, a każdy przyjezdny za twoich czasów wzbudzał niezdrową ciekawość. Myślisz sobie, gdyby Kępice było jakimś nadmorskim kurortem byłoby to zrozumiałe, ale do Ustki najbliższego miasta nad morzem było prawie 50 kilometrów. Kępice było miasteczkiem zagubionym w lesie, z dala od drogi wojewódzkiej, istniało niczym osobne księstwo, żyjące swoim życiem, gdyby nie połączenie kolejowe zapewne nikt o jego istnieniu by nie wiedział, dobrze, że w ogóle ktoś je naniósł na mapę.

Rozważając to powoli zbliżasz się do cmentarza

Rok 2025

Codzienny obchód lekarski. Dziś zaszczytą was sama pani ordynator. Zamykasz laptop i odkładasz na szafkę. Leżysz na trzecim łóżku przy oknie. Panią ordynator otaczał wianuszek studentów. Coś tam gryzmolili w swoich kajetach kiedy pani ordynator pytała pacjentów jak się czują. W końcu wianuszek doszedł do twojego łóżka, pierwszy pojawił się uśmiech pani ordynator.

- Jak się pan dziś czuje panie Klinicki?
- Chujowo – odpowiadasz. – Mam pierdolonego czerniaka, więc jak mam się czuć?

Pani ordynator traci uśmiech.
Jeden ze studentów puszcza do ciebie oko hamując wybuch śmiech.

C.D.N.

MIROSLAW G. MAJEWSKI

Cezary Sikorski

Cóż po Flebasie

Cóż po Flebasie, gdy jego trup
Zasili tylko dno tych mórz,
Których nie sięga
odłamek słońca.

Nic po żeglarzu. Nawet gdy
Go oczyści ławica ryb
I razem z nią dotrze
do sutych łowisk.

Lub jeśli jego kruchy wapń
Osiądzie na pałacu z raf
I feerią barw
Fenicję wspomni.

Pamiętaj o tym. Także dziś,
Gdy nieco martwy wkładam spodnie
I znowuż tobie
za czułość płacę.

Egzamin z Pavany

wypuść z dłoni moje dłonie
i zapomnij o ich chłodzie
wtedy zimno będzie zimą
a noc tylko nocą

ból nie będzie bolał zawsze
nawet koniec ma swój koniec
kiedyś w półśnie się odwrócisz
by przestało boleć

wiersz o śmierci jest frazesem
nawet gdy ktoś przy niej stoi
mrok się cofa zaraz świta
możesz odejść

Solfeż numer 1

pierwszy raz w tej roli
milczący i spięty
leżałeś na stole
zawilgłym od chłodu

w najważniejszym miejscu
u węzłowia matka
powiedziała że znów
stawiasz bierny opór
kiedy nie chcesz pomóc
gdy ci wiąże krawat

pan w fartuchu z gumy
wciągając ci spodnie
mówił że tu trzeba
z sercem delikatnie

może właśnie wtedy
dotknąłem twej stopy
i wyznałem cicho
tak by nikt nie słyszał
że znów nam nie wyszło
porozmawiać z sobą

Cóż po Abelardzie

Myliłeś się Platonie - nigdy nie
Istniał płomień, który dałby nam
Życie cieni na ścianach jaskiń.

Są tylko ciała i części ciał,
Które czasami łączą się
W pojęcia i bolą jak miłość

lub śmierć. I była ona - cała
Z potu, krwi i wiary, w którą
Złożyłem śluby czystości.

Dziś, po twojej stronie - jestem
jak cień. Bez argumentu prawdy
W dowodzie na Astrolabiusza.

Solfeż numer 3

niczym w lustrze wody
niespokojnej rzeki
dostrzegalem w tobie
przede wszystkim siebie

gdy twój nurt przyspieszał
płynąc z gór do morza
obraz błdził w wodzie
jakbym nie był sobą

później zrozumiałem
że to nie koślawość
jaką tworzą fale
że ty tak widziałeś

mnie i we mnie siebie
bo gdy odpłynąłeś
gdy zabrakło syna

Tomasz Laczny

KRÓLEWICZ GRYZIE

W odległym królestwie żył królewicz dotknięty osobliwą kłątwą. Sparaliżowany całkowicie, z wyjątkiem ust, przykuty został do wózka inwalidzkiego. Ponoć przed śmiercią, król-ojciec, obawiając się, że jego druga żona zagarnie tron albo zgładzi młodego następcę, kazał ją ścinać. Macocha tuż przed egzekucją, patrząc na stojącego przed nią kata, rzuciła kłatwę. Królewicz miał być sparaliżowany aż do czasu, kiedy na jego ustach zostanie złożony pocałunek dziewczyny, która pokocha go takiego, jakim jest. Ta, która go wyzwoli, zostanie jego żoną i królową.

Razem z kłatwą królewicz odziedziczył niezwykłą przypadłość. Gryzł wszystkich i wszystkich, którzy znaleźli się w pobliżu jego ust.

Król, tuż przed śmiercią, powołał radę zarządców, która miała rządzić państwem w zastępstwie przeklętego królewicza.

Fakt, że królewicz gryzł, komplikował bardzo próby pocałowania go i praktycznie uniemożliwiał zdjęcie kłatwy macochy. To, rzecz jasna, było zarządcom na rękę. Po śmierci króla, spragnieni władzy, całkowicie ubezwłasnowolnili następcę tronu.

Gdy zrozumieli, jaki komercyjny potencjał kryje się w próbach pocałowania królewicza, postanowili je upublicznić. Widowisko powtarzano co miesiąc. Kłatwa przyciągała tłumy spragnionej emocji publiczności, a spektakle rychło rozstawiły kraj na cały świat. Większość zysków z przedsięwzięcia trafiała prosto do kieszeni zarządców.

Mimo niebezpieczeństwa, nie odstraszająco to wielu śmiałki przybywających zwłaszcza z zagranicy. Wzniesiono specjalny stadion, aby pomieścić widzów. Bilety osiągały zawrotne ceny. Co więcej, rozchodziły się na kilka miesięcy przed wydarzeniem. Stadion był olbrzymi, zaprojektowany przez sławnego architekta sprowadzonego z zagranicy. Luźno nawiązywał do antycznych teatrów greckich. W centrum znajdowała się podwyższona, niezbyt rozległa scena, by

widzowie mogli zbliżyć się jak najbardziej do głównego bohatera spektaklu.

Ze względów bezpieczeństwa młody król na co dzień miał usta zaklejone plastrem. Barwa opatrunku tak doskonale zlewała się ze skórą, że z daleka wyglądało, jakby królewicz w ogóle nie miał warg. Ten bezustny wizerunek natychmiast trafił do materiałów reklamowych. Podobizna przystojnego, bezustnego młodzieńca, którego trzeba było pocałować, sprzedawała się znacznie lepiej niż obraz dzikusa gryzącego kobiety usiłujące złożyć na jego ustach pocałunek.

W czasie rytualnego obrzędu powtarzał się ten sam schemat przedstawienia. Widzowie wiwatowali już w chwili, gdy rozwijano dywan przed spektaklem. Najpierw wyprowadzano królewicza. Wyjeżdżał z pomieszczenia ukrytego w podziemiach stadionu. Do centralnego miejsca, gdzie stał zazwyczaj tylko wózek inwalidzki, prowadził wąski czerwony chodnik.

Następnie z przeciwległej bramy wprowadzano kandydatki. Bywało ich tak wiele, że trzeba było dzielić pochod na dwie, a czasem nawet trzy rundy. Kobiety ustawiały się w szeregu naprzeciwko królewicza. Przed rozpoczęciem, na dany znak, składały pokłon. Potem, przy wtrąceniu pojedynczego dźwięku trąby, każda z nich podchodziła.

Wcześniej z twarzy królewicza zdejmowano ochronny plaster. Uczynić to mógł wyłącznie jego opiekun. Zaraz po tym opuszczał arenę — brzydził się krwią i nie mógł patrzeć na widowisko, które uważał za upadające.

Ponieważ przepowiednia nie wspominała nic o wieku czy statusie społecznym, w szranki stawały kobiety i stare, i młode. Te starsze, wzbudzały zazwyczaj śmiech widowni, te piękne, młode rozpałały wy-

obrażnię tłumy. To im kibicowano najgoręcej, jakby w każdej kryło się wybawienie dla królewicza.

Jednak zarządcy doskonale wiedzieli o tym, że romantyczne pocałunki nigdy nie przyciągnęłyby takich tłumów. W rzeczywistości ludzie przychodzili by zobaczyć krew.

Tylko jeden człowiek potrafił naprawdę zbliżyć się do królewicza. Był nim opiekun, który karmił go i doglądał każdego dnia. Dorastał u jego boku od dzieciństwa. Krążyła legenda, że pewnego razu znaleziono go pobitego i nieprzytomnego przy trakcie. Król zabrał chłopca na dwór i przysparzył jak własnego syna. Chłopiec i dorastający królewicz stali się nierozłączni. Gdy macocha rzuciła kłatwę, obiecał umierającemu królowi, że zaopiekuje się jego synem. Był jedynym, który mógł podejść do królewicza. Początkowo nie mógł się pogodzić z faktem, że jego przyjaciel stał się niepełnosprawny, później jednak dostrzegł w tym swoją szansę. Szansę, że będzie mógł z nim pozostać na zawsze.

Czy królewicz zachował świadomość? Tego nie dało się stwierdzić. Czasami wyglądało, jakby rozpoznawał opiekuna — pozwalał mu się karmić, choć kąsał każdego innego. Nie było jasne, czy gryzie w obronę, z rozmysłem, czy może jego umysł zapadł się już tak głęboko, że pozostały mu jedynie zwierzęce odruchy.

Opiekun spędzał przy nim całe dni. Zrezygnował całkowicie ze swojego prywatnego życia. Dwór i wszystko, co z nim związane, i dotąd wypełniały całe jego życie. Jednak teraz zmieniła się jego rola. Każdy na dworze znał nie tylko jego imię, ale składał mu pokłon należny dystyngowanemu urzędnikowi pałacowemu. Zarządcy szybko dostrzegli jego kluczową rolę. Wiedzieli, że bez niego nie będzie spektakli, które tak bardzo były im potrzebne zarówno do utrzymania władzy jak i zbijania kapitału. Przyznali mu wysoką pensję, nadali nawet tytuł szlachecki.

Zmienił się także jego obraz samego siebie. Ujrzał się w roli dworzanina. Wysoko postawionego, z przywilejami i powszechnym szacunkiem. Imponowało mu to. Jednocześnie zmienił się stosunek do samego pana. Przed rzuceniem kłatwy, choć bliski i zaufany, żył w cieniu dominującej osobowości królewicza. Teraz role się odwróciły. To on stał się osobą dominującą. Pozwalał sobie na więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy zostawali sami, bez świadków, zwracał się do królewicza po imieniu. Coś, co dawniej było nie do pomyślenia.

— Tak bardzo wszystko zmieniło się od kiedy spędzaliśmy czas na dworze twojego ojca, powiedział do niego pewnego dnia, zastanawiam się, co dzieje się w twojej głowie. I czy, jeśli kiedyś przewycięzysz tę przeklętą kłatwę, będziesz coś pamiętał z tego, co dzieje się teraz. Czy będziesz pamiętał te wszystkie nieszczęsne kobiety? To trochę żenujące. Może lepiej, abyś tego nie pamiętał, spojrzał na przystojną twarz królewicza.

— Ostatnio się nad tym zastanawiałem, mówił dalej, gładząc jego dłoń, oczywiście chciałbym, abyś odzyskał świadomość,



Jezioro Lubygość

spojrzał mu prosto w oczy, napotkał jednak tylko pustkę, byś wyzwolił się z tego przekleństwa.

Położył jego rękę na podłokietniku wózka.

— Z drugiej strony nie jestem pewien, czy naprawdę chciałbym, by to się stało.

Odwrocił się do niego plecami.

— Przede wszystkim dlatego, że straciłbym wszystko, co teraz mam. Stanowisko, poważanie, pieniądze.

Ręka królewicza zdawała się drgać.

— Ale nie tylko. Straciłbym również ciebie.

Odwrocił się.

— Zawsze byłeś najważniejszą osobą w moim życiu, wiesz?

Dotknął jego twarzy.

— Nigdy nie miałem prawdziwej rodziny. Twój ojciec zastąpił mi ojca, którego straciłem dawno temu. Ty zastąpiłeś mi...

Zamilkł na chwilę...

— ...brata, dokończył cicho.

Odgarnął kosmyk włosów z czoła królewicza.

— Chodź... przygotuję ci kąpiel. Ściągnę ci ten przeklęty plaster z twarzy. Nie mogę na to patrzeć.

— Czy ty mnie w ogóle rozumiesz? zapytał.

Z warg królewicza pociekła ślina.

— Nie wydaje mi się, mruknął, wycierając ją starannie.

— No, teraz lepiej wyglądasz. Nawet tego nie kontrolujesz. Wiesz, czasami brakuje mi naszych rozmów, twojego głosu, powiedział, dotknął jego ręki i przytulił ją do swojego policzka.

— To upokarzające, kim się stałeś.

Rozebrał go do naga. Namydlił jego ciało starannie gąbką.

— W przeszłości nie pozwoliłbyś mi się myć, zabierać do toalety, podcierać... Nigdy byś się na to nie zgodził. W pewnym sensie jesteśmy bliżej. Nie wiem, być może chodzi o fizyczność, powiedział.

Opukał tors królewicza zimną wodą. Jego usta znów poruszały się niczym wargi ryby wyciągniętej z wody.

— Lubisz, gdy cię myję, co? powiedział.

Namydlił jego uda. Robił to starannie, metodycznie. Podniósł jego stopy, wytarł dokładnie między palcami. Przesunął gąbką po goleniach, czyszcząc każdy zakamarek niczym chirurg podczas zabiegu.

Gdy skończył, splotał pianę tak, aby nie został najmniejszy ślad mydła. Uniósł królewicza. Położył go na świeżo zastanej łóżku, na brzuchu. Nasmarował jego chłopcę plecy.

— Wiesz, nigdy nie byłem tak blisko ciebie jak teraz, powiedział.

Opiekun dotknął jego pośladków.

— Teraz mogę zrobić wszystko, powiedział.

Wsunął palec pomiędzy pośladki.

— Teraz mogę, powiedział.

Zanurzył go głęboko.

Rybie usta królewicza poruszały się coraz szybciej.

*

Księżniczka znała królewicza od dzieciństwa i była w nim zakochana od zawsze. Zresztą ze wzajemnością. Jednak, macocha, dopóki żyła, nie chciała zgodzić się na ich ślub. Po rzuceniu klątwy księżniczka, ze względu na potencjalne niebezpieczeństwo długo musiała przekonywać swojego ojca, króla sąsiedniego królestwa, aby wyraził zgodę na podjęcie próby. Ojciec usiłował ją odwieść od tego pomysłu. Bezskutecznie.

Wieść o planowanym przybyciu księżniczki sprawiła, że zarządcy niezwłocznie za-



siedli do narady. Sąsiadujące królestwo było najpotężniejsze w regionie i gdyby twarz królowej została okaleczona, konsekwencje mogły być katastrofalne. Księżniczka słynęła ze swej piękności i, na dodatek, była jedyną córką króla znanego z porywczego charakteru.

Zarządcy obradowali przez kilka dni i zaproponowali królowi sąsiedniego królestwa co następuje. Dla bezpieczeństwa księżniczki zażądali wykonania specjalnej maski z otworami na oczy i usta, która osłoniłaby jej twarz. Ponadto nalegali na podpisanie traktatu o nieagresji na wypadek niepomyślnej próby pocałowania.

Król sąsiedniego królestwa po tygodniu niechętnie zgodził się na warunki, głównie pod wpływem namów córki. Z zagranicy sprowadzono mistrza, słynącego z projektowania tradycyjnych masek teatralnych. Przez miesiąc pracował nad makietami, starając się sprostać nietypowemu zleceniu. Z jednej strony maska miała chronić księżniczkę przed okaleczeniem twarzy, z drugiej, otwór na usta musiał być na tyle duży, by mogła złożyć pocałunek. Wykonano wiele testów i wreszcie udało się stworzyć coś co było majstersztykiem inżynierii a jednocześnie podkreślało majestat królewski. Maskę wykuto ze szczerzego złota, król nie szczędził na nią pieniędzy.

Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień. Księżniczka przybyła z całym orszakiem, otoczona kawalerią. Żołnierze ubrani byli na tę okazję w specjalne, jaskrawoczerwone stroje z wysokimi, futrzanymi czapkami. Dosiadali koni przystrojonych pawimi piórami. Księżniczka przyjechała w karetce wykonanej z hebanu. Miała na sobie śnieżnobiłą suknię z delikatnego muślinu. W złotej masce przypominała starożytne bóstwo.

Wyznaczonego dnia w mieście, już od rana panowała atmosfera festynu. Przygotowano na tę okazję wiele imprez towarzyszących. Tłum z niecierpliwością oczekiwał pojawienia się królewicza i jego potencjalnej wybawicielki. W licznych punktach bukmacherskich w stolicy przyjmowano zakłady. Jeszcze nigdy nikomu nie udało się pocałować królewicza, z drugiej jednak strony nikt nigdy nie próbował zrobić tego w masce. W powietrzu wyczuwano się tym razem coś więcej, aniżeli tylko żądzą sensacji. To był dzień, który mógł zmienić przyszłość nie tylko królewicza, ale i całego państwa.

Zarządcy zachowywali spokój. Siedzieli w łożu honorowej, ubrani w zielone, okolicz-

nościowe togi. Prawdopodobieństwo tego, że królowie uda się pocałować królewicza, było znikome. Przepowiednia wymagała bowiem namiętnego pocałunku kochającej istoty, a złota maska z wąskim otworem na usta praktycznie to uniemożliwiła. Istniało oczywiście pewne ryzyko, lecz wydawało się ono nieproporcjonalnie małe. Gdyby jednak doszło do okaleczenia twarzy królowej, zarządców chroniły traktaty podpisane przez króla sąsiedniego królestwa.

Zagrały trąby. Najpierw wjechał królewicz. Tym razem zamiast czerwonego rozłożono zielony chodnik. Kolor czerwony zarezerwowano dla księżniczki. Królewicza, jak zwykle, wprowadził opiekun. Młody władca miał na sobie czarny, jedwabny strój, o prostym, niemal ascetycznym kroju. Jedyną ozdobą podkreślającą jego rangę była szeroka, śnieżnobiła kryza z płótna i koronki. Blond włosy zaczesano do tyłu i lekko nażelowano. Jedynym akcentem barwnym były jego błękitne oczy. Usta, zgodnie ze zwyczajem, miał zaklejone plastrzem. Rozważano, czy to księżniczka nie powinna zdjąć go własnoręcznie, lecz uznano to za zbyt ryzykowne. Powierzono więc zadanie opiekunowi.

Królewicz został sam na scenie. Księżniczka nadeszła z przeciwnej strony. Czerwony chodnik, przeznaczony wyłącznie dla niej, rozciągał się ku podium niczym wstęga. Towarzyszyli jej po bokach dwaj żołnierze, ci sami, którzy wcześniej eskortowali jej karetę. Maszerowali w defiladowym rytmie, podnosząc wysoko nogi. W prawej dłoni każdy trzymał obnażoną szablę, skierowaną szpicem ku niebu. Ostrza błyskały w porannym świetle.

Księżniczka szła powoli, dostojnie. Jej biała suknia całkowicie zakrywała stopy, co sprawiało wrażenie, jakby płynęła po czerwonym dywanie. Zbliżyła się do sceny. Złożyła ceremonialny, niezbyt głęboki pokłon. Na chwilę się zawałota, lecz potem szybkim krokiem weszła na stopnie podium.

Ojciec księżniczki nie mógł uczestniczyć w próbie. Zatrzymały go sprawy państwowe. Zresztą córka wołała załatwić to sama.

Teraz jednak, stojąc naprzeciw królewicza, poczuła strach. Był niemal nieobecny. To, co miała przed sobą, było ciałem pozbawionym ducha, zwierzęciem potykającym powietrze rozszerzonymi ustami.

Ile teraz dałaby za to, by ojciec był obok, by mogła na niego spojrzeć. Krople spływały jej z czoła, ściekały wzdłuż nosa, zbierały się na jej ustach. Poczuła stony

smak potu. Było jej gorąco. Metal maski absorbował promienie słoneczne, nagrzewał się.

Zbliżyła się jeszcze o krok i ponownie skłoniła, co spotkało się z aplauzem tłumu. Maską ograniczyła jej widoczność. Szpary wycięte na oczy były wąskie, odsunięte od twarzy. Widziała tylko to, co miała przed sobą. By spojrzeć w bok, musiała skrócić głowę, a właściwie obrócić całym ciałem, bo maska utrudniała ruchy szyi. Obróciwszy się, dostrzegła wiwatujący tłum. W pierwszych rzędach powiewała flaga jej kraju, długa na kilkanaście metrów, trzymana nad głowami zebranych.

Widok flagi dodał jej otuchy. Odwróciła się i spojrzała na królewicza. Pomimo kalektwa był bardzo przystojnym mężczyzną. Jeśli udatoby jej się wyzłocić go z kłatwy, byłby jej. Przecież kochała go i na dodatek była dziewicą. Wystarczyło go tylko pocałować. Tak głosiła przepowiednia.

Księżniczka stanęła tuż obok wózka. Królewicz miał wzrok utkwiony w oddali, kompletnie nieobecny. Może nie było to aż tak trudne. Może nie aż tak niebezpieczne. Myśl o kobietach, które próbowały przed nią, sprawiła, że poczuła dreszcz. Ile by dała, by nie pamiętać tych wszystkich przerażających historii.

Teraz dzieliła ją od twarzy królewicza zaledwie długość wyciągniętej ręki. Tłum zamilkł. Zapadła cisza. Pochyliła się. Zbliżyła maskę do twarzy królewicza. W wąskich otworach zobaczyła błękit jego tęczy. Usłyszała oddech. Pochyliła nieco głowę. Zobaczyła poruszające się usta. Zbliżyła się jeszcze bardziej, poczuła powietrze wdmuchiwane do wnętrza maski. Rozsunęła wargi. Lekko wysunęła język. Poczowała fakturę jego ust. Śliskość zębów. Ciepłe wnętrze. Gorzki smak języka. Jego delikatność. Niemal kobiecą subtelność. Przepływającą powoli namiętność wypierającą strach.

A potem, nagle ostry, piekący ból. Ból wypetniający usta. Cofnęła się gwałtownie. Z ust królewicza spływała krew. Na złotej masce księżniczki pozostały krwawe ślady pocałunku. Wpatrywała się z niedowierzaniem na jego usta.

Szczęki królewicza poruszały się, jak gdyby coś żuła. Puste wnętrze jej ust zalała gorąca fala. Strumień wypływał ze środka. Królewicz zakrztusił się. Wypluł coś na podłogę. Księżniczka dostrzegła kawałek własnego języka, cały we krwi. Pochyliła się. Wzięta go do ręki. Ostatnim obrazem, jaki zapamiętała, był żołnierz z jej straży przybocznej pochylający się nad nią.

Księżniczkę przeniesiono do prywatnej kliniki, gdzie leczono dworskich dygnitarzy. Zwołano najlepszych lekarzy, którzy postanowili natychmiast operować. Przyszły część języka z nadzieją, że nie zostanie odrzucona. Stan księżniczki był stabilny, lecz przed zabiegiem straciła dużo krwi i była skrajnie osłabiona.

Bezwzględnie wystano postać do z wieścią do króla sąsiedniego królestwa. Zarządcy zwołali naradę. Wprowadzono stan wyjątkowy, a całą armię postawiono w stan pogotowia. Zapadła decyzja o mobilizacji, tak na wszelki wypadek. Zarządcy uchwalili, że księżniczka musi za wszelką cenę pozostać w ich rękach, do czasu aż nie wyzdrowieje. W związku z tym należy przekonać króla sąsiedniego królestwa, że księżniczka jest w ciężkim stanie i jej transport w obecnym stanie może być niebezpieczny. Dopóki księżniczka pozostawała w ich rękach, państwo było bezpieczne.

Król sąsiedniego królestwa na wieść o tym, co się zdarzyło, wpadł w szat. Początkowo zamierzał ściąć postać, szybko jednak się opanował. Wystawił swoich najlep-

szych lekarzy i specjalną karocę, którą księżniczka miała wrócić do domu. Wahał się, czy nie wyruszyć osobiście. Wiedział, że jeśli pojedzie, podejmie olbrzymie ryzyko. Jego ojcowskie uczucia zwyciężyły jednak. Księżniczka była jego jedyną córką, jej matka zmarła przy porodzie. Wyruszył następnego dnia na czele pułku lekkiej kawalerii, który zabrał ze sobą na wszelki wypadek.

Po przyjeździe natychmiast zażądał widzenia z córką. Księżniczkę wcześniej podano silne środki usypiające. Zdawało się, że jej stan jest poważny. Gdy wszedł do jej komnaty, natychmiast kazał przenieść córkę do karocy. Zarządcy, czekający przed drzwiami, przekonywali go jednak, że bezpieczniej będzie zaczekać, dopóki nie odzyska sił potrzebnych do podróży. Król początkowo nie chciał się zgodzić, lecz za namową przekupionych lekarzy uległ.

Jeszcze tej nocy przyszło mu zapłacić za swoją słaść, za ojcowską miłość do jedynej córki. Pułk eskortujący króla został otoczony. Po krótkiej walce wszystkich żołnierzy wzięto do niewoli, a króla uwięziono i ścięto.

Zarządcy natychmiast rozkazali rozpoczęcie inwazji na sąsiednie królestwo. Tej samej nocy armia wyruszyła, następnego wieczoru dotarła do granicy, a po czterech dniach marszu stanęła pod stolicą. Miasto poddało się w ciągu kilku godzin, a całe królestwo przeszło pod władzę zarządców.

*

Tego wieczoru ciało królewicza ponownie znalazło się w rękach opiekuna.

— Wiesz, byłem trochę zazdrosny, kiedy ona cię pocałowała, wyznał mężczyzna, unosząc królewicza z balii i układając w pościeli.

— Wyobraź sobie panie, że gdyby ona rzeczywiście cię pocałowała, mógłbym to wszystko stracić, dodał, masując jego plecy i rozprowadzając ciepłą oliwę.

— Na szczęście jej na to nie pozwoliłeś, panie. Jestem ci za to ogromnie wdzięczny. Chciałbym ci się dzisiaj odwdziżyć za to wszystko, co dla mnie do tej pory zrobiłeś, panie, powiedział.

Wypowiadając te słowa ukląkł. Wziął w dłonie penis królewicza i ssął go, aż ten stwardniał w jego ustach. Po chwili doprowadził go do szczytowania i położył się obok. Dotknął jego twarzy.

— Czy podobało ci się, panie? zapytał i delikatnie musnął jego wargę.

— Podobało ci się? dodał i pocałował go.

Pocałunek był długi i namiętny.

Królewicz drgnął, a jego oczy, dotąd nieobecne, nagle stały się przytomne. Pa-

trzymał na twarzy opiekuna, który nie zauważył tej zmiany i całował go z zamkniętymi oczami. Gdy królewicz wreszcie uświadomił sobie, w jakiej sytuacji się znajduje, gwałtownie odepchnął opiekuna.

— Co robisz? krzyknął.

Opiekun nie mógł wydobyć z siebie słowa. Królewicz rozejrzawszy się dookoła półprzytomnym wzrokiem, spojrzał na swoje nagie ciało i zobaczył ślady nasienia na skórze. Momentalnie zrozumiał sytuację, w jakiej się znalazł.

— Ty... mówisz, panie... powiedział opiekun, na wpół przerażony, na wpół nierozumiejący całej sytuacji. — Jak to się...

Nie dokończył, bo królewicz, unosząc się na rękach, wymierzył mu siarczasty policzek.

— Ja... powiedział opiekun, zastaniając się.

Królewicz ponownie uderzył go. Tym razem mocniej.

Oniemiał opiekun nie mógł się ruszyć.

— Ja... ja nie rozumiem... wyszeptał.

— Ja natomiast świetnie rozumiem, powiedział królewicz suchym, nienawyktym do mówienia głosem, nie przestając bić go pięściami po twarzy.

Bił tak długo, aż opiekun stracił przytomność. Jego krwawa twarz była niemal nie do rozpoznania. Królewicz, widząc, że tamten przestał reagować, wstał i rozejrzawszy się po pokoju, jakby czegoś szukał. Podszedł do okna, zerwał wiszący tam sznur do zasłon i wrócił do leżącego. Nagi, okrzykiem usiadł na nieprzytomnym, obwiązał sznur wokół szyi i zacisnął.

To spowodowało, że opiekun odzyskał przytomność. Szarpał za ręce królewicza, próbując oswobodzić się ze sznura, jednak bezskutecznie. Królewicz patrzył, jak opiekun powoli tracił siłę, ruchy stawały się coraz słabsze, aż wreszcie poczuł konwulsyjny ruch jego nóg. Potem ciało opiekuna zeszywniało. Królewicz jeszcze przez chwilę trzymał zacisnięty sznur, potem zwolnił uścisk. Wstał, nachylił się, sprawdził, czy już po wszystkim.

Stanął i splunął.

— Podobało mi się, powiedział jeszcze przez zacisnięte zęby.

Nagi wyszedł na korytarz.

*

Księżniczka otworzyła oczy. Stał przed nią tak jak wyobrażała go sobie w najskrytszych marzeniach, całkowicie nagi. Na jego twarzy dostrzegła ślady świeżej krwi. Pochylił się nad nią, patrzył jej prosto w oczy. Przerażona, chciała krzyknąć, ale jej krzyk nie mógł się wydostać z ust zaklejonych plastrem.

TOMASZ LACZYŃSKI

Jeziro Ostrzyckie



W numerze prezentuje
prace fotograficzne
Wojsław Brydak



gazeta literacka

Migotania

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 2 (91) 2026

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Z-ca red. naczelnego: **Roman Warszawski**
(Gdynia),

Redaktorzy: **Maria Jenjys-Borelowska**
(Warszawa),

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój),
Małgorzata Dorna (Wendrychowska),
(Piła - Sopot)

Zdzisław Drzewiecki (Biały Bór)

Stale współpracują:

Anna Frajlch (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Dariusz Pawlicki (Wrocław)

Grzegorz Bazylak (Gdańsk)

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Kryszyna Śmiechowicz (Łódź),

Urszula M. Benka,

Andrzej Walter,

Mateusz Wabik,

Jerzy Lengauer,

Marian Lech Bednarek

Andrzej Wołosewicz

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Dział tekstów, redakcja i korekta:
Agata Foltyn

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy
autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltex Artur Rakowski

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
tel. 601-840-302

joa@migotania.pl, joalike@gmail.com

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów
nie zamówionych. Staramy się odpowiadać
na propozycje tekstowe, ale nie zawsze mo-
żemy to zagwarantować. W korespondencji
z Redakcją prosimy używać przede wszystkim
adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy
o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

**Zasady współpracy z autorami
w Gazecie Literackiej „Migotania”:**

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę, na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
 - autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
 - autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
 - autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie praw spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
 - autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 601-840-302 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Rzeszów, Aleja pod Kasztanami





Podą
Katarzyna Korczak

RODZINNE REMINISCENCJE DWIEŚCIE CZTERNAŚCIE LAT
PÓŹNIEJ

CZESŁAW MONIUSZKO. ROK 1812. POEMAT

(...)Należę do pokolenia wymierającego gatunku i sądzę, że literaturze najlepiej służy pradawna wiara, odwieczna nadzieja i złudzenia. Pisarz nigdy nie powinien porzucić mowy swych przodków i zrezygnować ze wszystkich jej skarbów. Literatura musi zmagać się z przeszłością, nie zaś kierować w przyszłość. Musi opisywać zdarzenia, a nie analizować idee; jej przedmiotem jest to, co jednostkowe, a nie to, co zbiorowe. Musi być sztuką, a nie udawać, że jest nauką. (...)

Isaac Bashevis Singer, Żjawa (Od autora)

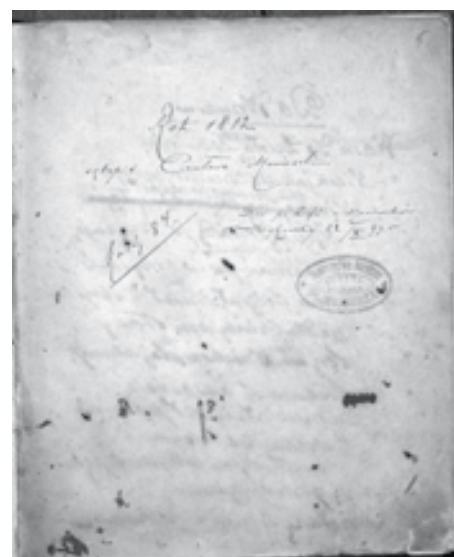
O udziale Czesława Moniuszki - przyszłego ojca Stanisława Moniuszki, twórcy polskiej opery narodowej (naszego pra, pra, pra dziadka po kądzieli) - w kampanii napoleońskiej przetrwały ustne szczątkowe przekazy. Babcia Halina, córka Aleksandry, z domu Moniuszko, Jaroszewicz (młodzieńcze lata babci przypadły na czas zaborów, przetrwała z rodziną, w tym naszą mamą, Powstanie Warszawskie), wychowana w duchu romantycznego patriotyzmu, traktowała ten fakt jako ważny element historii rodu, wpisany w dzieje - czekającej na wyzwolenie - Ojczyzny. Nie przypominam sobie, abyśmy się zastanawiali, jakie spotykały go w czasie wojny losy. Czesław przeżył. Gdyby zginął, nie urodził by się Stanisław. Opery *Halka* czy *Straszny Dwór* by nie powstały. Nie było by i nas. O tym, co w albumach, zapiskach i opowieściach rodzinnych do naszego pokolenia przetrwało, przekazałam w tekście „Było nam dobrze dopóki mamusia żyła” cz. I i II - „Migotania” nr 3 (84) i nr 4 (85) 2024. Że Czesław Moniuszko, kronikarz życia codziennego, napisał *Rok 1812. Poemat*, nie wiedzieliśmy. Rękopis, opatrzony rysunkami autora, przetrwał w zbiorach Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego im. Stanisława Moniuszki. Zeszyt opracowano i udostępniono w Internecie. Z treścią dzieła, adresowanego do wnuków, zapoznałam się stosunkowo niedawno. Reprezentanci poprzednich pokoleń z tej gałęzi mojej rodziny wtedy już nie żyli.



Czesław Moniuszko
1790-1870

Poetyckie me talenta
Musiał wiązać w rymów pęta.
Jeśli będą gdzieś splątane
Przebaczą Wnuki kochane
Czesławowi Dziadulowi.

1. Śpiewać czyni Bohatera
Do pisania kto zabiera
Czy historyk czy Poeta
niech podsyca ta podnieta.
2. By nie ludzi świat baśniami,
a nie nudzić scen waśniami
Lecz przedstawić rzecz rzetelną
Prawdę czystą mężów dzielną.



3. Nie wzywajmy Dawnych Bogów
z Piorunami z Diabłem Rogów
co tam zdobią Illiada
w naszych czasach będzie wada.
4. Choć byłaby chęć ma szczerza
naśladować styl Homera
ale na co to się przyda
w cudzych piórach Ptak źle wyda.
5. Nie mam siły z nim się równać
Jeśli może coś mnie udać
Kilka wierszy z Dziejów sklecić
Więc nie chcecie mnie zaprzeczyć
6. Bom przedstawił com oglądał
Co Napoleon działać żądał,
w Ruskim kraju w Jednym Roku,
w tak olbrzymim Wojska kroku.

PRZEBACZĄ WNUKI KOCHANE...

Do Wnuków
Wam to dzieło dedykuję
Niech jak kto chce krytykuje.
Tak pięknie to wydaję,
Szczerą prawdę ja wyznaję.
Po co kłamać, po co zmyślać,
Jam co widział chciał tu skryślać.
Nie dla chluby ani sławy
Lecz dla mych wnuków zabawy
By ciekawość zaspokoić
Tu musiałem sił podwoić.



7. Patrz na kartę Europy,
a gdy pójdziesz za nim w tropy
Wnet zadziwią Jego Czyny
Jakie odniósł On wawrzyny.
8. Wszystkie prawie państw stolice
Ozdabiały laurem lice
Napoleon Bonaparta
Czynów jego głośna karta.
9. Pobił Niemcy, Włochy, Prusy,
Zajął Polskę, zgromił Rusy.
Dawniej Egipt Czyny Wsławił
Już Hiszpanów nawet dławił.
10. Braci, Szwagrów Królmi robił
I Cesarską skroń swą zdoził.
Króle obce mu kłaniali
I rozkazom hołdowali.
11. Nie mógł tylko upokorzyć
Brytan zawsze musiał srożyć
Anglik wszystkich nie raz burzył
Europę całą zdurzył
12. Aby jego nie słuchali
Bo na morzu panowali.
On chciał władzę ich ukrócić
Ciężkie jarzmo Anglów zrzucić.
13. Już narody hołdowały
kontyngense pewne dały
aby Rosyję też przymusić
Chciał potęgę w gnieździe zdusić
14. Jaką miała na północy
Zawsze mając Polskę w mocy.
Rosyja sama nie wiedziała
Jakie wewnątrz siły miała.
15. *One sploty laury, wieńce,
mróz, głód wierni sprzymierzeńce,
nastawiły chciwe paszcze
Które wojska wszystkie splaszce.*
16. *Cesarz Aleksander pierwszy
Był dla niego jak najszczęsniejszy
Lecz Anglicy pokłócili
Dwóch monarchów tak zwaśnili*
17. *Iż zawziętą w(sz)czeli wojnę
Stawiać wojska liczne zbrojne
Przeciw siłom całej Rosyji,
która kłęski ciężkie znosi.*

18. *Sześć kroć Wojska tu różnego
szło do brzegu Niemnowego,
wkrótce Litwa, Polska cała
Napoleona ujrzala.*
19. *Z Wojskiem Franków liczne krocie
a Rosyjskie w swym odwrocie
Znikły jakby śnieg marcowy
w ciągu lata już połowy.*
20. *Kowno, Grodno i Białystok
Kraj nad Niemnem, Bugiem wszystkich
Przeszedł do Napoleona
Sam w Wileńską ruszył stronę.*
21. *A w przeciągu dwóch tygodni
Jakby Płomień tej pochodni
Gdzie się tylko On obróci
Ogniem mieczem kraj wyróci.*
22. *Bo te Wojska różnorodne
Rozpuszczone, często głodne,
napadali na mieszkańców*

Ci, żałując już wygnańców,
23. Nie dawali im pomocy
Ulegając sił przemocy.
Wszyscy jakby w osłupieniu
nie myśleli odrodzenia.
24. Wilno, Litwy już stolica,
Jak przed ślubem ta Dziewica,
Sama nie wie jak radować
swoją rumieniec rada schować.
25. Bo przed chwilą tańcowała
i w Zakręcie Balowała
któż Pochwali - dla Moskali.
26. Aleksander zbałamucił,
kiedy Litwę raptem rzucił,
Swemu Polski Rywalowi,
Temuż Napoleonowi.
27. Płyną Wojska w pogoń dalej,
Gdzie Rosyjskie zatrzymali,
Już pod Kleckiem i pod Mirem
Kręcili się za nim Wirem
28. Jak wąż w lasach się wywija
Gdzie ukąsi, jad odkryje.
Tak się bili Rosyjanie
Jakby przed tym ci poganie
29. Uciekali w swoją drogę
Kraj oddając Woli Boga,
lecz Francuzom nie tak wiodło,
Choć Wolności nieśli godło.
30. Nieprzyjaciół popychali
wszędzie gwałtem zabierali
Jak kto może – konie, zboże.

JULIJ 26 R(OK)U. 1812. ROZDZIAŁ II

31. *Wszedł do Mińska Xiążę Dawust
Karność w wojsku miał on gust,
Więc powściągwał ich marszałek
Nie żałując kul tych galek.*

32. *Tych rozstrzelał maruderów,
Podprefektów czy to Merów.
Wszędzie rychło sam ustalał
Niż się z Mińska toż oddalał.*
33. *Byłem jemu przedstawiony
Jak ochotnik do obrony
Gotów znosić trudy, blizny,
opłakanej mej Ojczyzny.*
34. *Wspomnieć na to teraz miło,
Gdy z nas wielu odmówiło.
Jam od razu pierwszy zgodził,
Bym Ojczyznę mą odrodził
w Francuskiej służbie,
z niemi podrużbie.*

35. *I tak byłem zapalony,
sam nie wiedział w jakie strony
Los mnie ślepy poprowadzi,
Tromby sławy słuchać radzi.*
36. *Pożegnawszy więc z Rodziną
Rzucam strzelby y pierzynę.
Siadam na koń z mym ryszunkiem,
z małym Rublów też ładunkiem.*
37. *Osi(e)mdziesiąt tylko dano,
Bo ich w domu już nie miano.
Bądźcie zdrowi, droga Matko,
Raz ostatni żegnam z Babką,*
38. *Która dzieckiem hodowała
Mnie najbardziej żalowała.
Bracia, siostry, też kochani,
w różne strony rozsypani.*
39. *Z Dwuma tylko pożegnałem,
Już ich więcej nie widziałem,
Bo mnie w drogę zachwycono,
Na Rycerskie wzięto łono.*
40. *Już tam było, mniejsza o to,
Czy to upał, czy to błoto.*



*Każden lezie w przeznaczenie
i ja mego nie odmienię.*

41. *Już pod Śmiłowiczami
Spotkał się z Kirasyerami,
Stary Valans im dowodził,
Gdy na czele ich przewodził.*
42. *Widzi we mnie chęć gotową,
Choć z Francuską słabą mową
Rad przebaczać moje błędy,
Bierze z sobą do gawędy.*
43. *Wnet przyrzeka mi opiekę,
Trudno poznać zrazu czelka
Ale Pan Bóg tak oszczędził
By On losem mym rozrządził.*
44. *Jam od niego brał rozkazy,
Musiał słuchać bez urazy.
Jadł, pił z nim przy Jego stole,
Generała spełniał wolę.*
45. *Odtąd służba rozpoczęła
Chęć do sławy rychło wzięła,
nie zrażony człek trudami,
Codziennemi też marszami.*
46. *W dzień i w nocy tak spieszyli,
Aby Rosjan uprzedzili
Koło miasta Mohilewa
Gdzie Chorągiew ich powiewa*
47. *Tych Francuskich Batalionów,
Z których legło dwa szwadronów,
w niespodzianym tam spotkaniu,
Bagraciona tych przebraniu*
48. *Pokryjomo Dniepr za Dźwinę
Gdzie nadzieja z nim jedyna
Połączenia prawie zgasa.
Odgłos Harmat dały hasła*
49. *Spieszym rychło do Bychowa,
Zapalona moja głowa,
Rada widzieć plac potyczki
kolo Sultanowki rzeczki.*
50. *Im się bliżej my zbliżali
Wojska Franków spieszniej wali.
Tentent koni, brzęk orężów,
w Tchórze nawet strach zwycięża*
51. *Choć harmatne lecą strzały,
mniej ja one byłem dbały
Zręcznie zniemi się wywijal
I zająca z strachu mijał.*
52. *Kula blisko przeleciała,
nad głową gałąź urwała
Ale dzięki Opatrzności,*

- Cieszyłem się już z radości*
53. *Żem skosztował tego chleba,
Bo każdemu zjeść potrzeba
Kto chce zostać tym żołnierzem,
By go zwano już Rycerzem*
54. *Dzień się skończył na wygranej
Co ponieśli ciężkie rany
Serce może przeszył żalem,
Lecz to młodych jest zwyczajem*
55. *Puki z wojną nie oswoją,
Krwi lękają, strzałów boją.
Po tym wkrótce tak przywykli,
strach i bojaźń wstrentem znikli*
56. *I na trupa tak patrzali,
że śmierć z głowy już wygnali.
Tak to było co dzień z nami,
Gdy ciskano kul gradami.*
57. *Rosyjanie poszli dalej,
my w Mohilew znów wracali.
Tam z Dawustem gdy spotkałem
Śmielej w oczy mu patrzałem.*
58. *Bom już sławy w ten czas dożył,
Rad że mundur szlify włożył.
I powąchał choć po trochu
na potyczce dymu z prochu.*
59. *Po raz pierwszy z pola chwały,
Polskie Wojska nas witały;
Korpus cały z nami złączył,
Pot kroplami krwawy sączył.*
60. *I na próżno tu spieszyli
Rosyan z Litwy wypuścili
Za co księżę Poniatowski
Smutne cierpiał tam wymówki.*
61. *Lecz to była ta przyczyna,
Zła komenda Hieronima,
któren wkrótce odprawiony.
Król pojechał w swoje strony*
62. *Gdyby Józeff nim przewodził
Tenby Rosyi wiele szkodził.
Już za późno mu oddano
Gdy zpod Grodna uciekano*
63. *Trudno często w lasach gonić,
Trzeba było zdrady chronić.
Bo Bagracion, choć uciekał,
Z Kozakami złowić czekał.*
64. *Nieraz w Boru lub we Dworze
Wojska nasze już zwichrzono
Pod Orszańską poszły stronę
I złączyły z armią spolem*

- Co kręciły wielkim kołem*
65. *Aż od Wilna do Witebska,
Gdzie już sprawa nasza kiepska.
Dawno niesie to przysłowie
w staroświeckiej Polskiej mowie,*
66. *Które w Trzysta lat sprawdziło
Co Litwinom się zdarzyło.
Sam Napoleon by zatrzymał
I w Witebsku choć zadrzymał.*
67. *Może przyszło do ugody,
Zgodziły się też narody.
Tyle krwi by nie przelano,
Kraj po Dźwinę by oddano.*
68. *Nie mógł tego wyrachować
Że Bóg Polskę chciał ratować,
niechciał zguby Rosyanina,
Ta nieszczęścia jest przyczyna*
69. *Spadła na Napoleona
Że w Moskiewską poszedł stronę.
Wojska były pod Krasnami
Z temi i kirasyerami*
70. *Jam wysłany w bok na zwiady,
Ledwo sobie mógł dać rady,
Byłem wkoło otoczony,
Mając mało do obrony.*
71. *Przeciwności zwyciężyłem
I z tryumfem powróciłem,
wiodąc z sobą zbiegów jeńce,
Zaczął zbierać laurów wieńce.*
72. *Mój generał mnie przedstawił,
Żem się walnie tutaj sprawił,
Za Oyczyzny mej obronę,
Obietnicą pochwalono.*
73. *Tu w południe Bój zaczęto,
Krasne Szturmem rychło wzięto,
a nazajutrz, bardzo rano,
Napoleona spotkano.*
74. *Plac objeżdżał boju konno,
Imieniny obchodzono.
Tak raz pierwszy Go ujrzałem,
Aż z radości serca drżałem.*
75. *Oku swemu ledwo wierzył,
co po świecie sławę szerzył,
Toż przedemną kilka kroków
Stał przed ogniem [z] ręką w boki.*
76. *Z Napoleonem się przywitał,
Kilka dawał mu zapytań.
Vivat Cesarz tu krzyczano
I sto razy z harmat dano.*
77. *Napoleon toż radował,
Że tak wiele dokazował,
Bo pod Smoleńsk się podbierał,
Resztę Polski już wydzieriał,*
78. *Którą Ruscy tak trzymali,
Że mu darmo nie oddali.
Odgłos harmat z tej fortecy
wejść do środka już nam przeczy.*
79. *Lecz ją wkoło otoczono
wziąć szturmem postanowiono.
Kto był świadkiem tej wyprawy*
80. *I gorącej w boju sprawy,
Ten okropny stan przedstawi,
Jeśli myślę, niech poprawi.*
81. *Ile legło tam tysięcy,*





SYLWA ↓



99. Co nagrody wydzierali
 W rejteradzie przepadali
 Meliery i Zadery.
 100. Z niemi razem me ordery
 Daiąc wieczne odpocznienie
 Kończyć będą wybawienie.
 101. W tej wyprawie niezabawie
 Rosjanie uciekając
 Poszli dalej odpór dając,
 a my silnie nacierali,
 nie raz po skórze dostali.
 102. Murat odtąd zawsze w przedzie,
 swoje hufce spiesznie wiedzie,
 nieraz Dawust narażony,
 stawać musiał do obrony.
 103. Jak pod Wiaźmo się spotkali,
 Ledwo odpór my im dali.
 D'Ecmil z królem się kłócili
 kilka godzin też się bili.
 (*) Przepisek:
 Klótnie Murata z Davustem
 dotąd tkwią w mej pamięci,
 które słyshałem
 kilkakrotnie. Murat nazwał
 marszałka żółwiem.
 Odpowiedział Dawust:
 tak, tak, nie mogę zdążyć z konikami polnemi.
 104. Wojska Franków z Rosjanami
 Zostawiają nas Panami
 Miał wsi y całego kraju
 Rejterady tej zwyczajui.
 105. Gdy pod Gżackiem też spotkali,
 Długo placu nie dotrwali,
 Aż pod Możajsk się zbliżyli,
 Całą siłą się bronili.
 106. Tu przystąpić mam do dzieła,
 Siła Franków górę wzięła.
 Dnia piątego miesiąc września,
 przyszli wieczór dosyć wczesnie.
 107. Pod ten Wielką Baterię,
 którą ogniem w nocy kryję,
 Obóz stanął nasz w kwadraty,
 Niespodziane znosim straty.
 108. W swym zapędzie tu Moskale
 Już nie myślą o swej chwale.

*Co spłonęło ogniem więcej
 Gdy zaczęto bombardować
 i ze wszystkich stron szturmować.*
 82. Staroświeckie stoją mury,
 nie tak łatwo łamać z góry.
 Byłem świadkiem wielkiej sceny,
 Pisać można smutne treny
 83. Jak Polacy zapaleni
 wziąć już Smoleńsk upragnieni
 Dziesięć tysięcy tu stracili,
 Aby chwałą się okryli
 84. Jaką z dawna Polak słyhał,
 gdy z ochotą za kraj ginął.
*Tu Grabowski dług wypłacił,
 w środku murów życie stracił.*
 85. Stary Zajęczek był raniomy,
 Toż Francuzów z naszej strony
 Dosyć legło: Smoleńsk wzięli,
 Krańce Rosji tu zadrżeli.

Zasług była wielka strata.
 W końcu śmiało zdecydował
 Davust w Mińsku co przyjmował
 93. Niech rozrządza moim losem,
 Cóż miał począć z pustym trzosem.
 Ale Pan Bóg mnie zachował,
 Że ten projekt podyktował.
 94. Skorom złożył zaświadczenie,
 Już zasłużył na spojrzzenie
 I na względy u d'Ecmila.
 95. Wspomnieć miło na te chwile,
 Litując się nad mym stanem
 Zrobił swoim adiutantem,
 nie odstąpił ani kroku,
 Przy Marszałka służąc boku.
 96. Choć koledzy zazdrościli,
 Swym starszeństwem uprzykrzyli,
 Lecz że byli to Polacy
 Jak niektórzy Ci Junacy
 97. Nieżyczliwi w powodzeniu
 w różnym wojny tym zdarzeniu.
 Lecz Francuzi mnie kochali,
 Jak kolegę ratowali.
 98. Dawust cenił me zasługi
 By(ł) opiekun z nieba drugi.
 Rosła przy nim moja sława,
 Ranga i Krzyż dla Czesława.

ROZDZIAŁ III

86. Gore miasto noc dziś cało,
 Gdy huk harmat poprzestało
 Po tej dziennej krwawej pracy
 spoczywali tam Polacy
 87. Ciesząc siebie tą nadzieją,
 Odrodzeniem zajaśnieją.
 Ale ona tu spłonęła,
 Chociaż miasto szturmem wzięła.
 88. Już po wzięciu też Smoleńska,
 Zaczęła się może klęska.
 Stary Valans zachorował,
 Los już ze mnie nie żartował.
 89. Chciał generał bym powrócił,
 Jego projekt mnie zasmucił.
 Valansa szczerze kochałem,
 Jakże go porzucić miałem.
 90. Co miał robić nie wiedziałem,
 Zaświadczenie wydostałem
 Poszedł szukać nowej służby,
 Z kozakami mojej drużby.
 91. Do Gruszego musiał chodzić
 I Nansuty rad mnie zwodzić,
 Bym ia przystał na usługi
 Jak Donkiszot blondził drugi.
 92. Byłem wezwan do Murata,





Rosyanin chce ratować,
by Matuszkę swą zachować.
Przypis:
Matuszka - Rosjanie przez pieszczotę
nazywają stolicę Moskwę

109. Wojsko wodza swego zmienia,
Przyszła pomoc opolczenia.
Tu Kutuzow na ich czele
Dokazywał bardzo wiele.
110. To na Persach, to z Turkami,
Dziś ma spotkać z Francuzami,
wkrótce sława zajaśnieje,
Rosya składa w nim nadzieje.
111. Lecz tu jeszcze ulec musi,
Bo Napoleon go przydusi
Już tak dzielnym uderzeniem,
że aż wspomnić strach ze drżeniem.
112. Dnia 7mego spotykali,
Cudów męstwa dokazali,
Jak Francuzy i Rosjanie,
Mężnie stali w swoim stanie.

**ROZDZIAŁ IV
BATALIA POD MOŻAJSKIEM
BORYDYŃSKĄ PRZEZ
ROSYAN NAZYWANA
R(OK)U 1812 7B 7M**

113. Ledwo czyste wzeszło słońce,
Lecą strzały z harmat ręce.
Tysiąc z górą ich zagrało,
Lecz z Francuską małą chwałą.
114. Dawust wkrótce był raniony,
Ten, co wdychał do korony
Polskim Królem pragnął zostać,
w bok Kartaczem musiał dostać.
115. I mnie kuli wielka siła
Swą kontuzję wywróciła.
Gęste dymy tak się wzbily
aż horyzont już zakryły.
116. Trudno pojąć, wyobrazić,
Jak zawziętość może razić
Czleka z czlekiem w tym spotkaniu
Cała sztuka na wytrwaniu.
117. Cesarz stoi w swym kwadracie,
Choć o wielkiej wie już stracie.
Ale gwardyi nie poruszył,
Żadną prośbą się nie skruszył.
118. Murat z Nejem popisywał,
Laur zwycięski z rąk wyrywał,
Sam Eugeniusz silnie wspierał,
Cesarz wzrokiem ich pożerał.
119. Dotrwał mężnie aż do końca,
gdy już zapadł promień słońca
Trupem pola tak usłane
Jak pasteka porąbana.
120. Człek i konie wywrócone,
Pnie, jak karcze, sterczą w stronę.
Leżą ciała tuż pospołu,
Nie chcą wrzucać ich do dołu.
121. Pozostały jak te snopy,
co pogniły z wielkiej sloty
Krukowi, wilkom na pożarcie,
Pod gołym niebem, otwarcie.



122. Ze trzydzieści tam tysięcy
Legło Rosyan, może więcej.
Generalów my stracili
ze trzydziestu, co się bili.
123. Oficerów też bez liku,
Co tam jęku, co tam krzyku.
Choć wygraną my głosili,
Lecz o pokój nie prosili.
124. Rosjanie nie przyznali
By batalie my wygrali
Pod Możajskiem, Borodynem
Okrył Francuz tym wawrzynem.

125. Rusczy w kraj rejterowali,
aż pod Moskwą ich dognali.
Któż opisze naszą radość,
Czyniąc chęciom naszym zadość
Sam Napoleon upragniony
Bierze Moskwę bez obrony.
126. Bylem świadkiem pięknej sceny,
Sam się chlubić nie mam weny,
Lecz opisać najrzetelniej,
Murat znalazł się najdzielniej.
127. Od Dawusta przeznaczony,
Bym się udał w tamte strony,
Gdzie już wojska były w przodzie,
Pod Moskiewskim wielkim grodzie.
128. Tu król Murat im dowodził,
By mieszkańcom nie zaszkodził.
Parlamentarz go uprzedził,
Że nie będzie w tym się biedził.
129. Dobrowolnie Moskwę dają,
Strzelać wojska już przestają.

Druga z pół dnia jest godzina,
odkrywa się ta kraina,
którą chciwie wzrok pożera
Oddać - chęć nie była szczera.
130. Armistycjum umówione,
Dziesięć dni więc przeznaczono
Aby raptem nie wchodzili
Już kozacy się zbliżyli.
131. Gdy zegarek Król darował
Ich pułkownik podziękował.
Skoro znikli Rosjanie,
nastąpiły narzekania
132. tych mieszkańców pozostałych,
Co skupiły w garstkach małych,
niewiedzieli co się stało,
Za co Moskwę oddać całą.
133. Wpadli z bronią do Kremlina,
Tu Murata tęga mina,
z szablą w ręku zacznie gromić
I zuchwałych chce poskromić.
134. Dali ognia z ręcznej broni,
kilku naszych spadło z koni,
wszyscy króla opuścili,
mnie jednego zostawili.
135. Widzę Murat jest w kłopotcie,
Lecz nie myśli o odwrocie,
mnie posyła po harmaty
Dają ognia wnet z
136. Rusczy z strachu popadali,
Pod nogi oręż rzucali,
z Królem pierwszy wpadłem w bramę
y swą szablą zrobił szramę,
Jak ten Chrobry do Kijowa,





Gdy Rusinów brał w okowy.

137. Kremlin, gniazdo tej stolicy,
Krzyż cudowny mu przyświeca,
Dzwon ogromny w bramie leży,
By go widzieć każdy bieży.

138. Trzy godziny przechodzili
nim Stolicę tę przebyli.

Już na drugiej Moskwy stronie
nikt nie staje ku na obronie

139. Lecz arsenał wysadzono,
z setnych strzałów wydał grono,
Wojska w koło otoczyły,
Dla Francuzów nocleg miły

140. A mieszkańcom rozpacz, trwoga,
zemsta wzbudza Rosyan sroga.

Już płomienie wybuchają
J gdzie niegdzie oświecają

141. *Jak pochodnie w tych pieczarach,
Gdzie już niosą śmierć na marach,
w tej ogromnej wież przestrzeni,
Lśniacej Krzyże blach czerwieni.*



142. Już to wojny zwykłe hasło,
Nocna lampa, gdy już zgasła,
Dzień zaświtał, lecz pochmurny,
Zbrodniarz wyszedł chytry z t(i)urmy.

143. Nuż podpalać magazyny,
By zamienić gród w perzyny.

Wznoszą gęste coraz dymy,
Polykają zapas zimy.

144. Pożerają ognie cerkwie
I nie jeden pałac penknie,
Których było tam bez liku,
Baz ratunku i bez krzyku.

145. Bo nikt Moskwy nie ratował,
Sam mieszkaniec nie żałował,
Wolał oddać płomieniowi
niż na korzyść Francuzowi.

146. Sześć dni Moskwa się paliła,
Siła deszczu przygasiła,
Gdzie miliony poginęły
Skarby ogniem popłoneły.

147. Małą cząstkę zrabowali
I ten zdobycz, co pobrali,
Nie skorzystał w tym bezładzie
Francuz stracił w rejteradzie.

148. I Napoleon był zmartwiony,
Sam posyłał do obrony.

Lecz na próżno sił wycężał,
Ogień wszystko przewycężał.

149. Dzień w piekielną noc zamienił,
z gruntu Moskwę wykorzenił.

Gdy opadły dym popioły,
Tu mieszkaniec głodny, goły

150. Poznał później swoją stratę,
Radby wrócić za zapłatę i
Kontrybucję choć największą
niż obronę najdzielniejszą

151. Jaką wówczas wymyślono
Roztopczyła głową pono
któren spalił swe dostatki
Dla zbawienia Ruskiej Matki.

152. Lękał, aby w tym to Grodzie,
nie wylęgnął potwór w modzie,
którą Francuz wszędzie szerzył
I jak w Boga w wolność wierzył.

153. Moskał wolał dźwigać pęta,
niż poruszyć Carów święta.

Tym Napoleon ofiarował,
wolność ludom proklamował.

154. Ale oni nie słuchali,
w swym uporze, gdy wytrwali,
wszystkie siły wycężyli,

Aby z Rosyi wypędzili

155. Tego wodza, co ich gromił,
nie raz zapał ich poskromił.

A Napoleon tak był twardy,
Zniósł najcięższe te (h)azardy

156. Nie chciał z Moskwy sam wyruszyć,
Mróz, głód Jego nie mógł skruszyć

Do ostatka był wytrwałym,
Aż już z Wojskiem zginął całym.

157. Nim opiszę rejteradę
Klensk i nieszczęść naszych wadę, i

Com ucierpiał w samej Moskwie,
To skaranie było Boskie.



158. Z Smoleńska gdybym powrócił,
Zdrowia sobie nie ukrócił.

Ale sławy chęć uniosła,
Popuściłem żądom wiosła.

159. Choć Valans mi doradzał
Cofnąć nazad jam nie zgadzał
Dotrwać chciałem aż do końca,
Gdzie prowadził promień słońca,

160. Którym jaśniał Bonaparte,
Chcąc wzbogacić życia kartę.
Pragnął kaźden coś dokazać,
Bo ucieczką niechciał zmazać.

161. Napoleon chciał się godzić,
Lecz Kutuzow musiał zwodzić.

Jak zwyczajnie z Francuzami
Pod różnemi pretekstami,

162. Których puścić stąd nie chcieli,
Zgubę wojsk ich przewidzieli

Iż nie wyjdą stąd na sucho.
Odprawili więc na głucho

163. Wszystkich posłów, co posłano,
Że nas zwodzą już poznano,

w ciężkim razie, kaźden radzi,
Gdy nam zewsząd już nie ładzi.

164. Lecz nie tracim my nadziei,
Choć już bardzo w złej kolei,

Kaźden jak mog się kierował
z bied moskiewskich więc żartował.

165. Mnie choroba przywaliła,
I gorączka osłabiła.

Trzy tygodnie w Moskwie biedził,
aż sam Dawust mnie odwiedził,

166. Polecając doktorowi,
Któren wkrótce mnie uzdrowił.

Ledwo słaby mogłem gadać,
na koń znowu kaźą siadać

167. Abym poszedł z tym oddziałem,
Z którym wiele bied wytrwałem.



Miałem w drodze przewodnika
 Zwano Generał Kiryła
 168. Był to kozak, silny sługa,
 O nim to historia długa.
 Znał on dobrze okolice,
 Dzielność jego w tym zalicza,
 Gdyż on w drodze przewodniczył,
 Od furazerów się wyćwiczył.
 169. W maruderskiej tej wyprawie,
 której nierad byłem prawie,
 170. Lecz musiałem rozkaz spełniać,
 By furazem ich napelnić
 z Dwutysięcznym tym oddziałem
 Iść przez lasy, wsie, musiałem,
 171. Gdzie mieszkańce się bronili,
 Bydło konie w lasach kryli.
 Dali nie raz odpór gracki,
 wprowadzając nas w zasadzki.
 172. Jednak my ich zwyciężyli
 I do Moskwy powrócili
 z końmi, bydła tam wszelkiego,
 Chleba, zboża też różnego.
 173. Z dóbr najwięcej Roztopczyła,
 Którym klęsk był tych przyczyną.
 174. Nie chciał Francuz ich rabować,
 Lecz nie mogąc już kupować,
 musiał użyć tej przemocy,
 Mając Moskwę w swojej mocy.
 175. Już spaloną do ostatka
 Rzucił jak lew wpadły w siatkę.
 Gdym powrócił z tej wyprawy
 Do Kremlina na zabawy
 176. Jeździł w nocy z Ekmił Księciem,
 Nie jest moim przedsięwzięciem
 Popisywać na te względy,
 Gdzie sprowadzał do gawędy
 177. swych Marszałków Cesarz w nocy.
 A co było w mojej mocy
 Rad im byłem przypatrzylem,
 Jakby we śnie to marzyłem.
 178. Tylu sławnych razem ludzi
 Jakich uczuć w wzrok nie wzbudzi
 wiek mój młody brał przykłady
 Jak w nieszczęściach szukać rady.
 179. Mądre głowy tam siliły,
 By z tych nieszczęść wybawiły.
 Moskwę mieli jak w kieszeni,



Ale w koło otoczeni.
 180. Murat okrył się wawrzynem,
 Lecz przegrał pod Tarutynem,
 Poniatowski go ratował,
 Resztę wojska mu zachował.
 181. Takie wieści gdy nas doszły,
 wnet rezerwy w pomoc poszły.
 Znowu Ruscy wstecz cofnęli
 Dokąd pójdziem, nie wiedzieli.
 182. Mróz w tym uciół niezły z rana,
 Ziemia śniegiem nie usłana.
 Rzeźwo wojsko odpoczęło,
 Mężną postać na się wzięło.
 183. Każden w futro opatrzony,
 Niósł swe łupy w dalsze strony.
 Bo co płomień nie spożerał,
 Francuz z sobą pozabierał.
 184. Srebro złoto i brylanty,
 Xiążki, futra, drogie fanty,
 Karet, bryczek to bez liku,
 A jam jechał na koniku.
 185. Bo mój korpus poszedł w przodzie,
 By nie cierpiał także w głodzie,
 Młynki małe z sobą mieli,
 Co potrzeba resztę wieźli.
 186. Więc obozy tak zwiększyły,
 nieraz w przejściach mitrężyły,
 Lecz musiano w tym folgować,
 Cudzą własność menażować,
 I nikomu nie przeczono,

By swą zdobycz niósł do domu.
 187. Krzyż z Kremlina także wzięto,
 Jak relikwię czczono świętą.
 Był on z srebra, czy metalu,
 Sprawił Moskwie wiele żalu.
 188. Aż musiano drugi zrobić,
 By na nowo cerkiew zdobić.
 Gdzie się podział w tym bezładzie
 Stary zginął w rejeradzie.
 189. Gdy już z Moskwy wychodzono
 Mury Kremla wysadzono.
 Huk od prochów tak był silny,
 Każdy sądził, że nie mylny.
 190. Ostateczny cios zadano
 Jak najcięższą Rosji ranę.
 My na skrzydłach lecim prawie,
 Do Małego Jarosława.
 191. Bo już koni bardzo mało,
 z głodu wiele wyzdychało.
 Grzęzną w groblach też harmaty,
 Tu początek nieszczęść straty.
 192. Jednak ciągniem a co żywo,
 By już odnieść zwycięstw żniwo.
 Nikt nie traci też rezonu
 Dla większego jeszcze tonu
 193. Niesiem hasło Ukraina,
 Gdzie przepędzić mamy zimę.
 Harmat odgłos coraz szerszy,
 Francuz z chęcią na plac bieży.
 Napoleon sam przewodzi
 On ich cieszy i nagrodzi.
 Ogniem gore już mieścina,
 A gdzie rzeka i dolina.
 194. Piesze wojska spotykają,
 Odpór dzielny Włochy dają,
 Franków przyszły legiony,
 Wnet zwycięstwo z naszej strony
 195. Napoleon tuż nacierał,
 Przez lunetę gdy spozierał,
 Wnet kozacy przyskoczyli,
 Omal Jego nie schwycili.
 196. Ten zuchwalość poskromiono,
 Murat stanął mu z obroną,
 Dawust też z adiutantami,
 Porąbali ich szablami.
 197. Byłem świadkiem tej zdobyczy,
 poskromieni chytry, dzicy,



*Która wszędzie się wkradala,
Nam pokoju nie dawala.
198. Płatow sławny na ich czele
Dokazywał bardzo wiele.
Tęgoż prawie już wieczora,
Choć spóźniona była pora
199. Długo Ruscy się bronili,
Ale z miasta ustąpili.
Dzień ostatni naszej chwały
Był spokojny prawie cały.
Tylko jedna nam przygoda
Wielka w sztabie naszym szkoda.
200. Dawust stracił adiutanta,
Któren odniósł ciężką ranę.
201. Kobylański, z męstwa znany,
nasz pułkownik był kochany,
Przyszędł prosić do mnie konia
Wziąć własnego, gdy nie bronię
202. Kula nogę mu urywa.
Zalem wszystkich nas okrywa
Dawust mocno go żałował.
Dał mi oddział, bym pilnował.
203. I nieść kazał jak w paradyzie
Przy chorągwi w rejteradzie
Jeszcze żyje niech on powie
204. I od niego prawdy dowie
Cośmy wtenczas ucierpieli
Gdy nasz korpus już odcięli.*

REJTERADA

205. Noc też była ta ostatnia
Gdzie zrobiono dziwną matnię.
Ognie wielkie rozłożono,
Rejteradę utajniono.
206. I tym dziwniej z drugiej strony
nie stawano do obrony.
Jak by bić się już nie chcieli,
O czym później dowiedzieli.
207. Bo gdy gwiazdy zabyły, zły,
Wojska oba wstecz cofnęły.
Rossyanie do Kaługi,
a my w nocy już o drugiej
208. Poszli bokiem do Możajska,
aż nim tłuszcza ta hultajska
w kilka dni nas dogoniła,
Przejsć do Wiaźmy zaprzeczyła.
209. Pierwszy korpus był odcięty,
Kozak z piką tuż zawzięty,
z trzech stron nas atakowali
210. I pokoju nie dawali.
Dawust ciągle mężnie bronił
Korpus Polski tu osłonił
Sam byłem mu w pomocy,
aż do późna w ciemnej nocy.
211. Od ślizgoty i od mrozu
Ledwom przywlokł do obozu.
212. Co raz stan nasz okropniejszy
Francuz, co był najdzielniejszy,
Gdy ścisnęły głód i mrozy
Rozpierzchły się obozy.
213. Każdy poszedł w różną stronę
Szukać jada na obronę.
Jak te wilcy, gdy zgłodniało,
chciwie padło pożerało.



214. Końskie mięso za przysmaczek
I sam Dawust nieboraczek
Już tym jadłem nie brakował
Gdy mu kucharz przygotował.
215. Zamiast masła świec łojowa,
Choć nie smaczna, była zdrowa
Gdy z ozorem przysmażono,
zjadł marszałek kilka pono.
216. Dla przykładu kotlecików
co połknęło się bez lików,
wszystkie wojsko jadło z nami,
Ocalone pod Wiaźmami.
217. Każdy spieszy do Smoleńska,
Gdzie nas czeka nowa kłęska.
W niesłychanym tym bezładzie,
W tej okropnej rejteradzie,
218. Trzy korpusa tu skupiły,
O magazyn pokłóciły.
Byłem świadkiem brudnych swarów
Tej z Dawustem wielkich darów.
219. Jednak z sobą tak zwaśnili,
Że się ledwo nie pobili.
Gdy magazyn podpalono
Bardzo mało ocalono.
220. Każdy sobie tu wydierał,
Bez porządku gdy zabierał,
Nic późniejszym nie zostało,
Co spod Moskwy się wracało.
221. Napoleon poszedł przodem,
Wojska marły mrozem, głodem,
Każdej nocy tysiącami.
Rossyanie szli stronami,
222. Nas ściskając kozakami
Strasząc Francuzów pletniami
Co z obozu wykradali
na swe piki żywcem brali.
223. O, jak srogie, straszne męki,
Słyszać było zewsząd jęki.
Lecz ten żołnierz co już kona,

Rad by widzieć Napoleona.
224. Nikt na niego się nie żali,
Mróz, głód tylko przeklinali.
On sam siebie nieraz bronił
w mały kwadrat gdy osłonił
225. Szpadą w rękę raz przebijął
Ruskie wojska zręcznie mijał
Choć go wkoło otaczali
Przed nim jeszcze z strachu drżali.
226. W dniach ostatnich już Novembra
I z początkiem też Decembra
Jak się mrozy zaostryły
Że do reszty nas zgubiły.
227. Tu goronczka Dyaryia
Jad swój straszny wnet odkryje,
Że bez strzałów toż nocami
Marzło wojsko tysiącami.
228. Dym wyjadał lzy w mym oku,
Gdym postradał resztę wzroku.
Nic już więcej nie zostało
Rozpacz życie wydzieralo.
229. Od sług własnych opuszczony,
Choć w rodzinne zbliżał strony,
Dotrwać pragnął aż do końca,
bierze jeszcze chęć gorąca
230. Widzieć Matkę sióstr i braci
Człowiek siły gdy swe traci
Oddać pragnie pożegnanie
W tak okropnym swoim stanie.
231. Ale nie ma już sposobu,
Gdy zbliżamy jak do grobu.
Berezyńska tu przeprawa
Owa sławna, straszna, krwawa,
232. Przejście wszystkim nam przecięła,
wozy, zdobycz pochłonęła.
Napoleon nas ratował,
Nikt by życia nie zachował.
233. On swój rozum tu wyteżył
Przeciwności przewycięzył,
Resztę wojska chce ocalić,
Nim od niego ma oddalić.
234. Choć ucieczkę mu radzono
Stal się naszą tu obroną.
Zrobić kazał dwie przeprawy
Dla wybiegu czy obawy,
235. Których strzegli Rossyanie,
Już czekając zewsząd na nie.
Tu omyłka Cziczagowa,
Wieczną pamięć ten zachowa,
236. Iż nas szczęściem wypuścili,
Grobli, mostów nie spalili,
Które wiodły do Ziembina
Przez bagnistą tę krainę
237. Strzegli ich Hertel z kozakami,
Sprawę mając z Polakami
Zapomina w tej odsieczce,
Rad ucieka do fortecy.
238. Cale mosty nam zostawił,
Napoleona tym wybawił,
Któren poszedł już do Wilna,
Straż na próżno Ruska tylna
239. Co szła z Moskwy z Kutuzowem
Nie cieszyła się polowem
Jaką miała w rękę swoim



wówczas rąbniem gdy odkroim.

240. *I nas tyle pochwytnano,
których zadu odcinano,
Obóz, wozy i furgony,
Zostały się z tamtej strony.*

241. *Pod Studzianką na przeprawie,
W tej cudownej dwóch most prawie,
Tu najdroższe precjozy
Pochowano w bagna loży.*

242. *Napoleon tryumfował
Tej przeprawie asystował.
Raz ostatni tu widziałem,
Kilka godzin przy nim stałem.*

243. *Wzrok miał bystry, cerę czerstwą,
Bo obronił tu zwycięstwo.
Odgłos harmat z dwóch stron głuchy,
On się z miejsca nie poruszy.*

244. *Gdy wydawał swe rozkazy,
Wnet zadawał ciężkie razy.
Nikt mu sławy nie zaprzeczy,
Że się znalazł to do rzeczy.*

245. *Bo kto inny pewno zginął,
Tu się zręcznie On wywinął.
Z tak krytycznej katastrofy
Przebył rzekę, bagna, fosy,*

246. *Jak kometa ogniem smalił
Bił się z przodu, z tyłu palił.
Próżno Płatow za nim gonil,
On mu znika już w Smorgoni.*

247. *Koniec roku gdy się zbliża
Sam pojechał do Paryża,
niech tam piszą o nim dzieje.*

248. *Ja zakończę me koleje.
Niech dowiedzą moje wnuki
Że nie zjadły dziada kruki.
Raczył Pan Bóg uratować*

*Jeszcze z wojny tej zachować,
249. Swą opieką cudem wzięło,
Gdzie krociami poginęło
Z tego wojska tak pięknego
Co od brzegu niemnowego*

250. *Gdy do Litwy tu wchodzili,
Siłą zbrojną zadziwili,
Kiedy nazad już wracali,
Swą postacją przestraszcali.*

251. *Wszystkie pulki pomieszane,*

*Ich odzienia poszarpane,
Zbroje kryli lachmanami,
Soból, kożuch z rohożami,
252. Nogi w łapciach, bez obuwia,
Ale mało ja wam mówię,
Wyglądali jak straszzydła,
Postać była ich obrzydła.*

253. *Jakby nocne te upiory,
Powkładawszy na się wory,
Ręce nogi pozmrażali,
nim do Wilna się dobrali.*

254. *Tak w ornatach i całunach
Jak te księża, co przy trumnach
Stoi, marznie, potem kona,
Ów żołnierz Napoleona.*

DOKOŃCZENIE

255. *Cudem boskim przebył prawie
Berezyńską też przeprawę.*

*W ciżbie byłem tak ścieśniony,
na powietrzu przeniesiony,
256. Gdy do mostu się dodrapał
Swych kolegów ledwo złapał.*

*Macą pszenną traktowali,
Po raz pierwszy posilali.
257. Przez pięć prawie tych tygodni
Idąc z Moskwy byli głodni.*

*Xiężyc w nocy nam przyświecał,
Bogum tylko się polecał.
258. Spieszmy groblą do Ziembina,
Dziesięć mostów ją przecina.*

*Dawust z nami szedł piechotą
I my za nim też z ochotą.
259. Od tej kłęski uciekali
By Moskale nie dognali.*

*Kondrat kozak mnie spotyka,
Cudem złapał tu konika.
260. Sługa wierny ofiarował
nie raz w głodzie mnie ratował.*

*Przyszli późno do Ziembina,
Tu ochrona ta jedyna
261. W ciepłej izbie gdym położył,
Jak by w łaźni ledwom odżył.*

*Dawoust leżał tuż na słomie,
Raz ostatni rzecze do mnie:
262. „Strzeż się abyś mnie nie zabił”.
Do ławeczki gdym dobrał*

*Ona w górę się podjęła,
Bodaj licha też ją wzięło.
263. Śmierci byłbym tu przyczyną,
Gdyby spadła na łysinę.
Szczęściem z biedy wydrabolił,
Z ambarasu wyjść pozwolił.
264. To ostatnie pożegnanie
I z Dawoustem tu rozstanie.
Ten marszałek w szyku dzielny
Był by zawsze nieśmiertelny
265. Gdyby wierny był wodzowi,
Swemu Napoleonowi,
On w Paryżu jego zdradził,
Tron porzucić gdy poradził.
266. Ale sprawa już skończona,
każdy poszedł w swoją stronę.
Bo gdy szczęście człeka mija
Wnet opuści kto dziś sprzyja.
267. Z dopuszczenia może Boga
Jam się udał w inną drogę,
spotkał z memi rodakami,
Co służyli żandarmami.
268. Może lepiej ja zrobiłem
Że od sztabu oddaliłem.
Wpadłbym w ciężkie tam przygody,
Gdybym szukał swej wygody.
269. Choćbym poszedł jeszcze dalej
Z Francuzami, których gnali,
Może śmierć by mnie spotkała,
Co tysiącom wydzierała.
270. Te okropne nędzne życie,
Którym poczoł od powicia,
Cóżem wskórał z przedłużeniem,
Pisać muszę, lecz ze drżeniem
271. Mego serca, co tak boli,
Umrzeć dzisiaj ono woli,
By los srogi na mnie zwałił,
Wtenczas cudem Bóg ocalił.
272. Chcesz żyć dłużej, ty człowiecze,
Żywcem bida ci dopieczce.
Już na próżno w ten czas bronil
Pan Bóg tylko mnie osłonił.
273. Bo spotkałem w nim pociechy,
Wpadłem ja do chłopskiej strzechy,
Gdzie mnie Ruscy tu porwali
I pletniami okładali.
274. Po tym prosto w łeb strzelono,
Jeśli szczęściem nie trafiono,
Chcąc przedłużyć moje męki,
Lecz wyrwałem broń im z ręki.
275. I gdy chciano strzał powtórzyć,
Tu przemocy musiał użyć.
Wnet Moskala wyrwociłem,
Do ucieczki się rzuciłem.
276. A nie tracąc wiele czasu
Biegłem co tchu aż do lasu.
Każden łącno wyobrazi
Jak mróz z śniegiem srodze razi.
277. *Kto bez czapki, bez obuwia,
Szczerą prawdę, co dziś mówię,
Boga biorąc na świadectwo,
Przyszło na myśl tu strzelectwo*
278. *Jak się zając często broni,
Gdy go strzelec z gończymi goni,**





Dając susy gubi tropy,
Jak ja gnany przez te chłopy
279. W gęstym borze się ukryłem,
Ledwo z zimna obroniłem,
Okrywając nogi ksobie,
Ogrzewałem w zimnej dobie.
280. Lecz niedługo marudery,
Te moskiewskiej brudnej cery,
Znowu na mnie się rzucili,
Bo me ślady już odkryli.
281. Wnet zrobili tu zasadzkę,
By mnie złapać jak znienacka,
Słyszę, jada, jak gadają,
Koło drogi zasiadają.
282. I czekają ciemnej nocy
Aż im zdobycz w ręce wskoczy.
Lecz gdy zwabić mnie nie mogli,
Wymknąć z rąk swych dopomogli.
283. I im równie mróz dokuczył,
Rąbiąc drzewo las zahuczał.
Korzystałem jak na głuszcach
tokujących w lesie głupcach.
284. Kiedy ciągną swą jedlinę,
Szczęście może to jedyne,
Mówić szczerze teraz mogę,
Przeskoczyłem w poprzek drogę.
285. Księżyc zaszedł w tym za chmurę,
Kto ratować chce swą skórę,

Niech nie traci przytomności,
Mężnie wytrwa zle przykrości.
286. *Choć me skrzepłe ciało kolem*
Z rąk Moskiewskich wyślizgnąłem,
Wszelkich w biegu sił wyteżał,
Abym biedy przewycięzał.
287. *Już nieznaną spieszył drogą,*
Znów promienie dopomogą.
Księżyc wyszedł spod obłoków,
Nie żałując w biegu kroków.
288. *W nowy kłopot dalej wpadłem,*
Ledwo z chłopskich rąk wykradłem,
Wszyscy na nas tak czyhali,
Kogo złapał – obdzierali.
289. *Źle im poszły te korzyście,*
Bóg ich karal oczywiście.
Szła gorączka tuż morowa,
Większa zmarła tych połowa
290. *Co Francuzów obdzierali*
Od tych fantów umierali.
Część już nocy większa mija,
Jam się zbliżył do Wiazynia.
291. *Będąc wkoło otoczony,*
Szukał Boskiej tu obrony.
Stukam do drzwi tam plebana,
A że było bardzo rano,
292. *Trudno było się dobudzić,*
Psy szczekaniem zaczną trudzić.

Wreszcie, ogień gdy zaświtał,
Xiędz o imię mnie zapytał.
293. *Ledwom został przypomniany,*
Przez pamięć na Boskie rany,
Tu doznałem tej litości,
Ratowano w mojej nagości.
294. *Co się po tym ze mną stało,*
Tych awantur czyż nie mało,
Sześć miesięcy chorowałem,
Woli boskiej się oddałem.
295. *Ona wszędzie mną kieruje,*
I z nieszczęścia wyratuje,
I wy o nią wnuki dbajcie,
Rozkazów boskich słuchajcie,
I te dzieje odczytujcie,
296. *Co ja wiernie opisałem.*
Wiercie, nigdzie, nie kłamałem.
Nie szukałem w rymach sławy,
Pisał wiersze dla zabawy.
297. *Starość lubi często marzyć,*
Co w młodości może zdarzyć.
Dziś to wszystko jakby śniło,
Że z nieszczęścia wybawiło,
298. *Co zgubiło niejednego*
Roku Tysiąc Ośmset Dwunastego.

K.ATARZYNA KORCZAK



Wojstaw Brydak

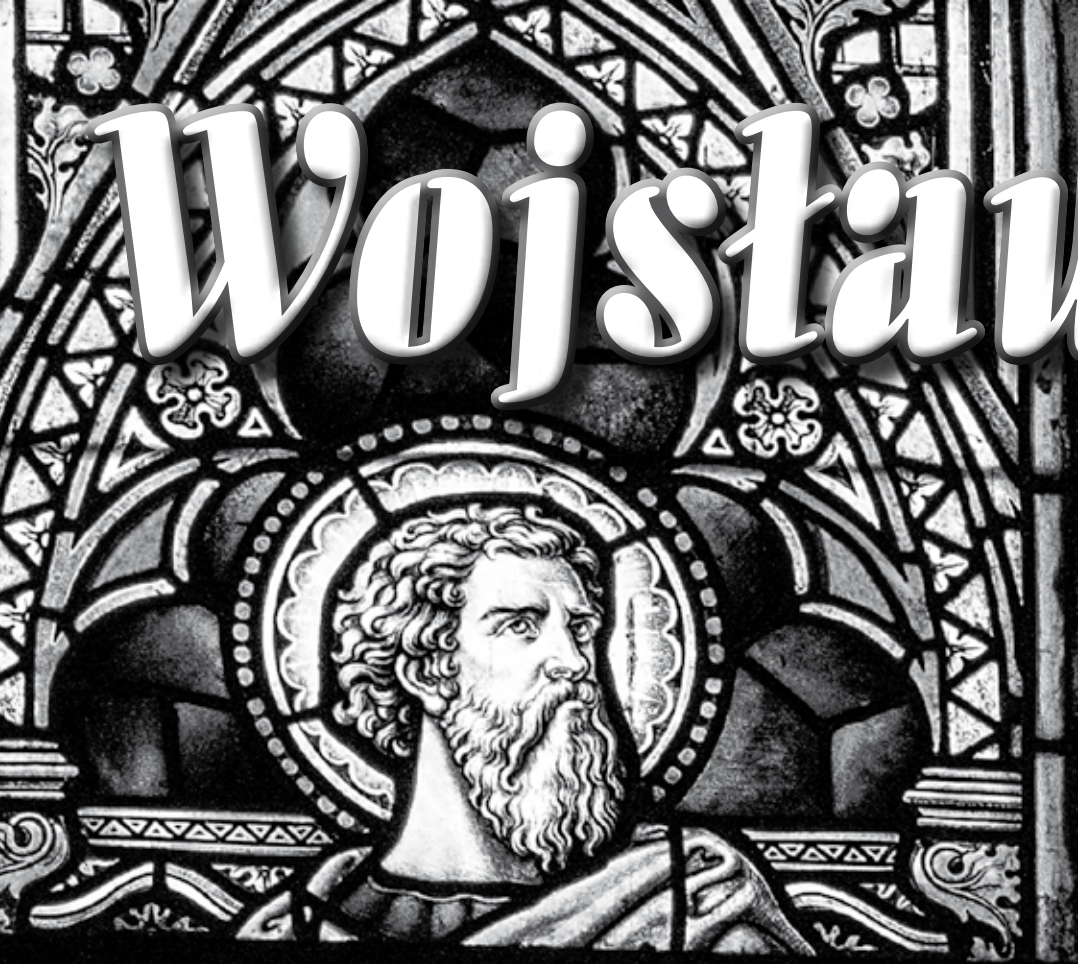




foto Jacek Sztorc

Taniec śmierci

Zwłoki królowej angielskiej Elżbiety II
wystawiono w pałacu Westminster Hall:
w zabalsamowanym ciele ukryto złotą koronę.

Zwłoki króla światowego futbolu
wystawiono na pokaz na stadionie w Santos:
w zabalsamowanym ciele ukryto złotą piłkę.

Zwłoki papieża światowego katolicyzmu
wystawiono na pokaz w bazylice św. Piotra:
w zabalsamowanym ciele ukryto złotą bullę.

Zwłoki zamordowanych mieszkańców Buczy
Rosjanie zostawili na rozstrzelanych ulicach:
w poszarpanych ciałach ukryli miny-pułapki.

Zwłoki uchodźców na europejskich granicach
rozkładają się w lasach na ekologiczny węgiel.

Zwłoki ofiarne Żydów i Palestyńczyków
gniją w grobie Abrahama w Ziemi Obiecanej.

Wiersz z najnowszego tomu „Ostre Bardo”, FORMA, Szczecin 2026.